

Z SERII DENAZEN

DRZENIE



JUS ACCARDO

Jus Accardo

DRŻENIE

KSIĘGA TRZECIA



Dla Jamesa. Zawsze będę cię wspierać.

1

Za gęsty tłum, nie było dokąd uciekać. Serce waliło mi jak młotem, przelknęłam ściskający mi gardło niepokój. Wcale mi to nie było potrzebne. Nie teraz. Nie dziś wieczór.

Szedł przez pomieszczenie powoli, ale wyraźnie zdeterminowany. Pojawił się w drzwiach, a ja próbowałam zejść mu z oczu, wmieszać się w tłum i skulić ramiona, żeby mnie nie rozpoznał, ale to było bezcelowe. Jego radar natychmiast mnie namierzył.

Wzięłam głęboki oddech i przygotowałam się na najgorsze, przekonana, że to nie może się skończyć inaczej, jak tylko potwornym nieszczęściem. Coś mi mówiło, żeby tu dzisiaj nie przychodzić. Można by pomyśleć, że po tych wszystkich szaleństwach, których byłam świadkiem w ciągu ostatnich kilku miesięcy, będę się uważniej wsłuchiwać w głos intuicji.

A tu się okazuje, że nie.

Przez krótką chwilę myślałam o sztuczce mimicznej. Chciałam sięgnąć po moją zdolność Szóstki, stać się kimś innym i wymknąć się niezauważona. Nie mógłby przecież iść za mną, jeśli by nie wiedział, kim jestem, prawda? Niestety z tym scenariuszem było kilka problemów. Przede wszystkim za dużo ludzi. Nie udało mi się zamienić w kogoś innego bez zwracania na siebie uwagi. Może później, gdyby towarzystwo było trochę bardziej zawiąane... Zdziwiający, ile można wyjaśnić, kiedy miesza się sznapsa i alkohol w formie żelków.

Poza tym nie chciałam się zamienić w faceta. Zrobiłam to już kiedyś dwa razy i wcale mi się nie podobało. Już nigdy. Dziwne części ciała i rzeczy, które zwisają w miejscach, w których nie powinny? O, nie. A zamienienie się w inną dziewczynę do niczego by się nie przydało.

A ten facet?

Poszedłby za wszystkim, co ma piersi.

– Dez, dziecinko!

Wysłałam zza pleców chłopaka, który w obu dłoniach trzymał kufle piwa i zmusiłam się do uśmiechu.

– Curd! Siema.

– Wporzo, dziecinko. Wporzo.

Curd upierał się, żeby mówić własnym językiem. A co gorsza, za tydzień wszyscy będą to powtarzać. Nie mam pojęcia, jak on to robił, ale facet był jak werbalna choroba zakaźna.

Powiodłam wzrokiem po pomieszczeniu. Skurczybyki, które mnie tutaj zaciągnęły wbrew mojej woli, oczywiście gdzieś poznikwały.

– Jesteś sam?

Curd zamrugnął oczami.

– Już niedługo. Zaraz znajdę moją boginię miłości. Przyszła z tobą?

– Oczywiście – mruknęłam pod nosem. Mówił o Jade, mojej rywalce, która – choć niechętnie – podjęła się roli psa stróżującego. Curd zobaczył ją w październiku na przyjęciu z okazji Halloween i od tego czasu ma na jej punkcie bzika. Przyszła przebrana za Wenus, boginię miłości, a Curd przebrał się za diabła. Ma chłopak pecha, bo zauroczenie poszło jednokierunkowo. Wolalała facetów trochę wyższych, o zacięciu do sztuk walki w stylu ninja. Wiem, bo próbowała mi wykraść Kale’a. Próbowała i jej się nie udało. – Tak, ale założę się, że się nie zgodzi z twoim określeniem „bogini miłości”.

– Wszystko w swoim czasie. Wszystko w swoim czasie. A co u ciebie? Gdzie twój byczek?

– Ona jest ze mną – powiedział Alex, wyłaniając się zza moich pleców. No tak. Teraz się

pokazuje. Postanowiłam kopnąć go w krocze, kiedy tylko wyjdziemy na ulicę. Nie zaciąga się dziewczyny na imprezę, a później znika, żeby się pogubiła. Cholera jasna, są przecież jeszcze jakieś reguły. Curd popatrzył na Alexa, później na mnie i uniósł lekko prawą brew. – Już trzeci raz w ciągu dwóch tygodni widzę was razem na imprezie. Co jest? Tak szczerze – jesteście znowu razem? Bo zaczynałem lubić tego dziwaka. Poza tym jest mi winien parę butów...

Na wzmiankę o Kale'u poczułam się, jakby ktoś mi zrzucił ogromny młyński kamień na klatkę piersiową. Jeśli miałabym być szczerą – co mi się ostatnio nie zdarza – przyznałabym, że nie mam wcale ochoty tu być. Była to jakaś połowiczna, nieudana próba powrotu do czegoś, co kiedyś było dla mnie realne. Do obudzenia jakiejś dawnej części mnie samej. Tej dziewczyny, która istniała w świecie zjawisk płytkich i bezcelowych, takich jak imprezy i tania ekscytacja.

I co mi z tego przyszło? Wielkie nic. Czułam tylko tę samą pustą ciemność, która jak płaszcz zakryła moją duszę, kiedy Kale odszedł z Marshalllem Crossem – to pseudonim mojego taty. Jest to jedna z tych rzeczy, którą życie serwuje ci bezpłatnie z dodatkową porcją bólu i z niezdrową dozą irracjonalnego poczucia winy.

To cię kiedyś zmiażdży.

– Nie, tylko tak wyszliśmy – powiedział Alex. Odwrócił się i spojrzał mi prosto w oczy. – Kale musiał na jakiś czas wyjechać z miasta, ale na pewno wróci.

Na pewno wróci.

Odwróciłam się na pięcie, próbując się nie roześmiać. Minęły już miesiące, a po nim ani śladu. Nie znaleźliśmy ani jego, ani taty, ani Denazen. Miałam wrażenie, że odlecieli na inną planetę. Dziwne. Denazen, firma, która chciała kontrolować całą populację Szóstek nie była znana z chowania się za plecami. Ginger, biologiczna babcia Kale'a i osoba stojąca na czele Podziemia, zapewniała mnie, że pracują nad tym dwadzieścia cztery godziny na dobę. Podziemie, mała grupa, która wzięła sobie za cel rozmontowanie Denazen i zrujnowanie tej organizacji, trzymając rękę na pulsie i ucho przy ścianie. Jak na razie złoczyńcy nie wydali nawet dźwięku. Im więcej czasu mijało, tym bardziej słabła nadzieja, że kiedykolwiek znajdziemy Kale'a.

Nie minęło parę tygodni od powrotu Kale'a do Denazen, kiedy sama wróciłam do miasta, gdzie znaleźliśmy moją przyrodną siostrę Kiernan, i rozebrałam jej dom niemal do ostatniej cegły. Oczywiście niczego cennego nie odkryłam. Dom był dokładnie w takim samym stanie, w jakim go zostawiliśmy w dniu, kiedy po nią pojechaliśmy. Nie wróciła. Spędziłam tam cały dzień, przeszukując szuflady; przeglądając papiery, ubrania i rozwalając pudełka w jej garażu. Miałam nadzieję znaleźć jakiś adres albo zdjęcie. Cokolwiek. Jakaś rzecz, którą mogłabym wykorzystać, żeby się dowiedzieć, gdzie się podziali. Zgodziłabym się nawet na coś z Supremacji – projektu naukowego Denazen, którego byłam niechętną uczestniczką.

Denazen przejęła grupę regularnych Szóstek i dała im lek wzmacniający ich umiejętności, co skończyło się porażką. Zamiast niezwyciężonej armii, dostali powtarzającą się przez kilkadziesiąt lat serię obłądów i zgonów. Mówiło się na ulicy, że jest gdzieś jakieś lekarstwo, ale jak dotąd do niczego się nie dokopaliśmy. Miałoby sens, jeśli znalazłabym coś w domu Kiernan, bo to w końcu ona, jako jedyna, dostała antidotum.

Znalazłam tylko górę śmieci.

A teraz Alex i Jade z ich głupią obietnicą złożoną Kale'owi, że będą „się mną opiekować”, obrali sobie za życiową misję wciśnięcie mnie w ramy dawnego życia niezależnie od tego, czy mi się to podoba, czy nie. To była dziesiąta impreza Nixów – ludzi, którzy nie mieli umiejętności Szóstkowych – na którą mnie w tym miesiącu zaciągnęli, a ja wcale nie czułam się tu jak u siebie.

– Kiedy ją ostatni raz widziałem, Jade była przy barze. – Kącki ust Alexa uniosły się

w prawdziwie złowieszczym uśmiechu, bo jego życiową misją stało się rujnowanie jej życia. Byli jak ogień i woda. – I chyba cię szukała – dodał.

Curd zrobił wielkie oczy i bez słowa, wyjęzając pierś, oddalił się kaczym krokiem.

– Zarobiłeś właśnie buziaka na dobranoc – powiedziałam, opierając się o ścianę. Nie chciałam nigdzie wychodzić, bawić się, ale jedyna rzecz, która dostarczała mi rozrywki, to przyglądanie się Jade i Alexowi, którzy okładali się podczas pojedynków słownych. Założyłam się z chłopakiem mamy – Daxem, kto pierwszy rzuci ręcznik na ring. Postawiłam pieniądze – choć może to kogoś dziwić – że wygra Jade. Była bezwzględna. Nie pałam do niej jednak tak straszną nienawiścią i kto wie – pewnego dnia mogłybyśmy nawet zostać przyjaciółkami. – Jesteś gotowy? Możemy wracać? Tu jest beznadziejnie.

Alex zmarszczył brwi.

– Już? Dopiero co przyszliśmy.

Wzruszyłam ramionami, ale nie odpowiedziałam. Technicznie rzecz biorąc, byliśmy tu już ponad dwie godziny, ale nie było sensu się z nim wyklócać. Sam sobie wyznaczył rolę kierowcy i nikt nie wie, gdzie schował kluczyki.

Zrezygnowałam i zaczęłam wodzić wzrokiem po imprezowiczach, starając się znaleźć coś, na czym mogłabym się skupić. Była to ta sama scena, którą przeżywałam już z tysiąc razy. Miałam wrażenie, że nic nie znaczę. Jestem nikim tylko dlatego, że tu przyszedłam. Wiedząc, że w rzeczywistym świecie istnieje coś takiego, jak Denazen, miałam wrażenie, że moje dawne życie było bezsensowne. To wszystko, co kiedyś kochałam było teraz puste jak wydmuszka.

Zacząłam się przepychać w kierunku drzwi, by powiedzieć Alexowi, że muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Prawdę mówiąc, chciałam się wymknąć z powrotem do domu – ruszę piechotą, jeśli będę musiała – ale mój wzrok przykuła dziewczyna po drugiej stronie sali. Przypominała mi samą siebie, taką, jaką byłam na początku tego lata. Ciasne biodrówki, czerwony gorsecik i zabójcze, czarne kowbojskie buty. Nawet włosy miała podobne do moich – blond z zafarbowanymi na czarno końcówkami. Poruszała się w takt muzyki, ocierając się sugestywnie o faceta, z którym tańczyła. Przynajmniej wydawało mi się, że to jest facet. Dzieliło nas zbyt wielu ludzi. Jedno ramię zawiesiła mu na barku, drugim obejmowała go w pasie, jakby był jej własnością.

Kilka miesięcy temu to mogłam być ja, poza tym, że lepiej tańczyłam.

Kiedy końcowa fraza piosenki przeszła bezszelestnie w początek następnej, facet wyplątał się z jej objęć i ruszył w kierunku baru, a dziewczyna – w kierunku schodów. Najpierw nie widziałam jej twarzy, ale było w niej coś, co postawiło mnie na palcach i zniweczyło plany ucieczki. Znałam ten sposób poruszania się, nie wiedziałam tylko, skąd... Jej energiczny krok i niemal sztywne ramiona.

Przeciskała się przez tłum, na kilka chwil wciągnęło ją ludzkie morze, a później wyłoniła się po drugiej stronie sali. Tak. Na pewno ją znałam, ale nie wiedziałam, w którym kościele dzwoni i dostawałam świra. Widać było, że zna tu ludzi. Idąc, śmiała się i rozmawiała, ale nie potrafiłam jej zidentyfikować. I w końcu, tuż zanim zniknęła za rogiem schodów, odwróciła głowę i zobaczyłam jej twarz z profilu.

– Cholera!

Nawet na tle głośniejszych dźwięków muzyki usłyszałam pełen zdziwienia okrzyk Alexa, kiedy odsunęłam go na bok i bez ostrzeżenia ruszyłam przez salę. Jakaś para stała mi na drodze. Byli tak na sobie skupieni, że w ogóle mnie nie spostrzegli. Rozepchnęłam się łokciami i precyzyjnie przesunęłam się między nimi bez słowa usprawiedliwienia. Zależało mi na tym, żeby nie gubić tempa.

Przebłysk blond włosów zobaczyłam, kiedy skręcałam za róg. Ktoś za mną coś krzyknął,

ale nie zwróciłam na to uwagi i szłam dalej, bo za wszelką cenę nie chciałam jej zgubić.

Weszła, jak gdyby nigdy nic do pokoju na końcu korytarza, kiedy ja wbiegałam na szczyt schodów. Drzwi się już miały zamknąć, ale wsadziłam czubek buta między skrzydło a framugę. Kopnęłam i drzwi otworzyły się szeroko w kierunku łazienki. Odbiły się dwa razy, a później walnęły w wykafelkowaną ścianę z dźwiękiem, który niósł się od płytek irytującym echem po małym pomieszczeniu.

Dziewczyna okręciła się na pięcie i potknęła, robiąc krok w tył, kiedy wpadłam do środka.

– Co jest...?

Dłoń miałam zaciśniętą w pięść. Pięść wystrzeliła i trafiła ją w skroń, zanim skończyła zdanie. Chciałam tylko jednego – usłyszeć z jej ust same odpowiedzi.

– Gdzie on jest?

Zawyła i objęła dłońmi głowę. Potykając się szła do tyłu, aż w końcu trafiła na brzeg umywalki i pochylila się nad nią, wrywając rolkę ręczników papierowych i mały pojemnik na mydło. Usłyszałam szcęk, plastikowe wieczko pojemnika na mydło pękło na pół i na niebieskiej wykafelkowanej podłodze rozlał się gęsty różowy płyn.

Braźrowe oczy uniosły się i zobaczyłam, że patrzą na mnie wiedząc to, co i ja wiem. Nie mogłam sobie wyobrazić, jak to się stało, że przedtem tego nie zauważyłam. Były tego samego koloru, co oczy, które codziennie sama widziałam w łazience. Tego samego kształtu. Igrały w nich nawet te same złośliwe iskierki. Twarz miała trochę węższą, w kształcie serca, a podbródek wystawał jej bardziej dramatycznie, jak u taty. Pamiętam, jak kiedyś żartowała, że potrafi nim ciąć szkło. Podobieństwo było, to niewątpliwe. Miałyśmy nawet podobne osobowości. Zbyt pewne siebie, sarkastyczne, obie trochę zwariowane.

– Gdzie on jest, Kiernan?

Zmrużyła oczy i wyprostowała się, ciągle trzymając za brzeg umywalki. Niechętnym gestem założyła ramiona na piersi. Z sarkazmem, który kiedyś uwielbiałam, zanim przeszła na ciemną stronę, powiedziała: – Wal się, suko.

Wiedziałam, że nie będzie łatwo, ale to nic. A nawet lepiej. Chciałam jej jeszcze raz przywalić. I tak zrobiłam. Miałam sny, które właśnie tak się zaczynały. Śniłam o tym, że mam okazję skopać tyłek dziewczysku, które było w moim życiu katalizatorem wszystkich nieszczęść. Problem polega na tym, że dla mnie sny nigdy dobrze się nie kończą.

Kiedy upadła, chwyciłam ją za nadgarstek i podciągnęłam, żeby stanęła na równe nogi. Na umywalce tuż przy mnie leżał grzebień. Sięgnęłam po niego i skupiłam się na jednym z noży kuchennych mamy.

Coś mną lekko zatrzęsło, poczułam falę przechodzącą przez całe ciało i niezauważalne poruszenie skóry u podstawy skroni. Zaledwie połaskotało. Fizyczny koszt zamieniania jednych przedmiotów w inne – tak nazywałam moją Szóstkową umiejętność – był już teraz marginalny. Jeżeli chodziło o większe przedmioty, wciąż kosztowało mnie to dużo energii. Zamienianie całej osoby w inną było wyczerpujące, ale kiedy całe dni oszałamiającego bólu i skręty kiszek mijają, mam sporą przewagę.

I bardzo chciałam ją przetestować na Kiernan.

Plastikowa rączka grzebienia zrobiła się chłodna i gładka, kiedy zmienił się jego ciężar. Teraz, zamiast kawałka plastiku miałam w dłoni coś solidnego i ciężkiego. Kiedyś cały proces napełniał mnie lękiem, a teraz dawał mi dziwaczne pocieszenie.

Kiernan uśmiechnęła się nieprzyjemnie i wzruszyła ramionami, zupełnie nieprzejęta. Nigdy się niczym nie przejmowała. Nieraz przez to wpadałyśmy w kłopoty.

– Nie masz na to jaj.

Przycisnęłam ostrze noża do jej przedramienia i lekko poruszyłam. Chwilę później pokazała się cienka, czerwona linia.

– Chcesz mnie sprawdzić? Zdziwisz się, daję ci słowo. – Wyprostowałam się. – Powinnaś być z tego dumna. To ty mnie do tego doprowadziłaś.

– Ja? Jest akurat na odwrót, siostrzyczko.

Chciałam się dowiedzieć, o czym, do cholery, gada – kiedyś przecież byłam jej przyjaciółką – ale ta chęć nie była przemożna. Cała reszta mnie chciała wiedzieć tylko jedno.

– Powiedz mi, gdzie on jest. – Jakiś głos w mojej głowie kazał mi zrobić jeszcze jedno cięcie, tym razem głębsze. Kiernan sprowokowała mnie łgarstwem i przede wszystkim tym, że pomogła ojcu znowu złapać Kale’a. Udawała kumpelę, przeniknęła do Podziemia, a później nie tylko podawała tacie ważne informacje, ale umożliwiła mu wstęp do hotelu w Sanktuarium, który skończył się jego zniszczeniem i śmiercią Rosie – jednej z naszych. Czy to wszystko nie wystarczyło, żeby jej zrobić krzywdę?

Zaśmiała się. Była nieporuszona nożem i moimi groźbami.

– O, Dez. Dez, Dez, Dez. Jesteś pewna, że chcesz go z powrotem? Już nie jest tym chłopakiem, którego znałaś, uwierz mi. – Pochyliła się w moim kierunku i posłała mi teatralny pocałunek. – On wrzeszczy, wiedziałaś o tym?

Miałam jaja?

O, tak. Miałam.

Pociągnęłam nożem ostro po jej skórze. Tym razem tylko syknęła i próbowała się wyrwać z uścisku, ale trzymałam ją zbyt mocno. Przez chwilę żadna z nas nic nie mówiła. Patrzyłyśmy na siebie jak bohaterki jakiegoś greckiego dramatu.

Pracowałam z mamą i uczyłam się walczyć, ale jeszcze mi dużo brakowało. Może rozwiązanie siłowe nie było na miejscu. Może jeśli sięgnę głębiej, otrzymam informację, którą tak strasznie chciałam dostać. Kiernan była pieskiem pokojowym taty, ale była też moją siostrą i to musiało mieć jakieś znaczenie.

– Jak mogłaś mu na to pozwolić? – Puściłam jej ramię i odsunęłam się o krok, żeby zrobić jej trochę miejsca. – Wiesz, co on robi tym ludziom – wiesz, co nam robi! Wykorzystuje cię tak, jak i całą resztę. Jeślibyśmy się trzymały razem, mogłybyśmy...

– Trzymały razem? – Odepchnęła się od zlewu i podeszła bliżej. – I ja miałabym ci zaufać? Odwróciłaś się plecami od własnego ojca!

Zamrugałam oczami.

– Odwróciłam się plecami od własnego ojca? Czy ty w ogóle go znasz? To potwór.

– To, co robi on i Denazen, to najlepsze, co mogło nas wszystkich spotkać. – Pokręciła głową i pochyliła się w moim kierunku. – Przecież wiem, że i tak wszystko o mnie wiedziałaś. Błagałaś go, żeby mnie zostawił.

– Gdzie ty byłaś, kiedy się poznawałyśmy? Czy wyglądało na to, że miałam jakieś blade pojęcie, że jesteś moją siostrą?

– Dobrze to zagrałaś.

Zagrałam? Miała szczęście, że nie widziała mnie w szkolnym przedstawieniu sztuki Annie. Miałam tam małą rolę – grałam sierotę – i schrzaniłam wszystko w połowie spektaklu, kiedy zobaczyłam na widowni wujka Marka i Brandta. Wypadłam z roli i zaczęłam machać do nich jak oszalała. Nigdy tego nie zapomnę.

– Co się tu dzieje? – spytał ktoś z tyłu.

Zamarłam. Poczułam gęsią skórę na ramionach i z tyłu karku. Głos powtarzał się, jak taśma puszczana za każdym razem, kiedy zamykałam oczy. Była to ścieżka dźwiękowa z moich marzeń – jedyne, co mnie utrzymywało w równowadze psychicznej. Przez chwilę nie chciałam

się odwracać, tak się bałam, że w końcu to stracę i że ta cała historia dzieje się tylko w mojej wyobraźni.

Kiedy wreszcie się zdecydowałam, odwróciłam się i znalazłam się twarzą w twarz z najbardziej zadziwiającymi, krystalicznie błękitnymi oczami, jakie kiedykolwiek widziałam. To były oczy Kale'a.

Czułam się tak, jakbym wylądowała na plecach po upadku z wysokości – wypchnęło mi powietrze z płuc, widziałam kolorowe kółka przed oczami, jak w kalejdoskopie Technicoloru. Stał w drzwiach, ubrany w znoszone, niebieskie dzinsy i koszulę z długimi rękawami. Włosy miał dłuższe, niż kiedy go widziałam ostatni raz. Bardziej kudłate z przodu i sięgające trochę poniżej uszu.

Nasze oczy się spotkały i czułam, jak każdy centymetr mojego ciała wypełnia szczęście. Nie spodziewałam się tego. Kale. Tutaj. Cały i zdrowy.

Wszedł przez próg, przez chwilę nie spuszczał ze mnie wzroku, a później ruszył w kierunku Kiernan.

– Wszystko... Wszystko dobrze?

Zacząłam wyciągać do niego rękę, uśmiech rósł, poszerzał się od ucha do ucha i pewnie wyglądałam jeszcze głupiej niż kot z Cheshire.

– Ja...

– Nic mi nie jest – powiedziała Kiernan, odtrącając moją rękę. Odepchnęła mnie, przeszła obok i patrzyłam zszokowana, jak przytula go do siebie.

Puściła do mnie perskie oko, okręciła się i zbliżyła usta do jego ust, a cały mój świat zawirował. To było tak, jak kiedyś z Jade, ale jeszcze gorzej, bo widziałam, jak on reaguje. Palce wczepione w jej bluzkę, przyciągnął ją do siebie mocno, jak gdyby nie mógł znieść myśli, że dzieli ich choćby centymetr.

Chciałam się ruszyć – musiałam się ruszyć – ale byłam jak kamień, nie mogłam oderwać stóp od podłogi. Odczucie ciężkości na dnie żołądka paliło, jak stężony kwas. Przedzierało się, niszcząc tkanki i kości, aż sięgnęło do serca. I wtedy ta paląca zgaga, a na dodatek brak tlenu w tej łazience sprawiły, że zakręciło mi się w głowie. Nie mogłam oderwać od nich wzroku i nie mogłam oddychać. To był jakiś koszmar. To chyba jedyne wyjaśnienie. Na pewno leżę sobie pod kołdrą, jestem bezpieczna, lekko pochrapuję, podczas gdy ta straszliwa scena odgrywa się w mojej głowie. Nie mogła być realna. Na sto procent.

Po pierwsze mój Kale nigdy by się tak nie całował z Kiernan. Wszystkich nas zdradziła. Może by ją dotknął, ale na pewno nie byłoby żadnego całowania. Po drugie – i co ważniejsze – mój Kale nie całowałby się z Kiernan. Przy pierwszym kontakcie wyparowałyby i nic by z niej nie zostało.

– Co jest, Dez? Zerwałaś się, jakby ci ktoś tyłek podpalił... – Alex wyłonił się zza rogu i zatrzymał w pół kroku, kiedy dotarł do drzwi. – No tak. Ktoś mi coś dołał do drinka. Widać to jakiś kompletny kosmos... – Pochylił się na bok i popatrzył na mnie, omijając wzrokiem Kiernan i Kale'a. – Wszystko w porządku?

– Wszyscy mnie dzisiaj o to pytają – mruknęłam, wciąż nie odrywając od nich wzroku. Dobrze. Mój głos. Odnalazłam głos. Może to znaczyło, że za chwilę złapię powietrze.

Kiernan oderwała się od niego, uśmiechając się jak kot, który zżarł całe stado kanarków. Gestem właścicielki zahaczyła palcem o szlufkę w dzinsach Kale'a.

– Jak cukierek usteczka słodkie wszystkim da.

– Wracałem do baru i zobaczyłem, że ta dziewczyna za tobą goni. Znasz ją? – Wzrok Kale'a przesuwiał się między Alexem i mną, a później spoczął na Kiernan. – Wyglądała na wściekłą.

Alex gwizdnął przeciągle.

– Chyba sobie żartujesz, bracie.

Oczy Kale'a pociemniały.

– Nie żartuję. A ty kim jesteś?

– Ja nic nie mówiłem – odparł Alex, robiąc krok w jego kierunku.

– W takim razie czego tu szukasz? – warknął Kale, prostując się. – Bo jeżeli nic od nas nie chcesz, to możesz wyjść.

Kiedy chłopcy byli zajęci sobą – a widać, że ich wzajemna niechęć przekroczyła barierę wspomnień – chwyciłam Kiernan za ramię i okręciłam ją tak, że teraz patrzyła prosto na mnie. Wciąż się głupawo uśmiechała i miałam ochotę zmasać jej ten uśmiech z twarzy.

Najlepiej szlifierką z papierem ściernym albo tarką do sera. Płyty chodnikowe też nie byłyby najgorsze.

– Mówiłam ci, że już nie jest taki sam. – Odepchnęła moją rękę niespodziewanym gestem. Puściłam nóż, który poleciał po podłodze, stuknął po kafelkach, a później wylądował u jej stóp.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Obie w tej samej chwili zanurkowałyśmy, żeby złapać grzebień zamieniony w nóż, ale ona była o włos bliżej i pierwsza go dopadła. Usłyszałam szum powietrza, kiedy się zamachnęła i zobaczyłam kątem oka srebrny błysk. Zrobiłam unik i pchnęłam ją na ścianę. Wciąż jeszcze nie uzyskałam odpowiedzi.

– Co ty zrobiłaś...

Reszta tego pytania utknęła mi w gardle. Podobnie, jak powietrze. Kale odwrócił mnie i przygwoździł do ściany tam, gdzie przed chwilą była Kiernan. Palce zaciskał mocno na mojej szyi, a ona zrobiła krok w bok, uśmiechając się. Coś mi zabulgotało w brzuchu. Déjà vu. Ten wieczór, kiedy się spotkaliśmy. Tylko tym razem inaczej na mnie patrzył. Wzrok miał okrutny i za nic nie przeproszał.

Alex chciał ruszyć do przodu, ale podniosłam dłoń, żeby go zatrzymać. Coś na pewno było nie tak, ale Kale wciąż był Kale'em. A to znaczyło, że w mgnieniu oka mógł rozwalić Alexa, nie wspominając już o innych specjalnych umiejętnościach w jego repertuarze.

– Pytam cię jeszcze raz, Roz. Znasz tę dziewczynę?

– Kiernan – powiedziałam, próbując zepchnąć jego dłonie z mojej szyi.

Lekko odpuścił.

– Co takiego?

– Ona ma na imię Kiernan. – Czulałam, jak jego palce zaciskają się i popuszczają z każdym słowem, które wypowiadałam, a vibracja mojego głosu sprawiała, że trzymał mnie teraz mocniej. – Kto to jest, do cholery, Roz?

To pytanie chyba go zaniepokoiło. To dobrze. Kale, który nie bardzo wie, o co chodzi, jest lepszy niż Kale, który chce zabijać. Już mnie tak mocno nie trzymał, a głowę skłonił lekko w lewo. Chłód jego wzroku przecinał mnie na pół jak piła łańcuchowa. W tych oczach nie było niczego, co by wskazywało, że mnie rozpoznaje. Resztkami sił zmuszałam się, żeby się nie załamać.

– Posłuchaj mnie. Nie wiem, co ci zrobili, ale wiesz, kim jestem. Jestem Dez. Twoja mi...

Kiernan westchnęła ciężko i położyła dłoń na jego ramieniu, odciągając go ode mnie. Miałam ochotę jej przywalić, ale wystarczyło jedno spojrzenie na Kale'a i od razu mi przeszło. Coś mi mówiło, że w jego obecnym stanie to się dobrze nie skończy.

– Ona ma rację, Kale. Rzeczywiście ją znasz... tylko nie pamiętasz.

Przez chwilę nie dowierzałam, bo myślałam, że ma atak wyrzutów sumienia i zaraz wyjaśni to całe wariactwo. Mogłoby się obejść bez rozlewu krwi.

Okazało się, że jestem idiotką.

– To jest Kiernan McGuire, dziewczyna, o której tata ci opowiadał.

Niemal padłam na plecy.

– Ty na poważnie?

Oczy Kale’a pociemniały. Wciągnął prawy kącik górnej wargi. Znałam to spojrzenie.

Często je u niego widziałam, kiedy myślał o latach spędzonych w Denazen i o ludziach, którzy go skrzywdzili. W tym momencie, jak się okazuje, byłam to ja.

– Ona jest odpowiedzialna za mój wypadek?

W jego głosie była niedostrzegalna nutka wątpliwości. Być może mogłabym poskubać po brzegach i coś tam pootwierać, ale natychmiast wpadła mu w słowo Kiernan.

– Pomyśl tylko, Kale. Kiernan. Znasz to imię... Co czujesz, kiedy je słyszysz?

– To idiotyzm – zripostowałam krótko. – Nie słuchaj jej. Kłamie tak, że jej się nos wydłuża!

– Kiernan – powtórzył to imię, wciąż nie spuszczać ze mnie wzroku. Puścił moje gardło i oparł się dłońmi o ścianę po obu stronach mojej głowy, zamykając mnie między nimi. – To mnie wkurza.

Niepokój ścisnął mnie za gardło, ale go opanowałam.

– Oczywiście, że cię to wkurza. Ona nas wszystkich robi w konia.

Alex wszedł głębiej do łazienki i przybliżył się do nas, ale zamarł, kiedy Kale się odwrócił. Podniósł ręce do góry, żeby pokazać, że się poddaje i skinął głową w moim kierunku.

– Coś ci się porządnie pomyliło, bracie. To jest Dez, przecież nie chcesz jej zrobić krzywdy.

– On ma rację, Kale – powiedziała Kiernan ponuro. – Tatusz by się wkurzył, jeśli coś by jej się stało. Brała udział w początkowej fazie jego projektu Supremacji.

Kale obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem i coś w mojej duszy pękło na milion maleńkich kawałeczków. Całowanie się z Kiernan było straszne, ale tego spojrzenia nie mogłam znieść. Tak, jakbym była jedną z nich. To był chyba najgorszy moment mojego życia.

– Ona jest z Supremacji?

– Wiem. To nie ma sensu, prawda? Ale to była runda próbna. Podmioty badawcze dobierali byle jak. Ona żyje. Na razie. – Pomachała komórką i wskazała na drzwi. – Musimy iść. Mamy robotę, pamiętasz?

Nie spuszczał wzroku z moich oczu i przez sekundę – zaledwie przez sekundę – przysięgłabym, że zobaczyłam w jego oczach jakąś iskierkę. Iskierkę rozpoznania? Uczucia? Może przeblask czegoś znajomego. To jednak nie było ważne. Cokolwiek by to nie było, zniknęło z jednym uderzeniem mojego serca, a jego wzrok był teraz zimny i pusty. Kale odwrócił się i bez słowa przekroczył próg. Kiernan deptała mu po piętach.

Kiedy przechodziła do korytarza, tuż zanim skręciła za róg, odwróciła się do mnie z uśmiechem.

– Wiesz, że pierwsze oficjalne stadium schyłkowe Supremacji to utrata zdolności odczuwania bólu?

I już jej nie było.

– Dez, twoje ramię. – Alex chwycił mnie za rękę i okręcił. Rękaw mojego nowego zielonego swetra był rozdarty, a z rany lała się krew.

– Cholera – syknęłam, zaciskając mocno rękę, żeby zatrzymać krwawienie.

– Nie czujesz tego?

– Oczywiście, że czuję! – skłamałam. I to patrząc mu prosto w oczy. To było dość imponujące, zważywszy na burzę, która zaraz miała się rozpętać w moim sercu. – Boli jak diabli.

– Skinęłam w stronę drzwi. Poświruję sobie później. Ta historia z Supremacją jeszcze może

zaczekać, ale niestety nie Kale. – Szybko. Nie możemy ich zgubić.

Ruszyliśmy pędem z łazienki do korytarza, później w dół, przeskakując po dwa stopnie. Trwało to może z minutę, ale w końcu udało mi się namierzyć nową blond fryzurę Kiernan przeciskającej się przez tłum. Kale szedł tuż obok. Musieliśmy przyspieszyć. Byli już po drugiej stronie sali, tuż przy drzwiach. Jeszcze kilka sekund i znikną nam z oczu.

Tłum tymczasem zrobił się jeszcze bardziej gęsty. Między nimi a nami wyrastał niekończący się las ciał. Nie sposób było szybko przejść przez środek pomieszczenia.

– Cholera! Zgubimy ich.

Alex wziął mnie za rękę. Zatrzymał się w pół kroku i przyciągnął do siebie. Zacisnął szczęki, a w jego oczach zobaczyłam determinację.

– Nie, nie zgubimy. – Już rozmawialiśmy z Alexem o tym, że naszych umiejętności nie wykorzystuje się publicznie. A konkretniej, wśród znajomych. Zrobił się trochę nieostrożny, a w epickim wirze zdarzeń to ja okazałam się być głosem rozsądku. Wysłać lnianą serwetkę nad głowami pijanego tłumu jak czarodziejski dywan to jedno, ale kazać jej wylądować na biurku studentki z zagranicy, to drugie.

To była jednak wyjątkowa sytuacja. Ledwo co poruszył palcami i rozdzielił tańczących na pół, tworząc wąski, prosty korytarz między nimi a nami. Było trochę zamieszania, parę osób coś krzyknęło, ale nikt chyba nie zdawał sobie sprawy, co się naprawdę dzieje. To było tak, jakby garstka ludzi w niewyjaśniony sposób potknęła się nagle i zrobiła krok w tył, dokładnie w tym samym czasie.

Uśmiechnięty Alex przepchnął mnie przez sam środek rozdzielonego na pół tłumu gości, a później przez drzwi wyjściowe. Bułka z masłem. Podążyliśmy na trawnik, żeby zobaczyć, jak Kiernan i Kale dochodzą do chodnika. Zatrzymali się i Kiernan pokazała ręką na parę stojącą kilka kroków dalej. Nie rozpoznawałam ani jej, ani jego, ale to nic nie znaczyło. Parkview to dzielnica, która miała niezłą reputację. Różni ludzie przyjeżdżali tu na imprezy.

Ukryliśmy się za drzewem, a ja wstrzymałam oddech, próbując sobie poukładać wszystko to, co się stało.

– On nie pamięta ani mnie, ani ciebie. Dotknął mnie i nic się nie stało... Dotknął ją.

– Nie tylko dotknął...

Spojrzałam na niego mrozącym wzrokiem, czekając, aż skończy to zdanie.

– Przepraszam. Stare przyzwyczajenie. Ten facet wzbudza we mnie najgorsze instynkty.

Nachylił się i zaklął.

– Cholera... Chodzi ci o wspomnienia i dotykanie? Tak, ale nie tylko to się zmieniło.

Odepchnęłam go na bok, wyjrzałam ostrożnie zza grubego pnia drzewa i zobaczyłam Kale'a tuż pod latarnią, pochylonego nisko nad ziemią, z dłonią opartą o chodnik. Betonowa powierzchnia przed nim migotała i pełgała, jak gdyby coś ciemnego – tysiące maleńkich cieni – zebrało się chmurą i wirowało chaotycznie. Masa czerni zadrgała dwa razy w konwulsji, po czym zatoneła w ziemi.

Poruszała się jak wąż, jednak nie po powierzchni, ale pod nią, odbijała się raz w tył, raz w przód pomiędzy skrajem trawnika a krawężnikiem, a później ruszyła prosto w kierunku stojącej tam pary. Kiedy tam dotarła, pod stopami faceta zrobiło się ciemno i pusto. Nie minęło parę sekund i eksplodował chmurą cząstek podobnych do pyłu, które uniósł wiatr.

– Niech mnie cholera! – Alex schował się za drzewo, kiedy histeryczne wrzaski dziewczyny rozdarły noc, wyciągając na ulicę bawiących się ludzi. Próbował mnie za sobą pociągnąć, kiedy tłum zaczął się zbierać na chodniku, ale ja się opierałam. Było mi niedobrze, ale nie mogłam oderwać oczu od tego widoku.

Zatkałam usta dłonią, żeby nie wrzasnąć.

Przed dziewczyną została kupka pyłu. Upadła na kolana, łkała niekontrolowanie, kołysała się w przód i w tył. Jeśli się widzi coś takiego – nawet wiedząc, że to istnieje – może człowiekowi namieszać w głowie. Zastanawiałam się, czy dziewczyna nie oszaleje. Co do mnie, też tego nie wiedziałam.

W końcu udało mi się od niej oderwać wzrok i wtedy okazało się, że Kale mi się przygląda. Kiernan też to zauważyła. Wzięła go pod ramię i posłała mi pocałunek, po czym odprowadziła go na bok, kiedy nagle rozległ się dźwięk syren policyjnych.

– Ona wiedziała, że tu stoimy – powiedziałam szeptem, w końcu pozwalając Alexowi zaciągnąć mnie na drugą stronę drzewa. – Chciała, żebyśmy to widzieli...

3

– To było jakieś szaleństwo, Dax. On się zachowywał jak jakiś kretyn. – Coś pstryknęło i z zapalniczki Alexa wyłonił się płomyczek. Uniósł papierosa do ust, zaciągnął się mocno i powiedział: – To znaczy, jeszcze bardziej niż zwykle.

– Alex – zaczęła ostrzegawczo Ginger. Myślałam, że będzie kazała mu zgasić papierosa, bo nie znosiła tego zapachu, ale zamiast tego pomachała na lewo i prawo pustym kubkiem jak wachlarzem. – Ja tu wcale nie młodnieję z dnia na dzień.

Uniósł oczy do góry i wciąż trzymając papierosa w ustach, na chwilę zniknął z kubkiem – poszedł dla niej po coś do picia.

Kiedy Kale i Kiernan poszli, wróciliśmy na imprezę poszukać Jade. Jakimś cudem ani nie słyszała wrzasków, ani nie zauważyła zamieszania. Byłam pewna, że tylko ona tego nie zauważyła i pewnie miało to coś wspólnego z faktem, że ostro flirtowała z Tomem Bozemanem, kapitanem drużyny koszykówki Parkview.

Miałam ochotę iść za Kale'em, ale Alex nie chciał o tym słyszeć. Zagroził mi, że rzuci mnie sobie na plecy, jeśli będę próbowała. Doszłam do wniosku, że pewnie by wygrał, bo jest większy, nie mówiąc już o czynniku zakłopotania. Może i tak było lepiej.

Nawet bez niewyjaśnionego przefasonowania osobowości i nowej dziwacznej umiejętności, Kale był bardzo niebezpieczny. Denazen szkoliła go na bezwzględnego zabójcę od chwili, gdy zaczął chodzić. A fakt, że Kiernan owinęła go sobie wokół palca i przekonała, że to ja jestem wrogiem sprawił, że sytuacja była dziesięć razy poważniejsza. Musieliśmy działać ostrożnie.

– Coś mu zrobili. To nie był Kale. – To była pierwsza rzecz jaką powiedziałam, kiedy wróciliśmy do bazy – to znaczy do drewnianego domu, do którego przeprowadził nas Dax. Wszyscy obecni w pokoju odwrócili się do mnie. Pewnie myśleli, że jestem w szoku albo coś takiego. – To znaczy, oczywiście, to był Kale, ale wyprali mu mózg. Wszystko mu przeprogramowali. Kiernan mu powiedziała, że to ja jestem Kiernan, a on nazywał ją Roz.

– To ma sens, Dez. – Alex wrócił z kubkiem Ginger. Dmuchnął dymem papierosowym i podał jej kubek, a później odwrócił się do mnie. Nie podobał mi się jego wyraz twarzy. Jakby żał i jeszcze coś. Współczucie. To do niego nie pasowało. Nie żeby Alex był chłodny i nie potrafił współczuć, ale zazwyczaj niczego nie lukrował. – Trudno mi to z siebie wydusić, ale założyłbym się, że nie ma nic, co można by zrobić, żeby ten świrus całkowicie wymazał cię z pamięci. Ja to od razu zobaczyłem. Nie mam pojęcia, jak ty to przeoczyłaś.

– Co przeoczyłaś? – Kiedy Alex siadł, Dax wyjął mu papierosa z ręki, zaciągnął się, a później oddał.

– Blond włosy. Czarne końcówki. To, jak Kiernan była ubrana. Nawet imię, którym się posługuje. Roz? No, przestań...

– Cross je pozamieniał – powiedziała Ginger, stukając laską o podłogę. Uniósł kubek do ust i wzięła łyk. – Oczywiście.

– To jakiś koszmar kradzieży tożsamości – zgodził się z nami Alex. – Przypisał imię Kiernan do twarzy Dez, i odwrotnie.

Jeżeli to rzeczywiście była prawda, to wyjaśniałoby nienawiść w jego oczach, kiedy Kiernan rzuciła od niechcenia swoje własne imię. Gdzieś w głębi duszy Kale musiał pamiętać, że właśnie ona przyczyniła się do stworzenia tego chaosu. A jeżeli to prawda, to on wciąż gdzieś tam tkwi, ale głęboko zakopany. Była jakaś nadzieja.

– Jak oni to zrobili?
– Może jakaś inna Szóstka? – wtrąciła się mama. Siedziała na wprost mnie, obok Daxa.
– To wciąż nie wyjaśnia zmiany jego umiejętności – wtrącił się Alex. – To było dziwaczne. Nie wiem, czy to można wyjaśnić działaniem jakiejś innej Szóstki.
– Musimy zdobyć więcej informacji. – Cokolwiek zrobili Kale’owi, można to odkręcić. Musi się dać. Trzeba tylko teraz się zorientować jak.
– Musimy działać ostrożnie. – Alex wrzucił peta do pustej puszki po coli. Usłyszałam cichy syk gaszonego papierosa. – Sądząc po tym, jak on się do niej kleił... – Zmarszczył brwi i postukał w stół. – To znaczy, dotykał Kiernan, co wskazuje na fakt, że jest dziesięć razy bardziej niebezpieczny, niż kiedyś. Teraz potrafi nad tym panować. Dzięki temu może się swobodnie poruszać. Nie możemy atakować na oślep, zanim się nie dowiemy z czym walczymy. To zmienia cały układ.
– Zgoda – powiedziała mama. – Poza tym wciąż nie wiemy, gdzie są.
Ginger dopiła to, co miała w kubku i zwróciła się do Daxa.
– Zadzwoń do Henleya. Powiedz mu, że potrzebuję aktualizacji. Każ mu tu przyjechać jutro rano.
– Henley? Kto to jest Henley?
Ginger podniosła się z krzesła i uśmiechnęła się do mnie przewrotnie.
– Mamy człowieka w okopach po drugiej stronie.
Obudziłam się rano cała zeszywniała. Było mi niedobrze. Całą noc nawiedzały mnie sny o Kale’u. O tym, jak zabił tego faceta. O tym, jak na mnie popatrzył. To spojrzenie było chłodne i niewiarygodnie odległe. Jakiś głosik w mojej duszy szeptał potworne rzeczy. Scenariusze jak z najgorszych koszmarów wypływały na powierzchnię.
Kale tak zawzięcie walczył przeciwko osobie, w którą Denazen chciała go zmienić. A jeżeli ta zmiana była sygnałem, że w końcu udało im się stworzyć potwora? Bezwzględna, lojalną sprawę maszynę do zabijania? A co będzie, jeśli nigdy sobie mnie nie przypomni? Jeśli go na zawsze straciłam? Nie. Tak nie wolno myśleć. Nie czas na pesymizm. Na pewno nie teraz, kiedy go w końcu znalazłam.
Wylazłam z łóżka i krok za krokiem, sztywno szłam korytarzem w kierunku kuchni. Było jeszcze wcześniej. Na zegarze nad drzwiami widniała siódma dwanaście, ale tutaj zawsze ktoś się kręcił. Przypomniałam sobie Rosie, dziewczynę, która w Sanktuarium siedziała w recepcji i która zginęła w pożarze. Ona chyba nigdy nie spała.
Rosie skierowała moje myśli na inne tory. Pomyślałam o kawie. Zawsze się o coś spierałyśmy, ale dziewczyna знаła się na niej jak mało kto, może nawet wiedziała na ten temat więcej ode mnie. Weszłam do kuchni z zamiarem zaparzenia kawy, ale ktoś mnie ubiegł.
– Deznée. – Ginger uniosła swój kubek i pokręciła nim w powietrzu. Był biały, ceramiczny, z ilustracją tancerzy Chippendale. Znając ją, domyśliłam się, że naląła sobie nie kawy a ponczu.
– Dzień dobry.
Stałam w drzwiach i dokładnie rozejrzałam się po kuchni. Ginger nie była sama. Zobaczyłam Daxa z mamą, Vince’a – Szóstkę, którą Kale i ja spotkaliśmy latem, odwiedzając miejsca zamieszkania osób z listy, którą dał mi mój kuzyn Brandt. Nalot Denazen zniszczył dom Vince’a wkrótce po tym, jak straciliśmy Kale’a, ale na szczęście dałam mu numer komórkowy Daxa i mogliśmy go tu spokojnie schować. Mieszka z nami od tamtego dnia i zaczął aktywnie uczestniczyć w wydarzeniach z naszego życia. W ciągu kilku ostatnich tygodni wychodził z Alexem i kilkorgiem innych w poszukiwaniu nowych Szóstek. Odczuwał silną potrzebę spłacenia długu, ostrzegając takich, jak on.

– Dzień dobry, Dez. – Vince skinął ku mnie głową.
– Wchodź. Siadaj. – Ginger wskazała gestem drugi koniec stołu i zobaczyłam kogoś, kogo nie znałam. Wysoki facet o kruczoczarnych włosach i ramionach zapaśnika. Nasze oczy spotkały się na sekundę i byłam pewna, że już go kiedyś widziałam, ale on odwrócił głowę. – Deznee, to jest Henley.

Obeszłam stół i sięgnęłam do szafki po mój kubek Xtream Scream, a później przywitałam się ogólnie ze wszystkimi skinieniem głowy.

– No tak. Ty jesteś naszą wtyką, prawda? – Zapach kawy mnie uspokajał, a kiedy usiadłam po drugiej stronie stołu, tam, gdzie siedziała mama i wzięłam pierwszy niebiański łyk, przez jedną krótką chwilę świat wydał mi się normalny.

I wtedy ten Henley otworzył usta.

– Tak czy owak, postanowili ich wykończyć. Rozkaz przyszedł dzisiaj rano.

Mój kubek opadł na stół. Płyn w kremowo-brązowym kolorze przelał się nad krawędzią i zebrał u podstawy małą kałużę.

– Zrozumcie, nie chcę takich rzeczy słuchać na dzień dobry. Kto rozkazał i kogo będą wykańczać? Powiedzcie mi, co jest grane.

Dax westchnął ciężko.

– W Denazen znowu zaczęli się bawić w laboratorium. Oficjalnie rozpoczęli trzecią próbę badawczą w ramach projektu Supremacji.

– Oficjalnie? – Położyłam dłoń na stole tuż obok kubka, żeby znowu nie wylać kawy. Mama uniosła oczy ku niebu i rzuciła mi papierowy ręcznik. – Nie wiedziałam, że była jakaś nieoficjalna.

– Jest – powiedział Henley, marszcząc brwi. – I wydaje mi się, że tym razem im się udało, przynajmniej częściowo. Niezgodność i nieprzystosowanie do nowego farmaceutyku wynosi w granicach pięćdziesięciu procent. A co gorsza, nie potrzebują już dzieci. Wiek może być dowolny.

– No, ładnie. – Napiałam się kawy i postawiłam kubek. – Niezły sposób, żeby człowiekowi zepsuć dzień i to z samego rana.

– To ja. Mam talent. – Powiedział, po czym do mnie mrugnął. Sięgnął po coś do kieszeni i wyjął opakowanie krówek. Odwinął jedną i wziął ją do ust. – Zawsze chętnie przywożę dobrą pogodę.

Mama zmarszczyła brwi. Dla niej temat był delikatny. Zarówno ja, jak i ona uczestniczyłyśmy w drugiej próbie – w tej, która jak na razie nie przyniosła żadnych spektakularnych rezultatów. Kiedy była ze mną w ciąży, podano jej lek, który miał wzmocnić moją umiejętność jako Szóstki. Nie zadziałał, ale miał dość poważne efekty uboczne – wzrost zdolności, później szaleństwo, a na końcu śmierć. Byłam przekonana, że czuje się winna tej całej historii. Jej podano lek, a ja żyłam z toporem nad głową.

– Więc zaczęli już go stosować? Ten nowy lek?

Henley otworzył usta, ale wpadłam mu w słowo, bo nagle mnie olśniło.

– O, nie! Już teraz wiem. Podali go Kale'owi! To wyjaśnia różnicę w jego zdolnościach.

Henley skończył żuć krówkę i przełknął.

– Nie jestem pewien, ale z tego, co mówi mi Ginger, to masz rację. Choć to nie powinno być tworzyć mu luk w pamięci. Tak czy inaczej ma szczęście, że żyje. Tak jak mówiłem, odsetek przeżywalności wynosi tylko pięćdziesiąt procent. – Nowe badania to nie była jedyna zła wiadomość.

– Dzielenie się radością daje dwa razy tyle radości – mruknęłam pod nosem, kończąc kawę czterema długimi łykami. – Nie mogę powiedzieć na tym etapie, że cieszę się, że cię

poznałam...

Henley uśmiechnął się przepraszająco i mówił dalej.

– Dzisiaj rano doszli do wniosku, że wszystkie poprzednie modele są przestarzałe. Nie chcą czekać, aż tamte Szóstki skończą osiemnaście lat. Nakazali, żeby je...

– Wykończyć – powiedziałam za niego. To była chwila, w której włączyłam się w ich rozmowę. Fantastycznie. – A ile ich jest?

Mama rozparła się na krześle.

– Razem z tobą? Dwanaścioro.

– To sporo potencjalnych świrów do wyłapania – powiedział Alex, opierając się na swoim krześle. – Denazen ma spore siły i środki, ale nie wyłapią ich na czas.

Henley skinął głową i wyciągnął jeszcze jedną krówkę. Walczyłam z przemożną chęcią wyskoczenia z krzesła i wyrwania mu jej z rąk. Mdlący zapach cukierka dławił mnie w gardle.

– W sumie dwanaścioro, ale wy macie tu już dwoje, więc tak naprawdę dziesięścioro. I nie wszyscy są na wolności. Niektórzy już zostali wykończeni.

– Dwoje? To znaczy ja i kto jeszcze?

Henley odwrócił się i przygwoździł mnie spojrzeniem, które wywołało nieprzyjemny dreszcz na plecach.

– Ja.

Robi się coraz ciekawiej.

– Czy wiemy, którzy z tych dziesięściora już nie żyją?

Pokręcił głową.

– Niestety, musimy sprawdzać wszystkich po kolei. Mamy jeszcze kogoś po drugiej stronie. Ta dziewczyna jest niezła z informatyki, ale informacje trzymają jak karty przy orderach. Usunęli wszystkie pliki. Domyślamy się, że chcą się zabezpieczyć i wszystko zapisują na papierze.

Cudownie.

– Mamy jakieś nazwiska? Adresy? – Odwróciłam się do ekspresu do kawy. Vince właśnie nalał resztkę napoju z dzbanka do swojego kubka. Wspaniale. Będę potrzebowała więcej kofeiny, żeby się z tym zmierzyć. To znaczy, dużo więcej. – Błagam cię, powiedz mi, że możemy się czegoś ucześć, bo w przeciwnym razie to będzie szukanie igły w stogu siana.

Henley wyglądał na niepewnego.

– Mamy nazwiska i ostatnie znane adresy, ale nie ma gwarancji, że kogoś tam znajdziemy. Jestem prawie pewien, że to jest stara lista.

– I nie możemy jej zaktualizować, bo niczego nie trzymają w komputerach. A ty? – skinęłam głową na Henleya. – Możesz wrócić i coś wygrzebać? Nie po to właśnie tam jesteś?

Ginger pokręciła głową.

– Sytuacja Henleya po drugiej stronie radykalnie się zmieniła. Przyjechał tu i zostaje.

Henley wstał.

– Potwornie boli mnie głowa. Mogę pójść się położyć?

– Oczywiście – powiedziała Ginger, również wstając. – Deznée, mogłabyś pokazać Henleyowi 512?

– Nie – powiedział, patrząc na mnie kątem oka. – Powiedz mi, gdzie to jest. Sam znajdę.

Ginger zmrużyła oczy.

– Deznée cię zaprowadzi. – Bez słowa obróciła się na pięcie i wyszła z kuchni przez drzwi na drugim końcu, a za nią jak cień ruszył Dax. Mama chwilę jeszcze się pokręciła, a potem również wyszła, zostawiając przy stole Vince'a, który pałaszował olbrzymią miskę płatków. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś jadł tyle, co on. Zawsze, kiedy go widziałam, coś przeżuwał.

Metabolizm tego faceta musiał być na doładowaniu, bo był chudy jak patyk.

– No, to będziesz mi musiała pokazać mój pokój. – Henley odwrócił się i ruszył ku drzwiom. Kiedy odchodził od stołu, zauważyłam coś rozsadzającego jego boczną kieszeń. Coś okrągłego – jakby kółko. Istniała tylko jedna osoba na świecie, która nosiła ze sobą kółko gdziekolwiek by się nie ruszyła.

Brandt.

Odczekałam, aż będziemy w głębi korytarza i miniemy świetlicę i wyszłam krok przed niego.

– To tak? Nic mi nie chcesz powiedzieć?

Stanął w pół kroku, o mało na mnie nie wpadając. Oczy miał szeroko otwarte.

– O co chodzi?

– Naprawdę? Będziesz udawał głupka? Przede mną?

– Nie rozumiem. Co ty chcesz...

– Kółko od deski wystaje ci z kieszeni, mózgowcu. – Kółko pochodziło z jego ulubionej deskorolki. To była jedyna rzecz, którą wziął przed opuszczeniem Parkview.

Poklepał się po biodrze, jak gdyby zapomniał, że je tam ma – to było zupełnie nieprawdopodobne, bo nigdzie nie ruszał się bez tego głupiego kółka. Zaklął.

– Mogę wszystko wyjaśnić.

– Wątpię – powiedziałam z goryczą. Zaczęłam iść dalej, a mieszanina gniewu i uniesienia ścisnęła mnie za gardło. – Nie widziałam cię odkąd odszedł Kale. Czekałam. A ty wiedziałeś, co się dzieje. Musiałeś wiedzieć, że cię potrzebuję.

– Dez...

– Co ty w ogóle mógłbyś mieć teraz do powiedzenia, Brandt? – Byłam wściekła, ale przede wszystkim bardzo mnie bolało to, co zrobił. Zawsze wtedy, kiedy coś w moim życiu działo się na opak albo wpadałam w jakieś tarapaty, miałam Brandta za plecami. Był Skoczkiem Dusz, co znaczyło, że kiedy zmarło ciało mojego kuzyna, jego siła życiowa przeskoczyła na najbliższą osobę. Jeśli ta osoba była Szóstką, dziedziczył również jej umiejętności.

Brandt uzyskał informacje, które mogły skompromitować Denazen, za co tata kazał go zabić. Nie wiedział – i mam nadzieję, że się nigdy nie dowie – że Brandt żyje i czuje się świetnie. Po pierwszej śmierci wskoczył w ciało Sheltiego – Szóstki, która go zamordowała. Sheltie potrafił wchodzić w ludzkie sny, więc choć mój kuzyn musiał trzymać się z dala od ludzi, kiedy naprawdę go potrzebowałam, zjawiał się w moich snach.

Aż nadszedł taki dzień, że przestał się pojawiać.

Chwycił mnie za ramię i zatrzymał, a później oparł się o ścianę.

– Tylko dlatego, że nie było mnie widać, nie znaczy, że się tobą nie opiekowałem.

– Nie potrzebowałam nikogo, kto będzie się mną opiekował. Potrzebowałam mojego najlepszego kumpla.

Brandt pokręcił głową.

– Wybacz. Nic, co powiem, nie wystarczy jako powód tego zniknięcia.

– Spróbuj.

– Byłem w twoich snach, Dez. Widywałem twoje sny i dostawałem takiego świra, że zmuszałem się, żeby stać z boku.

Nie tego się spodziewałam.

Wyjął kółko z kieszeni i przetoczył je po dłoniach. To był jego nerwowy tik.

– Czulaś żal i byłaś przerażona. A to, jak te uczucia się ujawniały w twoich snach, naprawdę mi dowaliło. Ja... Ja się bałem, że jak będę oglądał takie rzeczy, to nie będę się mógł powstrzymać od tego, żeby uciec do domu, a przecież tego mi nie wolno było zrobić. Nie teraz,

kiedy tyle jest na szali.

Zasadniczo to rozumiałam, ale wcale nie poczułam się lepiej. Brandt był moją opoką. A teraz, kiedy go nie było i wszystko wokół mnie działo się tak szybko, było mi ciężko. Tęskniłam za nim.

– Więc teraz tak będzie? Jesteś tu?

Skinął głową i znów ruszyliśmy korytarzem.

Olśniło mnie dokładnie po kilku krokach.

– Nie...

– Dez, przestań.

Zamarłam, a serce niemal mi stanęło.

– Powiedziałaś „dziesięcioro”. Ty i ja... – Sformułowanie spójnego zdania było prawie niemożliwe. – Wskoczyłeś w ciało ofiary Supremacji?

Brandt westchnął ciężko i wcisnął kółko z powrotem do kieszeni.

– Nie planowałem tego, Dez. Tak po prostu wyszło.

– Nie rozumiem – odparłam. Kilka głębokich wdechów. Przez nos. Wydech przez usta.

Miło i spokojnie. – A co się stało z garniturkiem imieniem Sheltie?

– To długa historia. – Rzucił spojrzenie wzdłuż korytarza, jakby sprawdzał, czy jesteśmy sami. Później przybliżył się i powiedział: – Cross i Kiernan się mylili. Kilka miesięcy temu powiedzieli ci, że znaleźli antidotum, ale to nieprawda.

Nie miał racji. Nie mógł mieć racji.

– Kiernan skończyła osiemnaście lat. To wiem na pewno.

– Dali jej coś, co uważali za antidotum i zadziałało, ale tylko przez jakiś czas. Po kilku miesiącach znów zaczęło się to samo. Miała oznaki degrengolady. Naprawdę podupada.

Na przyjęciu wydała mi się całkiem w porządku.

– Ale mówisz, że teraz jest z nią wszystko dobrze?

– Ginger wyjaśni ci najważniejsze rzeczy, ale krótka wersja brzmi, że tak. – Zrobił gest w swoją stronę. – I tu zaczyna się historia z moim nowym ciałem. Żeby antidotum zadziałało, potrzebowali czegoś od kogoś. Potrzebowali faceta nazwiskiem Wentz. Ginger posłała mnie, żebym go namierzył, ale mi się nie udało. Zginąłem, próbując ich powstrzymać.

– No, to jedziemy na tym samym wózku – powiedziałam, czując, że coraz bardziej ścisną mnie w gardle. – Nie tylko ja jestem w celi śmierci, ale mam towarzystwo. To ci powiem, że twoja strategia pozostawia dużo do życzenia.

Wziął mnie za rękę i ścisnął.

– Nie jesteśmy w celi śmierci.

Wyrwałam się i otworzyłam usta, żeby się z nim kłócić.

Wszedł mi w słowo.

– Dez. Popatrz, do kogo ty mówisz. Ja jestem Skoczkiem Dusz, pamiętasz? Prawdę mówiąc, nie jestem w żadnym niebezpieczeństwie, pominąwszy najbardziej bezpośrednie i przemijające w moim wypadku skutki. Nie jestem w żadnym niebezpieczeństwie. – Klepnął mnie lekko w ramię. – Przecież wiesz.

No tak. Tu miał rację. Dlaczego sama tego wcześniej nie zauważyłam? Może dlatego, że własny mózg zaczął mi się lasować. Łatwo mnie było zbić z tropu, nie mogłam się skupić, a ostatnio łapałam się nawet na tym, że myślę o niebieskich migdałach. Powodem tego był na pewno ten lek Supremacji. To jednak nie miało znaczenia. Na razie. Po raz pierwszy od kilku miesięcy rzeczywistość wyglądała bardziej optymistycznie. Czas się otworzyć na to, co niesie życie. Odzyskać samą siebie.

– Ale co z tym antidotum? Jeżeli tobie się nie udało, to jak ma się udać...

– Ginger mnie zabije, jeżeli się dowie, że ci o tym wszystkim opowiadam. Niech ona sama wypełni puste miejsca. – Kołysał się trochę ze zmęczenia, a mnie było głupio, że tak go wypytuję, ale musiałam się dowiedzieć jeszcze jednej rzeczy.

– A co z Kale'em? Wiesz, co mu zrobili? Jest taki... Zupełnie się zmienił.

Nie wiem, dlaczego współczucie w oczach Brandta mnie wkurzało. Może dlatego, że w ostatnich kilku miesiącach widziałam je w oczach wszystkich. Irytujące współczucie dla biednej, zagubionej dziewczynki.

– Nowy lek Supremacji jest pewnie odpowiedzią na to, że Kale się tak zmienił, ale nie

słyszałem, żeby lek mieszał komuś w pamięci. Może trochę zlasował mu mózg, ale wątpię. Podali go dwudziestu osobom. Przeżyło dziewięć i z tego, co wiem, głowy wciąż mają w porządku. Jeżeli miałbym stawiać na niego jakieś pieniądze, powiedziałbym, że został Rezydentem.

Rezydenci to Szóstki, które z własnej woli mieszkały i pracowały w Denazen. Jak małpki na patyku, tylko z umiejętnościami superbohaterów.

– A wiesz, kto tam jest Rezydentem?

Wzruszył ramionami.

– Chciałbym.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami pokoju 512 – do mojego pokoju było jeszcze sześć i osiem drzwi. Brandt wyglądał blado, mogłabym dać słowo, że co chwilę drży.

– Muszę o to zapytać i spodziewam się prawdziwej odpowiedzi. Te bóle głowy... Czy twoje ciało podupada?

Pocałował mnie w przelocie w czoło.

– Powinienem się położyć na godzinę. A później zastanowimy się, jak uratować świat, dobrze?

Nie takiej odpowiedzi się spodziewałam. To w ogóle nie była żadna odpowiedź, ale wiedziałam, że na razie musi mi wystarczyć. Miałam do uratowania chłopaka, musiałam wytropić dziesięć dzieciaków, które były efektem eksperymentu naukowego, zanim kopną w kalendarz albo Denazen je wykończy.

No tak. I znaleźć antidotum, żeby aktualne ciało Brandta, podobnie jak i moje, nie skończyło jakąś straszliwą śmiercią w obłądnie.

To łatwiutkie. Bułeczka z masłem.

Wzięłam prysznic i ubrałam się, a potem poszłam do frontowego pokoju, gdzie zastałam wszystkich pogrążonych w cichych rozmowach. Dax i mama siedzieli sobie wygodnie na kanapie, a Alex rozsiadł się na fotelu obitym szarym płótnem – według niego to najważniejszy mebel w każdym saloniku.

Ginger siedziała tam, gdzie zwykle – w swoim ulubionym fotelu przy drzwiach, a przed nią stał składany drewniany stolik. Pod naszym dachem było sporo Szóstek, ale wszyscy tutaj zgromadzeni to nieformalni przywódcy. My byliśmy mięśniami małej armii Ginger.

– To jaki jest plan? – spytałam, rzucając się na kanapę obok mamy. Czułam, że krew krąży mi szybciej w żyłach, wstąpiły we mnie nowe siły. Baterie podładowało mi to, że wczoraj widziałam Kale'a, a dzisiaj rano wrócił Brandt. Kierunek i cel. Staliśmy przed potężną, stromą górą, ale ja znowu byłam w formie i już się chciałam wspinać. – Jak wykorzystamy te informacje, żeby sprowadzić z powrotem Kale'a?

– Nic z tych rzeczy – powiedziała Ginger. Sięgnęła po brązową kopertę leżącą na stoliku i pomachała nią w powietrzu, przypadkiem przywalając nią Vince'owi, który szedł przez pokój.

– Co takiego? – Chyba się przesłyszałam. Na pewno.

– Nie będziemy robić nic z Kale'em. Na tym etapie to nie jest nasz priorytet.

Czułam, że temperatura wokół mnie nagle rośnie. Przed oczami pojawiła mi się kolorowa mgła.

– To nie jest nasz priorytet? Chyba sobie żartujesz!

Wyskoczyłam jak oparzona i dźgnęłam palcem w kierunku mamy, która wydawała się nie przejmować słowami Ginger.

– Powiedz mi, że ona żartuje.

Mama otworzyła usta, ale Ginger przygwoździła ją wzrokiem, a później pokręciła głową, zatrzymując ją w pół kroku.

No, nie! Jesteśmy z tej samej krwi i co, nie staniemy ramię przy ramieniu? Mama wychowała Kale'a w Denazen, jak gdyby był jej własnym synem!

– On na pewno jest moim priorytetem. Jeżeli nie jest waszym, to na pewno jest moim. Jedynym.

– Deznée – Ginger spróbowała się wtrącić, ale najechałam na nią jak walec parowy.

– Nie pozwolę na to. Żadnych wymówek. To jakieś szaleństwo, to przecież twój wnuk!

– Dez! – ryknął Alex. Przywalił pięścią w stół, aż podskoczyła miska z płatkami, którymi zażerał się Vince. – Siadaj, zamknij się i pozwól jej skończyć.

Wpatrywałam się w niego niechętnie przez dłuższą chwilę, mając ochotę mu przywalić, ale w końcu opadłam na kanapę. Miałam wrażenie, że ostatnio Alex przyłączył się do Kościoła Ginger. Wspierał jej decyzje, nawet kiedy nie miały sensu. Usprawiedliwiał ją, nawet jeżeli ewidentnie nie miała racji. A teraz chce pozwolić na to, żeby Kale'owi do końca odważyło tylko dlatego, że Ginger tak powiedziała?

No, dobrze. Może nie jest to jakaś niespodzianka zważywszy na niechęć między chłopakami.

Ginger odchrząknęła.

– Próbuję powiedzieć, że są bardziej palące kwestie. Wiemy, że Kale'owi nie dzieje się krzywda. Na razie nigdzie się nie wybiera. Denazen chce teraz szybko namierzyć cele Supremacji. – Spojrzała na mnie wymownie. – Chcę ci przypomnieć, Deznée, że chodzi tu również o ciebie i Brandta.

Nie zapomniałam. Próbowałam, ale mi się nie udało. Nie pozwoliliby mi. Mama wciąż rozpoczynała rozmowę na ten temat, wplatała to w konwersację w najdziwniejszych momentach, a Ginger codziennie podrzucała mi jakąś bombę.

– Mamy niewiele czasu, żeby ich znaleźć. – Rozerwała kopertę, przejrzała papiery i wyjęła czarno-białe zdjęcie wielkości połowy strony. Podała mi i powiedziała: – Musimy znaleźć tę kobietę, zanim oni ją znajdą.

Niechętnie wzięłam od niej zdjęcie. Wciąż byłam wkurzona, ale teraz i zaciekawiona. Dziewczyna na fotografii była ładna, wyglądała na dwadzieścia parę lat, miała gęste włosy i niemodne ubranie. Odwróciłam zdjęcie na drugą stronę. Niewielkimi literami napisane było: Penny Mills, 1974.

– Kto to jest?

– To ostatnia ocalała z pierwszych eksperymentów Supremacji.

Alex sięgnął po zdjęcie, przyjrzał się dziewczynie i zawył jak wilk.

Wyrwałam mu je i podniosłam oczy do góry.

– Posłuchaj, ona teraz będzie, no wiesz... stara.

Po drugiej stronie pokoju mama siedząca obok Daxa odchrząknęła.

– To znaczy starsza – poprawiłam się szybko, machając zdjęciem przed twarzą Alexa. – Dla ciebie za stara.

Dax prychnął i objął mamę ramieniem.

– No, ślicznie.

Zakaszlałam i odwróciłam się z powrotem do Ginger, żeby uniknąć wzroku mamy. Kiedyś zrobiłam błąd i w rozmowie z nią poruszyłam temat makijażu, a ona była przekonana, że chcę powiedzieć, że wygląda staro. Nie przyjęła tego za dobrze.

– Czy Denazen nie zlikwidowała wszystkich z okresu pierwszych badań? Tak mówił tata...

Ginger odebrała ode mnie zdjęcie i włożyła je do koperty. Nie uszło mojej uwadze to, że ze złością zamknęła teczkę, kiedy się pochyliłam, żeby się lepiej przyjrzeć.

– Tylko jej się udało uciec. To częściowo dzięki niej Marshall Cross był w stanie uleczyć Kiernan.

Zamarłam. „Kiernan”? O tym pewnie mówił Brandt. *Komponent*.

– Uważasz, że ta laska to lekarstwo na wariatów? Może nam ocalić życie?

– Ona jest lekarstwem. Krew Kale’a sprawia, że Szóstki stają się podatne, a krew Penny Mills niweczy negatywny efekt leku Supremacji. Bazując na informacjach, które zebrał Henley, jesteśmy przekonani, że połączyli to ze wzorem wykradzionym naukowcowi nazwiskiem Franklin Wentz, żeby stworzyć lek trzeciej generacji.

– Jeżeli uciekła wtedy, kiedy pierwsza faza badań jeszcze trwała, jak udało im się pozyskać jej krew?

– Henley mówił, że aż do czerwca nie wiedzieli nic o krwi. Każdy Rezydent ma jako część swojej dokumentacji próbkę z krwią. Krew Mills zgubiła się gdzieś w magazynach, ponieważ myśleli, że nie żyje, nie mieli powodu jej szukać. Widzicie, symptomy tych z pierwszego rzutu były dziesięć razy gorsze. Kiedy się okazało, że ta seria nie jest zdolna do przeżycia, wypuścili ich i pozwolili im sobie gdzieś po cichu umrzeć.

– I w ogóle ich nie monitorowali?

– Nie było powodu. Badania przeprowadzono prywatnie – żaden z ochotników nie znał nazwisk pozostałych. Kiedy nic się nie działo, natychmiast, poinformowano ich, że eksperyment się nie powiódł i wypuszczono – w Denazen odkryto fatalny błąd we wzorze – wiedzieli, że wszyscy uczestnicy eksperymentu zachorują i umrą.

– Ale nie Penny Mills.

Ginger pokręciła głową.

– Nie. Ona nie. Dopiero niedawno odkryto, że jest jedyną żyjącą. Oczywiście zaczęli jej szukać, ale jakimś cudem udało jej się umknąć. Założyli, że fakt, iż Penny przeżyła ma coś wspólnego z genetyką i odszukali próbkę jej krwi. Okazało się, że znaleźli komponent, który ruguje efekty uboczne, spaja lukę w badaniach Wentza, przyczynia się do sukcesu badań Supremacji i leczy Kiernan.

– Więc znajdziemy Penny Mills i co dalej? Każemy jej się na mnie wykrwawić? – Jeżeli myślą, że będą pić krew jakiejś baby, to się mylą. Prędzej już zacznę kopać sobie grób.

– Sama krew nie jest lekarstwem, bo okazuje się, że po jakimś czasie przestaje działać. Mając jednak wzór Franklina Wentza i trochę jej krwi, możemy wyprodukować takie samo lekarstwo.

– Mieli tę krew w magazynie – zastanawiała się głośno mama – a to by wyjaśniało, dlaczego im nie wystarczyło. W fiolece jest trochę ponad sto gramów. Krew pobierają wszystkim Rezydentom.

– Nie mogą znaleźć Penny, więc to musi im wystarczyć – powiedział Dax.

Nie znosiłam występować w roli sceptyka, ale ktoś to musiał głośno powiedzieć.

– Jeżeli już zaczęli produkować lek w nowej fazie badań, a ta krew będzie potrzebna, jakie są szanse, że zostało cokolwiek na antidotum?

– Henley potwierdził, że została niewielka ilość.

Wkurzało mnie to, że nazywa go Henley. On przecież ma na imię Brandt, niezależnie od tego, jak wygląda z zewnątrz. A co gorsza, mierzyła mnie myśl, że ona go w to angażuje. Jeśli tata dorwie w łapy kogoś takiego, jak Brandt, kto potrafi przeskakiwać z ciała w ciało, potencjalne zniszczenia mogą być katastrofalne. Denazen mogłaby zabijać Brandta tysiące razy, co by mu pomogło kolekcjonować różnorodne umiejętności Szóstek i mieliby niezwykle potężną broń.

Ta cała historia wyglądała marnie, a ja byłam rozdarta. Z jednej strony chciałam

przemówić Kale'owi do rozsądku, bo jeśli ktoś to potrafi, to na pewno ja. Z drugiej, zawsze byłam trochę nieostrożna, jeżeli chodziło o własne życie, ale teraz zagrożone było życie dziesięciu osób.

– W porządku, musimy znaleźć tę krew i to na przedwczoraj. Powiedzmy jednak, że odzyskamy tę Penny Mills. Będziemy jeszcze potrzebowali wzoru, który Denazen wykradła Wentzowi.

– Teoretycznie nie potrzebujemy wzoru. Mamy coś lepszego. Mamy Wentza – powiedziała Ginger z uśmiechem na ustach. – Jest tu od jakiegoś tygodnia.

– Jest tutaj? To znaczy tu, pod dachem? Dlaczego gościa nie widziałam?

Mama podniosła oczy ku niebu.

– On jest trochę... inny. Ginger umieściła go w laboratorium na trzecim piętrze. Nie lubi stamtąd wychodzić.

Nie wiedziałam, że w ogóle mamy trzecie piętro.

Ginger postukała łaską w podłogę.

– Potrzebujemy tej krwi.

– A Denazen ma krew. Może Kale by nam w tym pomógł. Przecież jest w środku. Może z nim pogadam...

Alex prychnął.

– Naprawdę jesteś taka głupia? Widziałas, co zrobił wczoraj wieczorem! Skąd przekonanie, że zastanowi się dwa razy, zanim zrobi to samo tobie? Może ci to umknęło, ale dla niego jesteś teraz nikim. A nawet gorzej niż nikim. Jesteś dziewczyną, którą za wszystko obwinia i nie znosi.

Wzdrygnęłam się, jak gdyby te słowa fizycznie mnie uderzyły. Wiedzieć o tym, to jedno, ale usłyszeć od kogoś, to rzecz zupełnie inna, a zwłaszcza od Alexa.

Zrobił wielkie oczy i pokręcił głową. Posunął się o krok za daleko i wiedział o tym. Alex zawsze szybciej mówił niż myślał. Większość ludzi mądrzeje z wiekiem, a u niego było odwrotnie.

– Dez...

Alex może i był palantem – tak naprawdę tę umiejętność przekształcił w prawdziwą sztukę – ale wiedziałam, że tylko on starał się, żeby mi się nic nie stało. Mylił się jednak. Kale nigdy by mnie nie skrzywdził. Na pewno. Może nie pamięta mojej twarzy, ale podczas imprezy coś w jego oczach widziałam. Coś głęboko na samym dnie, co nie pozwoliłoby mi odejść z jego serca. Żywym dowodem na to była Kiernan. Musiała się ubierać tak, jak ja, kazać się nazywać imieniem, które było podobne do mojego i kanalizować jego gniew, nadając mi jej głupawe imię. Potrzebowałam tylko trochę czasu i jakiejś sposobności.

Odwrociłam się od Alexa i skupiłam na Ginger.

– Gdybym mogła z nim porozmawiać w cztery oczy... Myślę, że mamy więcej szans zdobycia krwi w Denazen, niż znalezienia kobiety, która może być wszędzie. Świat jest ogromny. To jak szukanie igły w stogu siana. Prawda?

Pokręciła głową.

– Najpierw znajdziemy Penny i resztę Szóstek, a później zajmiemy się Kale'em. Jest koniec grudnia, Deznee. Na nic się nie przydasz Kale'owi, jeżeli coś ci się stanie. Na razie wydaje się być bezpieczny.

Miała rację. Za parę miesięcy moje urodziny, a czy się do tego przyznawałam, czy nie, już miałam objawy. Kiedyś spytałam mamę, dlaczego pojawiają się właśnie na osiemnaste urodziny. Powiedziała mi, że z tego, co rozumie, jest jakieś białko w pierwotnym wzorze, które się replikuje. Kiedy uczestnicy eksperymentu osiągną wiek osiemnastu lat, ich organizmy tego

nie wytrzymują. Piasek przesypany się w mojej klepsydrze powoli się kończył.

Nie czułam, kiedy Kiernan cięła mnie nożem podczas imprezy, ale nie byłam pewna, czy to Supremacja, czy stres. Za to ostatnio łatwo było mnie zbić z pantałyku – często myślałam o niebieskich migdałach, co wcześniej mi się nie zdarzało. I nie miałam kogo o to zapytać, bo mama wiedziała niewiele o etapach powolnej degrengolady po przyjęciu leku Supremacji. Musieliśmy po prostu czekać i zobaczyć, co będzie. Odnalezienie Penny Mills to rzeczywiście był logiczny pierwszy krok.

Z drugiej strony, jeśli nic nie zrobimy w kwestii Kale'a, kiedy Kiernan rzuci nam go pod nogi, będzie ciężko, prawie nie do zniesienia, przynajmniej dla mnie.

Przełknęłam to, co mi stało w gardle i spróbowałam jeszcze raz.

– On nie jest bezpieczny w Denazen. Nikt nie jest tam bezpieczny. Pomyślcie o tym, ile zła może wyrządzić, zanim do niego dotrzemy? Jak będzie mógł później z tym żyć? Wczoraj wieczorem kogoś zabił.

– Naprawdę uważasz, że właśnie tego by chciał, gdyby wiedział, że można odnaleźć antidotum? Chciałby, żebyś najpierw tym się zajęła. – Mama pochyliła się ku mnie. Wciąż widziałam jej rękę na dłoni Daxa i poczułam irracjonalny przyływ zazdrości. Moja ręka była zimna. Pusta. – Nie będzie mógł z tym żyć, jeżeli nie znajdziemy na czas antidotum, bo ty postanowisz odnaleźć najpierw jego.

Znow chciałam się sprzeczać, ale to wszystko miało sens. Irytujący, ale jednak sens. Mamie też było ciężko, chociaż tego po sobie nie pokazywała. Wychowywała Kale'a w Denazen, traktując go jak syna. Jedną z rzeczy, o której się dowiedziałam na temat mamy podczas tego krótkiego okresu, kiedy byliśmy razem, było to, że w obliczu sytuacji niebezpiecznych wykazuje chłodną logikę. Emocje zostawia na później. To rozumiałe. Tyle lat w Denazen nauczyło ją odstawiać uczucia na boczny tor, by móc radzić sobie z ciężkimi sytuacjami.

Westchnęłam i kopnęłam brzeg krzesła.

– Dobra. Gdzie zaczynamy?

– Odnalezienie Penny Mills zabierze trochę czasu. Jest głęboko w Podziemiu, a Denazen, która przecież ma znacznie więcej zasobów niż my, szuka jej bezskutecznie od października. – Ginger wyjęła jej kolejne zdjęcie. Napisała z tyłu adres i podała mi je. – Tymczasem zaczęliśmy namierzać pozostałych.

Dziewczyna wyglądała na kogoś w moim wieku, miała zaraźliwy uśmiech i jasnoniebieskie oczy. Długie kasztanowe włosy były zwinięte w artystyczny kok, który przytrzymały dwie drewniane szpile. Na policzku była popačkana czymś niebieskim. Farba. Wyglądała na szczęśliwą, a ja się zastanawiałam, jak dawno temu zrobiono to zdjęcie. Gdzie jest teraz? Czy w ogóle wie o istnieniu Supremacji? Czy w ogóle żyje?

– Deezee, chciałabym, żebyś razem z Alexem pojechała do Kelpsbergh. To adres Ashley Conner.

– A jakie jest jej 411?

– Przyjrzałam się informacji, którą dostarczył Henley i wygląda na to, że jest zdalnym obserwatorem.

– Co to znaczy? – spytał Alex, sięgając po zdjęcie.

– Ashley widzi rzeczy, które zdarzają się w innych miejscach. Mieszka z przybranymi rodzicami, którzy – jak sądzę – są agentami Denazen, ale nie jestem pewna, więc postępujcie bardzo ostrożnie.

Wstałam i wzięłam zdjęcie z rąk Alexa.

– Możemy zaoszczędzić trochę czasu, jeżeli ja sprawdzę, co jest z Ashley, a Alex zapuka do innych drzwi. Dwie pieczenie na jednym ogniu.

Ginger zmrużyła oczy.

– Nie pójdziesz nigdzie sama. Jeny, przecież nie proszę cię, żebyś się z nim migdała. –
Uśmiechnęła się złośliwie. – Proponuję, żebyście ruszali od razu, zanim zacznie się upierać, żeby
wziąć ze sobą Jade. – Lepszej motywacji nie potrzebowałam. Chociaż przyglądać się tym
dwojgu, jak na siebie warczą to niezła rozrywka, akurat nie byłam w nastroju. Chwyciłam Alexa
pod ramię i ruszyliśmy do windy.

Tkwiliśmy prawie godzinę w korku, a ja ochrzaniałam Alexa w samochodzie za to, że zgadza się z Ginger w sprawie Kale'a. Kiedyś chodziłam z Alexem i sporo się działo, dopóki mnie nie zdradził. Okazało się później, że to wszystko było grą pozorów – teatrem, żeby nie narażać mnie na niebezpieczeństwo. Upierał się, że wciąż mnie kocha i nic tego nie mogło zmienić, ale jeśli nie mogliśmy być razem chciał zostać dobrym kolegą. Koledzy i przyjaciele raczej człowieka wspierają, a nie rzucają mu kłody pod nogi. Nie było powrotu. I chyba coś do niego dotarło.

Zjawiliśmy się na progu domu Ashley Conner trochę po dziesiątej rano. Na podjeździe nie było samochodu, ale kiedy parkowaliśmy, w jednym z pokoiów na piętrze zobaczyłam jakiś ruch.

Alex już podniósł rękę, żeby zastukać, ale sięgnęłam po nią i odciągnęłam od drzwi.

– Poczekaj chwilę. Ginger powiedziała, że przybrani rodzice tej laski mogą być agentami.

– I co z tego?

– I co z tego? Jeżeli rzeczywiście są agentami, będą wiedzieć, kim jesteśmy i dlaczego tu przyjechaliśmy. Nie zaproszą cię na herbatkę z ciasteczkami i nie będą zdradzać wszystkich tajemnic przy dokładce.

Wcisnął ręce głęboko w kieszenie ulubionych spodni i westchnął ciężko.

– Uważasz, że Denazen rozkleiła po mieście twoje zdjęcie z napisem „Poszukiwana”? Na pewno jesteś na jakiejś liście, ale bez przesady.

– Mówię serio.

Zawahał się, zrobił krok wstecz i przyjrzał się starannie budynkowi. Na dole było spokojnie i ciemno, ale w pokoju narożnym na drugim piętrze paliło się światło.

– No wiesz, tak czy owak to są Nixy, prawda? Agenci to zawsze Nixy. Łatwo ich pokonać.

– Najpierw sprawdźmy.

Alex zatarł ręce i parę razy unióśł brwi.

– Będziemy się bawić w podglądaczy? No, to już. Dziewczyna na zdjęciu to niezła sztuka. Może ją złapiemy na jakichś grzesznych zabawach.

Uniosłam oczy ku niebu i zepchnęłam go ze stopnia.

– Ostatnio chyba za dużo przebywasz z Curdem.

Przeszliśmy ostrożnie wzdłuż bocznej ściany domu na tyły, do okienka kuchennego. Światło się nie paliło i miałam wrażenie, że w środku nikogo nie ma. Potem zajrzeliśmy przez małe, pokryte sadzą i tłuszczem okienko z boku garażu. Samochodów nie było.

Nikogo nie zastaliśmy również na podwórku za domem. Widzieliśmy tylko starą oponę wiszącą na sznurze z podejrzanego gałęzi, plastikowy stół piknikowy bez nogi i trawnik z kilkoma kupkami śniegu – pozostałości po pierwszej burzy tej zimy.

Okrążyliśmy dom i wyszliśmy z drugiej strony z zamiarem zapukania do drzwi.

– Ciekawe, który pokój jest jej. Może akurat się rozbiera? – powiedział Alex. Klasnął w ręce i uśmiechnął się do mnie przewrotnie.

– Mało prawdopodobne, bo stoi za tobą – usłyszeliśmy głos dziewczyny.

Obróciliśmy się na pięcie, prawie się zderzając. Brunetka ze zdjęcia Ginger w T-shircie z plamami farby, straszliwie wkurzona, stała za nami, założywszy ramiona na piersi.

– Hm – Alex mówił, jękając się. – No właśnie, jeżeli o to chodzi...

– Macie dwadzieścia sekund, żeby mi powiedzieć, kim jesteście i po co się skradacie do mojego domu, w przeciwnym wypadku dzwonię po policję.

Odepchnęłam Alexa na bok.

– Ty jesteś Ashley?

Zmrużyła oczy.

– Jeżeli przysłał cię Carl, to tracisz czas, kochana. To już skończone. Zdradził i kropka.

Uśmiechnęłam się.

– Ja też takich gości nie lubię. Widzisz? Już mamy ze sobą coś wspólnego. Nazywam się Dez. – Pokazując kciukiem za ramię, powiedziałam – A ten zboczeniec to Alex. Musimy z tobą pogadać.

Nie wyglądało na to, że jest w nastroju do rozmowy. Patrząc niechętnie raz na Alexa, raz na mnie, spytała:

– A o czym?

Kiedy Kale i ja latem polowaliśmy na Szóstki z listy Denazen, opracowałam sobie gadkę, żeby delikatnie przekazywać pewne przykre wiadomości i w większości przypadków to działało. Ta sytuacja była jednak inna. Mieliśmy mało czasu, a każda stracona sekunda to kolejna sekunda, której nie poświęcałam na szukanie Kale'a i antidotum.

Może zachowałam się trochę samolubnie i później miałam lekkie wyrzuty sumienia, ale postanowiłam, że najlepiej będzie wrzucić ją na głęboką wodę.

– Jesteśmy tu dlatego, że jeżeli nie pozwolisz nam sobie pomóc, to umrzesz.

Ashley zamrużyła oczami. Myślałam, że może ją przestraszyłam, dlatego milczy, ale kiedy wyciągnęła z kieszeni telefon i usłyszałam trzy piknięcia przy naciśnięciu klawiszy, doszłam do wniosku, że tym razem to podejście nie było za dobre.

Alex wyrwał jej telefon z ręki i trzymał poza zasięgiem dziewczyny, kiedy próbowała go odzyskać.

– Dobrze, mimo że Dez brakuje dzisiaj manier, a brakuje na pewno – muszę przyznać, że to, co mówi, jest prawdą. Jesteśmy tu po to, żeby ci pomóc.

Uniosłam oczy ku niebu. Odkąd to Alex miał w sobie takie pokłady współczucia?

– Czy wiesz, co to jest Szóstka?

Przywaliła Alexowi w splot słoneczny i wyrwała mu telefon, a później przeskakując z miejsca na miejsce tańczyła poza jego zasięgiem, kiedy chciał jej go odebrać. Z każdą chwilą ta dziewczyna coraz bardziej mi się podobała. Rzuciła na mnie złe spojrzenie, zrobiła kolejny krok wstecz i powiedziała:

– Szóstka? Tak. To cyfra. Między pięć a siedem.

– Prawdę mówiąc, to jest osoba – poprawiłam ją. Pewien rodzaj osoby. Ktoś taki, jak ty i ja.

Zmierzyła mnie spojrzeniem od stóp do głów i prychnęła.

– No, to przykro mi. Chyba nie jestem ulepiona z tej samej gliny, co ty, bo jesteś wariatką.

– Tak, to wariatka, ale jej nikt nie dorównuje. Uwierz mi – zachichotał Alex. – Ale tak, jesteśmy tacy, jak ty. – Machnął prawą ręką i komórka Ashley wystrzeliła z jej dłoni jak z procy. Chwilę wisiała między nimi, a później ruszyła lobem w górę i głośno wylądowała na dachu.

Dziewczyna patrzyła na to wszystko z otwartymi ustami, a później odwróciła się do Alexa. – Ale jak... Jak ty to zrobiłeś?

– W ten sam sposób, w jaki ty potrafisz robić to, co potrafisz – powiedziałam, kiwając głową. – Rodzice w domu? Możemy chwilę pogadać?

Wyraz zadziwienia zniknął z jej twarzy. Teraz była ostrożna.

– Chcecie, żebym was wpuściła do domu?

– To nie potrwa długo – upierałam się. – Daję słowo.

Wciąż była niepewna, ale jednak po chwili skinęła głową na dach.

– Jak tylko dostanę z powrotem swój telefon.

– Oczywiście. – Alex znów machnął ręką a jej telefon wystrzelił z dachu jak odrzutowiec i wylądował w jego dłoni. Podał go dziewczynie.

Ashley zaprowadziła nas na przód domu, a później pod drzwi. Co kilka kroków posyłała nam spojrzenie przez ramię, jakby się bała, że się na nią rzucimy. Przede wszystkim obserwowała Alexa. Nie dziwię się. Dla kogoś, kto go nie znał, mógł się wydawać trochę dziwny. Może chodziło o jego postawione na żel białe włosy albo o dziwne kółko z uśmiechniętą buźką w jego wardze, które nazywaliśmy Fredem.

Kiedy weszliśmy do środka, zmusiłam się, żeby nie patrzeć. Wnętrze przypominało mój dawny dom. Nieskazitelnie czyste, drewniane podłogi, ohydne meble i kominek ze zdjęciami, mające sprawiać wrażenie, że to miejsce jest ciepłe i przytulne. Pytałam sama siebie w duchu, czy to może standardowe wyposażenie ludzi z Denazen. Jak jakaś foremka do ciasteczek, którą wycinali swoją małą armię świrów.

– Siadajcie, jeżeli macie ochotę – powiedziała Ashley, sadowiac się na kanapie. Nie uszło mojej uwadze, że siadła tuż przy telefonie i że przy talerzu na stole leżał widelec i nóż. – Ale się nie rozsiadajcie. Niedługo wraca mój tata.

Odkąd poznałam Kale'a, pewne rzeczy uświadamiałam sobie mocniej. Częściowo dlatego, że ktoś mi na to zwracał uwagę, ale niekiedy sama pewne rzeczy zauważałam. Małe skurcze palców prawej ręki, kiedy mówiła i postukiwanie stopą. Jej tata wcale o tej porze nie wraca z pracy. Jeśli miałabym zgadywać, powiedziałabym, że dziewczyna będzie godzinami sama. Były zimowe ferie szkolne. Lekcje wprowadzić nie było, ale dorośli wciąż musieli pracować. Odgrywała przed nami teatr.

Alex usiadł w fotelu na wprost niej, ale ja wciąż stałam. Tak, jak powiedziała, nie było sensu się rozsiadać. Nie miałam zamiaru się tu rozgościć, nie czekałam na chipsy i sos.

– Nie chcę niczego owijać w bawełnę, bo prawdę mówiąc nie mamy zbyt wiele czasu. Wysłano nas dzisiaj, żeby cię ostrzec. Dam ci dwie opcje do wyboru i powiem ci prawdę. Co z tym zrobisz, to twoja sprawa. Nikt nie będzie cię zmuszał do tego, czego nie chcesz.

– Dez – rzucił ostrzegawczo Alex.

Nie zwracałam na niego uwagi. Latem Kale i ja musieliśmy wyciągać wrzeszczące i kopiące Szóstki, aby zaciągnąć je do hotelu dla ich własnego dobra. To już przeszłość. Teraz, jeżeli chcą pomocy, w porządku, jesteśmy do dyspozycji. Jeśli nie chcą, nie mamy prawa nikogo do niczego zmuszać. W Denazen wszystkim odbierano wolną wolę. Nie będę taka, jak oni.

– To, co potrafisz – to znaczy twoja umiejętność widzenia rzeczy, które dzieją się daleko stąd sprawia, że jesteś celem. Zanim się urodziłaś, twoja matka – twoja prawdziwa matka – brała udział w projekcie naukowym zwanym Supremacją, tak jak moja mama, i dostała pewien lek, który miał wzmacniać twoją zdolność.

– Problem polega na tym – przerwał Alex, patrząc na mnie z ukosa – że ten lek ma nieprzyjemne skutki uboczne, prowadzące do śmierci.

– Albo do morderstwa – dodałam. Ashley trochę zzieleniała na twarzy. To dobrze. Musi zrozumieć, że to nie jest żadna zabawa.

– Co wiesz o swoich rodzicach?

Sięgnęła po coś leżące na stoliku przy kanapie i zaczęła się tym bawić. Pędzel.

– O prawdziwych rodzicach? Nic. Adoptowano mnie dwa tygodnie po urodzeniu.

Jak mam powiedzieć dziewczynie, że jej przybrani rodzice prawdopodobnie ją zabiją we

śnie? To niełatwo przechodziło przez gardło.

– Pomyśl o tym domu jak... Jak o zoo.

– Zoo? – szepnęła, teraz już całkiem blada.

– Żyłas w zamknięciu, a wychowywali cię ludzie mający nadzieję, że wyrosnie z ciebie potwór.

Wytrzeszczyła oczy i upuściła pędzel. Spadł na podłogę i odbił się raz, po czym zatrzymał pod stolikiem do kawy między nią a Alexem.

– Hodowano mnie? Co ty gadasz?

Uważałam, że moja analogia jest dosyć inteligentna, ale Alex się z tym nie zgadzał. Patrząc wstecz muszę przyznać, że być może była trochę zbyt dosłowna. Dokładna, ale zbyt dosłowna. Rzucił na mnie groźne spojrzenie, z którego wynikało, że zaraz dojdzie do aktu przemocy, jeśli nie przestanę i zaczął mówić bardziej neutralnym tonem.

– Uważamy, że twoi rodzice – ci, którzy cię adoptowali – pracują na zlecenie firmy zwanej Denazen. Mają się przyglądać, czy nie okazujesz oznak rozwoju jakichś dziwnych umiejętności.

– Rozwoju umiejętności? – pisnęła, zaciskając palce na poduszce. – O czym ty mówisz? Moja mama jest malarką, a ojciec pracuje jako inżynier budowlany.

– Zauważyłaś ostatnio coś dziwnego w twoim zachowaniu? Coś nienormalnego albo nowego? Może coś, czego nie potrafiłaś wcześniej, ale teraz umiesz?

Zmrużyła oczy i palcami prawej dłoni zaczęła skubać materiał poduszki na kanapie. Trafiony i zatopiony! Teraz już nie ma żadnych wątpliwości.

– Posłuchaj, ja nie żartuję. Nie ma czasu na jakieś gierki. Ani my nie mamy czasu, ani ty. Przestań ściemniać i mów, jak jest naprawdę.

– Dez...

– Nie gniewaj się, Alex. Mnie nikt nie przytulał, kiedy dowiedziałam się o sobie. To jest jak zdzieranie plastra. Trzeba to po prostu zrobić.

– Chyba pomyliłaś reklamy – powiedział, wzdychnąwszy zrezygnowany.

Zawsze wiedziałam, że jestem inna niż wszyscy, ale dopiero, kiedy poznałam Kale'a okazało się, do jakiego stopnia. Ta prawda wyrzuciła mi świat do góry nogami. A jednak udało mi się jakoś dostosować. Musiałam. Inaczej nie dało się przetrwać. To samo będzie z Ashley. Albo utrzyma się na powierzchni, albo utonie.

– Widzę, że bawicie się w złego i dobrego policjanta, ale w ogóle mnie to nie interesuje. – Ashley wstała i pokazała drzwi. – Chyba powinniście już iść.

– Nie ma żadnego dobrego i złego policjanta. Jest tylko prawda. A jeżeli nie pozwolisz nam sobie pomóc, zanim będzie za późno, to umrzesz. Może z rąk kogoś obcego. Może z rąk własnych rodziców. Jesteś jednak na liście do wykończenia. Ty i ja jesteśmy oficjalnie skreślone.

– Wiesz, że to wariactwo, prawda? – Wyrzuciła ramiona w górę. Może nie wierzy nam w stu procentach, ale ziarno wątpliwości zasialiśmy. Czasem tylko tyle możemy zrobić.

– Wiemy, jak to brzmi, ale taka jest prawda – powiedział Alex. Uśmiechnął się do niej uśmiechem, który kiedyś zmiękczyłby mi serce. Zawsze dobrze mu szło relaksowanie rozmówców. Patrzył tak, jakby się było z nim sam na sam w pokoju, a on byłby skupiony na wszystkim, co się powie.

– Ci ludzie chcą wykorzystać twoją umiejętność, żebyś robiła rzeczy naprawdę nieprzyjemne. Problem polega na tym, że lek, który zastosowali, żeby wzmocnić twoje umiejętności jest toksyczny. Im jesteś starsza, tym trudniej twój organizm go znosi. – Postukał się palcem w skroń i zmarszczył brwi. – Robi ci wodę z mózgu. Objawy przychodzą powoli, ale pewnie już się zaczęły. Niedługo będziesz miała osiemnaście lat, prawda?

– Jeszcze niecałe cztery miesiące.
– Rozbaw mnie przez sekundę – powiedziałam, opierając się o krawędź kanapy, kiedy usiadła. – Halucynacje, omamy paranoidalne, skoki nastrojów... Brzmi znajomo?

Ashley zmarszczyła brwi.

– To znaczy, czy ja to mam?

– To jedno z najczęstszych znaków ostrzegawczych. Są i inne – dodał Alex. – Bardzo proszę, daj nam jeszcze kilka minut.

Z tego, jak patrzyła, raz na Alexa, raz na drzwi, miałam wrażenie, że się nie zgodzi, ale po chwili skinęła głową.

– A skąd wiecie, że ja w ogóle mam te...

– Zdolności? – Alex uśmiechnął się do niej swoim opatentowanym uśmiechem Elvisa i pochylił się w jej kierunku. – Wiemy, że widzisz rzeczy, które zdarzają się w różnych innych miejscach. To się nazywa zdalne widzenie.

Zawahała się przez chwilę, a potem westchnęła ciężko i wstała.

– Pokazaliście mi, co potraficie, teraz chyba ja powinnam wam pokazać, co umiem...

Ashley nachyliła się i otworzyła czerwony plecaczek leżący na skraju stołu. Przejrzała zawartość i wyjęła kilka luźnych kartek z notesu. Podała je Alexowi i powiedziała:

– To zrobiłam jakiś tydzień temu.

Nachyliłam się, żeby lepiej widzieć. To był rysunek w ołówku – jeśli można to tak nazwać. Przedstawiał dwóch facetów spierających się gdzieś w korku. Postaci były chude, miały cienkie rączki i nóżki, za duże głowy i przesadzone rysy twarzy. Brakowało tylko olbrzymiego słońca z wielkim uśmiechem i rysunek mógłby zdobyć nagrodę w przedszkolu, a później zostać przypięty do jakiejś lodówki.

– To jest... no, dość ładne.

Ashley wywróciła oczami i wyrwała rysunek, po czym przycisnęła go obronnym gestem do piersi.

– To jest straszne. – Rzuciła się na kanapę obok Alexa. – Rysuję i maluję, odkąd skończyłam osiem lat. Zawsze chciałam zostać malarką, tak jak mama. – Pomachała kartką. – Ale niestety, niezależnie od tego, jakbym dużo nie ćwiczyła i nie rysowała, to wszystko jest do bani.

– Nie powiedziałbym, że do bani – zaczął zachęcającym tonem Alex. – Może potrzebujesz jeszcze trochę...

– Ćwiczeń? Nie. – Podała mu gwałtownym gestem jeszcze jedną kartkę.

Alex patrzył na rysunek, otworzył usta, a Fred, wesola zapinka na jego wardze, kołysał się na boki. Uniósł kartkę i spytał:

– Dez, czy widzisz to, co ja?

Ten rysunek w niczym nie przypominał pierwszego. Wykonany czarnym i błękitnym atramentem, wyglądał mrocznie, wszystkie linie były czyste, bezbłędne, detale niemal fotograficzne.

– Ty to narysowałaś?

Różnica w umiejętnościach nie była jedyną godną zauważenia cechą. Jedna z osób na rysunku była bardzo interesująca. Naprawdę interesująca.

– To Able – szepnęłam. Wszystkie szczegóły ujęła perfekcyjnie. Widziałam bardzo niedostrzegalne przemieszczenie nosa Able'a – to właśnie zawsze odróżniało go od brata bliźniaka – Aubreya. Na rysunku wyglądało to tak, jakby stał w jej frontowych drzwiach i rozmawiał z mężczyzną, który chyba był jej ojcem. – Kiedy to narysowałaś? Kiedy to się stało?

– Tu się robi jeszcze dziwniej. Narysowałam to dwa dni przed tym zdarzeniem...

– Przed zdarzeniem? – spytał Alex. – Ale przecież wcześniej powiedziałaś, że...

Przyczepił się do tego, jak ona to robi. To było głupie. Czy to nie jest jasne? To efekty uboczne Supremacji. Nagły wzrost umiejętności, zanim wszystko się kończy. Mnie bardziej interesowała treść.

– Kiedy ten facet tutaj przyszedł? Wiesz, o czym rozmawiali?

Pokręciła głową i odebrała nam rysunek, po czym włożyła go między inne do plecaka.

– Byłam tam tylko chwilę, zanim zorientowałam się, że to ten facet z mojego rysunku. Byłam za bardzo przerażona, żeby zostać dłużej.

– Ten gość na twoim rysunku jest niebezpieczny. – Alex już się nie uśmiechał. – Masz kłopoty, dziewczyno. Musisz nam pozwolić sobie pomóc.

Wahała się chwilę, po czym wróciła i usiadła na kanapie obok Alexa.

– Wiem, że coś jest nie tak. Od dłuższego czasu już to czuję... – Odwróciła się do mnie. – Ale moi rodzice mnie kochają. Nie pozwolą, żeby coś mi się stało. Zanim cokolwiek zrobię, muszę z nimi porozmawiać.

– To zły pomysł – powiedział Alex, wstając. – Oni mogą...

Chwyciłam go za ramię i sięgnęłam poza Ashley, żeby oderwać róg gazety. Wzięłam do ręki długopis leżący obok i wpisałam numery naszych komórek – po czym wręczyłam jej kartkę.

– Tak, jak mówi Alex, nikt cię nie zmusza, żebyś cokolwiek robiła, ale radzę ci, pomyśl o tym i to szybko. To nasze telefony. Jeżeli zmienisz zdanie albo czegoś będziesz potrzebowała, dzwoń.

I nie odwracając się za siebie wyszłam z domu na ulicę.

Kiedy wróciliśmy z Alexem do domu, Ginger podała nam następne nazwisko. Conny Delgeto. Jedną z informacji o niej brzmiała tak, że dziewczyna potrafi manipulować dźwiękiem – wydawało mi się to dość niejasne. Czy to znaczy, że potrafi rzucać głosem? Albo naśladować czyjś głos? A może potrafi naśladować głosy zwierząt? To było irytujące, już nie mówiąc o tym, że niebezpieczne, bo nie wiedziałam, w co się pakuję. I tylko dlatego, że Ginger ma prywatny wgląd w przyszłość, ja nie chciałam potykać się w ciemności.

Brandt już nie spał i zaproponowałam mu, żeby poszedł ze mną zamiast Alexa, ale Ginger powiedziała, że ma dla niego inne zadanie. Nie kupiłam tego. Stara kobieta uparła się, żeby niszczyć mi życie.

Dom Conny był kilka miast dalej i dojazd tam zajął nam prawie trzy godziny. Kiedy wyszliśmy z samochodu, zaczął padać śnieg z deszczem. Alex zrobił prawo jazdy w dziewiątej klasie i zaraz potem miał przykry wypadek na śniegu. Od tego czasu do jazdy zimą podchodził niezwykle ostrożnie, co było śmieszne, bo przez resztę roku szalał na czterech kółkach. Z jego schowka aż wylewały się mandaty za przekroczenie prędkości, a ja byłam pewna, że jakiś policjant ma już nakaz jego aresztowania.

– Spróbuj tym razem być trochę mniej agresywna – powiedział Alex, zatraskując drzwi od strony kierowcy. Był małomówny, odkąd dziś rano wyszliśmy od Ashley, a ja wiedziałam, że poirytował go sposób, w jaki z nią rozmawiałam.

Nie odpowiadałam. Nie byłam agresywna, tylko uczciwa. Jeśli byłabym na jej miejscu, doceniłabym to, że nie oblewaliśmy całej sprawy lukrem.

Z drugiej strony niewiele jest osób, takich jak ja.

Zatrzymaliśmy się przy podjeździe. Rezydencja państwa Delgeto okazała się olbrzymim wiktoriańskim domostwem z idealnie przyciętą trawą, na której tu i ówdzie rósł ostrokrzew. W samym środku zobaczyliśmy olbrzymią sosnę ozdobioną czerwonymi i niebieskimi bombkami oraz anielskim włosiem. Na jej szczycie siedział ubrany na biało anioł.

– Nie ma samochodów. Może nikogo nie ma w domu?

– Jest prawie czwarta. Pewnie wciąż są w pracy.

W domu było ciemno, oświetlała go jedynie żarówka nad drzwiami wejściowymi. Alex skinął głową w kierunku garażu i wcisnął komórkę do tylnej kieszeni spodni. Drzwi odstawały kilka centymetrów od ziemi.

– Idziemy?

– A jeżeli ktoś jest w środku?

Wzruszył ramionami i szurając nogami ruszył przez podjazd.

– Damy radę.

Drzwi otworzyły się z piskiem. Mechanizm aż się prosił o naoliwienie i anonsował naszą obecność jak syrena przeciwpożarowa w bibliotece. W garażu nie było samochodów, ale nie był pusty. Na ścianie po drugiej stronie zauważyliśmy kilka półek, a na każdej – kartony o różnych kształtach i rozmiarach. Niektóre oznaczono czarnym markerem z napisem „Kuchnia” lub „Sypialnia”, na innych napisano „Pokój frontowy” – a jeden miał uśmiechniętą buźkę z wywalonym językiem.

Na podłodze pod ścianami leżały sprzęty ogrodowe. Kosiarka, motyka, łopaty i inne narzędzia. To, co się zwykle spotyka w garażach.

Typowe... Oprócz blondynki powieszzonej na szynie biegnącej przez garaż.

– Cholera – zaklął Alex, wchodząc do środka.

Odwrociłam się, nie chcąc zobaczyć pustego, martwego spojrzenia w oczach dziewczyny, ale było za późno. Zobaczyłam te oczy i wiedziałam, że nigdy tego nie zapomnę.

– Nie możemy jej tak zostawić. Masz komórkę?

Zawahał się, popatrzył na dziewczynę, później na mnie, a potem znów na nią.

– Zostawiłem w samochodzie.

– Poczekam tu. Idź, zadzwoń do Ginger. Zapytaj, co mamy robić.

Stanął przede mną, położył mocno dłonie na moje ramiona i przytrzymał przez chwilę.

– Wiedzieliśmy, że wszyskch nie znajdziemy, Dez. Może ja tu zaczekam, a ty idź do...

– Nic mi nie będzie – przerwałam mu i wyrwałam się z jego rąk. Nie jestem małym dzieckiem. To powinien wiedzieć. – Idź, zadzwoń do Ginger. Za chwilę wyjdę do auta. Potrzebuję tylko... chwilę być sama.

Zawahał się, ale wiedział, że nie ma sensu się ze mną spierać. Rzucił ostatnie spojrzenie na dziewczynę, a później przemknął pod półotwartymi drzwiami garażu, zostawiając Conny i mnie same.

Jedną nieżywą dziewczynę Supremacji z drugą.

– Przepraszam, że nie dotarliśmy tu na czas – powiedziałam, odwracając się do niej twarzą. Nie wiedziałam, kim była, ale przynajmniej tyle jej się należało. Nie miałam pojęcia, czy sama sobie to zrobiła, czy ktoś jej pomógł, ale tak czy inaczej, to nie była jej wina.

Miała krótkie blond włosy i twarz leśnego skrzata. Zaczęłam sobie wyobrazać, jak mógł brzmieć jej śmiech i z czego się śmiała. Jej oczy, ogromne i nic nie widzące, były intensywnie zielone. Czy była lubiana? A może była typem samotnika? Może była cicha, miała niewielki krąg przyjaciół, których znała od przedszkola. Przyjaciół, z którymi się dorasta, starzeje – sąsiadów, których się zna, aż nie osiwieją i dostaną zmarszczek.

To już nie będzie jej pisane.

Podciągnęłam sporą skrzynkę, wdrapałam się na nią tak, że byłyśmy twarzą w twarz i powiodłam dłonią po jej czole i oczach, żeby zamknąć powieki. Była zimna jak lód, co znaczyło, że wisi tak już dość długo. Nawet gdybyśmy tu dotarli wcześniej, pewnie i tak, by już nie żyła.

– Nie wiem, kim byłaś, ale na to nie zasługujesz. Żadne z nas na to nie zasługuje...

Usłyszałam otwierające się drzwi, które łączyły garaż z domem, i zesłam ze skrzyni.

– Ona cię nie słyszy.

To był Kale.

Nie chciało mi się odwracać. Patrzenie mu w oczy byłoby dziesięć razy trudniejsze, niż samo zapytanie.

– Ty to zrobiłeś?

Słyszałam jego kroki na betonie, ten dźwięk odbijał się od ścian garażu, kiedy podszedł i stanął między Conny a mną.

– Nie.

Dzisiaj Kale miał na sobie czarne dżinsy i ciemnopurpurowy T-shirt. Nosił skórzaną kurtkę i nie wiadomo dlaczego, jego widok sprawił, że chciało mi się histerycznie chichotać. Tylko raz widziałam Kale'a w skórzanym kurtce. Na balu przebierańców w Sumrun. Wtedy na nim dobrze wyglądała, a teraz jakoś nie bardzo. Była jakby nie na miejscu.

Wiedziałam, że powinnam się go bać po tym, co zobaczyłam podczas imprezy Nixów, ale myśl, że Kale mógłby – albo chciałby – mnie skrzywdzić, wydawała się zupełnie absurdalna. Nawet teraz, kiedy poruszał się tak sztywno, a twarz miał bez wyrazu.

– Ale przyjechałeś tu, żeby ją zabić?

– Jeśli nadarzyłaby się okazja, miałem ją zlikwidować. Widzę, że nie było potrzeby – mówił neutralnym tonem. Nie był ani zły, ani agresywny. Jeżeliby się nie zwracało uwagi na słowa, które wypowiadał, wyglądaliśmy jak dwójka ludzi rozmawiających o niczym.

– A ilu ich na razie zabiłeś? – Wzięłam głęboki oddech. – Ilu niewinnym ludziom odebrałeś życie?

– Eksperymenty Supremacji nie są niewinne.

Tu przestałam się kontrolować.

– Czy ty w ogóle siebie słyszysz? To są ludzie, Kale. Żadne eksperymenty. – Czułam, że coś mnie ściska w gardle. Facet przede mną miał twarz Kale’a. Miał głos Kale’a i jego zadziwiająco niebieskie oczy, ale wszystko inne było mi obce. – To nie jesteś ty.

– A skąd wiesz? – zrobił krok naprzód. Było coś w jego oczach, co kazało mi wierzyć, że go rozpoznaję. Coś ciemnego, co przypominało mi dzień, kiedy się poznaliśmy. Kiernan i Samsen zaatakowali nas w parku rozrywki. Kale próbował to ukryć, wstyd mu było, że nie żałuje losu Samsena, ale znów miał w oczach to spojrzenie. Wtedy to widziałam i nic mnie to nie obeszło. Miałam mniej więcej pojęcie, przez co przeszedł w Denazen – poczucie gniewu i chęć zemsty były naturalne. Ale teraz? Przerazał mnie, bo wszystko, co dobre w Kale’u, było jakby zakopane pod wieloma warstwami, a ja się zastanawiałam, co zostało na wierzchu.

– Wiem lepiej niż ty sam, jaki jesteś naprawdę – szepnęłam. Poczulałam nagle odwagę i zrobiłam krok w jego stronę. Bliżej niego. Bliżej niebezpieczeństwa.

– Karmią cię kłamstwami. Wszystko to, czym napełnili ci głowę nie jest realne.

– A ty chcesz mi to wyprostować. Tak?

Nie umknął mi cień szyderstwa w jego głosie. To był ten sam ton, który słyszałam u niego tysiąc razy, kiedy jak koguty okrążali się z Alexem. Zignorowałam to. Jedno ziarno wątpliwości. Więcej nie potrzebowałam. Jedno ziarno, żeby zaczął myśleć. Byłam pewna, że jak tylko je zasieję, jego umysł dokona reszty.

Musiałam to zrobić. To był Kale.

Zwarłam ramiona i wzięłam wdech przez nos.

– Właśnie tak.

Zrobił krok wstecz, założył ramiona na piersi, a na jego twarzy widniało rozbawienie.

– No, proszę. Słucham.

Wiedziałam, że się ze mną bawi, ale maleńki, cienki głosik w mojej głowie błagał, żebym i tak spróbowała. – Ta dziewczyna, którą nazywasz Roz, to Kiernan McGuire. Ona i Marshall Cross cię wykorzystują.

Nie odpowiedział, więc wzięłam to za dobrą monetę i mówiłam dalej, mając nadzieję, że coś z tego wyniknie.

– Nie jesteś potworem, tak jak ci próbują wmówić.

– Albo – powiedział, robiąc krok w moją stronę – to ty jesteś Kiernan McGuire, dziewczyna, która próbowała mnie zabić, co skończyło się u mnie utratą pamięci. – Wyciągniętym palcem dźgnął mnie mocno w ramię. Moja rodzina, moi przyjaciele, moje życie – to wszystko straciłem przez ciebie. Roz i Marshall próbują mi pomóc. Kocham ją i tylko ją.

To ostatnie stwierdzenie przeważyło szalę. Widzieć Kale’a, który plecie jakieś bzdury to jedno, ale takie wyznanie miłości? Nie mogłam tego znieść!

– To mnie kochasz! – wrzasnęłam. Nawet tupnęłam nogą, żeby wzmocnić efekt dramatyczny. Bez rezultatu.

Kale rzucił się naprzód i oboje uderzyliśmy o ścianę.

– Nienawidzę cię – mówił przez zaciśnięte zęby, z twarzą kilka centymetrów od mojej. W jego oczach widziałam całą wściekłość i gniew na Denazen. I to wszystko skupione na mnie. –

Zniszczyłaś mi życie.

Poczułam łzy w kącikach oczu, ale już mi nie zależało. Waga jego słów niemal mnie udusiła.

– Ja ci uratowałam życie – powiedziałam z trudem. – A ty uratowałeś moje.

– Dez? – Alex zawołał z drugiej strony drzwi garażowych. – Wszystko w porządku?

Kale popatrzył na mnie, a później na drzwi. Przez chwilę marszczył brwi, jak gdyby rozpoznawał głos i próbował go połączyć z właścicielem. Kiedy się odwrócił, miał już zupełnie inny wyraz twarzy. Może nie ciepły, ale też nie chłodny, jak przed chwilą. Było tam coś innego. Niepewność. Wojna. Jak gdyby coś walczyło o jego uwagę. Widziałam to w jego oczach. Był gdzieś tam w głębi, mój Kale, jeszcze niestracony.

Musiałam tylko znaleźć sposób, żeby się do niego dostać.

Pokręcił głową.

– Ty jesteś... jesteś na mojej liście.

Ramię miałam pod dziwnym kątem przygwożdżone między plecami i półką, a palce rozczapierzone. Próbowałam coś znaleźć, cokolwiek, czego mogłabym użyć jako broni. To jest Kale – mówił maleńki, przerażony głosik w mojej głowie. – Nigdy cię nie skrzywdził. – Drugi głos mówił inaczej. – Nie, to nieprawda. Bądź bystra. Przygotuj się na wszystko.

– Na twojej liście?

Otworzył usta, a później je zamknął.

– Chcą, żebym cię przyprowadził – powiedział, teraz już ledwo szepcząc. – Na przesłuchanie. I testy...

– No, to na co czekasz? – Pochyliłam się bliżej niego, zupełnie jak jakaś wariatka.

Z natury byłam uzależniona od adrenaliny. Tu jednak było inaczej. Ryzyko taniego niebezpieczeństwa to jedno, ale stanie przed rozwścieczonym niedźwiedziem z odciętą drogą ucieczki, to coś innego. Igraszki ze śmiercią – tak to nazwał Brandt, zgodnie z tym, co mówiła Ginger. Na długo, zanim Kale się urodził, nazywała go Rozpruwaczem. Stałam więc twarzą w twarz ze śmiercią i rzucałam jej wyzwanie.

– No, proszę. Jeśli jestem na twojej liście, to się nie ociągaj.

– Ja... – Uniósł rękę, a później powiodł palcem po moim policzku od podbródka do ucha. Jego dotyk – tak miękki, od razu wywołał gęsią skórę. Tak bardzo mi go brakowało, a to, o czym śniłam nie równało się z rzeczywistością. To dotknięcie było lepsze niż pamiętam. Lekko chropowaty opuszek palca wodził po mojej skórze i zostawiał za sobą ślad tęsknoty. Nawet teraz, kiedy przyciskał mnie do ściany i być może rozważał, czy mnie nie zabić.

Pewnie mam nieźle pochrzanione w głowie.

– Dez? – zawołał Alex. – Wychodzisz?

– Kale? – usłyszałam głos gdzieś z wnętrza domu. To była Kiernan.

Słyszac to, pokręcił głową i odsunął się ode mnie. Widziałam teraz całą jego twarz. Piękną, ale śmiertelnie groźną. Przyglądał mi się z dziwnym wyrazem twarzy i nie spuszczał ze mnie wzroku. Przez jeden niewiarygodny moment byłam pewna, że pochyli się i mnie pocałuje. Jednak tego nie zrobił.

– Nikogo tu nie ma. – Głos Kiernan był coraz bliżej. – Kale? Gdzie jesteś?

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale mu przerwałam.

– Nic nie mów. Proszę. Pozwól mi się tylko prześliznąć pod drzwiami.

– Ja... Roz będzie... Nie. Nie mogę.

– Kale? – Kiernan zaczęła panikować. Słyszałam, jak we wnętrzu domu otwiera i zatraskuje drzwi.

– Proszę... – zaczęłam błagalnie.

– NIE! – wrzasnął i do głowy przyszło mi tylko jedno słowo. Niestabilny. Mój Kale nigdy by tak emocjonalnie nie zareagował. Musiał nauczyć się trzymać gniew w ryzach już w bardzo młodym wieku, żeby przetrwać. Nie wiem, co mu zrobili, ale wypuścili jakiegoś demona. – Nie – powiedział jeszcze raz spokojnie. – Nie. Zachowam cię na koniec. Jestem ci winien coś za to, co mi zrobiłaś. Będiesz cierpieć tak, jak ja cierpiałem, a później sprowadzę cię do Denazen.

I tak, jakby ktoś strzelił z palców, delikatna konstrukcja mojej nadziei rozpadła się na milion kawałków. Nie mogłam oddychać, a w ustach czułam suchość. Palce zacisnęły mi się wokół czegoś – nie miałam pojęcia, czego, ale to było ciężkie. Tylko o to mi chodziło.

– To dobrze – powiedziałam zrezygnowana. Kochałam Kale’a i zrobiłabym wszystko, żeby go odzyskać, ale głupia nie byłam. – Zyskam na czasie.

– Na co?

Zamachnęłam się tym przedmiotem – okazało się, że to klucz francuski – i walnęłam Kale’a w skroń w momencie, gdy Alex podnosił drzwi garażowe.

– Żeby wbić ci do głowy trochę rozumu.

Rzuciłam się pędem w kierunku Alexa, kiedy Kale padał na ziemię, a przez drzwi wbiegała Kiernan.

– Czy to krew? – spytała mama, trzymając w ręce moją podkoszulkę. Zadarłam rękaw w drodze do garażu Conny. Wróciliśmy z Alexem prosto do domu, ale zostawiając tam Kale’a, czułam się okropnie. Przywaliłam mu z całej siły i nie wiedziałam, co mu jest.

– Chyba tak. A to jedna z moich ulubionych. – Założyłam przez głowę czystą podkoszulkę i odwróciłam się do mamy. Stała w drzwiach, wciąż trzymając w rękach zniszczony ciuch. Wyglądała niepewnie. Łatwo o coś zapomnieć, a zwłaszcza ostatnio – o tym, że ona też była więźniem Denazen. Jednak spędziła tam trochę mniej czasu niż Kale – uwięziono ją, kiedy była ze mną w ciąży. – Nie mamy żadnych śladów prowadzących do tej Penny?

– Nic konkretnego – odparła. – Daxowi i mnie udało się znaleźć jednego z dzieciaków Supremacji.

Tej wiadomości jeszcze nie słyszałam.

– Mówisz „znaleźć”, to znaczy...

– Tak, żyje – potwierdziła z uśmiechem. – Przekonaliśmy ją również do powrotu tutaj.

– Naprawdę? – Może Alex miał rację i postępowałam z Ashley zbyt agresywnie. Dax pewnie ją rozluźnił i uspokoił, mimo że mama wzbudzała lęk, zwłaszcza kiedy się jej nie znało. Jeżeli nawet im się udało namówić kogoś do powrotu, to znaczy, że ja schrzaniłam i to porządnie.

– Kogo znaleźliście?

– Nazywa się LuAnn Moore. Ginger umieściła ją w nowym skrzydle po drugiej stronie basenu. Rezerwuję tę część domu dla dzieciaków Supremacji, które znajdziemy i sprowadzimy z powrotem.

Rezerwuje. To znaczy organizuje im kwarantannę na wypadek, gdyby dostały świra. Zastanawiałam się, ile czasu potrwa zanim mnie i Brandtowi zaproponuje zmianę adresu.

Mama zawahała się przez moment, a później spytała:

– A jak... Jak ty się czujesz?

– Tak naprawdę pytasz, czy zaczynam zauważać objawy, prawda?

Zachowała pokerową twarz, ale zobaczyłam lekki tik – poruszenie kącika ust.

W przypadku mamy było to równoznaczne z wybuchem emocji. Nie była skłonna do przytulania i rozrzewniania się, chyba że, była z Daxem. Tego wciąż jeszcze nie rozszyfrowałam.

– Tak, o to też. A jak sobie radzisz z sytuacją Kale’a?

Założyłam kaptur bluzy na głowę i rzuciłam się na łóżko.

– Żadnych objawów jeszcze nie ma – odpowiedziałam na pytanie dotyczące Supremacji, chociaż byłam prawie pewna, że to kłamstwo. Przydepnęłam sobie dzisiaj palec u nogi i wrzasnęłam jak gówniara, bo tak bolało, ale tamtego wieczoru, kiedy Kiernan dźgnęła mnie nożem nic nie czułam. Miałam wrażenie, że to jest sporadyczne, a poza tym nie wiedziałam czy to dobrze, czy źle. – A jeśli chodzi o Kale’a, jakoś sobie radzę. Bardzo mnie bolało, gdy widziałam, jaki teraz jest. I jak ze mną rozmawia. Było mi ciężko, ale wszystko wyprostuję. On gdzieś tam jest, zamknięty w tym nowym kamiennym sercu. Wszystko naprawię.

Rzuciła podkoszulkę na stos brudnych ciuchów na podłodze.

– A jeżeli ci się nie uda?

Uniosłam głowę i spojrzałam jej prosto w oczy.

– To dla mnie nie jest żadna opcja.

Uśmiechnęła się kącikiem ust. Skinęła głową i tuż zanim się odwróciła, powiedziała:

– Dzielna dziewczyna.

– Poczekaj – zawołałam, kiedy znikła za rogiem. Wyleciałoby mi z pamięci to, dlaczego chciałam z nią rozmawiać.

– Tak?

– Ta lista. Ta, którą dał nam Brandt, z nazwiskami Supremacji. Gdzie ona jest?

– A dlaczego pytasz?

Wzruszyłam ramionami i próbowałam nie dać nic po sobie poznać.

– Bez powodu. Pomyślałam sobie, że może tam zajrzę. Zobaczę, co nas czeka. Będę miała jakieś wyobrażenie, kogo jeszcze trzeba odszukać i przed czym stoimy.

I wtedy nagle, jak gdyby ktoś wcisnął jakiś guzik, zachowanie mamy się zmieniło. Z normalnej mamy stała się mamą, która ma tajemnice.

– Listę ma Ginger. Jak na razie, trzyma nazwiska w tajemnicy.

– Naprawdę? – spytałam, zakładając ręce na piersi.

Mama zaczęła wycofywać się małymi kroczkami w prawo.

– Muszę znaleźć Daxa. Obiecałam mu mały sparing. – Jeżeli bym w tym momencie mrugnęła oczami, nie zauważyłaby tego. Bo już jej nie było.

– Można by pomyśleć, że powinnaś się już nauczyć – powiedziałam do samej siebie. Mama zasadniczo postawiła przede mną wyzwanie, żeby ruszyć tyłek i znaleźć tę listę. Jeżeli Ginger utrzymuje imiona i nazwiska w tajemnicy, musi być jakiś powód. Miałam obowiązek w stosunku do samej siebie i innych dzieci Supremacji, dowiedzieć się, dlaczego.

Odczekałam parę minut, żeby się upewnić, że mama już poszła i wyjechałam na korytarz. Dax był mieszkającym tu na stałe Batmanem. Czuwał nad naszym bezpieczeństwem i finansował całą społeczność Podziemia. Nie wiedziałam o tym, kiedy go poznałam, ale podobno Dax ma pieniądze. Mnóstwo pieniędzy. A w tempie, w którym przybywało nam świeżej krwi będziemy musieli wkrótce znaleźć więcej miejsca. To znaczy, jeżeli ludzie nie zaczną umierać jak muchy.

Szłam szybkim krokiem w kierunku pokoju Ginger przez pomieszczenie z basenem, zatykając nos, bo nigdy nie lubiłam zapachu chloru. Mieszkała na końcu korytarza z dala od wszystkich. Mówiła, że lubi ciszę, ale tak naprawdę Dax umieścił ją tam, dlatego że w nocy chrapała tak głośno, że mogłaby obudzić wszystkich na piętrze.

Kiedy dotarłam do pokoju Ginger, nachyliłam się ostrożnie i wstrzymałam oddech, a później przyłożyłam ucho do skrzydła drzwi. Nic nie usłyszałam. Pokój był pusty. To dobrze. Następnym krokiem – dostać się do środka. Drzwi były oczywiście zamknięte, ale jakiś głupawy zamek mnie nie powstrzyma. W końcu moje zdolności wzrosły.

Szczerze mówiąc, zamknięte na zamek drzwi nigdy mnie nie zatrzymywały.

– Ty jesteś Dez, prawda?

Okręciłam się na pięcie z poczuciem winy i okazało się, że stoję twarzą w twarz z brunetką.

– Cześć, osobo, której jeszcze nie poznałam. Ja nie robię nic złego.

Wyciągnęła rękę, uśmiechając się.

– W porządku. Ja jestem LuAnn, ale mów mi Lu. Zobaczyłam, że tu idziesz i chciałam się przywitać. Twoja mama dopiero co mnie tu wprowadziła. Z jakimś przystojniakiem.

– To Dax. – Skinęłam głową. – Ale rączki musisz trzymać z daleka, bo coś tam między nimi jest. – Spojrzałam ukradkiem przez ramię, by sprawdzić czy wciąż jest czysto. Stać tu w korytarzu, tuż przed drzwiami Ginger, to nie był za dobry pomysł.

– Więc skąd wiedziałaś kim jestem?

– Wyglądasz jak twoja mama. Jesteście podobne. Wszystko mi o tobie opowiedziała, kiedy tu jechałyśmy. – Miała na sobie workowatą zieloną bluzę z emblematem bałwanka grzejącego się nad otwartym ogniem, a na prawym ramieniu małą przypinkę z migającą

świątecznymi choinką. Długie, proste włosy, fryzura prawdę mówiąc bezkształtna, ani grama makijażu i dziwne dzinsy w kolorze fuksji. Była jedną z tych dziewczyn, z których chłopcy w szkole zawsze się nabijają – lekko przy kości, o dziwnym guście i wyraźnym regionalnym akcencie.

– O mnie? – Pomyślałam, że to bardzo miło.

Wzięłam ją za rękę i uśmiechnęłam się ciepło, tak jak ona do mnie, bo chciałam, żebyśmy się stąd ruszyły i powiedziałam:

– No, to witamy na fermie dziwadła. Jeżeli będziesz czegoś chciała, to powiedz, chętnie pomogę.

Nie zrozumiała aluzji.

– Wiem, że niedawno się tu zjawiłaś, ale chciałam zobaczyć, jak się aklimatyzujesz.

– Twoja mama powiedziała, że jedziemy na tym samym wózku. Ta cała historia jest trochę...

– Zwariowana? – Po drugiej stronie korytarza usłyszałam jakiś dźwięk. Ktoś nadchodził. Czas mi się kończył. – Lu, prawda? Poznajmy się lepiej. – Położyłam dłoń na drzwiach Ginger i wyobraziłam sobie, że klamka nie jest mosiężna, ale z plastiku, takiego jak zabawki Nerf. Zmieniła się struktura klamki i, niestety, również kolor. Myślałam o piłeczce Nerf, którą kiedyś miał Alex. Była w cholernie żółtym, neonowym kolorze.

– O, ja cię kręcę. Czy ty...

Pchnęłam skrzydło drzwi i wciągnęłam ją do środka.

– Nic tak nie umacnia przyjaźni, jak maleńkie włamanko.

– Mamuśku – powiedziała zadziwiona, kiedy zamknęłam za nami drzwi. – Ty tak często?

Wzruszyłam ramionami i krążąc między meblami, szłam w kierunku biurka Ginger.

Wyciągnęłam górną szufladę i przeglądałam jej zawartość rzecz po rzeczy.

– Zależy od dnia.

Lu stała przy drzwiach i przestępowała z nogi na nogę.

– Mogę ci zadać pytanie?

Wyciągi bankowe, jakaś staroświecka książka adresowa i pewnie ze sto starych broszurek ze sklepów spożywczych, ale żadnego folderu z dokumentami. No, to teraz następna szuflada.

– Śmiało.

– Kiedy kończysz osiemnaście lat?

– Zegar bije. Pierwszego lutego. – Cholera. W drugiej szufladzie też nic. – A ty?

– Mam urodziny szesnastego marca.

– Wielki dzień, co? – Poirytowana zamknęłam trzecią szufladę i zanurkowałam w czwartej – ostatniej. – Jak cię przekonali, żeby tu wrócić?

– Nie trzeba było mnie przekonywać. – Wyszła na środek pokoju, jakby troszkę bardziej rozluźniona. – Wiedziałaś, że przyjadą. Intuicja Szóstki. Byłam spakowana, kiedy dzisiaj rano zapukali do drzwi.

– A twoi rodzice?

– Nie będą za mną tęsknić. W końcu nie byłam ich biologicznym dzieckiem.

Słyszając tę odpowiedź, na chwilę zaprzestałam poszukiwań i spojrzałam na nią. Wciąż się uśmiechała, ale tym razem był to trochę smutny uśmiech. – Więc wiedziałaś? Od kiedy?

– Wiedziałaś, odkąd skończyłam dwanaście lat. Mieszkaliśmy w Kansas, ale w zeszłym tygodniu przeprowadziliśmy się tutaj.

– Nie rozumiem... Jeżeli wiedziałaś, to dlaczego zostałaś? Dlaczego w ogóle przyjechałaś z nimi do Parkview?

Uśmiechnęła się.

– Wiedziałam, że twoja mama i jej znajomy po mnie w końcu przyjadą.
– Jeżeli byłabym na twoim miejscu, wyskoczyłabym za burtę i płynęłabym tak szybko, jak się da.

Pokręciła głową i przeszła za biurko.

– Na pewno nie. – Przewróciła do góry nogami to, co leżało na blacie biurka Ginger i odsłoniła żółty folder. – Tego szukasz?

Trzymała w ręce żółty folder, który Ginger przyniosła wcześniej do świetlicy.

– Jesteś niesamowita, Lu! – Rzuciłam się na folder i otworzyłam go z rozmachem.

W środku było kilkanaście kartek. Znalazłam to, czego szukałam. – Mam cię.

Lu nachyliła się i spojrzała mi przez ramię.

– Kim są ci wszyscy ludzie?

Stuknęłam palcem w kartkę i przejrzałam jeszcze kilka stron.

– Są tacy jak my. Reszta dzieciaków Supremacji.

– Tyle ich jest!

– W sumie jest nas dwanaścioro – powiedziałam. Nazwiska, adresy, na niektórych były zdjęcia, a na niektórych nie. Nie uderzyło mnie tu nic supertajnego i nie miałam pojęcia, dlaczego Ginger chciała to przed nami ukryć, aż dotarłam do piątej strony i wszystko nagle się poukładało.

– Cholera jasna.

Lu skoczyła i ruszyła w kierunku drzwi.

– Co jest? Co się dzieje?

– To dlatego nie chcieli, żebyśmy zobaczyli tę listę. – Wyjęłam z tylnej kieszeni dzinsów telefon i zrobiłam kilka zdjęć.

– Ben Simmons – Lu przeczytała na głos. – Kim on jest?

Wysłałam zdjęcia mailem do mojej skrzynki i schowałam komórkę.

– Nie chodzi o to, kim jest, ale co potrafi. – Postukałam palcem w kartkę. – Podobno to złodziej wspomnień. Jeżeli potrafi kraść wspomnienia, to być może umie naprawiać te popsute.

Ze współczującą miną szła w moim kierunku, a później niezgrabnie poklepała mnie po plecach.

– Straciłaś pamięć?

Zamknęłam plik i wsunęłam z powrotem pod stos niepokładanych papierów.

– Nie ja. Mój chłopak. Ci ludzie, którzy nam to zrobili, porwali go i namieszcili mu w głowie. Już mnie nie poznaje...

– To straszne – powiedziała.

– Tak, ale jeżeli ktoś potrafi coś na to zaradzić, to tylko on i ja. – Powiedziałam to dobitnie i pewnym głosem, ale w głębi serca miałam wątpliwości. Za każdym razem, kiedy sobie przypomiinałam, jak Kale na mnie spojrzał w garażu Conny Delgeto, moja krucha nadzieja słabła. Wiedząc, co dziewczyna potrafi, nie mogłam się oprzeć, żeby nie zapytać: – Chyba nie wiesz, jak to wszystko się skończy?

– Mój dar pozwala mi widzieć tylko to, co się zdarzy w moim życiu. Szkoda, że nie mogę ci dać odpowiedzi. Wiem tylko to, co się stanie mnie samej. Mój dar jest, niestety, ograniczony.

– I zawsze tak było?

– Tak.

Za trzy miesiące będzie miała osiemnaście lat. Może jest jakaś nadzieja dla tej dziewczyny. Jeżeli nic się nie zmieni, może jej ciało nie odrzuci leku.

– Kto wie, może ci ujdzie płazem. Jedną z najwcześniejszych oznak tego, że organizm zaczyna odrzucać lek, jest wyraźna zmiana umiejętności. Jeżeli nie ma żadnej zmiany, a jesteś

tak blisko, może ci się uda. Moje umiejętności zmieniły się z początkiem lata.

Nie po to tu jednak przyszedłam. Jeżeli zostałabym dłużej w pokoju Ginger, przegięłabym pałę. Ruszyłam ku drzwiom. Odwróciłam się i spytałam:

– Powiedziałaś, że wiesz, jak to się dla ciebie skończy. Będiesz miała jakieś efekty uboczne?

Wzruszyła ramionami i ze smutnym uśmiechem na twarzy wyszła z pokoju. Kiedy zmieniałam klamkę z powrotem na mosiężną, powiedziała:

– Nie jestem pewna. Chyba nie pożyję aż tak długo, żeby się o tym przekonać.

Wyznanie Lu nie dawało mi spokoju przez resztę nocy. Kusiło mnie, żeby komuś o tym powiedzieć, ale doszłam do wniosku, że to nie moje zadanie. To jej przyszłość i jej wybór. To będzie moim nowym mottem.

Leżałam w łóżku. Kręciło mi się w głowie od miliona myśli, kiedy próbowałam wykonypować plan ataku. Nie wiedziałam jak, ale musiałam dotrzeć do Bena Simmonsa. Adres w jego dokumentach wskazywał na miejsce tuż za granicą Connecticut, ale wybranie się tam bez wiedzy innych byłoby trudne. Byłam na liście do wykończenia, więc szansa na to, że mama i Ginger pozwolą mi wyjechać gdzieś samej, była marna.

Wiedziałam, że Ginger pošle kogoś, żeby go sprowadził, ale to dla niej nie był żaden priorytet. Wydawało mi się, że to głupie. W Denazen mieli taką samą listę, jak my. A jeżeli Ben wciąż żyje, będą chcieli go sprowadzić jak najszybciej, żebyśmy nie mogli odwrócić tego, co zrobili Kale'owi – chyba że nie dało się już tego cofnąć.

Byłam już w półśnie, myśląc o Kale'u i o naszej ostatniej wyprawie do restauracyjki Gino – małej włoskiej knajpki kilka miasteczek stąd, gdzie lubiliśmy się wymykać – kiedy nagle coś potrząsnęło moim łóżkiem. Nie przewracając się na drugi bok, machnęłam ręką w powietrzu. Ginger przygarnęła ulicznego kota i to cholerstwo, nie wiadomo dlaczego, uwielbiało mój pokój. A konkretnie moje łóżko. Ostrzegłam ją, że kiedy znajdę jakieś nieżywe zwierzę w pościeli, ten kot nie dożyje następnego dnia.

– Głupie kocisko. Wynoś się – mruknęłam do poduszki.

– Dez? – Cholera. Koty przecież nie gadają. Jeszcze sekundę otrząsałam się z resztek snu, zanim się zorientowałam, kto to był.

– Alex? Co ty, do cholery...

– Dez, nie mamy czasu. Obudź się.

– Czasu? – Wygramoliłam się spod kołdry i okręciłam, żeby zobaczyć, która godzina.

Druga nad ranem. – Zdajesz sobie sprawę, że jest środek nocy?

– Musimy iść. I to już.

Usiadłam wyprostowana, zrzuciłam kołdrę i wsunęłam stopy w trampki stojące przy łóżku, a potem włączyłam lampkę nocną.

– Co się stało?

– Chodzi o Ashley. Zadzwoiła do mnie. Kiedy wyszliśmy, coś narysowała. Na rysunku są jej rodzice...

Zwalilo się na mnie poczucie winy.

– Gdzie ona jest? W bezpiecznym miejscu?

– Dzwoniła ze swojego pokoju. Histeryzowała, Dez. Wciąż mówiła, że żałuje, że wcześniej z nami nie poszła.

– Żałuje? Świetnie. Teraz poczułam się jeszcze gorzej, jeżeli to w ogóle było możliwe.

– Nawet jeżeli teraz wyjedziemy i nie będzie ruchu, to podróż zajmie co najmniej godzinę. Nie mówiąc o tym, że wszystkich pobudzimy.

– Nie ma czasu. Pojedziemy tylko ty i ja. My będziemy kawalerią przybywającą na

ratunek.

Miał rację. Wypchnęłam Alexa z pokoju, założyłam parę dżinsów i pierwszy sweter, który mi wpadł w ręce. Ashley była przerażona i całkowicie sama, a to tylko kwestia czasu, kiedy wparują tam jakieś podejrzanе typy.

To wszystko była moja wina.

Byłam pewna, że oberwiemy po uszach za to, że jedziemy sami, ale z tym poradzimy sobie później. Nie mogłabym sobie wybaczyć, jeśli coś stałoby się Ashley. Alex miał stuprocentową rację, nawet wtedy, gdy walnął mnie w żebro za to, że tak się zachowałam. Jeśli byłabym mniej złośliwa a bardziej współczująca, może od razu by z nami pojechała albo przynajmniej byłaby ostrożniejsza.

Zjechaliśmy windą i wychodziliśmy przez drzwi od ulicy zaledwie pięć minut po tym, jak Alex mnie zbudził. Było wpół do trzeciej nad ranem, więc na szczęście drogi były puste. Na nieszczęście niedawno spadł świeży śnieg i cienka warstewka na ulicach spowalniała jazdę. Odsnieżarki jeszcze tędy nie przejeżdżały i samochód ślizgał się po szosie. Alex powiedział, że nie będzie prowadził, więc ja siadłam za kierownicą, a on, blady, na fotelu pasażera. Byłam tak skupiona na utrzymaniu samochodu na kursie, że prawie przegapiłam zjazd z autostrady.

Kiedy byliśmy ulicą dalej, zaparkowałam nowo odremontowanego chevroleta Alexa za starym rdzewiejącym volkswagenem i resztę drogi przeszliśmy pieszo. Zbierałam się w takim pośpiechu, że nie założyłam skarpetek i teraz śnieg przesączał się przez moje trampki, i czułam, że zamarzają mi palce u stóp. Kiedy dotarliśmy do domu Ashley, byłam przekonana, że sobie coś poważnie odmroziłam.

Alex dał mi kluczyki i zatarł dłonie.

– Zapal silnik i nie gaś. Zaraz wracam.

Odwrócił się w kierunku domu Ashley, a ja chwyciłam go za ramię.

– O co tu chodzi?

– Deż, nie mamy pojęcia, w co się pakujemy. I pomyśl jeszcze raz. Wczoraj zachowywałaś się agresywnie. Jeżeli Ashley jest przerażona, to czy naprawdę musi od razu zobaczyć twoją twarz?

Zabolało. Wzięłam głęboki oddech i pokiwałam głową, jak mała dziewczynka. Nie to, że miałam zamiar pozwolić mu wejść tam samemu, ale jeżeli chciał o sobie myśleć jako o wielkim zbawicielu, to mogłam na to przystać.

Policzyłam do dwudziestu, kiedy zniknął za krzakami, i zbliżyłam się do fasady domu, ostrożnie rozglądając się za jakimiś śladami po Denazen. Dzielnica była spokojna. Ruszyłam naprzód, czujna i przygotowana na niebezpieczeństwo. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież i zastanawiałam się czy to Alex je tak zostawił, czy też ktoś inny.

Małeńki głosik w mojej głowie kazał mi się odwrócić na pięcie i puścić biegiem do samochodu, nie oglądając się za siebie. Oczywiście, nie mogłam tego zrobić, ale byłam przecież człowiekiem i mimo tego, co mogła myśleć o mnie mama, miałam jakiś instynkt samozachowawczy. Z drugiej strony, Alex był w środku, a Ashley potrzebowała pomocy. Niewykluczone, że żadne z nas nie znalazłoby się w tym położeniu, jeśli porządnie załatwiłabym sprawę, kiedy pierwszy raz tu przyjechaliśmy.

Pchnęłam otwarte drzwi, krzywiąc się, kiedy zaskrzypiały i zamarłam. Pokój frontowy wyglądał tak samo, jak wcześniej, a cienie kanapy i wygodnych foteli malowały się dziwnymi kształtami na ścianie. Z każdym następnym krokiem czułam coraz większy lęk.

– Ashley? – w końcu odważyłam się szepnąć. Żadnej odpowiedzi. – Alex?

Przez pokój frontowy i do korytarza. Zatrzymałam się u stóp schodów i wstrzymałam oddech, nasłuchując. Dobiegł mnie jedynie odgłos śniegu padającego na metalowy dach ganku. Poza tym było spokojnie.

Zacząłam wchodzić po schodach, niepewnie i z wahaniem, stawiając nogę na kolejnym stopniu. Jeżeli w promieniu tysiąca kilometrów byłaby jakaś trzeszcząca deska, moja stopa nieuchronnie by ją znalazła. I oczywiście, kiedy byłam w połowie drogi, nastąpiłam na deskę, która tak skrzypnęła, że serce zabiło mi parę razy szybciej. Odczekałam chwilę, ale nikt się nie pokazywał, więc szłam dalej.

U szczytu schodów zobaczyłam długi korytarz – po prawej były trzy pokoje, a po lewej dwa. Najpierw te po lewej. Proces eliminacji – to byłaby logika Kale’a. Zacząć od mniejszej strony i ją odhaczyć. Otworzyłam drzwi i okazało się, że to łazienka – była pusta. Zacząłam się więc ostrożnie przesuwać w drugim kierunku.

Za kolejnymi drzwiami znajdowała się duża sypialnia. Lampa na stoliku nocnym wciąż się paliła, rzucając miękkie światło na pusty pokój. Łóżko było starannie pościelone, a u jego stóp leżał złożony jasnoniebieski szlafrok. Następny pokój wyglądał jak pracownia komputerowa. Na ścianie powyżej biurka z wiśniowego drzewa zamontowano duży, płaski ekran, natomiast na blacie stała klawiatura. Miękki dywan. Krzesło przy biurku, które nie wyglądało na wygodne. Na wpół pełne półki na książki. Ani śladu po Ashley. Ani śladu po Alexie.

Kolejny pokój należał do niej, nie miałam żadnych wątpliwości. Poza sztalugami, widziałam farby i pędzle, a fakt, że pokój wyglądał tak, jakby przeszło przez niego tornado, mówił sam za siebie.

Materac był odwrócony i oparty o ścianę, na podłodze kłębiły się prześcieradła i poszwy. Weszłam do środka i podniosłam z podłogi poduszkę, po czym rzuciłam ją na komodę – jedyny mebel, który wciąż stał – i zaczęłam się obracać. Zamarłam, kiedy zobaczyłam padający na podłogę cień.

– Mówiłem im, że nie przyjdiesz sama, a jednak jesteś. – Usłyszałam mroczny głos Kale’a dobiegający od strony drzwi. – Dziwna z ciebie dziewczyna.

– Może nie wiesz dlaczego, ale z twoich ust to brzmi dość śmiesznie – powiedziałam, przełykając ślinę i odwracając się, żeby na niego spojrzeć. Światło z holu oświetlało prawą stronę jego twarzy, lewa była zatopiona w ciemności. Dwie strony tej samej, niebezpiecznej monety. Miałam ochotę się wycofać, ale oparłam się temu impulsowi i spojrzałam mu prosto w oczy. Gdzieś tam był mój Kale, który potrafił wyczuwać słabość. – A kto mówi, że jestem tu sama?

– Teraz jesteś – odparł, podchodząc o krok bliżej. Przez cały czas postukiwał o udo palcami prawej dłoni. Raz. Dwa. Trzy. Raz. Dwa. Trzy.

– Zabiłeś ją?

– Dziewczyna nie żyje.

– Tego się akurat domyśliłam – powiedziałam, zaciskając zęby. Jeszcze jeden krok w moim kierunku. – Ale pytam, czy ty to zrobiłeś.

Przechylił głowę w lewo i zobaczyłam wyraz jego twarzy. Był dezorientowany.

– O to samo pytałaś przy tej drugiej dziewczynie. A jakie to ma znaczenie?

– Bardzo duże. Dla ciebie również. Ty po prostu tego nie pamiętasz.

Znów krok w moją stronę. Był centymetry ode mnie. Czułam ciepło jego ciała, które promieniowało jak słońce. Każdy mój mięsień walczył z impulsem serca. Rozsądek wrzeszczał co siłą, żeby za każdym jego krokiem naprzód cofać się o krok. *Trzymaj dystans – on jest niebezpieczny!*

Moje serce chciało przysunąć się jeszcze bliżej.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Bo ona potrzebowała pomocy – powiedziałam, ostrożnie biorąc oddech. On wciąż pachniał jak mój Kale.

– Nie. Nie chodzi mi o to, dlaczego tu przyszedłeś. – Jeszcze mocniej pochylił głowę, a lok jego czarnych włosów spadł mu na oczy. Przyglądał mi się z klinicznym zainteresowaniem. – Pytam, dlaczego na mnie napadłeś.

– Ty pierwszy mnie zaatakowałeś. – Miałam ochotę dotknąć jego skroni, gdzie utworzył się maleńki siniec promieniujący od przecięcia skóry. Chciałam obsypać go pocałunkami i przeprosić za to, że go uderzyłam.

Pragnęłam, żeby to wszystko było tylko potwornym, nocnym koszmarem.

– Boli?

Dotknął skroni i pochylił się jeszcze bliżej. Światło na niego nie padało, był teraz w cieniu pokoju Ashley. Kiedy znów się odezwał, głos miał zupełnie inny. Nie brzmiał podobnie do niczego, co kiedykolwiek słyszałam z ust Kale'a. Poczulałam, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Chciały, żebym się odwróciła i biegła, gdzie oczy poniosą – mój instynkt przeżycia wskoczył na wysoki bieg.

Ten głos mnie przeraził.

– Mam ochotę... kiedy tak na ciebie patrzę... – Pokręcił głową i położył dłonie po obu stronach moich ramion, oparł je o materac i zbliżył twarz do mojej twarzy. Przez potwornie długą chwilę tylko się we mnie wpatrywał. Kiedy się odezwał, w jego głosie była czysta wściekłość. – Dźgnęłam mnie. Gdy to się nie udało, zepchnęłam mnie z mostu. A ja pytam cię, dlaczego?

– Nic takiego nie zrobiłam, Kale. Z tego, co wiem, nikt nie zepchnął cię z żadnego mostu. Naprawdę. A jeżeli chodzi o bliźnię, to tak. Zostałeś dźgnięty. Zrobił to Alex.

– Łżesz, Kiernan.

– Nieprawda. Mam na imię Dez – powiedziałam, czując, że głos mi się załamuje pod wagą jego słów. – Deznée.

Poczulałam przez kurtkę, jak luźna sprężyna materaca wrzyna mi się w ciało. Jego prawa ręka wciąż spoczywała na materacu, żebym nie mogła uciec, natomiast lewą uniósł i przesunął po boku mojej twarzy. Za tym dotykiem wybuchła eksplozja bólu, zatkało mnie, ledwie trzymałam się na nogach, byłam jak masa trzęsącej się galarety. Miałam wrażenie, że ból rozdziera mnie na poziomie atomowym. Komórka po komórce, żyła po żyłe. Czułam ukłucia bólu najpierw na skórze, a później ogarnęły całe ciało.

– Wystarczyłoby jedno dotknięcie. Zabiłbym cię i byłoby po wszystkim. Nie czułbym żadnego dyskomfortu. Ale to za łatwe po tym, co ty zrobiłaś. – Cofnął rękę i odsunął się na kilka centymetrów. – Jeżeli myślisz, że to boli, powinnaś się zastanowić, co ja czuję. Nie pamiętam swojego życia. Moich przyjaciół. Mojej rodziny.

Mogłam mu powiedzieć, że większej części życia i tak nie było warto pamiętać, albo że to ja byłam jego przyjaciółmi i rodziną. Jednak wyraz jego twarzy podpowiadał mi, że w tym momencie Kale nie reagował na słowa rozsądku.

Mimo to nie byłam gotowa się poddać. Postanowiłam zrobić coś, co w moim wypadku zawsze działało. Coś zupełnie wariackiego.

Zrobiłam krok naprzód i wpiłam się ustami w jego usta, objęłam go rękami za szyję, żeby nie mógł się ruszyć. Nie opierał się i ku mojemu zdziwieniu, wcale mnie nie odpychał. Po chwili zareagował, jego usta zaczęły się poruszać gorączkowo, tak jak moje.

Pocałunek trwał kilka chwil. To ja pierwsza się od niego oderwałam, w momencie, kiedy przeszły chmury, a przez okno w sypialni znów zaświecił księżyc. Przez sekundę żadne z nas nie powiedziało ani słowa. Jego policzki świeciły od moich łez i wyglądał tak, jak gdyby on też płakał. Wpatrywał się we mnie – oczy i usta miał szeroko otwarte, jak gdyby widział mnie po raz pierwszy w życiu.

Przez jedną szaloną chwilę miałam wrażenie, że zamarł czas. Pomyślałam, że może ten

pocałunek załatwi sprawę. Tym razem to księżniczka budzi księcia ze snu. Patrzył na mnie, a w jego wzroku dostrzegłam szok i przerażenie, spoza których wyzierało coś na kształt mojego Kale'a. Serce biło mu tak głośno, że nic innego nie słyszałam. Coś tam zostało. Widziałam iskrę w jego oczach.

– Kale?

A jednak długo to nie potrwało. Może w ogóle niczego tam nie było? Może tak bardzo chciałam coś zobaczyć, że wszystko sobie wyobraziłam? Kale uśmiechnął się kącikami ust.

– Roz ma rację. Ty jesteś wariatką.

Popchnęłam go mocno i zaczęłam uciekać.

W dół po schodach, przez pokój i wciąż otwarte drzwi frontowe. Potknęłam się na oblodzonych stopniach, ale udało mi się złapać równowagę na sekundę przed przywaleniem twarzą prosto w krawędź żeliwnej poręczy. Przejechałam kolanem po pokrytym mokrym śniegiem betonie, materiał się rozdarł i starłam kawałek naskórka. Jednak to mnie nie zatrzymało. Podniosłam się i ruszyłam do samochodu. Nic z tego. W świetle księżycy zobaczyłam sylwetkę wysokiego barczystego mężczyzny czekającego tuż przy przednim zderzaku, więc zmieniłam kierunek.

Pobiegłam przez podwórko sąsiadów wzdłuż kamiennej ściany, która wyznaczała mi kierunek. Niestety, moja orientacja w terenie była kompletnie spaczona. Bez czegoś, co by mnie prowadziło w ciemności, była spora szansa, że się zgubię. Przed sobą dostrzegłam las. Może tam uda mi się jakoś ukryć.

– To mi się bardziej podoba – zawołał Kale gdzieś zza moich pleców. Odgłos jego kroków na śniegu mówił, że nie jest daleko, co mnie silnie motywowało do szybszego biegu.

Przyspieszyłam kroku, czując, że płuca mi pękają. Zanim Kale wrócił do Denazen, biegał codziennie pięć kilometrów. Pobiegłam z nim raz i po pięciu minutach byłam przekonana, że próbuje mnie wykończyć. Od tamtego czasu nie biegałam, a w tej właśnie chwili tego żałowałam.

Spadł lodowaty deszcz, a cały las zamienił się w jedno wielkie, nierówne lodowisko. Biegłam na oślep, na łasce i niełasce wciąż przepływających po niebie chmur i wyglądającego co jakiś czas księżycy, próbując przy tym się nie przewrócić. Jeśli dodać by tornado albo jakiś inny wybryk natury, tamta noc nie miałaby sobie równych. Czasami byłam pewna, że moje istnienie jest niczym więcej, jak tylko zabawką dla jakichś nadludzkich sił, które znajdują przyjemność w oglądaniu mojego cierpienia.

Zatrzymałam się na sekundę przy grubym pniu sosny i rozejrzałam się wokół, żeby się zorientować, gdzie jestem. W całym tym biegu straciłam poczucie kierunku. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było kamiennej ściany, nie miałam też pojęcia, gdzie jest dom Ashley, czy samochód Alexa. A sam Alex? Miałam nadzieję, że nic mu się nie stało.

Gdzieś za mną trzasnęła gałązka – albo coś innego – a ja znów puściłam się biegiem. Sięgnęłam do kieszeni po telefon, ale nie utrzymałam go, kiedy się pośliznęłam na oblodzonym korzeniu. Upadłam twardo na ziemię, a telefon wypadł mi z ręki.

– Cholera! – syknęłam, podnosząc się na równe nogi. Wcisnęłam rękę przez cienką warstwę lodu w mokry śnieg, żeby znaleźć komórkę. Po kilku sekundach moje palce zacisnęły się wokół dobrze znanego plastikowego kształtu, a ja odepchnęłam się, żeby się wyprostować i ruszyłam dalej.

– Szybka jesteś – zawołał Kale, a jego głos jak echo odbijał się od drzew. – Ale daleko nie zajdziesz. – W jego słowach nie było szyderstwa, tylko boleśnie znany ton, którym stwierdzał fakty.

Zobaczyłam przed sobą jakieś skałki. Mając nadzieję, że ten punkt w terenie doprowadzi mnie z powrotem do domu albo przynajmniej do miejsca, w którym mogłabym się ukryć,

skręciłam ostro i ruszyłam w całkowitą ciemność. Przebiegłam może dwa albo trzy kroki, zanim ktoś mnie chwycił i poczułam dłoń zatykającą mi usta, kiedy wrywał mnie ze ścieżki.

– Cicho! – usłyszałam głos szepczący mi do ucha.

Przestałam walczyć. Mój napastnik zrobił manewr, zachodząc z drugiej strony skały, kiedy ktoś inny – pewnie Kale – przebiegał tuż obok. Później mnie puścił i cofnął się o krok. Najpierw poczułam ulgę, myśląc, że to Alex, ale po chwili usłyszałam głos:

– Oszalałaś?

– Już mnie męczy to pytanie, bo wszyscy mi je zadają.

Księżyc przesunął się za chmury i ledwo co go widziałam, ale to nie miało znaczenia. Znałam ten głos. – Czy to ty? Czy może twój ohydny braciszek czai się gdzieś w ciemności?

– To tylko ja i Kale – szepnął Aubrey. – I przestań wrzeszczeć.

– Ashley Conner. Czy ona...

– Nie ma jej. Zabrali ją rodzice. – Zrobił krok w tył, po czym przywołał kogoś gestem dłoni. Zza skały wyszedł Alex.

Byłam tak szczęśliwa, że go widzę w jednym kawałku, że rzuciłam mu się na szyję i go objęłam. Uścisnął mnie i zaśmiał się cicho.

– Dez, jeżelibym wiedział, że aż tyle trzeba zrobić, żebyś mnie znowu objęła, zdecydowałbym się na to wcześniej.

– Dupek – powiedziałam, odsuwając się od niego i odwracając do naszego dziwnego wybawcy.

Kiedy ostatni raz go widziałam, Aubrey ocalił mnie od gwałtownej i niezwykle bolesnej śmierci z rąk swojego brata Able'a, ale to wcale nie znaczyło, że teraz był po naszej stronie. Byli bliźniakami, a ich umiejętność – dziwnie dzielona umiejętność – pozwalała jednemu człowieka zatruć, podczas gdy drugi potrafił leczyć. Kale poświęcił się, dobijając targu z tatą. Aubreyowi pozwolono mnie wyleczyć, jeśli Kale wróci do Denazen, ale tata nie zamierzał dotrzymać umowy. Aubrey miał za zadanie dać mi antidotum i sprowadzić mnie do Denazen albo pozwolić mi umrzeć. Postanowił jednak dać mi antidotum, wyleczyć mnie i puścić, odchodząc z przyrzeczeniem, że będzie się opiekował Kale'em. – Co oni mu zrobili, Aubrey?

– To na pewno nie jest czas i miejsce...

Chwyciłam go za połę płaszcza i porządnie potrząsnęłam. Był wyższy od Kale'a – miał pewnie z metr dziewięćdziesiąt i musiałam odrzucić głowę w tył, żeby na niego spojrzeć.

– Co oni mu zrobili?

– Dostał Dominację. To jest...

– Działająca wersja Supremacji. – Alex wzniosł oczy ku niebu. – Tak, wiem, ale Dez chyba chodzi o jego mózg. Co mu zrobili z głową?

– On uważa, że ja jestem Kiernan. I że Kiernan to... – Nie mogłam dokończyć, bo wspomnienie o tym, jak ją pocałował na imprezie, wciąż powoli wyzerało mi dziurę w duszy. – Co to za lek? Ma jakieś efekty uboczne?

I proszę, powiedz mi, że można to jakoś naprawić...

Aubrey pokręcił głową. Jego rozpuszczone włosy powiewały na wietrze.

– To nie była Dominacja. Zrobiła to jakaś Szóstka. Nie chcieli mu dawać leku, zanim nie będą pewni, czy można nad nim zapanować. Zmieniłi mu wspomnienia i przy okazji mało brakowało, a by go zabili.

Poczułam ściskanie w żołądku.

– Co takiego?

– Chodzi o ciebie, Dez. O ciebie. Im bardziej próbowali wymazać wspomnienie o tobie, tym silniej walczył. W końcu nie mogli tego zrobić, nie zabijając go, więc musieli podstawić za

ciebie Kiernan.

W jakiś dziwny sposób wyznaczenie Aubreya nappełniło mnie radością. Było dokładnie tak, jak powiedział Alex. Jeżeli do tego stopnia byłam zakorzeniona w podświadomości Kale'a, to cokolwiek, co by zrobiła ta Szóstka z Denazen, my możemy to odkręcić. Jakoś się to da naprawić.

– Coś jeszcze? Coś, co mogłoby pomóc?

– Mogę powiedzieć tylko tyle, że Cross się martwi, że ta zamiana nie potrwa długo.

Mindy, Szóstka, która tego dokonała, codziennie pracuje z Kale'em. Wmawia mu, że próbuje odzyskać jego wspomnienia, podczas gdy tak naprawdę dba o to, żeby Denazen nie straciła nad nim kontroli.

To była świetna wiadomość!

– Więc jeżeli uda nam się utrzymać go z dala od tej laski, zaczniesz coś sobie przypominać? Aubrey się zawahał i wyrzwał zza skały. Kiedy się odwrócił, miał ponury wyraz twarzy.

– To możliwe, ale gwarancji nie ma. Widziałem ludzi, którym wymazano pamięć i nigdy jej nie odzyskali. Ale Kale jest inny. W Denazen nie są pewni, co się stanie, jeżeli nie będzie przy nim Mindy. Prawdę mówiąc uważam, że bardziej się martwię o to, żeby mu coś nie odważyło.

– To znaczy? – spytał Alex. Złożone dłonie zbliżył do ust i dmuchnął.

Księżyc znów wypłynął na niebo i oświetlił przygnębioną twarz Aubreya.

– Jeszcze jednego nie potrafili wymazać – gniewu, który Kale czuł wobec Denazen.

Zazwyczaj to kontroluje, ale kiedy odebrali mu wspomnienia i zaczęli mieszać w głowie, poruszyli gniazdo os. Ten facet ma poważne problemy. Większość życia spędził w Denazen. Pewnie wiecie, co mu zrobili. Może i go kontrolują, ale dają słowo, on gdzieś tam w środku jest. No i ten jego cały gniew... Cross boi się, że to żywa bomba zegarowa.

Przypomniałam sobie, jak kiedyś Kale patrzył na Samsena. W jego oczach była czysta wściekłość. Nienawiść. Każdy z nas ma jakąś ciemną stronę. Myśli i uczucia, które ukrywamy przed innymi. Wiedziałam, że Kale uważa się za potwora, bo robił straszne rzeczy, będąc pod skrzydłami Denazen. Może nie wiedział, co począć z tym gniewem. Takich uczuć nie da się trzymać pod kloszem przez całe życie. Trzeba sobie z nimi jakoś radzić.

– Muszę być z nim sam na sam.

Aubrey pokręcił głową.

– Trzymaj się od niego z daleka.

– Nie – zaoponowałam. – Coś zobaczyłam. Iskierkę. Mój Kale ciągle tam jest.

– Jakieś fragmenty twojego Kale'a – poprawił mnie. – Ale uwierz mi, to nie te, które chciałabyś zobaczyć. – Wcisnął dłonie w kieszenie długiego płaszcza. – Poza tym rzadko wypuszczają go samego. Jeżeli nie przykleja się do niego Kiernan, Cross wysyła z nim mnie.

– Więc potrzebuję twojej pomocy. Powiedz mi, gdzie będzie następnym razem. I zrób tak, żebyś to ty z nim poszedł.

– To samobójstwo, Dez. Był niebezpieczny, zanim podali mu lek. Teraz jest dziesięć razy gorzej. Czas spędzony poza Denazen nie jest żadną gwarancją, że sobie coś przypomni.

– Może nie, ale jeden z dzieciaków Supremacji mógłby pomóc.

Aubrey był nieprzekonany.

– Zakładasz, że znajdziecie któregoś z nich żywego, wciąż zdolnego do przeliterowania własnego nazwiska? Widziałem taki powolny upadek. To nie jest ładny widok. Te dzieciaki zamieniają się w zaślinionych psycholi... – Przerwał na chwilę, kiedy Alex zrobił głupią minę. – No tak. Przepraszam.

– Ja nie mam zamiaru się ślinić. I dziękuję bardzo za podpowiedź. – Wzięłam oddech przez lekko zaciśnięte usta. – Dlaczego nam pomagasz? To znaczy, rozumiem, dlaczego kilka

miesiący temu mnie uratowałeś, ale dlaczego dzisiaj nam pomagasz?

Aubrey milczał. Już myślałam, że nie odpowie, kiedy westchnął ciężko.

– Obiecałem coś kiedyś Kale’owi. Może tego nie pamięta, ale ja tak.

Alex zmrużył oczy. Nie było żadną tajemnicą, że nie ufał Aubreyowi. Ja też nie ufałam mu w stu procentach, ale byłam skłonna dać mu szansę. Sądząc po tonie głosu Alexa, on takiej szansy nie chciał dać.

– Przynależ mu coś? A co?

Aubrey pokręcił głową.

– To nieważne. Musisz wiedzieć, że rozumiem, co czujesz i nikomu bym tego nie życzył.

– Odsunął się o krok. – Więc co zamierzacie? Chcecie zaprosić Kale’a na przejażdżkę? Nie ma sposobu, by go wyrwać gdziekolwiek, dokąd nie chciałby pójść.

Miał rację. Kale’a nie można nigdzie zaprowadzić, ale miałam pewien plan. Sięgnęłam po komórkę do tylnej kieszeni spodni i podałam ją Aubreyowi.

– W takim razie zrobię tak, żeby on przyszedł do mnie.

Do domu wróciliśmy przed piątą rano. Byłam przemoknięta i kulałam, bo miałam skręconą kostkę. Czułam, że całe ciało mi zdrętwiało. Ashley zniknęła i chociaż Alex w drodze powrotnej próbował mnie przekonywać, że to nie moja wina, doskonale wiedziałam, że nie ma racji. Mogłam podejść do tej sprawy zupełnie inaczej. Było tysiące sposobów. Pozwoliłam, żeby mój gniew zapanował nad całą sytuacją i chciałam jedynie sprowadzić Kale'a do domu. Zrobiłam coś, co było wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Mama, Ginger i Dax byli na tyle mili, że przywitani nas, czekając w drzwiach. Na ich twarzach malował się niepokój, ale jednocześnie wdzięczność za to, że przejęliśmy inicjatywę i pojechaliśmy pomóc Ashley.

Jednak nie do końca.

– Wiem, że się powtarzam, ale chcę zapytać, co ty sobie w ogóle myślisz? – Mama chodziła od ściany do ściany kuchni. Ręce miała wciśnięte do kieszeni flanelowych spodni od piżamy w pingwinki.

– Czemu nikogo nie obudziliście? – spytał Dax, patrząc niechętnie na Alexa. Wyglądał na zaspanego. – Pojechaliście tam sami. To było głupie, nawet jak na waszą dwójkę.

– Nie było czasu – odparł Alex. – Pojechaliśmy razem. Wróciliśmy razem. Wszystko jest w porządku.

Wkrótce po tym, jak spłonął hotel, Alex wyprowadził się ze swojego mieszkania i wprowadził do kompleksu Daxa. Mieszkanie pod jednym dachem z kimś takim, jak Alex, jest samo w sobie dziwaczne, ale jeśli do tego dochodzi fakt, że kiedyś był moim chłopakiem? Jak to można określić? Masakra? A jednak tym razem postanowiłam go w tym wesprzeć.

– Alex ma rację. Nie było czasu. – Odwróciłam się do Ginger. Wszyscy już wyrazili swoje zdanie, a ja wiedziałam, że ona też doda coś od siebie. – Teraz twoja kolej. Powiedz nam, że byliśmy głupi, że pojechaliśmy ją ratować.

Usta starej kobiety zadrżały. Jednak Ginger zamiast rzucić się na mnie, tylko się wpatrywała. Niedobry znak. Wizjonerka. Widziała ścieżki życiowe ludzi, patrząc im w oczy – pewnie wiedziała od miesięcy, że zrobimy to, co zrobiliśmy. Haczyk polegał na tym, że przestrzegając jakiegoś własnego dziwnego kodu moralnego, odmawiała informowania kogokolwiek o tym, co widziała. Moim zdaniem to było samolubne – poskutkowało śmiercią jej córki i dwukrotnym uwięzieniem wnuka.

Wstrzymałam oddech, bo byłam pewna, że oskarży mnie o to, że włamałam się do jej pokoju i dorwałam w ręce tę teczkę, ale ku mojemu zdziwieniu tylko zapytała:

– Znaleźliście ją?

Alex zmarszczył brwi. Rzucił mi szybkie spojrzenie, a później odwrócił się do Ginger.

– Nie zdążyliśmy na czas. Aubrey powiedział, że zabrali ją rodzice. Nie mogliśmy nic zrobić.

– Aubrey? – spytał zdziwiony Dax. Chwycił mamę za rękę, kiedy przechodziła i usadził ją na fotelu obok siebie. Całe szczęście. Zaczynało mi się kręcić w głowie. Ja też lubiłam chodzić od ściany do ściany, ale jeżeli robił to ktoś inny, dostawałam świra.

– Dlaczego wierzyć w to, co on mówi?

– Nie jest święty, ale mnie uratował. Dwa razy. Wczoraj w nocy pomógł nam też uciec przed Kale'em. – Pewnie nie dałabym mu ani adresu domowego, ani hasła do maila, ale byłam przekonana, że chciał pomóc.

– Przed Kale’em? – Mama nachyliła się w moją stronę. W jej głosie pobrzmiwała nuta niepokoju, ale oczy błyszczały nadzieją. – Kale też tam był?

Ginger rozparła się w fotelu, nieporuszona.

– A co jeszcze Aubrey wam mówił?

– Potwierdził to, co wcześniej mówił Alex na temat jakiejś Szóstki, która podmieniła Kiernan za mnie w pamięci Kale’a. Jakaś dziewczyna. Mindy. Każą mu się z nią codziennie spotykać, żeby nie straciła nad nim kontroli. – Jeżeliby mi się udało przekonać ich, żeby wyciągnęli Kale’a z Denazen, to prędzej czy później wszyscy byśmy na tym skorzystali, a ja zrobiłabym i powiedziałabym, wszystko to, co trzeba. – On tam jest, mamó. Widziałam go. Jest zdezorientowany, zlasowali mu mózg, ale jest cały i... żywy.

Na jej twarzy malował się żal i dopiero po chwili zdałam sobie sprawę dlaczego. Nie wierzyła, że go ściągniemy z powrotem. Nikt z nich w to nie wierzył. Mama go kochała, ale nie miała nadziei na to, że Kale w ogóle wróci do domu.

– Dax i ja jedziemy na lotnisko – powiedziała mama, prostując się. Dax wstał i podał jej rękę. – Jedna z dziewczyn z listy, Andrea Marko mieszka w Kalifornii. Potwierdziliśmy przez kogoś, że żyje i mieszka we własnym niewielkim mieszkaniu w Soho. Lecimy za trzy godziny i mam nadzieję, że wróci z nami.

– Innych nie znajdziemy żywych – rzekł Alex. Spojrzał na Daxa z takim wyrazem twarzy, że poczułam ściskanie w piersi. – Uważam, że powinniśmy się skupić na tej dziewczynie, Penny i na Kale’u. Wszyscy wiemy, jak działa Cross. Jest kompletnie porąbany. Pośle za Dez tego świrusa.

– Moi ludzie namierzają Penny Mills – powiedziała Ginger. – Do czasu, kiedy coś nie wyskoczy, będziemy szukać dzieci Supremacji. Wszystkich nie uratujemy, ale niektórych na pewno. Ja nie odpuszczam.

Niektórych na pewno.

To zdanie było najbliższe ujawnienia jej planów. Mówiła, że najgorsze dopiero nadejdzie i że ja, i Alex zapłacimy najwyższą cenę. Pewnie powinnam czekać spokojnie, aż niebo zapadnie mi się na głowę, ale jeślibym tak postępowała, nigdy bym niczego nie osiągnęła. W moim świecie niebo zawsze zapada się na głowę. Jeżeli chodziło o plan Ginger, największy problem miałam z tym, że tracimy czas, goniąc za ludźmi, którzy już i tak nie mają szans i ona o tym wie. Powinniśmy się skupić na Kale’u.

– Wszyscy już wstali, więc możemy zaczynać. – Sięgnęła ręką do kieszeni i wyjęła dwa skrawki papieru. Podąa jeden mnie, a drugi Alexowi. – Przygotujcie się i w drogę – powiedziała. To są nazwiska dzieciaków żyjących mniej więcej na naszym terenie. Prawdę mówiąc, to dwa ostatnie nazwiska. Reszta mieszka poza granicami stanu – zajmą się nimi Dax i Sue.

Sięgnęłam po karteczkę, jednak Alex nie ruszał się z miejsca. Wpatrywał się w dłoń Ginger, jak gdyby mu kazała przytulić do piersi kobrę.

– Różne nazwiska? To chyba nie jest najlepszy pomysł.

Rzuciła mu spojrzenie kątem oka, każąc mu się przymknąć. Ostatnio we wszystkim się z nią zgadzał, a teraz wybrał akurat ten moment, żeby coś chlapanąć?

– Wczoraj mówiłaś, że nikt nie pójdzie sam. Dzisiaj zmieniasz zdanie? – mówił dalej. – Co jest, do cholery?

– Nie pójdiesz sam. Weźmiesz ze sobą Jade – powiedziała Ginger.

– Bo to lepsze niż pójść samemu? – odparł prowokacyjnie, wrywając jej karteczkę z ręki. – A co z Dez?

– Jestem pewna, że docenia twój niepokój, ale nic jej nie będzie – powiedziała Ginger, uderzając laską o stół. – A teraz do roboty!

Mrucząc coś niechętnie pod nosem, Alex wstał i wyszedł z kuchni na sztywnych nogach. Jeżeli miałabym zgadywać, siedł obudzić Jade. Ostatnim razem wylał jej na głowę parę litrów wody z lodem. Następnego dnia rano ona w odpowiedzi przywaliła mu słoikiem zimnego sosu pomidorowego. Niezła z nich parka. Denazen nie odważy się ich zaatakować, bo dostać się w sam środek ich kłótni z rękoczynami, to zbyt niebezpieczne. Tylko szalenie chciałby to zrobić.

Kiedy wróciłam do pokoju, mama popatrzyła na mnie długo i przeciągle.

– Czy mogę ci na tyle zaufać...?

– ...żebym się porządnie zachowywała? – skończyłam za nią zdanie. – Raczej nie.

– Zachowywała? – odparła. – Miałam tylko nadzieję, że wykażesz się zdrowym rozsądkiem.

Kiedy mama wczuwała się w swoją nową życiową rolę, z dnia na dzień stawało się dla mnie bardziej oczywiste, że byliśmy bardzo podobne. Odziedziczyłam po niej siłę, upór i sarkastyczny humor.

– Będę ostrożna – rzekłam.

Skinęła głową, ale stojący obok niej Dax nie wyglądał na przekonanego. Wyszli bez słowa, zostawiając mnie i Ginger same.

– Kogo chcesz mi przydzielić? Bo jeżeli powiesz, że tę małą, która potrafi odczytywać ludzkie umysły i pachnie jak naftalina, to wycofuję się z umowy.

– Możesz pójść sama – powiedziała po chwili.

– Mogę?

– Tobie zostawiam decyzję.

– Uważam, że to głupie. Wiesz, dlaczego? Kazałaś Alexowi zabrać Jade.

Nie odpowiedziała i wtedy zrozumiałam. Przynęta. Posługuje się mną jak przynętą.

– Tam będzie Kale, prawda?

– Niewykluczone – odparła z kamienną twarzą.

– Czy to jest kod oznaczający „tak”? Bo nie spodziewam się, że powiesz mi prawdę.

– Być może. Szanse, że tam będzie są spore. Nawet jeżeli wiedziałabym na pewno, to bym ci nie powiedziała. Jednak prawda jest taka, że nie mam pewności.

Nie kupiłam tego.

– Co, znowu masz załamkę?

Wyglądała na urażoną.

– Wykluczone. Oskarżasz mnie o to, że znam wszystkie szczegóły waszego życia i nie dzielę się nimi z jakichś osobistych powodów, Deznee. Nie wiem, ile razy ci już mówiłam, że to nie tak działa.

Podniosłam oczy do góry. Znowu to samo.

– Nie wiem, jakie płatki będziesz jeść, kiedy się zbudzisz, jaki wzorzysty ciuch założysz albo na jaki idiotyczny kolor pofarbujesz włosy. Wiem tylko to, co jest najbardziej kluczowe – chwile, które definiują całe twoje życie. A to, co jest pośrodku, między wierszami, jest przede mną ukryte.

– I to, że jadę sprawdzić to nazwisko, to nie jest kluczowy moment w moim życiu.

– Nie.

– Jednak sądzisz, że jest szansa, że Kale się pojawi?

– Uważam, że to możliwe.

– Dlaczego?

Zawahała się. Przez chwilę nerwowo bawiła się rączką laski, a później podniosła wzrok i spojrzała na mnie.

– Wiedziałam, że pojedziesz wczoraj do Ashley.

– Więc wczoraj był jeden z takich kluczowych momentów? – Przypomniałam sobie las.

Nic mi się specjalnie nie rzuciło w oczy.

– Tak, ale nie dla ciebie.

I właśnie wtedy zrozumiałam. Nie postrzegła mnie tego dnia poprzez moją ścieżkę – zobaczyła mnie tam na ścieżce Kale’a.

– Więc w takim razie jestem przynętą. Zgadza się?

Ginger nikomu się nie usprawiedliwiała za to, jak postrzega świat. Jeżeli chodzi o mnie, to było w porządku.

– Zasadniczo tak. A to dla ciebie jakiś problem?

– Chodzi o Kale’a, więc problemu nie ma. I to jest ważne, prawda? Powiedziałaś właśnie, że to nie była jedna z tych chwil definiujących moje życie. To znaczy, że dla mnie to nic ważnego, ale ja to widzę inaczej. – Czekałam, aż mnie poprawi albo przynajmniej się skrzywi. – Poza tym mam wrażenie, że stajesz się trochę bardziej ludzka.

Uniosła brwi i po raz pierwszy, odkąd się spotkałyśmy, wyglądała na naprawdę wkurzoną.

– A co, sądzisz, że nie chcę znaleźć mojego wnuka? Że mnie nic nie obchodzi?

Obeszłam stół i zatrzymałam się na chwilę w drzwiach. Kochała Kale’a na swój sposób, ale była skupiona wyłącznie na tym, żeby wypalić z korzeniami Denazen. Była przekonana, że skoro jej rodzina jest odpowiedzialna za stworzenie tego potwora, ona musi go własnoręcznie zniszczyć. Nie miałam złudzeń, że w jej oczach wszyscy byliśmy na froncie i każdy z nas mógł oberwać przelatującą kulą.

– Wiem, że ci zależy, Ginger, ale na pewno nie tak bardzo, jak mnie.

Ginger łaskawie pozwoliła mi wziąć prysznic i na łapu capu zjeść owsianego batonika, po czym praktycznie wrzuciła mnie do windy i wypchnęła na ulicę. Byłam zmęczona, kiedy rano wróciliśmy z Alexem, ale teraz, wiedząc, że mam szansę załatwić pewne sprawy z Kale'em, a on może być tuż za rogiem, poczułam nowy zastrzyk energii.

Tym razem jechałam zdezelowanym samochodem Ginger spotkać się z Thomem Morrisem. Trzy tygodnie temu miał urodziny, więc nadzieja była marna. Nawet, jeżeli znajdę go żywego, czy będzie coś do ocalenia? A może zastanę kogoś takiego, jak Fin? Plotącego coś bez sensu, niemal już zwierzę, a nie człowieka.

Zanim wyszłam, świsnęłam z blatu kuchennego komórkę Alexa. Pewnie mnie za to później zabije, ale nie chciałam wychodzić bez telefonu, a mój dałam w nocy Aubreyowi.

Do domu Thoma dotarłam o jedenastej. Niedaleko – mówiła Ginger. Więc okazuje się, że jej koncepcja „niedaleko” to cztery godziny jazdy. Założę się, że posłała mnie tam bez snu jedynie dlatego, że z góry wiedziała, że dojadę w jednym kawałku.

Oczywiście, uwielbiałam podróże, ale siedzenie bez ruchu cztery godziny, kiedy się ma tyle na głowie, to nie bajka. Jeżeli do tego dodać zepsute radio, byłam gotowa walić czołem o kierownicę po dziesięciu minutach jazdy.

Matka Thoma – zniszczona życiem, drobna kobieta poinformowała mnie, że syn zaginął miesiąc temu. Szuka go policja, ale funkcjonariusze są przekonani, że uciekł z domu. Może i tak, ale założę się, że ktoś mu w tym pomoże. Sądząc po napuchniętych powiekach i zaczerwienionym nosie pani Morris, doszłam do wniosku, że jeżeli w domu jest agent Denazen, to na pewno jej mąż. Ta kobieta była wyraźnie nieszczęśliwa. A tak nie zachowuje się ktoś odpowiedzialny za oddanie nastoletniego syna w łapy przestępczej organizacji. Podałam jej numer komórki Alexa i poprosiłam o telefon, jeśliby się czegoś dowiedziała, a później wróciłam do samochodu zaparkowanego kilka domów dalej.

Siedziałam w aucie przez godzinę, mając nadzieję, że pojawi się Kale, ale auta przejeżdżały obok mnie i żadne się nie zatrzymało. Kale wiedział, że szukamy dzieciaków Supremacji, a Thom był jednym z ostatnich, którzy mieszkali w okolicy, więc to logiczne, że tu będę.

Włączyłam silnik. Palce miałam zdrętwiałe z zimna, więc włączyłam ogrzewanie na pełny regulator. Zaczęło padać i kiedy przyglądałam się płatkom śniegu spadającym na szybę, poczułam, że gdzieś głęboko w piersi rodzi się ból. Mieliśmy tyle planów, Kale i ja. Jego pierwsze święta i pierwszy śnieg. Opowiadałam mu o sankach, mieliśmy pójść do parku Memorial, kiedy tylko zacznie się robić biało. Była tam najlepsza górka do zjeżdżania na sankach w całej okolicy.

Kiedy tak siedziałam, zacierając ręce przed kratką nadmuchu powietrza, dźwięczało mi w głowie pytanie mamy. *A jeżeli ci się nie uda?* Aubrey powiedział, że zrobili mu wielką krzywdę. Jeżeli to będzie znaczyło, że Kale nie odzyska wspomnień, będę musiała zaczynać wszystko od początku.

Dobrze. Tak właśnie zrobię. Pojawienie się Jade we wrześniu dowiodło, że Kale i ja jesteśmy twardzi jak skała. Jade dała mu szansę dotykać kogokolwiek, kogo zechciał – łącznie z nią – a on jednak wybierał mnie. Wciąż słyszałam echo jego słów.

Jeśli miałbym zdolność dotykania kogokolwiek innego na świecie, wciąż jestem przekonany, że dotykałbym tylko ciebie.

Zamknęłam oczy i wypuściłam oddech. Nigdy, przenigdy się nie poddam. Wiele rzeczy nam przeszło koło nosa, ale przyrzekłam sobie solennie, że dostanie ode mnie pierwszy pocałunek noworoczny.

Chwilę później otworzyły się drzwi i ktoś pojawił się w samochodzie razem z podmuchem zimnego wiatru.

– Daleko od domu, prawda? – spytał Kale, kiedy zatrzasnęły się drzwi.

Poczułam jednocześnie radość i strach. Otworzyłam oczy, ale patrzyłam wprost przed siebie. Jeżeli bym unikała spoglądania na niego, wszystko byłoby łatwiejsze.

– To samo można powiedzieć o tobie.

– Jedź.

Nie wahałam się ani nie zadawałam pytań. Przecież na to liczyłam, prawda? Kolejna szansa, żeby znaleźć się z nim sam na sam. Jeżeli tu jest, Aubrey wykonał już swoją część zadania. Wrzuciłam bieg, odjechałam od krawężnika i dotknęłam pedału gazu. Samochód ślizgał się po lodzie, przez sekundę opony nie mogły złapać gruntu, a później ruszył do przodu.

– W prawo na końcu ulicy, później przejedź trzy przecznice i wjedź na parking.

Zrobiłam, jak mi kazał, skupiając całą energię na niespuszczaniu oczu z drogi. Parking był pusty, więc wjechałam i zaparkowałam na samym końcu, tuż przy ogrodzeniu z łańcuchów.

– Chcesz mnie sprowadzić, czy wykończyć?

Coś przywaliło w deskę rozdzielczą, a ja podskoczyłam z pół metra do góry.

– Wyjaśnij mi coś.

Odwróciłam się powoli, próbując unikać bezpośredniego spojrzenia na Kale'a i zobaczyłam na desce rozdzielczej leżącą między nami komórkę. Uśmiechnęłam się, zadowolona.

– Pamiętam, że to przerabialiśmy kilka miesięcy temu. To telefon komórkowy. Możesz z niego dzwonić do kogo chcesz – powiedziałam.

– Weź telefon – warknął. Zrobiłam, co mi kazał i sięgnęłam po komórkę. Dałam ją w nocy Aubreyowi i kazałam mu zrobić tak, żeby Kale ją zobaczył, a zwłaszcza przechowywane w niej zdjęcia. Komórka była włączona, a na ekranie widniał otwarty folder ze zdjęciami. A konkretnie ze zdjęciem Kale'a i mnie.

Aubrey znów mnie uratował.

– Masz mi to wyjaśnić – rozkazał. – Kto jest z tobą na tym zdjęciu?

Już miałam wypowiedzieć jakąś sarkastyczną uwagę, ale przełknęłam ją i westchnęłam.

– Nie ma co wyjaśniać, Kale. To ty. I ja. Nasz przyjaciel Dax zrobił te zdjęcia tuż przed rozpoczęciem szkoły. To znaczy, dziwacznej koncepcji szkoły według Ginger.

Na zdjęciu Kale i ja byliśmy przytuleni, z szerokimi uśmiechami na twarzach. Siedzieliśmy w świetlicy w hotelu w Sanktuarium, zanim się spalił. Pamiętam to, jakby to było dzisiaj. Godzinami rozmawialiśmy o Święcie Dziękczynienia i Bożym Narodzeniu, mieliśmy przyozdobić nasze pokoje największą możliwą ilością kolorowych lampek. Oczywiście do tego nigdy nie doszło. Święto Dziękczynienia nadeszło i za chwilę było już po nim, podobnie z Bożym Narodzeniem. Po raz pierwszy w całym życiu nie dotykałam kolorowych lampek ani nie całowałam nikogo pod jemiolą.

Kale wyrwał mi telefon z ręki, kiedy zaczął dzwonić. Patrząc niechętnie na aparat, powiedział:

– To jakaś sztuczka. Chciałaś, żebym to zobaczył.

Próbowałam mu go odebrać – to pewnie mama albo Ginger dzwoniły, żeby się dowiedzieć, co z Thomem – ale trzymał aparat poza zasięgiem moich rąk.

– Do cholery! Ja tylko chcę, żebyś się obudził! – Wyrwałam z zatrasku pas i odwróciłam

się, żeby na niego spojrzeć. – Namieszali ci w głowie. Jakaś Szóstka. Nie było żadnego wypadku. Nie ma żadnej Roz. A Denazen wcale ci nie próbuje pomóc!

Spojrzał na mnie swoimi stalowymi oczami.

– Powiedz mi, dlaczego mam ci wierzyć?

Miałam ochotę porządnie nim potrząsnąć. Cały ból i gniew, które dusiłam w sobie od momentu, kiedy zobaczyłam go odchodzącego z tatą i z Kiernan, wirowały mi w żołądku, gotowe lada chwila wybuchnąć.

– Popatrz na mnie i powiedz, że nic nie czujesz. Nic a nic.

Patrzył na mnie dłuższą chwilę. Jakaś iskierka zamigotała w jego oczach, ale to było przelotne wrażenie. Mgnienie oka.

– Czuję... Czuję tylko gniew.

– Dobrze. To już coś na początek. – Powiedziałam to głównie dlatego, że w jego oczach nie widziałam tylko gniewu, ale i zmieszanie, a co ważniejsze – ciekawość. Taki właśnie miałam cel.

Oparł się o drzwi od strony pasażera i uniósł brwi.

– Gniewam się i jestem na ciebie wściekły. I ty mówisz, że to dobrze?

– Powinieneś być na mnie wściekły, Kale. – Te słowa wymknęły mi się szybciej niż zdołałam pomyśleć. Nie zastanawiałam się nad tym, ale to była prawda. – Może cię nie dźgnęłam nożem ani nie zepchnęłam z mostu, czy cokolwiek, co tam ci wmawiają, ale to rzeczywiście jest moja wina.

Nic nie powiedział, więc ciągnęłam dalej.

– Byłam chora. Umierałam. Mój ojciec – Marshall Cross – tylko on mógł mi uratować życie. Powiedział, że da mi antidotum, jeśli jedno z nas zdecyduje się na to, żeby z nim pójść. I ty poszedłeś.

Wspomnienia odgrywały mi się w pamięci, jak tysiącrotnie odtwarzana płyta. Nie mogłam się pozbyć uczucia, że coś mi umknęło. Powinnam była coś zrobić, coś więcej, zapanować nad sytuacją.

Na przykład temu wszystkiemu zapobiec.

– Powinnam była jeszcze raz spróbować cię zatrzymać. Powinnam była go zmusić, żeby wziął mnie zamiast ciebie.

– Kłamiesz – powiedział bez ogródek.

– Nie kłamie.

Chwycił mnie za ramię, a jego krótko przycięte paznokcie wdarły mi się w skórę. Kilka sekund później czułam, że ogarnia mnie fala chłodu, która zaczęła się tam, gdzie spoczywały palce Kale'a, a potem rozszerza się na całe ciało. Postanowiłam, że nie będę tam patrzeć. Nie spuszczałam go z oczu, zacisnęłam szczęki i czekałam na ból.

Ból nie przyszedł. Nie tylko ja byłam zdziwiona.

Kale zrobił wielkie oczy. Patrzył raz na moją twarz, raz na ramię.

– Co...

Postanowiłam nie słuchać tych wszystkich głosów, które wrzeszczały z tyłu mojej głowy i zmusiłam się do tego, żeby spojrzeć na ramię. Od razu tego pożałowałam. Skóra pod palcami Kale'a była czarna, najciemniejsza na środku, a jaśniejsza kręgiem rozszerzającym się po ręce. Tuż pod jej powierzchnią masa czegoś czarnego obracała się, kurczyła i rozkurczała. Wyglądało to tak, jakby pod powierzchnią mojej skóry rój czegoś żywego tańczył w rytm heavymetalowej symfonii.

– Powinnaś wrzeszczeć – stwierdził wypranym z emocji głosem. Gdzieś w duszy chciałam się uśmiechnąć. To było jedno z tych prostych sformułowań, które wypowiedziałby mój

Kale. Bez owijania w bawełnę, prosto w cel.

– To część efektów ubocznych Supremacji. To znaczy po prostu, że skończę tak, jak inni.
– Pierwszy raz powiedziałam to głośno. Było w tym coś dającego poczucie wolności. – Najpierw zwariuję, a później umrę.

– Czemu nie próbowałaś uciekać? Oczywiście daleko byś nie uciekła. Jedynym powodem, dla którego wyrwałaś się wczoraj i w garażu było to, że ci pozwoliłem. Twoje działania mnie dezorientują. Może tego nie czujesz, ale musisz wiedzieć, że mogę cię zabić. Śmierć to śmierć. – Odsunął rękę, patrząc na mnie ze szczerym zainteresowaniem.

I ja przyglądałam się ramieniu, czując ulgę, kiedy czarny ślad blaknął.

– Mam nadzieję, że mnie nie zabijesz.

– Ale dlaczego podejmujesz takie ryzyko? Pragniesz śmierci? – Pokręcił głową. – Są łatwiejsze sposoby, żeby umrzeć.

– Nie pragnę śmierci – odparłam. – Prawda chyba jest taka, że nie wierzę w to, że mnie zabijesz.

– Kazano mi to zrobić. – Nacisnął przycisk w telefonie i wpatrywał się w nasze zdjęcie na ekranie. Palcem wskazującym wodził po konturze mojej głowy, marszcząc brwi. – Najpierw kazali mi cię sprowadzić. Marshall był przekonany, że powiesz im to, co chcą wiedzieć na temat podziemia. Później zmienili zdanie. Wydano mi dzisiaj rozkaz, że trzeba cię natychmiast wykończyć.

– A dlaczego uważasz, że to konieczne, Kale?

Przeszył mnie spojrzeniem znad telefonu.

– Przestań mówić do mnie po imieniu.

– Dlaczego?

– Bo ja... Po prostu przestań!

Podniosłam rękę w geście poddania.

– W porządku.

Wziął głęboki oddech, potem rozsiadł się w fotelu i patrzył na komórkę.

– Uważają, że jesteś niebezpieczna i zagrażasz temu, co robią.

– Czemu mi to mówisz?

To pytanie go zaniepokoiło, a później rozgniewało.

– Nie wiem. Nie jestem pewny.

Ścisnęłam mocniej kierownicę. Sucha skóra łuszczyła się na górze i oderwałam kawałek paznokciem.

– Mówiąc, że im zagrażam, masz na myśli zabijanie niewinnych dzieciaków?

– Ci ludzie nie są niewinni. Niektórzy są niebezpieczni i nieopanowani. Innych niedługo to czeka. To zaraza i trzeba ją powstrzymać.

– Nie tak dawno i ty nie potrafiłeś się opanować – odpaliłam. – Mówili, że sam jesteś zarazą.

Popatrzył na mnie, jakbym właśnie wyrecytowała alfabet w języku elfów.

– Zawsze panowałem nad swoim darem.

Nad darem? Żałowałam, że nie widział i nie rozumiał, ile zła jest w tym, co właśnie powiedział. Kale nigdy nie uważał swojej umiejętności za dar, tylko za przekleństwo. Za coś, co oddzielało go od reszty świata.

– Ci, którzy stali się niebezpieczni są zagrożeniem tylko dlatego, że są chorzy. Nie trzeba ich zabijać. Trzeba ich leczyć.

– Marshall powiedział, że antidotum wystarczy tylko na to, żeby wyleczyć Roz.

Chciałam nim potrząsnąć i wrzeszczeć, że nie było żadnej Roz. To wytwór wyobraźni.

Coś stworzonego, żeby mnie wymazać z jego pamięci. To nie miało jednak sensu. Przynajmniej na razie. Nic, co bym powiedziała, nie mogło przeniknąć przez ścianę, którą zbudowali.

– Wiele tego nie ma, ale jesteśmy pewni, że na pewno znajdziemy więcej.

Przez chwilę milczał.

– A jeśli rzeczywiście jest tego więcej? Co chcecie z tym zrobić?

– Wyleczyć ich – odparowałam. – A co innego?

– Powiedziałaś, że zostało niewiele antidotum. Jak wybierzesz tych, którzy będą żyć i tych, którzy umrą? Zostało ich jeszcze sporo. Na pewno dla wszystkich nie wystarczy.

Nie wiedziałam, czy mama i Dax będą mieli szczęście, szukając swoich zaginionych. Wielu żywych nie znaleźliśmy, jednak wciąż mogą jacyś być. To przynajmniej potwierdziła Ginger. Jeżeli nie znajdziemy tej Penny, ale uda nam się dorwać rezerwę ojca, rzeczywiście nie wystarczy dla wszystkich.

– Ja nie będę musiała wybierać. Kazano ci mnie wykończyć natychmiast, pamiętasz?

A tak przy okazji spytam, dlaczego jeszcze mnie nie zabiłeś?

Przez jego usta przemknął cień uśmiechu.

– Wydawało mi się, że nie chcesz śmierci.

– Nie, ale powiedziałaś, że masz rozkazy. Wyraziłeś się jasno – nie ufasz mi i nie wierzysz w to, co mówię. Więc dlaczego nie bierzesz się do roboty?

Popatrzył jeszcze raz na trzymany w ręce telefon. Na ekranie wciąż było nasze zdjęcie. Schował go do kieszeni i powiedział:

– Muszę najpierw się dowiedzieć, co to jest. Muszę być pewien. Dostałaś odroczenie wyroku do pierwszej w nocy.

To niewiele, ale zawsze coś.

A z czymś mogłam już pracować.

– To jakieś porwanie, czy jak? – Jeździliśmy w kółko przez ponad godzinę, a Kale wciąż mi nie mówił, co robimy ani dokąd zmierzamy. Jedyne, co powiedział, to żeby zjechać na autostradę międzystanową numer dziewięćdziesiąt. Dokładnie tego oczekiwałam. Im dłużej będzie mną zajęty, tym dłużej będzie daleko od Denazen i od Szóstki, która mu miesza w głowie. Może będzie czas, by powymiątać mu trochę pajęczyn z głowy. – Bo jeżeli jestem twoją zakładniczką, to powinny być, nie wiem, jakieś żądania?

Westchnął i kątem oka zobaczyłam, że szczypie się w nos, tak jak mama, kiedy się na mnie wkurzy.

– Za dużo gadasz.

– Podoba ci się mój głos. Mówiłeś mi to nieraz.

Prychnął.

– Teraz wiem, że kłamiesz.

Zamilkłam na kilka minut, a później znów go dźgnęłam pytaniem.

– Więc jedziemy... dokąd?

– Dowiemy się prawdy. I tylko prawdy.

– Ale dlaczego mamy odkryć prawdę, jeżdżąc bez sensu po okolicy? Jeżeli to jest jakieś nowe podejście, to nie bardzo wiem, czy daleko nas zaprowadzi. Poza tym prawie skończyła się benzyna, a ja jestem bardzo głodna.

– Nie gadaj, tylko prowadź. Zjedź zjazdem numer dwanaście.

Posłuchałam i dziesięć minut później zjeżdżaliśmy z autostrady zjazdem numer dwanaście. Komórka w kieszeni jego kurtki dzwoniła trzy razy. Jeżeli nie pozwoli mi odebrać, mama dostanie zawału serca.

Zjechaliśmy z autostrady. Jak okiem sięgnąć widziałam pola uprawne i gospodarstwa, co przypominało mi drewniany dom Daxa. Spokój. Żadnych jaskrawych świateł ani chaosu wielkiego miasta. Do niedawna byłam dziewczyną, która lubiła hałas. Spędziłam jednak trochę czasu w tym drewnianym domu i zaczęłam się przyzwyczajać do spokoju i ciszy.

– Dobra. A co teraz?

Rozejrzał się po okolicy, a później wskazał pobocze drogi. Widziałam tam tylko długie, białe płoty i nic więcej.

– Podjedź tam i wyjdź.

– Droga do objawienia z białym płotem? Kto by pomyślał... – Otworzyłam drzwi i wystawiłam nogę. Powiew lodowatego powietrza wdarł się do środka, a ja poczułam dreszcz na plecach. – Gdzie my jesteśmy?

Zamknęłam drzwi. Zaprotestowały, skrzypiąc. Byłam pewna, że jeżeli jeszcze parę razy wejdem i wyjdę, to odpadną. Oparłam się o płot i rozglądnęłam się po polu. Gdzieś dalej zauważyłam sześć grubych, brązowych krów pasących się na skrawku trawy.

– Nie będziemy chyba się teraz bawić w przewracanie krów?

Odwrócił się do mnie, unosząc brwi.

– W przewracanie krów?

– Naprawdę nie masz o tym pojęcia? – Postukałam się w czoło i powiedziałam: – Można by pomyśleć, że jeżeli namieszają ci w głowie, to dodadzą trochę rzeczywistości do lasowania mózgu.

Kale wywrócił oczami i podszedł do płotu.

– Znowu gadanie. Nigdy się nie męczysz? – Uniósł się na rękach, przerzucił nogę przez płot i znalazł się na drugiej stronie jak prawdziwy ninja. Przynajmniej to się nie zmieniło. – Chodź za mną.

Chociaż szczekanie rozkazami zaczynało mi się już powoli nudzić.

Szliśmy przez puste pole. Obeszliśmy krowy, żadnej nie przewracając, aż doszliśmy do skraju wysokiego urwiska skalnego. Nad szalejącą jakieś siedem metrów niżej rzeką biegł wąski drewniany most łączący naszą stronę z tą drugą.

– To tutaj – powiedział trochę zdziwiony. Okręcił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, pochłaniając oczami widok. – To się stało tutaj.

Na tabliczce na krótkim, drewnianym słupku było napisane: „Nie przechodzić na drugą stronę”. Kale albo jej nie widział, albo nic go nie obchodziła, bo wyszedł na środek mostu i pochylił się nad balustradą. Ruszyłam za nim, próbując z całych sił nie zważać na niezbyt subtelne trzeszczenie drewnianej konstrukcji. Z każdym krokiem i z każdym powiewem wiatru, most kołysał się z lewa na prawo. Stałam przy linii i patrzyłam, jak maleńkie kamyczki i ziemia odrywają się od desek i spadają do rzeki. Cudownie. Jeden nieostrożny ruch i oboje polecimy na złamanie karku.

– Gdzie się to zdarzyło?

– Tutaj zepchnęłaś mnie do rzeki – wypowiedział te słowa, ale bez przekonania. Tak, jakby zadawał pytanie, a nie stwierdzał fakt. Jego palce zaczęły wystukiwać o uda jakiś dziwny rytm. Raz. Dwa. Trzy. Zauważyłam to już u Ashley.

– Nigdy tu nie byłam. Musisz mi uwierzyć. – Odsunęłam się od balustrady, a deski pod moimi stopami głośno zatrzeszczały.

Odwrócił się i przygwoździł mnie spojrzeniem, które wprawdzie było śmiertelnie niebezpieczne, ale też pełne melancholii.

– Uwierzyć? Nie wierzę ci. Nie wierzę im. Nie wierzę jej. – Uniósł obie ręce i przyłożył do boków twarzy, odsuwając się od krawędzi mostu. – Sam sobie nie wierzę.

Przez cały czas męczyłam się z tym, jak mi jest ciężko. Jak bardzo mi go brakuje. Jak bardzo chcę, żeby wrócił. Oczywiście myślałam o tym, jak w dłuższej perspektywie ta cała sytuacja wpłynie na niego, ale nigdy nie pochyliłam się nad tym, jak Kale może się teraz czuć, a zwłaszcza, kiedy próbuję nim potrząsnąć.

– Dojdziemy do tego, Kale. Obiecuję ci.

Zamarł, ręce opadły mu luźno po bokach. Sekundę później naskoczył na mnie.

– Ty mi to zrobiłaś.

– Ja? Przysięgam, że nigdy nie byłam...

Przygwoździł mnie do chybotałej drewnianej poręczy tak, że musiałam się pochylić tyłem w kierunku wody. Jego twarz zawisła centymetry nad moją. Znowu skrzypienie i trzaski. Nie wiedziałam, ile ten most jeszcze znieśnie, zanim oboje spadniemy do wody.

– Ten lek dał ci zdolność, o której nie wiedzieli, prawda? Coś zrobiłaś, kiedy wczoraj mnie pocałowałaś. Zamieszałaś mi w głowie!

– Nie! – zarzekałam się, nie mogąc już dłużej tego wytrzymać. Poczułam łzy na policzkach i po raz pierwszy od chwili, kiedy się spotkaliśmy, naprawdę się go przestraszyłam. Aubrey miał rację. W Kale’u były obszary, które on sam trzymał na krótkiej smyczy, żeby zapanować nad ciemnymi stronami samego siebie. Tam gromadził się cały gniew na własną przeszłość i mroczne emocje. Denazen to wszystko uwolniła. – Proszę cię, Kale. Przestań i posłuchaj.

– Dosyć! – krzyknął. – Przestań już gadać. Przestań próbować mi mieszać w głowie. – Naciskał na mnie jeszcze bardziej, a ja byłam pewna, że oboje przelecimy przez poręcz

i wpadniemy do rzeki. Drewniane słupki wyły w niemym proteście. Czułam, że poręcz się poddaje, ugiwała się, gotowa zaraz pęknąć.

– Uspokój się – powiedziałam. – Mam pomysł. Sposób na to, by uporządkować bałagan w twojej głowie.

Trochę odpuścił i most przestał trzeszczeć. Bicie serca wróciło mi do w miarę normalnego tempa.

– Słucham.

– Chodzi o dzieciaka Supremacji. O Bena Simmonsa. Uważam, że może ci pomóc. Znów mnie popchnął a w jego oczach coś pociemniało.

– Łzesz. Bena Simmonsa nie ma na liście.

Odepchnęłam go, próbując bezskutecznie wysliznąć się spod ciężaru jego ciała.

– Jest, ale nic dziwnego, że o nim nie wiesz.

– To znaczy?

– Dałabym sobie rękę odciąć, że tata nie pozwoliłby ci zbliżyć się na milion kilometrów do tego faceta. On ma zdolność mieszania w ludzkich wspomnieniach.

– Więc teraz mi mówisz, że jest to obiekt Supremacji, który zrobił mi... – Postukał się po głowie. – ...właśnie to?

– Nie, ale na pewno była inna Szóstka – Szóstka z Denazen – która ma zdolność lasowania ludziom mózgow.

– I mam uwierzyć, że są gdzieś dwie Szóstki, które potrafią to samo – coś, co akurat pasuje do mojej sytuacji?

– Przekonałam się, że jeżeli chodzi o Szóstki, to istnieją różne odcienie tego samego koloru w ich zdolnościach. Ta Szóstka, która ci to zrobiła, ma podobną zdolność, co Ben Simmons. Jeśli miałabym zgadywać, to ten sam lek, który Supremacja dała Benowi Simmonsowi, znacznie wzmocnił jego zdolności – przynajmniej do chwili, kiedy umrze.

– Kłamiesz – powtórzył, ale już bez przekonania. – Nie ma Simmonsa.

– A jeżeli nie kłamię? – Zobaczyłam szczelinę w jego zbroi. Była niewielka, ale jeśli uda mi się tam wcisnąć choć krztę wątpliwości, może będę miała jakąś szansę. Strasznie chciał, żebym zapłaciła za to, co niby mu zrobiłam, ale jeszcze bardziej pragnął odzyskać własne życie. Jeżeli uda mi się utrzymać go trochę dłużej z dala od nich, być może je odzyska. – Skoro potrafi mieszać ludziom w głowie, bo dostał lek Supremacji, może potrafi również wyleczyć tych, którym namieszano.

Kale nic nie odpowiedział.

– Chciałeś, żeby ci zwrócono twoje życie, prawda? – Chęć odkrycia prawdy malowała się w jego oczach. To mogło zadziałać. Mogłabym znaleźć Bena Simmonsa, zanim znajdzie go Denazen i jednocześnie trzymać Kale'a z dala od Szóstki, która miesza mu w głowie. Być może Simmons naprawdę mógłby wykorzystać swoje możliwości i nam pomóc. – Więc daję ci sposobność, żeby je odzyskać. Ben Simmons naprawdę jest na liście podmiotów Supremacji, a to oznacza, że twój szef i jego córka coś przed tobą ukrywają. Może i nie wiesz zbyt wiele o swoim życiu, zanim to się stało, ale musisz wiedzieć, że tajemnice nigdy nie mają szczęśliwego zakończenia.

Odsunął się jeszcze o krok, ale nie wyglądał na przekonanego. I wtedy sobie przypomniałam zdjęcie dokumentów, które zrobiłam, a na nim nazwisko i fotografię Bena Simmonsa. Przesłałam je e-mailem do samej siebie.

– I potrafię to udowodnić!

– Dobra, to udowodnij.

Wyciągnęłam rękę.

– Potrzebuję telefonu.

Zawahał się, a później wyjął komórkę z kieszeni kurtki. Sięgnęłam po nią, ale kiedy zacisnęłam na niej dłoń, on nie puścił. Wciąż patrząc mi w oczy, powiedział:

– Tylko nie próbuj żadnych sztuczek.

– Nie mam takiego zamiaru. – Zmusiłam się do uśmiechu i włączyłam telefon. Na szczęście, chociaż byliśmy w samym środku pustkowia, sygnał był na tyle silny, że połączyłam się z Gmailem. – Patrz. Widzisz? To zdjęcie zrobiłam wczoraj. Akta Bena Simmonsa.

Zmrużył oczy i przysunął komórkę do twarzy, a później odwrócił ją na bok, jakby chciał jej się dokładnie przyjrzeć.

– To może być podróba.

– Na pewno – zgodziłam się. – Ale nie jest.

Kale wpatrywał się w wyświetlacz, a później, kiedy oddał mi komórkę, byłam pewna, że tego nie kupił. Zamiast jednak znowu mnie zaatakować, spytał:

– A gdzie on jest?

W głębi duszy odetchnęłam.

– W Connecticut. To całkiem niedaleko stąd. – Kiedy Kale nic nie odpowiedział, zrobiłam się nerwowa i zaczęłam naciskać: – A co się może stać? Jeżeli kłamię – a nie kłamię – możesz dokonać swojej dziwacznej zemsty później, a nie od razu. Nie masz nic do stracenia. Nie, żebym cię mogła pokonać albo coś w tym guście.

Prychnął, a na jego ustach pojawił się dobrze mi znany uśmiešek.

– Oczywiście, że nie możesz.

Wstrzymał oddech. To mógł być złoty strzał.

Po chwili skinął głową.

– Dobrze. Jedziemy.

Wyrzuciłam ręce w górę w geście radości, kiedy sięgnął do mojego ramienia.

– Chwileczkę, chłopcze. Nie możemy ot tak sobie ruszyć do szturm na zamek. Musimy kilka rzeczy uzgodnić.

Znów wyraz rozbawienia na jego twarzy.

– Tak? A cóż takiego?

– Na początek, tak jak mówiłam wcześniej, w samochodzie już nie ma benzyny. A ja nie mam pieniędzy. Ty masz?

– Mam mnóstwo pieniędzy – odparł, robiąc pogardliwą minę. – A nawet gdybym nie miał, przecież możesz trochę naprodukować. Roz powiedziała mi o twojej umiejętności. Potrzebujemy tylko papieru. – Gestem kazał mi iść naprzód. Zgodziłam się bez wahania, bo strasznie chciałam już zejść z tego mostu. Deptał mi po piętach, nie pozwalając oddalić się nawet na pół metra.

– To prawda, ale to nie jedyny problem – powiedziałam, kiedy dotarliśmy już na wspaniale twardy grunt. – Powinnam już wracać tym złomem. Słyszałeś, że dzwonił telefon. Próbują sprawdzić, gdzie jestem. Jeżeli nie odpowiem ani się nie pokażę, zaczną mnie szukać. Musisz mi pozwolić zadzwonić do domu.

Skinął głową na komórkę.

– W porządku. Zadzwoń, ale uważaj, co mówisz.

– Uważaj? A jak myślisz, co chcę powiedzieć? Że wybieram się z tobą w romantyczną podróż?

– Nie zdradzaj im, gdzie jesteśmy.

– Takich planów nie mam.

Przeciągnęłam się, żeby rozprostować plecy. Coś mi tam strzeliło, kiedy Kale wciskał

mnie w balustradę. Ostatnią rzeczą, jaka mi przychodziła do głowy, było zdradzenie, gdzie jesteście. Mama i Ginger nigdy by się nie zgodziły na mój plan. Była spora szansa, że przykułyby mnie łańcuchem do ciężkiego mebla na następne piętnaście lat, jeśliby się o nim dowiedziały.

– Zadzwoń do nich i powiem, że będziemy szukać Bena Simmonsa, ale najpierw musimy coś zjeść, bo inaczej nigdzie nie jadę.

– Zgoda. Ale tylko dlatego, że i ja jestem głodny. A sprawdzimy, co z tym facetem, tylko dlatego, że jestem ciekaw. Ty jedziesz, bo nie masz wyboru. Ja nad wszystkim panuję. Nie zapominaj o tym.

Zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej po paliwo i coś do jedzenia. Zaproponowałam Kale'owi, żeby poszedł zapłacić, a ja dokończę tankować i nie będziemy tracić czasu, ale on tylko patrzył na mnie niechętnie i czekał z założonymi na piersi rękami, kiedy ta kupa złomu na kółkach łąpczywie piła benzynę.

Niektórzy ludzie są tak cholernie nieufni.

Kiedy zapłacił, stał obok, podczas gdy ja wykręciłam numer komórki mamy. Wybrałam ją głównie dlatego, że wiedziałam, że nie odpowie i będę mogła zostawić wiadomość. Powiedziałam im, że ze mną wszystko w porządku i że idę za pewnym śladem. To ich na pewno wkurzy, że mówię tak niejasno, ale da mi czas i jeśli wszystko dobrze pójdzie, Ginger przestanie wydzwaniać. Za każdym razem, kiedy dzwonił telefon, Kale stawał się coraz bardziej podminowany. W tym stanie nie wiadomo, co mogłoby go zepchnąć z krawędzi, a ja nie miałam zamiaru się przekonywać.

Byliśmy w drodze może czterdzieści minut, kiedy odezwał się nieznany mi dźwięk telefonu. Kątem oka patrzyłam, jak Kale wkłada rękę do kieszeni kurtki i wyjmuję komórkę. W końcu góra przyszła do Mahometa.

– Masz telefon? Naprawdę?

Zignorował mnie i podniósł komórkę do ucha, jak najdalej ode mnie.

– Tak?

Nie dałam rady podsłuchać, co mówił jego rozmówca, ale to na pewno był jakiś facet i raz czy dwa usłyszałam nazwisko ojca.

– Aubrey i ja rozdzieliliśmy się, żeby iść różnymi śladami. On pojechał do Bakersfield, a ja sprawdzić, co z Thomem Morrisem. Morris prawdopodobnie miesiąc temu wyprowadził się z domu. Rozmawiałem z matką. Powiedziała, że pojechał gdzieś do znajomych. Będę chciał to zweryfikować, zanim wrócę.

Kłamstwo. Thom Morris zaginął. Tak zapewniała jego matka. Nic nie wspominała o tym, że zatrzymał się u znajomych. Jeżeli Kale łąże w rozmowie z Denazen, jest pewna szansa, że Thom jeszcze żyje.

Jego rozmówca coś mruknął i Kale zacisnął gniewnie usta.

– Powiedz jej, że wrócę później. Nie jestem psem. Nie potrzebuję smyczy. – Przywalił palcem w przycisk zakończenia rozmowy i warcząc, wcisnął telefon do kieszeni.

– Ojoj. Kłopoty w raju? Niech zgadnę. Ukochana za bardzo się czepia?

– Uważaj, co mówisz – powiedział niskim głosem, w którym czaiło się niebezpieczeństwo. – I nie wtykaj nosa w nieswoje sprawy.

– Niech ci będzie. – Wzruszyłam ramionami. – Ale będziesz musiał niedługo usiąść za kierownicą. Powieki mi opadają.

– Nie lubię prowadzić samochodu.

– No tak. Bo nie umiesz.

– Umiem. Po prostu nie lubię.

Skręciłam na wjazd na autostradę. Connecticut było jakieś sto trzydzieści kilometrów stąd, zgodnie z drogowskazem, który właśnie minęliśmy. Od chwili, kiedy zobaczyłam Kale'a na imprezie kilka dni temu, niewiele spałam. A jeśli dodać do tego wczorajszą całonocną wyprawę i cztery godziny jazdy dzisiaj rano, leciałam na oparach. I zaczynałam już to czuć.

– Kiedy ostatnio prowadziłeś samochód, Kale? Czy w ogóle pamiętasz?

Przez chwilę milczał, a później przywalił otwartą dłoń w tablicę rozdzielczą przy kierownicy.

– Kiedy straciłem pamięć, zapomniałem. Roz musiała mnie znów nauczyć. I niezbyt dobrze mi idzie.

– Mamy jeszcze parę godzin jazdy. Jeśli nie chcesz prowadzić, to, jak znajdziemy Simmonsa? Muszę się gdzieś przespać. W takim stanie na pewno nie wrócę do Parkview.

Pozostała część drogi upłynęła w milczeniu. Jechałam, bardzo przestrzegając przepisów, żeby jazda była najdłuższa i nie wzbudzało to jego podejrzeń. Kilka razy próbowałam go wciągnąć do rozmowy, co było interesujące. Chociaż się nie dał i mimo tego, że nie był sobą i uważał, że jestem wrogiem, ja czułam się dobrze u jego boku.

Gdzieś tam w świecie był doktor od wariatów, który aż się ślinił, żeby zrobić ze mnie materiał badawczy.

Pod numerem siedemnastym przy Spencer Drive na skraju miasteczka Burns w stanie Connecticut znaleźliśmy zaniedbany blok mieszkalny. Wnętrze przypominało mi dawny budynek Alexa. Brakowało tylko Eda – pijaczyny, który siedział w kącie w korytarzu wejściowym od ulicy i rzucał przekleństwa na ludzi, kiedy wchodził, a od czasu do czasu pokazywał części ciała, których nie powinno się wystawiać na widok publiczny.

Przeszliśmy przez próg i bez zastanowienia minęłam windę i ruszyłam w kierunku schodów. To weszło mi w zwyczaj, bo Kale odmawiał zbliżania się do wind. To jednak był dawny Kale. Ten nie miał tych samych nawyków.

– Co ty robisz, dziewczyno? Przecież mieszkanie jest na ósmym piętrze – powiedział. Kiedy się odwróciłam, Kale stał przed pokrytymi graffiti drzwiami do windy i naciskał guzik.

Po chwili od strony drzwi odezwał się metaliczny dźwięk gongu. Otworzyłam usta, żeby się z nim spierać, ale otrząsnęłam się z tego, po czym w milczeniu weszłam z nim do czegoś, co kiedyś nazywał „stalową pułapką śmierci”. Można by pomyśleć, że jestem szczęśliwa, bo chodzenie wszędzie po schodach niszczyło mi obcasy, ale lubiłam Kale’a takiego, jakim był, z jego dziwactwami.

Znaleźliśmy mieszkanie numer osiemdziesiąt i zanim zdołałam otworzyć usta, Kale walił już w drzwi jak szaleniec. Z drugiej strony usłyszałam jakieś poruszenie i głosy. Otworzyły się drzwi i najpierw zobaczyliśmy chmurę gęstego, śmierdzącego dymu, a później szopę nieuczesanych włosów i gniewne, szare oczy. Facet kaszłał i machał ręką przed twarzą w niezdarnej próbie rozproszenia chmury.

– Tak?

Zrobiłam krok wstecz i pociągnęłam za sobą bardzo zdziwionego Kale’a. Kontakt z facetem na haju to nie to, czego najbardziej potrzebował niestabilny były zabójca.

– Ben Simmons?

Facet prychnął, przykrył usta dłoń i zaczął chichotać. No tak. To będzie interesujące.

– Ha, chciałbyś! – powiedział. – Jestem Jerry Watson. Wynajmujemy razem mieszkanie.

Kale zrobił to samo, co Jerry – pomachał otwartą dłoń przed nosem, żeby oczyścić powietrze.

– Co to za zapach?

Jerry puścił perskie oko.

– To zapach czystej nirwany, chłopie. Chcesz macha?

Kale oparł dłonie po obu stronach framugi i zbliżył się do niego.

– Jeśli mnie uderzysz, zabiję cię.

Jerry zrobił wielkie oczy i potknął się, stawiając krok wstecz. Odepchnęłam ramię Kale’a. Warknął, zirytowany, ale nie zwracałam na to uwagi i uśmiechnęłam się słodko do Jerry’ego,

próbując opanować sytuację.

– Czy Ben jest w domu?

– Nie. – Skupił się na mnie i zaczął poruszać miednicą w przód i w tył, uśmiechając się od ucha do ucha, jak idiota. – Pojechał na tydzień do Francji spotkać się z jakąś laską, z którą się zabawiał w Internecie.

– Ma facet klasę. – Skrzywiłam się, słysząc ten plastyczny opis. Nie mogliśmy dorwać Bena, ale nie mogła też dorwać go Denazen. To jakiś początek. – A kiedy wraca?

– Za kilka dni – odparł Jerry z głupawym uśmiechem. – Możecie wejść i poczekać, jeżeli chcecie. Na pewno znajdziemy jakiś sposób na zabicie czasu, kotku.

Kale zareagował, zanim zdążyłam mrugnąć okiem. Przed chwilą jeszcze Jerry rzucał na mnie spojrzenia, które mogłyby zawstydzić Curda – największego podrywacza w Parkview, a sekundę później był przygwożdżony do framugi drzwi z twarzą wykrzywioną strachem, a Kale patrzył na niego z odległości kilku centymetrów.

– Ona jest ze mną. Czy to jest jasne?

– Absolutnie jasne, kolego. Bardzo jasne – jękał się Jerry.

Kale puścił go, zmarszczył nos i potarł otwartymi dłońmi o boki dzinsów.

– A kiedy dokładnie wraca?

Jerry odkleił się od framugi drzwi i wszedł głębiej do korytarza, utrzymując bezpieczną odległość od Kale'a.

– Za dwa dni. Mam go odebrać z lotniska o ósmej wieczorem.

Kale bez słowa okręcił się na pięcie i ruszył korytarzem w kierunku wind.

Ja za nim, ale zatrzymał mnie Jerry.

– Czy Ben coś zmajstrował? Jesteście trzeci w ciągu paru dni, którzy go szukają.

– *Trzeci?* – Denazen pewnie nas wyprzedziła, ale kim byli ci pozostali?

Wzruszył ramionami, a ja zauważyłam, że jeszcze bardziej oddalił się od Kale'a, patrząc na niego kątem oka.

– Nie mam pojęcia, kim byli. Pierwszy facet był stary. Miał pewnie ze czterdzieści lat.

– Powiedział, jak się nazywa?

Jerry potrząsnął głową.

– Nie. Tylko kręcił się tu i szukał Bena. – Jerry zrobił wielkie oczy i dwa razy tupnął nogą. Sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął małą karteczkę. – Aha! Ale dał mi to. Powiedział, żeby Ben do niego zadzwonił i podał jakieś dane kontaktowe. I że to pilne.

Wzięłam od niego karteczkę z numerem komórki.

– To lepsze niż nic. Mówisz, że były dwie grupy?

– Ta druga para była młodsza. Bliźniaki o lekko gotyckim wyglądzie, bardzo dziwaczne. Aubrey i Able.

– Powiedziałaś im to samo, co nam?

– Starszy nie dał mi szansy, ale powiedziałem to tym gościom ubranym po gotycku. – Kiwnął głową, wskazując na korytarz w kierunku Kale'a. – Jeden z nich był taki, jak on. Strasznie spięty. Chciałem tylko, żeby sobie poszli.

– Dzięki. – Trudno było go winić. Założyłabym się, że to Able, a ten facet potrafił przerażać. Uśmiechnęłam się do niego szczerze i dodałam: – My pojedziemy po Bena na lotnisko.

Zamknął drzwi z półuśmiechem, a ja wyjęłam z kieszeni komórkę. Ten starszy mógł być kimś zupełnie niezwiązanym ze sprawą. Może Ben miał bukmachera. A może to jakiś znajomy czy krewny, o którym Jerry nie wiedział. Tylko to, że zjawił się i szukał go tego samego dnia, co toksyczne bliźniaki, nie znaczyło, że musiał mieć związek z Denazen, prawda?

Wykręciłam numer, który był na karteczce i spojrzałam na Kale'a, stojącego na końcu korytarza. Był poirytowany. Z każdym sygnałem mówiłam sobie, że odezwie się jakiś niewinny głos i mnie uspokoi. Telefon zadzwonił pięć razy, a później włączyła się automatyczna sekretarka. Ani nazwiska, ani głosu. To było beużyteczne, nie mówiąc już o tym, że podejrane. Mogłam próbować jeszcze raz, mając nadzieję, że w końcu ktoś odbierze, ale coś mi mówiło, że ten, kto zostawił tę karteczkę, chciał pozostać anonimowy. Rozczarowana przerwałam połączenie.

– Kiernan – warknął Kale, postukując zaciśniętą pięścią w drzwi windy. – Idziemy.

I wtedy coś prawie we mnie pękło. Kochałam Kale'a bardziej niż wszystko na świecie, ale facet, z którym byłam w trasie, nie był moim Kale'em. Był oszustem, podszywającym się pod kogoś innego. Był pozbawiony manier, miał fatalne podejście do życia oraz nieco szersze słownictwo niż prawdziwy Kale. Widziałam przebłyski, ale mój Kale był w nim głęboko zakopany. Postanowiłam, że go odkopię, ale tymczasem niech mnie szlag trafi, jeśli pozwolę na to, żeby ktokolwiek – łącznie z Kale'em – odzywał się do mnie w ten sposób.

Przeszłam przez holl na sztywnych nogach. Zatrzymałam się parę centymetrów przed nim i dźgnęłam go mocno w klatkę piersiową.

– Ustalmy sobie najpierw dwie rzeczy, Kale. Nie jestem psem. Nie słucham poleceń, takich jak „siad”, „zostań”, czy „idziemy”.

Jego wzrok powędrował na mój palec, później uniósł się do moich oczu i nie spuszczał ze mnie wzroku. Widziałam w nim lekkie rozbawienie, ale przede wszystkim wyzwanie.

Uśmiechnął się kątem ust i spytał:

– Naprawdę?

– I jeszcze jedno. Jeżeli znów nazwiesz mnie Kiernan, skopię ci tyłek. Mam na imię Dez. – Chwyciłam go za policzki i ścisnęłam, aż zrobił minę podobną do ryby. Gdzieś w głowie cichutki głosik krzyczał z całych sił, że nie powinnam irytować niestabilnego psychicznie zabójcy, ale nic mnie to nie obchodziło. Doszłam do samej granicy. Już dalej nie mogłam. – A teraz powiedz to razem ze mną – D-E-Z. Może, jeżeli zaczniesz nazywać mnie po imieniu, przypomnisz sobie, kim, do cholery, jestem.

Zrobił krok w tył, wciąż nie spuszczał ze mnie wzroku i mamiąco spokojnym głosem spytał:

– Czy utrata poczucia lęku to jeden z efektów ubocznych Supremacji?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Hm – powiedział i odwrócił się, żeby znów dźgnąć palcem przycisk przy drzwiach windy. – Jesteś pewna?

I wtedy zrozumiałam, o co mu chodzi. Nowy Kale narodził się z przewrotnym poczuciem humoru.

– Mylisz lęk z brakiem tolerancji. Nie cierpię dupków.

Drzwi otworzyły się z głośnym dźwiękiem gongu i Kale wszedł do środka. Kiedy weszłam za nim do windy, odwrócił się do mnie i unosząc kącik ust, powiedział:

– Ja też nie. No, to mamy ze sobą coś wspólnego.

Postukałam w maskę samochodu i czekałam. Kluczyki miał Kale. Staliśmy tak po prostu na dworze i było mi potwornie zimno. Jeżeli zostaniemy tu dłużej, stracę rękę, nogę albo obie z odmrożenia.

– No i?

– No i co? – spytał, w końcu otwierając drzwi od strony pasażera.

– Jestem twoją zakładniczką. I co teraz?

– Oczywiście. Jestem zdziwiony, że Simmons w ogóle istnieje. Ciekawe, co jeszcze może być prawdą.

Uniosłam oczy ku górze i wśliznęłam się na fotel. On wsiadł z drugiej strony.

– Musimy jakoś zabić czas, a mamy dwa dni.

– Będziemy razem zabijać czas. Nie spuszczę cię z oczu, dopóki się nie dowiem prawdy.

Nie będę się spierać. Jeżeli istnieje jakaś szansa na to, że wspomnienia same mu wrócą, to może właśnie teraz. Muszą mi wystarczyć dwa dni, jeżeli Denazen codziennie pierze mu mózg. Musiałam tylko grać na czas.

– W takim razie powinniśmy poszukać jakiegoś pokoju. Jest po piątej, a ja jestem gotowa natychmiast iść spać, ale nic sobie nie wyobrażaj.

– Co mam sobie wyobrażać?

– No, nas. We dwójkę w pokoju hotelowym. Czas do zabicia... No, wiesz.

Obrzucił mnie spojrzeniem od stóp do głów i prychnął.

– Nie pochlebiaj sobie. Mam dziewczynę.

Przecież żartowałam. No dobra, prawie żartowałam.

– Tak, wiem. Mnie!

Przyglądał mi się przez chwilę, dziwnie marszcząc czoło, później zapiął pas i odchylił się w fotelu.

– Zaczynam wierzyć, że nie kłamiesz.

Poczułam nagły przyływ nadziei.

– Naprawdę?

– Tak. Zaczynam myśleć, że naprawdę wierzysz w swoją historię.

– Myli ci się miłość z nienawiścią. – Przekreśliłam kluczyk w stacyjce. Silnik kaszlnął kilka razy, ale w końcu zaskoczył, a ja odmówiłam cichą modlitwę. Sam na sam w tym miejskim getcie z oszalałym Kale'em – to wcale mi się nie uśmiechało. – Jeszcze raz spytam. Dokąd jedziemy?

– Widziałem jakiś motel, kiedy zjeżdżaliśmy z autostrady. Zatrzymamy się tam na noc.

– A rano? Simmons wraca dopiero za dwa dni.

– Na pewno coś wymyślimy.

Kiedyś, jeszcze nie tak dawno temu, takie stwierdzenie z ust Kale'a napełniłoby mnie radością i myślą o różnych ciekawych możliwościach. A teraz? Nie za bardzo.

Do miasta wracaliśmy milcząc, ale widziałam, że Kale obserwował mnie kątem oka. To mnie doprowadzało do szaleństwa, ale nic nie mówił, więc ja też się nie odzywałam. Niech się pogotuje we własnym sosie. Co do jednego Alex miał rację. Nie mogłam go zmusić do tego, żeby sobie coś przypomniał. Mogłam tylko być przy nim, pokazywać mu wspomnienia, a resztę zostawić wszechświatowi. Na szczęście – taką miałam nadzieję – to długo nie potrwa. Cierpliwość nie była moją najlepszą stroną.

Skończyło się na tym, że zameldowaliśmy się w jakimś obrzydliwym motelu pod nazwą Frank's Fantasy Facility, jedynym w mieście.

– Trochę tu... – Kopnęłam krawędź łóżka. To było jedno z tych olbrzymich, okrągłych łóżek, nad którym zamontowano lustro sufitowe. Wszystkie poduszki były w jaskrawych kolorach i w kształcie serca... – Dziwacznie.

– Nie rozumiem, po co te lustra. Mam wrażenie, że to niebezpieczne.

– Dlaczego niebezpieczne? W tej części Stanów nie ma zbyt wiele trzęsień ziemi, więc lustro chyba nie spadnie...

– Żadnej prywatności. Każdy w tym pokoju może zobaczyć twój ruch, wystarczy spojrzeć na sufit. To nieudany projekt.

Zacząłam mu mówić, że właśnie o to chodzi, ale przerwał mi dźwięk telefonu. Wyjęłam komórkę i skrzywiłam się. Wiedziałam, że ta chwila nadejdzie, ale mimo to widok numeru mamy na wyświetlaczu wzbudzał dreszcz na plecach. Nie mogłam już tego dłużej odwlekać.

Kale pochylił się nad wyświetlaczem.

– Kto to jest Sue?

Uniosłam oczy ku niebu i odsunęłam się o krok, kiedy próbował sięgnąć po komórkę.

– Jak będzie po wszystkim, zdasz sobie sprawę, jaki byłeś głupi.

Znow sięgnął ręką, ale tym razem mnie dopadł. Ścisnął mi dłoń w nadgarstku tak, że pewnie krew przestała krążyć i spytał:

– Co chcesz powiedzieć?

– Nic nie powiem, chyba że mnie puścisz, zanim odłożę słuchawkę.

Zawahał się, a później niechętnie rozluźnił palce i zrobił krok wstecz.

– Nie mów nikomu, gdzie jesteśmy.

– Uwierz mi – mruknęłam, unosząc głowę w kierunku sufitu, a później omiatając wzrokiem kiczowate poduszki i ohydne, różowe ściany. Jeśli ktokolwiek się o tym dowie, nie dożyję do świtu. – Nie będę ryzykować mojej nienagannej reputacji.

Skinął głową, usatysfakcjonowany.

– I włącz na głośnomówiący.

Nacisnęłam symbol słuchawki i od razu musiałam odsunąć telefon od ucha.

– Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz? Wracaj i to natychmiast. – Mama strzelała słowami jak karabin maszynowy. Musiałam cierpliwie odczekać, aż skończą się wrzaski. Później przybliżyłam telefon do ucha i wzięłam głęboki oddech.

– Mamo – powiedziałam tak spokojnie, jak tylko potrafiłam. – Posłuchaj mnie bardzo uważnie, dobrze? I nie świruj.

– Dez, nie zaczynaj w ten sposób rozmowy. Ciężko mieć do ciebie zaufanie, zwłaszcza, kiedy tak gadasz.

– W takim razie ostrzegam, że nie spodoba ci się to, co mam do powiedzenia, ale musisz mnie wysłuchać.

Nie widziałam jej, ale dokładnie wiedziałam, co robi. Na pewno opadnie na najbliższy fotel, będzie ścisnąć nasadę nosa palcem wskazującym i kciukiem, a oczy będzie miała zamknięte. Szóstki w naszym nowym domu nazwały ten wyraz twarzy „co Dez teraz kombinuje?”. Zanim wszystko w moim świecie przewróciło się do góry nogami, byłabym dumna, że tę minę nazwali na moją cześć. A gdyby to zrobił tata, uważałabym, że odniosłam życiowy sukces.

– Po pierwsze powinnaś wiedzieć, że mam włączony tryb głośnomówiący. – Nie chodzi o to, że bałam się, że mama powie coś, co wpędzi mnie w kłopoty, bo nie miałam nic do ukrycia. To, co powiedziałam Kale'owi wcześniej, było prawdą i tylko prawdą, ale lepiej dmuchać na

zimne. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. To moje nowe życiowe motto. No, powiedzmy, jedno z wielu.

– Po drugie pojechałam odszukać Thoma Morrisa, tak jak prosiła mnie Ginger. Od jakiegoś czasu go nie ma. Jego matka nie ma pojęcia, dokąd pojechał, ale uważam, że wciąż jeszcze gdzieś tu jest. – Popatrzyłam niechętnie na Kale'a, który siedział na łóżku, wpatrując się we mnie. – Założyłabym się, że Denazen jeszcze go nie dopadła.

– A skąd wiesz?

– Bo ludzie taty też się tu pokazywali i go szukali.

Powietrze było tak gęste, że trzeba byłoby piły tarczowej, żeby je przeciąć.

– Dez, wracaj natychmiast do domu.

I tu właśnie zaczynała się weselsza część rozmowy.

– Nie mogę. Jestem... Jestem tu z Kale'em.

Na chwilę zapadła cisza, a ja nie wiedziałam czy to dobrze, czy źle. Jeżeli chodziło o mamę, zazwyczaj trudno powiedzieć. Chyba wolałabym, żeby zaczęła wrzeszczeć. Przynajmniej wiedziałabym, na czym stoję.

– Zrobił ci coś?

– Wszystko w porządku, naprawdę. Jest takie nazwisko na liście – Ben Simmons...

– A skąd...

– Naprawdę uważasz, że nie będę chciała sprawdzić reszty nazwisk? Przecież powiedziałas jasno, że Ginger nie chce, żebym przejrzała tę listę. I czego się spodziewałaś? Wiesz, że jak mi mówisz, żebym czegoś nie robiła, to tak, jakbyś mi machała przed oczami czerwoną płachtą.

– No, dobrze – powiedziała rozwścieczonym głosem. – Lekcja dla mnie. Oczywiście wiesz, co Ben potrafi...

Poczułam cień wściekłości, nieładny i zaostrzony na krawędziach. Jeszcze jej do końca nie wybaczyłam, że wzięła stronę Ginger, ale wiedziała, że Ben jest na liście i błąka się gdzieś po świecie, że może pomóc Kale'owi i puściła to mimo uszu? Oj, bardzo niedobrze.

– Ty też wiesz. Jak mogłaś coś takiego przede mną ukrywać? Jeżeli był cień szansy, że ten facet mógł pomóc...

– Twoim priorytetem musi być Penny Mills. Jeżeli umrzesz albo zwariujesz, jakie to ma znaczenie, czy Ben Simmons pomoże odzyskać Kale'owi pamięć? Myślisz, że tego by chciał?

– Teraz to nie jest ważne. Zmieniły się priorytety, czy tego chcemy, czy nie.

– Zmieniły się? Co to ma znaczyć?

– To znaczy – powiedział Kale, przybliżając się do mojej komórki – że chcę poznać prawdę. Jeżeli Ben Simmons może mi ją pokazać, mam zamiar z nim porozmawiać.

Mama przez chwilę milczała. Kiedy znowu się odezwała, usłyszałam w jej głosie ten ton. Niebezpieczny ton zapowiadający, że zaraz wybuchnie. Już to nieraz widziałam. I to wcale nie było miłe.

– A co to ma wspólnego z moją córką?

– Bo jeżeli Simmons potwierdzi to, co mówi twoja córka, to znaczy, że mnie cały czas okłamywano. Jeżeli powie mi, że nic się nie dzieje, wtedy to znaczy, że twoja córka kłamie. A jeżeli ona kłamie, to znaczy, że moi znajomi mówią prawdę. A to znaczy, że ona i ja mamy pewne sprawy do dokończenia.

– A skąd pewność, że my cię nie przechwycimy? – spytała mama, rozbawiona. Niemal widziałam ten uśmiech rozświetlający jej twarz. – My też wiemy, gdzie jest Simmons. Moglibyśmy po prostu ją sobie odebrać.

– Nie radzę – warknął Kale. – Bo jeżeli ktoś się tu zjawi, to nie zostanie nic z Kiernan,

Dez, czy jak się tam nazywa.

Mama wzięła głęboki oddech. Słyszałam to tak wyraźnie, jak gdybym przy niej stała.

– Kochałam cię jak własnego syna, Kale, ale jeżeli jej zrobisz krzywdę, osobiście cię zabiję. I to bardzo powoli. – W jej głosie słychać było tyle lodu, że w całym pokoju zrobiło się chłodno. Mogłaby zgasić pożar.

Kale podszedł i wziął do ręki telefon.

– W takim razie miejmy nadzieję, że mówi prawdę. – Nie spuszczać ze mnie wzroku, wyłączył komórkę i rzucił ją na łóżko. – Ona cię nazywa Dez.

Wpatrywałam się w telefon, wdzięczna, że przestał się odbijać od łóżka tuż zanim spadł na podłogę. Jeżeli powiedziałabym mamie, że potrzebuję jeszcze jednego, na pewno dostałaby szau. To był już trzeci w ciągu dwóch miesięcy. Rzuciłam się w kierunku łóżka, chwyciłam go i odłożyłam bezpiecznie na stolik nocny.

– Pewnie dlatego, że tak mam na imię. A ta nowa osobowość? Dużo jej jeszcze brakuje. Alex ma rację. Z ciebie jest prawdziwy palant.

Kale nie odpowiedział, tylko zanurzył się w materacu i zdjął buty. Mogłabym spróbować uciec, kiedy będzie spał. Pewnie miałabym pięćdziesiąt na pięćdziesiąt szans, no, może dziesięć do dziewięćdziesięciu, ale nie miałam zamiaru. Chociaż bolało mnie to, że za każdym razem, kiedy na mnie spojrzał, w jego oczach odczytywałam niechęć. Tu na miejscu będę miała jedyną sposobność, żeby do niego dotrzeć.

– Więc... śpimy?

– Co? – spytał, kładąc nogi na materacu.

– Mamy spać w tym samym łóżku?

– Twój wybór.

– A skąd mam wiedzieć, że nie przetoczysz się na mnie i przez sen nie zamienisz mnie w kupkę prochu?

– Ja się nie toczę po łóżku.

Akurat. Kale, kiedy miał dobrą noc, lądował ze dwa razy na podłodze. Koszmary nocne. Oczywiście teraz to nie był już żaden problem. A jednak niepokoiłam się. Patrzyłam raz na niego, raz na łóżko i marszczyłam czoło.

Sięgnął do lampki i wyłączył światło. W pokoju zrobiło się ciemno.

– Jak już mówiłem, nie pochlebiaj sobie. Nie jesteś w moim typie.

Przez chwilę się wahałam, a później usiadłam na drugim końcu łóżka. Jeżeli zmuszę go do mówienia, może uda mi się coś z Kale'a wytrząsnąć. Jakieś wspomnienie albo odczucie. Nie jestem wybredna. Na tym etapie przyjmę wszystko.

– A jaki to typ?

– Mój typ? Wydawało mi się, że wszystko wiesz o moim życiu? Może ty mi powiesz? Odwróciłam się i wyciągnęłam nogi na łóżku, stopa blisko stopy.

– Teraz, co bym ci nie powiedziała, to i tak do ciebie nie dotrze. Jesteś przekonany, że jestem twoim wrogiem.

Po chwili zaśmiał się cicho.

– No, dobrze. Roz jest silna. Jest pewna siebie i lojalna. Jest przy mnie, kiedy jej potrzebuję.

– Gratuluję – mruknęłam. – Po tym opisie mam wrażenie, że chodzisz z owczarkiem alzackim.

Poczułam, jak łóżko się trzęsie. W ciemności widziałam zarys jego postaci. Uniósł się i usiadł. Chwilę później zobaczyłam jego twarz w świetle księżyca przenikającego przez okno w kształcie serca.

– Roz i ja pasujemy do siebie. Nie potrafię tego wyjaśnić i wiem, że ktoś taki, jak ty, tego nie zrozumie.

– Ktoś taki, jak ja. A co to właściwie ma oznaczać?

– Jesteś złośliwa. Wiem, że jesteś jej przyrodnią siostrą. Roz mówiła mi kiedyś, że próbowała się na ciebie otworzyć, a ty ją odepchnęłaś. Zaproponowała ci pomoc, a ty chciałaś ją skrzywdzić, a także swojego ojca i mnie. I tylko dlatego, że poczułaś się zlekceważona.

Poczułam, że serce zaczyna mi bić szybciej.

– Co to znaczy zlekceważona?

Światła reflektorów przejeżdżającego samochodu omiotły okno i zobaczyłam, że Kale ma poważny wyraz twarzy.

– Roz wszystko mi mówi. Powiedziała, że jesteś zgorzkniała, bo wychowywali cię przybrani rodzice. Byłaś w strasznej sytuacji, dopóki Marshall w końcu po ciebie nie przyjechał, a ona miała udane życie.

Położyłam się na łóżku tak blisko mojej krawędzi, jak się dało i odwróciłam się na bok, żeby jeszcze raz na niego spojrzeć.

– Co jeszcze ci mówiła o tym, jak dorastała jej siostra? – Nie chciałam mówić, że to ja. To bowiem podsunęłoby mu myśl, że to jakaś spowiedź albo – co gorsza – niepotrzebne chlapanie językiem.

– Że twój przybrany ojciec był pijakiem i że cię bił.

– Nie wiedziałam o tym. – Trudno było zapomnieć, co zrobiła mnie i Kale'owi, ale mimo to było mi jej żal.

Nagle pewne szczegóły nabierały znaczenia. To, co mówiła, kiedy się poznałyśmy. I to, co od niej słyszałam w przelocie przez te wszystkie miesiące mieszkania w hotelu. Dlaczego nic nie mówiła? Jeżeli czuła złość albo niechęć, dlaczego nie krzyczała, dlaczego tego wszystkiego nie wywlekła? Mogłyśmy przecież sobie pomagać. Mogłyśmy być rodziną. Zamiast tego zwróciła się w kierunku taty. Ten wybór sprawił, że ginęli niewinni ludzie.

Kiedy wyrwałam się z tych myśli, zobaczyłam, że Kale się we mnie wpatruje.

– Co jest?

– Nie wiem – powiedział, kładąc się z powrotem na poduszkę. Odwrócił się na bok twarzą do mnie i oparł się na ramieniu. – Wyglądasz, jakby... było ci prawie przykro.

– To nie usprawiedliwia tego, co zrobiłam, ale jest mi przykro. Nikt na to nie zasługuje.

Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale ugryzł się w język i sztywno, w milczeniu, przetoczył na plecy.

Wyglądało na to, że rozmowa się skończyła.

Ja też przetoczyłam się na plecy, przypominając sobie pierwszy raz, kiedy byliśmy razem w hotelu. O tym, jak zasypiałam, myśląc o naszym pierwszym pocałunku. Pragnęłam bardziej niż czegokolwiek innego, żeby to wróciło. W idealnej prostocie, z obietnicą wszystkiego, co miało nadejść.

– Dobranoc, Kale – szepnęłam.

Próbowałam naciągnąć kołdrę na ramiona, bo było mi zimno, ale nie dawałam rady. Wtedy sobie przypomniałam, że leżę na kołdrze, a nie pod nią. Nie otwierając oczu, jęknęłam w duszy. Kale. Porwana. Kretański motel. Utrata pamięci.

Szlag to trafi.

Cholera.

Sen się ulatniał, a ja wyprostowałam prawą nogę i poruszałam palcami stopy. W pokoju było teraz znacznie chłodniej niż przedtem i czułam się zupełnie przemarznięta. Nos i czubki palców u rąk miałam prawie zdrętwiałe. Albo ktoś przesunął łóżko na parking, wyłączyli kaloryfery, albo...

Albo okno było otwarte.

Coś huknęło potężnie po drugiej stronie pokoju. Serce zaczęło mi walić jak młotem i otworzyłam szeroko powieki, walcząc z lodowatym dreszczem na plecach. Kale leżał obok mnie na łóżku, bardzo blisko. Oczy miał szeroko otwarte, a na ustach palec. On też to usłyszał.

Skinęłam głową, żeby mu pokazać, że rozumiem i wzięłam głęboki, uspokajający oddech, a on ostrożnie się przetoczył i zsunął z łóżka. Sięgnął ręką do stolika nocnego i kilka razy próbował zapalić światło. Nic. Pewnie odcięto prąd. To by wyjaśniało, dlaczego jest tak zimno. Nie ma prądu, więc nie ma ogrzewania. Fantastyczna teoria, gdyby nie budzik na stoliku nocnym, który świecił jaskrawoczerwonymi cyframi.

Kale zrobił dwa kroki i dał mi znak, żebym za nim poszła. Nie zachowywałam się tak cicho, jak on. Materac zaskrzypiał dwa razy, kiedy się zsuwałam na podłogę, a stopą dotknęłam trzeszczącej deski. Typowe.

Kiedy w końcu zeszałam z łóżka i byłam po jego stronie, chwycił mnie za ramię i pociągnął w kierunku łazienki. Prawie byliśmy na miejscu, kiedy dziwaczną ciszę przerwał irytująco znany dźwięk, jak gdyby rozdzierającej się papierowej torebki pełnej powietrza.

Kale odwrócił się do mnie. W jego oczach zauważyłam iskierkę niepokoju. Spojrzał na mnie, a później opuścił nieco wzrok i zatrzymał się na moim ramieniu. Ja też popatrzyłam w to miejsce i nagle poczułam, jakby ktoś jednym ruchem wyssał z pomieszczenia całe powietrze.

Nie wiedziałam, co bardziej mnie przeraża – fakt, że strzałka utkwiała w moim przedramieniu, czy to, że nic nie poczułam, a może fakt, że za chwilę opadnę na kolana bezwładna i bezradna.

Chwycił palcami strzałkę i wyciągnął ją jednym gładkim pociągnięciem. Staliśmy tak oko w oko, a ja osuwałam się do tyłu. Jak przez mgłę widziałam ramię Kale'a, które nagle pojawiło się w powietrzu, odtrącając mnie na bok, kiedy znów coś poleciało w naszym kierunku. Kolejna strzałka.

On też nie był z tego zadowolony. Z jego ust wydobył się niczego dobrego niewrózący okrzyk, kiedy drzwi eksplodowały i do pokoju wpadło kilku agentów. Dwóch rzuciło się na Kale'a, a trzeci biegł w moim kierunku. Udało mi się usunąć ze ścieżki mojego napastnika, upadłam na łóżko, a on potknął się o róg dywanu. Szybko jednak się otrząsnął i znów na mnie rzucił. Tym razem chwycił mnie za kostki i mocno pociągnął. Zsunęłam się z łóżka i walnęłam plecami o podłogę. Na chwilę straciłam oddech, a on drugą ręką próbował wymacać coś, czego mógłby się chwycić.

Pewnie by mnie w końcu dorwał, jeżeli drugi z agentów nie upadłby w jego kierunku. Przywalili bokiem o ziemię, co dało mi dość czasu, żeby niepewnym krokiem ruszyć w kierunku

Kale'a.

– Nie zwracaj sobie nią głowy – rzucił agent, który okrążył Kale'a. Kiwnął głową w kierunku mojego ramienia. – Zaraz będzie po niej.

Ruszyłam do przodu, chcąc pomóc Kale'owi, kiedy pozostała dwójka przegrupowała się i wróciła do walki. Kale zaatakował pierwszego, chwycił go za włosy i z całej siły pociągnął.

– Co robicie? – rzucił. – Dlaczego mnie atakujecie?!

Kiedy jedyną odpowiedzią był słabo wycelowany prawy hak, Kale przycisnął dłoń do skóry mężczyzny. Zobaczyłam wir ciemności i sekundę później mężczyzna był tylko czarnym pyłem.

Pozostała dwójka była bystrzejsza. Atakowali razem, każdy z innej strony. Kale usunął się i przez minutę straciłam z oczu obraz walki. Wszystko zaczęło mi mętnieć w oczach. Odgłosy walki były puste i dalekie, raz widziałam wszystko wyraźnie, a po chwili – jak za mgłą.

Kiedy mi pojaśniało w oczach, jeden z agentów leżał nieruchomo u stóp Kale'a, a drugi był pyłem, który już się rozwiewał w chłodnym podmuchu wpadającego przez okno wiatru.

– Denazen – szepnęła poblady Kale. Trzymał w ręce broń jednego z nich i patrzył na znieruchomiałego na podłodze mężczyznę. – To agenci. Zaatakowali mnie.

– Witamy w... – Znów, jak w teleobiektywie, jego twarz się rozmyła i straciłam z oczu cały pokój.

Rzeczywistości. Chciałam powiedzieć: „Witamy w rzeczywistości”.

Kiedy doszłam do siebie, całe moje ciało było sztywne. Plecy miałam związane w wielki węzeł, w ramionach czułam igły od czubków palców aż do barku. To dziwne, ale z radością powitałam ból.

– Wiem, że nie śpisz – powiedział Kale. – Poznają po tym, że inaczej oddychasz.

Oczywiście, że poznawał. Otworzyłam oczy i próbowałam się rozprostować. Byliśmy znów w samochodzie Ginger, zaparkowanym tuż za budynkiem z ciemnej cegły. To nie był ten dziwaczny motel.

– Jak się tu dostaliśmy?

Westchnął ciężko i powiedział:

– Usiadłem za kierownicą.

– Usiadłeś za kierownicą? – powtórzyłam, a później ugryzłam się w język, żeby nie wrzasnąć, kiedy jakiś byk zaatakował mi z wściekłością udo. Okazuje się, że Kiernan nauczyła go prowadzić samochód. Byłam trochę zazdrosna. To było coś, co z Kale'em planowaliśmy na następną wiosnę. – To znaczy, w samochodzie? I jak było?

Poczerwieniał na twarzy i odwrócił wzrok.

– Nie podobało mi się, ale nie miałem wyboru. Udało mi się nas tu dowieźć i postanowiłem poczekać, aż się obudzisz. Jak mówię, nie jestem w tym dobry. – Otworzył drzwi i wystawił lewą nogę na zewnątrz. – Ten samochód wydawał dziwne dźwięki.

Mogłam tę rozmowę ciągnąć dalej, ale Kale był wyraźnie zawstydzony, myśląc, że zapomniał o czymś tak zasadniczym. Odpuściłam i wysiadłam z auta, żeby zamienić się z nim miejscami.

– Co się stało?

Usiadł na fotelu pasażera i zamknął drzwi, dzięki czemu odciał dostawy lodowatych podmuchów wiatru.

– Jesteś niezdarna. Stanęłaś na drodze strzałki. – Krótka przerwa. – Powiedz mi, jak ja to zrobiłem? – W jego głosie słychać było ślad paniki. Dzięki temu brzmiał, jakby był znacznie młodszy.

Zapiñałam pas, a przynajmniej próbowałam. Pas po stronie kierowcy w samochodzie

Ginger miał zwyczaj klinować się, kiedy nie powinien. Nigdy tego nie próbowałam i nie chciałam, ale zastanawiałam się, czy zaklinuje się, jeśli ktoś będzie miał wypadek. Domyślałam się, że wypadnie i nie ochroni kierowcy.

– Jak co zrobiłeś?

– Marshall kazał jednemu ze swoich ludzi nauczyć mnie kilku chwytów obronnych, ale to było...

– Coś więcej?

Popatrzył mi prosto w oczy. Intensywny błękit wypełnił całe moje pole widzenia.

– Tak. Ja nie myślałem, tylko reagowałem. Jak gdyby moje ciało kontrolowała jakaś wyższa siła.

– Całe swoje życie poświęciłeś walce, Kale. To się nazywa instynkt. Może nie pamiętasz, ale już nieraz walczyłeś tak, jak dzisiaj. – Uśmiechnęłam się i oderwałam od niego wzrok. – Prawdę mówiąc, jest z ciebie niezły zakapior.

– Chyba bym to pamiętał.

– Oczywiście, że nie. Nic ci nie przychodziło do głowy? Nic sobie nie przypominałeś?

– Nie – powiedział, ale wiedziałam, że kłamie. Jego wzrok błędził między budynkiem a mną i postukiwał palcami o fotel. Tak, jak wtedy, kiedy pocałowaliśmy się na moście.

– Ale dlaczego ty ich nie... – Uniosłam dłoń i poruszyłam palcami. – No, wiesz.

– Nie dotknąłem?

– Tak.

Westchnął ciężko i po raz pierwszy podczas naszej małej podróży w szaleństwo wyglądał na naprawdę zasmuconego tą całą sytuacją.

– Bo mi się to podobało. Nie jestem pewien, dlaczego potrafię tak walczyć, ale mi się podobało. Gdybym wykorzystał swój dar, to byłoby zbyt proste. Za szybkie.

Ton jego głosu mnie powalił. To było coś, o czym Kale nie chciał ze mną rozmawiać w normalnych okolicznościach. Wiedziałam, że nie lubi używać tej swojej umiejętności przeciwko ludziom, ale widziałam go podczas walki. W głębi serca lubił adrenalinę. Przyptyw krwi, kiedy się jest w wirze bójki. Wiedziałam, bo i ja czułam to samo. Może nie chodziło o walkę, ale o ten nagły przyptyw adrenaliny. Zanim poznałam Kale'a, nie miałam nic więcej. Teraz on był moim złotym strzałem i chciałam, żeby wrócił.

– Dokąd jedziemy?

– Jeszcze nie wiem. Nie jestem pewien.

Wiele mi to nie pomogło. Sięgnęłam ręką i przekręciłam kluczyk w stacyjce. Przynajmniej teraz silnik zaskoczył od razu. Podkręciłam ogrzewanie.

– Jak nas znaleźli? Masz GPS w komórce?

– Aubrey powiedział, że wyłączyli nawigację.

Przez kilka sekund milczałam. Coś mnie niepokoiło, a kiedy już nie mogłam dłużej wytrzymać, dałam upust ciekawości.

– Mogłeś mnie tam zostawić. Na pewno za chwilę będzie się tam roić od agentów. – Trzymałam obie dłonie nad kratką nadmuchu powietrza i czułam, że powoli odtajam.

Ogrzewanie w tym starym złomie Ginger nie było zbyt dobre, ale to na pewno lepsze niż nic. – Zawsze jest ich więcej.

– Mogłem cię zostawić – zgodził się ze mną. Nagle wyglądał na zmęczonego. Jak gdyby całymi dniami spał tylko po kilka godzin.

– Dlaczego mnie nie zostawiłeś?

– Muszę dowiedzieć się prawdy.

– Bądź uczciwy, Kale. – Wrzuciłam wsteczny i wycofałam auto. – Nie potrzebujesz mnie

do tego, żeby się dowiedzieć prawdy. Wiesz, że Simmons przyjeżdża i wiesz, gdzie będzie. Nie mów mi, że mnie trzymasz przy sobie, żeby przy okazji dokonać zemsty, jeżeli kłamałam. Sądzę, że wiesz, że nie kłamałam ani nie kłamię, zwłaszcza po tym, co wcześniej się stało.

– Już nie wiem, co jest prawdą, a co kłamstwem.

– W głowie mi się od tego kręci. Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to musi być trudne.

Po wszystkim, co przeszedłeś, zasługujesz na coś lepszego. – Wzięłam głęboki oddech.

Chwilę postaliśmy z włączonym silnikiem na skraju posesji. Moje serce podpowiadało, żeby spróbować jeszcze raz swojej szansy. Musiałam wiedzieć, czy Kale wciąż tu jest. – Powiedz mi prawdę. Dlaczego mnie nie zostawiłeś?

Już chciałam wyjechać na drogę, bo myślałam, że nie odpowie, ale westchnął i powiedział:

– Nie jestem pewien.

– Nie jesteś pewien? Czy coś sobie przypominasz?

– Nie – warknął. – Tak. Nie wiem. Przestań mi zadawać pytania. Jesteś gorsza niż Roz.

Tego się nie spodziewałam. Gorsza niż Roz?

Na sekundę wykrzywił usta. Trwało to nie więcej niż mgnienie oka.

– Zawsze mnie o coś pyta. Jak się czuję, o czym myślę. – Odwrócił się do mnie wkurzony. Dłonie miał złożone na kolanach, ściśnięte pięści, a później zaczął przebierać palcami. Nie postukiwał, ale przebierał i strzelał z palców. – Nie zostawiłem cię dlatego, że nie mogłem. To znaczy, fizycznie nie mogłem. Próbowaliśmy. Podeszedłem do drzwi, ale kiedy cię zobaczyłem, leżącą na ziemi, pomyślałem, że będzie ich więcej i zaraz cię zabiorą. Marshall w końcu cię dopadnie. Przez bardzo krótką chwilę ta myśl prawie zwała mnie z nóg.

Nie mogłam się powstrzymać. Poczulałam uśmiech na własnej twarzy. Kale też go zauważył.

– Nie rób tego. To nic nie znaczy. Ta myśl pojawiła się, a później znikła. Mógłbym cię teraz wypchnąć z samochodu i w ogóle o tym nie myśleć.

Pokręciłam głową.

– Nie. Nie mógłbyś. – Znów się uśmiechnęłam pomimo tego, że chciałam się powstrzymać. – Daleko byś nie zajechał. Przecież nie potrafisz dobrze prowadzić samochodu.

– To ty coś ze mną zrobiłaś. Kiedy mnie pocałowałaś. Od tej chwili coś jest nie tak z moją głową.

– Wszystko jest w porządku, Kale. Zaczyna ci się przejaśniać.

Jechaliśmy, aż słońce pojawiło się nad horyzontem. Nie wiedziałam dokąd i nie pytałam, trzymając się poleceń, które od czasu do czasu Kale podawał mi powarkując. Byłam zmęczona, ale czułam pozytywną energię, bo posuwaliśmy się do przodu. Dzięki temu mogłam funkcjonować. Droga, która się przed nami otwierała, była pełna możliwości. Pomimo całej sytuacji czułam, że po raz pierwszy od miesiący wypełnia mnie nadzieja.

Kale kazał mi zjechać z autostrady na parking stacji benzynowej. Włożył rękę do kieszeni i powiedział:

– Teraz zadzwonię. Nic nie mów.

– Daj na głośnomówiący – powiedziałam i ku mojemu zdziwieniu tak zrobił.

Po sześciu sygnałach odebrała dziewczyna. Głos miała zaniepokojony, na granicy hysterii.

– Kale?

– Co się dzieje, Roz?

– Jejku, Kale. Tak się martwię.

Poczulałam przewrotną przyjemność, słysząc chłód w jego głosie, kiedy z nią rozmawiał. Mówił bardzo konkretnie, ale w tle wyczuwałam gniew. A wyraz jego twarzy? No tak.

Oczywiście, Kale nie czuł miłości.

– Co się dzieje? – powtórzył. – Zaatakowali mnie agenci.

W słuchawce można byłoby usłyszeć piórko, spadające na ziemię.

– Jak mnie znaleźli? – nalegał.

– To na pewno byli agenci Denazen? To przecież mogli być ludzie Podziemia...

– Byli z Denazen. Dlaczego mnie zaatakowali, Roz?

– Ja... Ja nie mam pojęcia. Gdzie jesteś? Wracaj do domu. Dobrze? Jesteś bliski załamania nerwowego. Mindy czeka na następną sesję. Jeżeli nie przyjedziesz, wszystko to, czego dokonaliście, przepadnie.

– Jestem w środku czegoś ważnego.

W głosie Kiernan słyszałam panikę. Wgryzałam się w język, żeby nie powiedzieć czegoś głośno. Przynęłam się odrobinę do telefonu. Kale chyba tego nie zauważył, a jeśli nawet, to nie go to nie obeszło.

– Powiedz mi, gdzie jesteś. Przyjadę po ciebie. Nie wiem, z czym walczysz, ale możemy uporać się z tym razem. Nie musisz być sam.

– Nie jestem sam. Jest ze mną Kiernan.

Przysięgłabym, że usłyszałam, jak para z sykiem wypływa z jej uszu. Chociaż raz jej reakcja była tak zadziwiająca, że nie czułam irytacji, kiedy nazwał mnie „Kiernan”.

– Co takiego?

– Znalazłem ją przed domem Thoma Morrisa.

– I co zrobiłeś? – rzuciła poirytowana. Gdzieś w tle usłyszałam walenie, jakby rozrzucała jakieś rzeczy. Typowa Kiernan. Była królową dramatu. Widziałam to tysiące razy. Wywaliła komórkę przez okno hotelu, bo jakiś gość, którego poznała na imprezie dla Szóstek, organizowanej przez Ginger, długo nie oddzwaniał. – Pomyślałeś, że weźmiesz ją na przejażdżkę? Czy tatuś nie wydał rozkazu, żeby ją zabić? Dlaczego ona w ogóle jeszcze żyje?

– Po pierwsze jestem jej winien coś za to, co dla mnie zrobiła.

Napięcie w jej głosie zmalało.

– Ale my cię tu potrzebujemy. Musimy znaleźć pozostałych, zanim narobią zniszczeń, no i twoja terapia... Chcę, żebyś znowu był zdrowy, Kale. Może byś ją tu sprowadził? Może tatuś jakoś z nią porozmawia. – Później cichszym głosem dodała: – Proszę... Tęsknię za tobą.

Kiernan była rozhisteryzowana, co potwierdziło teorię Aubreya o tym, że wspomnienia Kale'a powracają same. Każda minuta, którą z nim spędzałam, oznaczała, że jej kontrola nad Kale'em słabnie. Wiedziała, jak bardzo mnie kochał. A to, że spędza czas z prawdziwą osobą, a nie z podstawioną, na pewno doprowadzi do tego, że się jakoś otrząśnie.

Dez Cross. Żadnych podróbek.

– Jeszcze nie mogę. Muszę coś zrobić.

– Co? – pisnęła tak głośno, że aż się skrzywiłam. – Co ty masz jeszcze do zrobienia?

– Będziesz musiała mi zaufać. – Spojrzał na mnie, a później na komórkę. – Ufasz mi,

Roz?

– Oczywiście, że...

– Więc w czym problem?

– Nie chcę, żebyś z nią gdzieś jeździł. Ona jest niebezpieczna.

– Potrafię się obronić. Kończę już. Odezwę się.

– Kale, poczekaj. Ja...

Spojrzał na telefon, a później na mnie. To nie był uśmiech. Prawdę mówiąc, wcale nie. Ale również się nie skrzywił.

– Jedziemy dowiedzieć się prawdy.

Kolejna godzina jazdy, a później Kale kazał mi znów zjechać z autostrady. Dwa razy pytałam go, dokąd jedziemy, a on powtarzał, że nie jest pewien, ale wyglądało na to, że jedziemy w jakieś konkretne miejsce.

– Daleko jeszcze? Pamiętaj, że samolot Simmons'a przylatuje jutro. Nie możemy się spóźnić.

– Nie spóźnimy się.

I tyle. Więcej się nie odezwał przez czterdzieści minut. Kiedy znów otworzył usta, kazał mi wjechać na podjazd niewielkiego gospodarstwa ze ścianą drewna opałowego wokół frontowego ganku i stojącym przy drzwiach metrowym, kolorowo oświetlonym bałwankiem w jasnoczerwonej czapeczce.

Zgasiałam silnik i odpięłam pas.

– Więc po coś tu przyjechaliśmy. Ale po co?

Wysiadł z samochodu, nie odpowiadając i ruszył w kierunku domu. Wystawiłam głowę przez otwarte okno.

– Kale? – Kiedy nie odpowiadał, wydobyłam się jakoś z niewygodnego fotela kierowcy i niechętnie poszłam za nim w kierunku domu. – Czy będziemy pukać do przypadkowych drzwi, czy jesteśmy tu z jakiegoś konkretnego powodu?

– Nie wiem – rzucił przez ramię i zatrzymał się w połowie ścieżki, wzdychając głęboko. – Nie wiem, gdzie jesteśmy ani dlaczego tu przyjechaliśmy. Nie wiem, kto tu mieszka i dlaczego mnie tu ciągnie, ale czuję to bardzo mocno – powiedział.

Położyłam mu rękę na ramieniu i zdziwiłam się, kiedy jej nie odsunął.

– Wszystko będzie dobrze.

– Mam po prostu przeczucie, że muszę tutaj być.

– Więc bądźmy. – Nic więcej nie można było dodać. W jego oczach widziałam desperację, ale i lęk. Całe życie spędził pod kontrolą Denazen, nie miał wolnej woli, nie miał swojego zdania. To, że czuł potrzebę przyjechania właśnie tutaj, nawet nie wiedząc, dlaczego, musiało odkopać w jego duszy coś bardzo ważnego.

Odwrócił się do mnie i znów to zobaczyłam. Przebłysk mojego Kale'a.

– Nie wiem, czy mówisz prawdę, ale wiem, że coś jest nie tak. Czuję to. Zaatakowała mnie własna rodzina, a ja wciąż widzę...

Kolejny raz musiałam walczyć z przemożną ochotą potrząśnięcia nim.

– Co widzisz? Masz jakieś przebłyski wspomnień?

Wyglądało na to, że chce powiedzieć coś więcej, ale tylko skinął głową w kierunku domu.

– Chodźmy.

Weszliśmy na schody. Kale kilka razy zapukał, a potem czekaliśmy. Niestety, wyglądało na to, że nikogo nie ma w domu. Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk, a światła się nie paliły.

– Niedobrze – westchnęłam. Mieliliśmy jedyną szansę dowiedzenia się, co ciągnęło Kale'a w to miejsce i mogliśmy ją zaprzepaścić. Postukałam we framugę drzwi i kilka razy uniosłam brwi, obracając się w jego kierunku. – Możemy zawsze tu wejść jak nieproszeni goście. Zobaczyc, co jest w środku. Co ty na to?

– Nie ma potrzeby się włamywać. Trzeba tylko głośniej zastukać.

Oboje podskoczyliśmy i obróciliśmy się w kierunku wejścia. Zza półotwartego skrzydła drzwi przyglądała nam się kobieta nieco starsza od mamy. Miała krótko ścięte, czarne włosy

i jasnozielone oczy. Popatrzyła na mnie, a następnie, kiedy jej wzrok spoczął na Kale'u, uśmiechnęła się radośnie.

– Przyjechałeś!

To było nieoczekiwane.

– Zna go pani?

Zrobiła krok wstecz, otwierając drzwi i entuzjastycznym gestem zaprosiła nas do środka.

– Formalnie nigdy się nie poznaliśmy. Ale się spotkaliśmy... w pewnym sensie.

Weszliśmy do domu, przy czym Kale z większą swobodą niż ja. Widać z tego, że razem ze wspomnieniami stracił również ostrożność i nie bał się Denazen. Mój Kale nigdy by nie wszedł przez drzwi w obcym miejscu, zanim by wszystkiego najpierw dokładnie nie sprawdził.

– Jak się nazywacie? – Nie umknęło mojej uwadze to, że popatrzyła na lewo i prawo niemal tak, jakby chciała się upewnić, że jesteśmy sami, zanim zamknęła drzwi. Przekreśliła wszystkie trzy zapadki w skomplikowanych zamkach.

No tak. Ktoś tu ma lekką paranoję.

– Ja mam na imię Kale. – Pokazał na mnie gestem dłoni. – To jest Kiern... – Obrzuciłam go spojrzeniem, które zabijałoby przy brydżu i patrzyłam przez chwilę wyzywająco, żeby skończył to zdanie. – Prawdę mówiąc nie mam pojęcia, kim ona jest – skończył, wruszając ramionami.

Uśmiechnęłam się i wyciągnęłam rękę.

– Jestem Dez.

Kobieta skinęła głową, uśmiechnęła się ciepło i uścisnęła moją dłoń.

– Bardzo się cieszę, że was poznałam, Dez i Kale. Proszę. Siadajcie. Rozgośćcie się.

Weszliśmy za nią do środka i ja usiadłam na kanapie, a Kale w fotelu z tyłu pokoju.

Kobieta siadła między nami i nic nie mówiła. Przyglądała się Kale'owi, a ja patrzyłam, jak uśmiecha się do niego i wydawało mi się to dziwaczne.

– Fajna bransoletka – powiedziałam, próbując rozpocząć rozmowę. Wprawdzie to było miłe, że jest się gdzieś, gdzie jest naprawdę ciepło, ale nie mieliśmy aż tyle czasu. Trzeba ruszać. Działać. Odkrywać tajemnice. Obalać korporację złą.

– Dziękuję – odparła, unosząc rękę. Na nadgarstku miała błyszczącą srebrną bransoletkę, a w niej osadzony czerwony kamień. Była prosta i elegancka. – To mój talizman. Coś w rodzaju... koła ratunkowego, jeśli mogę tak powiedzieć.

– Mam wrażenie, że pani na nas czekała. Jednak nie znała pani mojego imienia. – Kale kręcił się nerwowo w fotelu. Nie strzelał z palców, ale znów nimi postukiwał.

Raz. Dwa. Trzy. Raz. Dwa. Trzy.

– Zaczniemy od najprostszych rzeczy, dobrze? – Wciąż się uśmiechając, zwróciła się do nas obojga. – Wiecie, kim jestem?

– Nie pamiętam niczego ze swojego życia – powiedział Kale, nachylając się i opierając łokciami o kolana. – Moje dzieciństwo, rodzina, przyjaciele – wszystko przysło.

Już się nie uśmiechała.

– Tak myślałam, że coś mogło pójść źle. – Odchyliła się, położyła ręce na kolanach i skrzyżowała nogi na wysokości kostek. Bardzo po brytyjsku, jak powiedziałby Alex. – Ale jeżeli straciłeś pamięć, jak znalazłeś drogę?

– Nie mam pojęcia. Po prostu zaczęliśmy jeździć. I znaleźliśmy się tutaj.

Zaczęliśmy jeździć? Ja prowadziłam i technicznie rzecz biorąc, byliśmy w sytuacji, w której grałam rolę zakładnika. To nie jakiś spacer po okolicy. Fakt – chciałam dać się złapać, ale on nie musiał o tym wiedzieć.

– Co to znaczy, że myślała pani, że coś może być nie tak?

Rozluźniła się trochę i spojrzała w moją stronę.

– Wyjaśnij mi, proszę, jego utratę pamięci.

– Jest takie cholerstwo, które nazywa się Denazen – rzuciłam, nie myśląc. Dla większości ludzi ta nazwa nic nie znaczy. Pisano o Denazen w gazetach, kiedy spalił się budynek, ale poza tym dla reszty świata była to zwykła firma prawnicza specjalizująca się w sprawach rodzinnych i przestępczości nieletnich. A jednak ta kobieta... ta kobieta wiedziała, czym jest Denazen. Nie patrzyła już takim twardym wzrokiem i wyraźnie zadrzała jej prawa brew. Lęk. – Wyprali mu mózg – mówiłam dalej. – Nastawili go przeciwko prawdziwej rodzinie i przyjaciółom.

– Więc jesteś jego dziewczyną? – spytała, uśmiechając się smutno. – Jesteś dzieckiem Supremacji?

Poczułam chłód na plecach, a po chwili zdrową dawkę lęku. Wstałam i ku mojemu zdziwieniu Kale również wstał i stanął przy mnie. To był bezwiedny gest. Wiedziałam od razu, bo chwilę potem zatrzymał się i spojrzał na mnie. Zdezorientowany, zrobił krok w tył, jak gdyby nie był świadom własnych działań.

Kobieta uniosła ręce do góry.

– Bardzo proszę. Nie mam zamiaru zrobić wam krzywdy.

– A skąd pani wie, kim jestem, a co ważniejsze – kim pani jest? – Na wzmiankę o Denazen kobieta się wyraźnie przestraszyła, ale to wcale nie znaczy, że jest ich sojusznikiem.

– Wiem, kim jesteś. Dzięki Kale'owi.

– Którego, jak pani mówi, nigdy pani nie spotkała, do chwili, kiedy pokazaliśmy się dzisiaj w drzwiach – skończyłam za nią zdanie. – Ale wtedy powiedziała pani, że chyba coś jest nie tak. – Skuliłam ramiona, zmrużyłam oczy i popatrzyłam na nią najbardziej wrogo, jak potrafiłam. – Za dużo wiesz, paniusiu. Powiedz, o co chodzi, bo już zaczyna mi się kręcić w głowie.

– Odpowiedz na jej pytania – powiedział Kale niskim głosem. – Kim jesteś? I skąd wiedziałas, że ze mną coś jest nie tak.

– To prawda. Nigdy osobiście Kale'a nie poznałam, ale znam cię ze wspomnień. Mieszkałaś w jego głowie i w jego sercu. – Odwróciła się do Kale'a. – A ciebie znam, bo masz moją krew w swoich żyłach.

– Jesteś moją krewną? – Oczy zrobiły mu się ogromne i jakby pełne nadziei, ale wiedziałam, że nie o to chodzi. Jedyną jego żyjącą krewną była Ginger. Jeżeli byłby ktoś inny, na pewno by nam powiedziała.

Z drugiej strony, może nie. Przecież to Ginger.

Kobieta pokręciła głową.

– Przykro mi, ale nie. Ale jesteś, jaki jesteś, z mojego powodu. – Wstała i wyciągnęła do niego rękę. – Nazywam się Penny Mills.

Nie potrafiłam wydusić z siebie ani słowa. Teraz, kiedy się przedstawiła, dostrzegłam pewne podobieństwo do zdjęcia, które pokazywała mi wcześniej Ginger. Te same oczy, podobny kształt twarzy, ale nic więcej. Widać, że bardzo się postarała, aby zmienić wygląd zewnętrzny.

– Nie wierzę – szepnęłam, siadając z powrotem na kanapę. Kale usiadł tuż przy mnie. – Moi znajomi i przyjaciele pani szukają. I Denazen.

– Tak, wszyscy chcą mnie poznać, prawda?

– Ale jak się pani udawało tak długo ukrywać? Denazen odwraca teraz każdy kamień, patrzy za każdy krzak w kraju, a prawdę mówiąc, ci ludzie mają niesamowite zasoby.

– Byłam niezwykle ostrożna od dnia, kiedy rozstałam się z Denazen. Udało mi się przeżyć na wolności tylko dlatego, że Denazen była przekonana, że umarłam. Dopiero niedawno okazało się, że jednak jakoś przetrwałam. Obawiam się, że moja nieostrożność po tym, jak mnie odkryto, doprowadziła do obecnej sytuacji.

– Do obecnej sytuacji? To znaczy do stworzenia działającej próby nowej Supremacji? Do Dominacji?

– Tak – powiedziała. – Zastosowali do tego moją krew, ale nie w stu procentach im się to udaje. Ludzie wciąż umierają.

– No właśnie! – krzyknęłam. Ale to wciąż nie była odpowiedź na wszystkie nasze pytania. Jeżeli ta kobieta nie przestanie mówić szyfrem, zaraz wybuchnę. – A skąd pani to wszystko wie? Ma pani kontakty w Denazen? I wciąż nie powiedziała pani, skąd pani zna Kale’a. A ta historia z krwią jest trochę niejasna.

– Kontakty w Denazen? – Zaśmiała się głośno. – To absurd! Nie, jestem w sposób szczególny związana z ostatnią próbą. Okazuje się, że odkąd posłużono się moją krwią, potrafię się porozumiewać na poziomie podprogowym z każdym, komu podano nowy lek. Stąd znam Kale’a. I dlatego wiedział, jak mnie znaleźć.

– Chwila – wtrącił się Kale, nagle blednąc. – Mówi pani, że podano mi Dominację? To niemożliwe.

– To, niestety, prawda. Inaczej nie byłabym w stanie cię poczuć. Lek podano ci pod koniec września. Poznałam cię w chwili, kiedy zintegrował się z twoim organizmem.

– Ilu jest jeszcze, oprócz Kale’a? Rozmawiała pani z którymś z nich?

Popatrzyła na mnie tak, jakbym oszalała.

– Rozmawiałam? Oczywiście, że nie. Kontaktowałam się jedynie z Kale’em.

Cholera. Wyciąganie z niej informacji to jak wypychanie słonia z mysiej nory.

– Wciąż pani mówi o kontakcie. Co to znaczy?

– I dlaczego ja? – dodał Kale. – Dlaczego w ogóle ktoś miałby się ze mną kontaktować?

– W Denazen byłam kimś, kogo nazywają empatykiem. Czuję emocje ludzi, którzy są mi fizycznie bliscy. Kiedy dostałam lek Supremacji, moja zdolność się nasiliła. Potrafiłam się skupić na konkretnej osobie – niezależnie od tego, gdzie ta osoba była – i wykorzystać swoją zdolność. W przypadku osób, którym podano nowy lek – ten, który zawiera cząstkę mojej – krwi okazało się, że nie muszę próbować nawiązywać połączenia. To jest automatyczne. Czuję ludzi, czy tego chcę, czy nie. Potrafię się z nimi komunikować, kiedy są w stanie spoczynku.

– W stanie spoczynku? To znaczy, kiedy śpią?

Skinęła głową.

– Śpią albo są zrelaksowani. Niektóre sesje komunikacyjne z Kale’em odbywały się

wtedy, kiedy był na wpół uśpiony wkrótce po tym, jak podano mu lek.

– To wszystko jest bardzo interesujące, ale wciąż nie wiem, dlaczego komunikowała się pani ze mną, a nie z innymi – powiedział Kale, nie owijając w bawełnę.

– Byłeś niezwykle smutny i przestraszony, kiedy podano ci lek, a reszta nie. Martwiłeś się również nie tylko o siebie, ale i o dziewczynę, którą kochałeś. O dziewczynę z poprzedniej próby badawczej.

Kale spojrział na mnie, po czym odwrócił wzrok.

W oczach Penny pojawiły się łzy, tak jakby ona sama czuła ból.

– Te pierwsze dni były nie do zniesienia. Cierpiałeś, byłeś taki samotny, choć tak naprawdę ja byłam z tobą.

Kale wstał i zrobił kilka kroków w kierunku drzwi.

– To jakiś obłąd.

– Później jednak coś się zmieniło. – Penny wstała i zmarszczyła brwi. – Połączenie zrobiło się niejasne, zrywało się raz po raz. Wciąż cię wyczuwałam – teraz też cię czuję – ale wszystko było jakby pomieszane. Myślałam, że to może skutek uboczny tego leku. Myślałam, że może w jakiś sposób jesteś na niego uczulony, ale nie tak, że doprowadzi cię to do śmierci. Teraz rozumiem, że chodziło pewnie o to, co zrobili ci z głową.

– To dzieło jednej z Szóstek. Musieli być pewni, że będą mieli nad nim kontrolę, jeśli przeżyje – powiedziałam.

Kale kręcił głową. Był już prawie przy drzwiach.

– Obie nie macie racji – upierał się. Jego spojrzenie odbierało mi oddech. Furia, rozczarowanie i przede wszystkim ból.

– Nikt mnie nie kontroluje.

Żarliwość jego głosu sprawiła, że serce zaczęło mi walić jak młotem. Kale'owi dano posmakować wolności po raz pierwszy, kiedy spotkaliśmy się w lasach za moim starym domem. Do tamtej chwili mówiono mu, co ma robić, kazano mu gdzieś iść albo zostać, mówiono mu, kto ma żyć, a kto umrzeć. Kiedy się od tego uwolnił, przyrzekł, że nikomu więcej już nie pozwoli roztaczać nad sobą takiej władzy.

– Pokazałam ci, gdzie mnie znaleźć, żebyś mógł pomóc wyleczyć swoją dziewczynę – szepnęła Penny.

– Twoja krew – powiedziałam, przyglądając się Kale'owi. – Mamy przyjaciół przekonanych, że dzięki niej można zrobić szczepionkę.

– To śmieszne – rzucił Kale gwałtownie, tak że obie podskoczyłyśmy. – To nie jest moja dziewczyna. A mnie nie podano Dominacji. Zawsze taki byłem.

– To nieprawda – powiedziałam cicho.

– On wie. – Penny zrobiła krok w jego kierunku. – Czuję to całe zamieszanie w jego głowie. Jego umysł walczy z emocjami.

Kale zamarł o krok od drzwi i przygwoździł ją do podłogi niebezpiecznym spojrzeniem.

– Zamknij się.

Zignorowała go i zwróciła się do mnie.

– Nie wiem, co mu zrobili, bo to wszystko sięga bardzo głęboko, ale nie jesteś mu zupełnie obca.

– Przestań – powiedział tym razem głośniejszym głosem. Ruszył w jej kierunku z groźnym wyrazem twarzy, a ja wskoczyłam między nich w momencie, kiedy z koniuszków jego palców zaczęła się unosić i wirować czarna masa.

Wrogość Kale'a nie zrobiła na Penny żadnego wrażenia. Odsunęła mnie delikatnie na bok i podeszła krok bliżej.

– Pomyśl, Kale. Tego chciałeś bardziej, niż wszystkiego na świecie. Ocalić ją. Znalazłeś drogę do mnie mimo wszystko. Denazen pogrzebała głęboko wszystko, co znałeś. Nie potrafiłeś sobie przypomnieć własnego imienia ani jej imienia, a jednak mnie znalazłeś. I to dla niej.

– Sam to mówiłeś – dodałam, gdy pulsująca masa czerni się wycofywała. Z wahaniem sięgnęłam i wzięłam go za rękę. Byłam zdziwiona, kiedy jej nie wyrwał. Patrzył na nasze splecione palce z otwartymi ustami i zaciskał dłoń na mojej dłoni. Czułam radość i ekscytację, która rozlewała się po moim ciele. – Nie wiedziałeś, w co wierzyć. Ona ma rację. Znalazłeś tu drogę. Musiał być przecież jakiś powód. Może przynajmniej powinieneś jej wysłuchać, zanim podejmiesz jakieś nieprzemyślane decyzje, dobrze?

Pomyślał przez minutę, a później skinął głową w kierunku Penny.

– Dobrze. Posłucham, co masz do powiedzenia.

Penny skinęła głową.

– Nie mogę dopuścić do tego, żeby Denazen dorwała w łapy moją krew. Syntetycznie nie udało im się jej podrobić, a jako, że będą potrzebowali mojej krwi, żeby ciągnąć dalej obecną próbę badawczą, w końcu im jej zabraknie. – Uniosła rękę. Tę rękę, na której miała tę niezwykłą, czerwoną bransoletkę. – Wewnątrz bransoletki jest urządzenie, które za jednym naciśnięciem guzika zniszczy ten dom i wszystko, co znajduje się w jego wnętrzu. Ja stąd już nigdy nie wyjdę.

Zamrugałam oczami.

– Mówi nam pani, że ma pani na ręce coś w rodzaju bomby samobójczej? – To było to. Obrady ławy przysięgłych. Penny Mills – orzeczenie: oszalała.

– Bardzo wiele jeszcze nie wiesz o Denazen. Ich wpływ i zasięg idą znacznie dalej, niż to sobie wyobrażacie. Jeżeli udałoby im się mnie zamknąć za jakimiś kratami – a jestem prawdziwym, niekończącym się źródłem czegoś, czego za wszelką cenę pragną – mogliby stworzyć armię, którą mieli zamiar wykreować całe lata temu. Gospodarka światowa, rządy – nic i nikt nie byłby bezpieczny. Jestem skłonna poświęcić samą siebie i każdego, żeby tylko mieć pewność, że nigdy nie dostaną tego, czego szukają.

Poczułam, że coś mnie ściska w gardle. Każdego. Powiedziała to głośno i wyraźnie. Wspomniała też, że sprowadziła tu Kale'a i mnie, ale coś się zmieniło.

– Zmieniła pani plany, prawda? Nie da mi pani swojej krwi?

– Wręcz przeciwnie. Kiedy po raz pierwszy wyczułam Kale'a, nie miałam zamiaru ci pomagać. Chciałam po prostu, żeby to przejście było bardziej gładkie. Proszę, nie bierz tego do siebie, ale jesteśmy w stanie wojny. I jak na każdej wojnie, zawsze są niewinne ofiary złapane w krzyżowy ogień. Wtedy zdałam sobie sprawę, kim jest Kale i co dla niego znaczysz. – Pochyliła głowę i westchnęła ciężko. Kiedy znów na mnie spojrzała, widziałam, że jest zrezygnowana. – Nie mam wyboru. Muszę ci pomóc.

Kale przestępował z nogi na nogę.

– A kim ja jestem?

Penny uśmiechnęła się i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Jesteś słynnym Rozpruwaczem. Młodym człowiekiem, który pewnego dnia zmusi Denazen do poddania się i rzuci go na kolana.

W całym tym chaosie paru miesięcy zapomniałam o historii, którą Kale kiedyś mi opowiadał. Rozpruwacz. Człowiek, którego miał znaleźć, jeśli kiedykolwiek uda mu się wyjść poza mury Denazen. To właśnie doprowadziło nas do Ginger i do Podziemia, a w końcu do prawdy – Kale był Rozpruwaczem. Dzięki zdolnościom Ginger wiadomości o nim i o jego istnieniu dawały ludziom nadzieję na przyszłość w czasach panowania ciemności. Szukaliśmy kogoś, komu przypadnie należne miejsce na świecie. Szukaliśmy bohatera z przepowiedni.

Cała ta historia powinna mi przynieść jakieś pocieszenie. Przeznaczeniem Kale'a było

zniszczyć Denazen, a to w końcu oznaczałoby, że zrozumie, że tata i Kiernan byli po złej stronie. Jednak to nie oznaczało, że odzyska pamięć. Ani też, że zniszczenia, które są nieuniknione, nie pogrążą i nas.

– Wiem, że zaciemnili ci obraz świata, ale twoje uczucie do tej dziewczyny – do Dez – wystarczyło, żebym podjęła wyzwanie. Jeśli dasz przemówić swoim uczuciom, wierzę, że wskażą ci prawdziwą drogę do domu.

– Ja... – Kale zamarł. Sekundę temu jeszcze stał, a teraz leżał na mnie, a ja czułam, że coś wypycha mi powietrze z płuc. Wylądowaliśmy bezładnie na dywanie, u stóp Penny, kiedy coś za nami rozprysło się w drobne kawałki.

Okno ogrodowe.

Penny też rzuciła się na podłogę, a ja próbowałam się okręcić, żeby zobaczyć, dlaczego okno jest w drzazgach. Jednak Kale był za ciężki i nie pozwalał mi wstać.

– Penny, są tu jakieś tylne drzwi?

Jedyną odpowiedzią był dźwięk kolejnych rozbijanych szyb i zbliżające się z zewnątrz głosy. W końcu udało mi się odwrócić, złapałam ją za rękaw i przyciągnęłam bliżej. Ona chwyciła mnie za ramię i ścisnęła, aż myślałam, że zaraz pęknie.

– Penny?

W pokoju nie było powietrza. Wyssało je razem z wszelką nadzieją na przyszłość.

– Nie – szepnęłam. – Nie!

Z brzucha Penny Mills wypływały wnętrzności razem z jej życiem. Moje też zaraz się skończy. Kule. Używali ostrej amunicji.

Uniosła rękę i chwyciła dłonią bransoletkę na lewym nadgarstku.

– Jeśli chcecie stąd wyjść żywi, musicie jak najszybciej zacząć uciekać.

Kale zaklął i spróbował ściągnąć mnie z podłogi, ale go odepchnęłam.

– Nie! Możemy cię stąd wyciągnąć. Gdzie jest szpital?

Nie zwracała na mnie uwagi i drżącymi palcami wyjęła mały, czerwony kamień z oprawy. Nawet w chaosie, który nas otaczał, usłyszałam cichy dźwięk, kiedy kamień uderzył o deski podłogi i odbijając się, potoczył w bok. Pod spodem był mały guziczek i zanim zdołałam ją powstrzymać, już go naciskała.

– Macie sześćdziesiąt sekund. Tylne drzwi. Przez kuchnię – powiedziała z trudem. – Zmykajcie!

Kale'owi dwa razy nie trzeba było powtarzać. Chociaż walczyłam, ściągnął mnie z podłogi, zarzucił sobie na ramię i pognął do kuchni, a później na dwór przez tylne drzwi. Byliśmy już kilka metrów za domem, zanim udało mi się wyrwać. To było głupie i bezsensowne, ale tak czy inaczej ruszyłam z powrotem. Miałam większą szansę podjęcia ryzyka wybuchu, niż dorwania w ręce krwi, którą zostawiła po sobie Denazen.

To było jednak bez sensu. Kale miał mnie w ramionach, zanim zdołałam ująć trzy kroki. W powietrzu rozległ się ogłuszający huk, ziemia pod naszymi nogami zatrzęsała się, a cały dom pogrążył się w czerwonych i żółtych płomieniach, a wraz z nim wszyscy, którzy byli w środku.

Łącznie z moją ostatnią nadzieją na życie.

Nie wydusiłam z siebie ani słowa od chwili, kiedy Kale zaciągnął mnie do samochodu. Na tyłach domu roilo się od agentów, ale Kale, któremu musiało się na chwilę coś rozjaśnić w głowie, przedzierał się przez nich z łatwością kogoś, kto całe życie ćwiczył sztuki walki. Teraz, kiedy po obu stronach auta przesuwaly się zmieszane barwy zieleni i brązu drzew, a ja naciskałam coraz mocniej na pedał gazu, przez głowę przesuwaly mi się najważniejsze wydarzenia z życia. Pierwsza rzecz, jaką skopiowałam – głupia lalka Barbie w sklepie z zabawkami, w którym byłam z Brandtem i wujem Markiem. Dzień, gdy Brandt i ja wypaliliśmy swojego pierwszego i ostatniego papierosa. Moment, w którym ojciec powiedział mi, że Brandt został zabity. Dzień, w którym po raz pierwszy zobaczyłam mamę. Chwila, w której Sheltie wyznał, że jest Brandtem. I Kale. Tysiące zatrzymanych jak na stopklatkach chwil z Kale'em. W międzyczasie też coś było – Alex, sceny z imprez, wakacje z przyjaciółmi... To mi jednak nie wystarczało.

Kiedy Able mnie zatrzał, byłam śmiertelnie przerażona, że umieram. A jednak coś podpowiadało mi, że jest sposób, żeby z tego wybrnąć. Niezależnie od tego, jak byłam przybita i jak beznadziejna wydawała się cała sytuacja, w głębi duszy wierzyłam, że mi się uda. I udało się. Dostałam antidotum i przeżyłam aż do dzisiaj. Teraz jednak było inaczej. Po raz pierwszy w życiu naprawdę czułam, że nie ma nadziei.

– Przykro mi – powiedział Kale, kiedy przekraczaliśmy granicę miasta i jechaliśmy w kierunku Bena. Raz po raz spoglądał na mnie, ale przez całą drogę milczał.

– Przykro mi – powtórzył.

– Naprawdę? – Chciałam to pominąć milczeniem, ale słowa same wymknęły mi się z gardła. Kiedy podjechaliśmy pod światła, przekręciłam się w fotelu, nacisnęłam mocno hamulec i zatrzymałam auto. – A dlaczego ci właściwie przykro? – Odpięłam pas i z rozmachem otworzyłam drzwi samochodu.

Było późno – lub wcześniej, w zależności od tego, jak na to spojrzeć. Droga była pusta, a wystawy sklepów, ciągnące się wzdłuż ulicy, ciemne. Świat wymykał mi się z rąk. Mało mnie obchodziły dobre maniery i sympatyczna gadka. Fakt, że silnik wciąż pracował, albo że stałam na środku drogi w obcym mieście, niemal blokując skrzyżowanie, nie miał znaczenia.

Kale też wysiadł i stał z drugiej strony samochodu

– Przykro ci, bo migdałiłeś się z moją siostrą? Bo kilka razy groziłeś, że mnie zabijesz? Może ci przykro dlatego, że w zasadzie mnie porwałeś?

Słyszałam własny głos i wiedziałam, że jestem na skraju załamania nerwowego. Z jednej strony mnie to przerażało, a z drugiej – jakoś dziwacznie pocieszało. Każdy dzień bez Kale'a był jak rak zżerający moją duszę. Miesiącami czułam taki nacisk, że wydawało mi się, że ta presja mnie zadławi, ale jakoś się trzymałam. Teraz jednak coś przeważało szalę.

– A może – mówiłam dalej, obchodząc samochód, żeby stanąć na wprost niego – może przykro ci, że mnie nie pamiętasz? Może ci przykro, bo jesteś za słaby, żeby przyznać, co do mnie czujesz, nawet jeżeli tych uczuć nie rozumiesz? Może ci przykro, bo widzisz przed sobą biedną, spragnioną miłości dziewczynę, która trzyma się ciebie jak rzep psiego ogona, mając nadzieję, że najważniejsza osoba w jej życiu wróci. I że ta dziewczyna właśnie szykuje się na śmierć. – Przywaliłam sobie otwartą dłońią w głowę i z całej siły tupnęłam nogą. – No właśnie! Przykro ci, bo dopiero co skazałeś mnie na śmierć? Tak ma być? Bo właśnie to się stało, kiedy wyciągnąłeś mnie z tego domu bez Penny Mills. Teraz na nic się nie przydam. Jestem martwa.

Ona jest martwa. Ashley jest martwa. Nie żyje tylu niewinnych ludzi. Z tego powodu ci przykro?

Kale czekał. Stał cierpliwie, podczas gdy ja szalałam pośrodku drogi i wrzeszczałam jak opętana. Światła już kilka razy zmieniły kolor, ale inne samochody nie nadjeżdżały. Kiedy skończyłam, oddech miałam krótki, a serce waliło mi jak głośnik basowy w starym jeepie Brandta. Kale odepchnął się od samochodu i stanął na wprost mnie. Przygwoździł mnie do tylnych drzwi i nisko się pochylił.

Oszałamiająco ciepły oddech łaskotał mnie w szyję, a on szeptał mi do ucha.

– Może za nic mi nie jest przykro. – Jego usta nie dotykały mojej skóry, ale czułam je bardzo blisko. To było jak tortura, kiedy zbliżał się, schodząc w dół po mojej szyi, a potem z powrotem, zostawiając wyobrażone pocałunki na całej drodze aż do mojego ucha. Czubkiem nosa dotknął krawędzi mojej szczęki, później odsunął się i wbił we mnie swoje przeraźliwie niebieskie oczy. – A może przykro mi za to wszystko.

Jak szybko bije ludzkie serce, zanim nie wybuchnie? Ile może wytrzymać, zanim się nie zapadnie w siebie?

Tyle się w tamtej chwili działo. Jego nieznośny, głodny wzrok. Spojrzenie, które wstąpiło na ścieżkę wojenną z językiem jego ciała.

Przybliź się.

Trzymaj się z daleka.

Dotknij jej.

Nie dotykaj jej.

Kochaj ją.

Zabij ją.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale byłam w stanie tylko westchnąć, kiedy Kale pochylił się i był jeszcze bliżej. Lodowato błękitne oczy przygważdżały mnie i unieruchamiały, widziałam, jak mu się zaciskają szczęki. Tak, jakby się na czymś skupiał. Próbował z całych sił mnie zobaczyć – naprawdę mnie zobaczyć.

– Masz rację. Kłamię. Czuję coś do ciebie i to jest bardzo silne. Nie wiem, czy to dobre, czy złe...

Nie dokończył zdania. Zamiast tego wpił się w moje usta swoimi ustami, zaciskał palce na moich biodrach tak silnie, że siniaki miałam zagwarantowane. Ledwo co mogłam się ruszyć – ledwo odetchnąć – ale nic mnie to nie obchodziło. Jeśli mam umrzeć, to chciałabym właśnie w ten sposób. Może nie jest w stu procentach moim Kale'em, ale wzięłabym go takim, jaki jest.

Jeszcze przez chwilę byliśmy przyciśnięci do zewnętrznych drzwi od strony kierowcy, a teraz przesuwalimy się w kierunku bagażnika, zatopieni jedno w drugim. Ani na sekundę nie oderwaliśmy się od siebie ustami. Ani wtedy, kiedy uniósł mnie i położył na bagażniku, ani, kiedy objęłam go w pasie nogami, także nie puszczając, gdy jego palce wplatały się w szlufki moich dżinsów.

Ten pocałunek u Ashley nie był godny moich wspomnień. Prawdę mówiąc był szybki, głównie chodziło o zszokowanie Kale'a, ale to... To był ogień, który pamiętam. Nawet jeżeli myśli Kale'a na mój temat były gdzieś głęboko zakopane, na niego to chyba też działało. W życiu całowałam sporo facetów, ale jego reakcja – nawet teraz – była niepodobna do czegokolwiek, czego w życiu doświadczyłam.

Całował mnie, jak gdybym była samym życiem. Drogocennym, niebezpiecznie wahającym się na krawędzi. Z każdą chwilą robiło się coraz goręcej. Było tak, jak gdyby budził się z wieczności nasyconej snem i próbował mi zrekompensować stracony czas. To on był Królewną Śnieżką, a ja – księciem.

Nie wiadomo, do czego by doszło, gdyby nie pojawił się za nami samochód i kierowca

nie zatrafiłby z całej siły.

Oderwaliśmy się od siebie, ciężko dysząc. Kierowca wyminął nas łukiem, wrzeszcząc i klnąc, po czym zniknął w ciemności z piskiem opon.

Odwracając się, zauważyłam, że Kale mi się przygląda.

– Ja... To było...

Coś w alejce za nami zastukało. Lampa po drugiej stronie nie świeciła, więc kiedy się odwróciłam, ledwo co to zobaczyłam. Delikatny odbłask czegoś metalicznego.

– Cholera – mruknęłam pod nosem. Wciąż byłam owinięta nogami wokół pasa Kale'a, a kiedy rzuciłam się i bokiem ześliznęłam z bagażnika samochodu, Kale bez wielkich ceregieli rzucił się za mną. Lotka przeleciała ponad naszymi głowami.

– Denazen – szepnęłam, wyglądając zza krawędzi samochodu. Oczywiście. To musiało się zdarzyć w samym środku fantastycznego pocałunku, tak? To już oficjalne. Wszechświat ma do mnie jakieś pretensje. Choć z drugiej strony, być może ten kierowca wyrządził nam przysługę. Gdyby nie on, agenci Denazen na pewno podeszliby tanecznym krokiem do samochodu i uśpiliby nas z bliskiej odległości, zanim byśmy się zorientowali, co się dzieje.

Kale leżał teraz płasko na chodniku. Nagle coś metalicznego uderzyło w bok samochodu.

– Otaczają nas. – Chwycił mnie za ramię i pchnął w kierunku tylnego koła. – Właż pod auto.

Wśliznęłam się pod samochód i utknęłam pod nim, podobnie jak Kale. Zaczęłam panikować. Jeżeli ktoś będzie jechał tą ulicą i nie będzie rozglądał się dookoła, co się stanie, jeśli w nas przywali? Zrobi z nas dżem?

– To tu. – Kale ściągnął klapę wjazdu i odsunął ją na bok. Metaliczny odgłos żeliwnej pokrywy trącej o nawierzchnię drogi odbijał się echem na całej ulicy. Agenci musieli to usłyszeć. Będą wiedzieli dokładnie, co robimy i dokąd idziemy. – Szybko. Właż do środka.

Próbowałam się jakoś okręcić, ale leżałam pod takim kątem, że musiałam albo puścić się w dół głową naprzód, albo w ogóle. Fantastycznie. Nurkowanie w kanałach. Mój grudzień był teraz oficjalnie spełniony.

Wśliznęłam się tułowiem do otworu, trzymając mocno obiema rękami metalową drabinę i zesłałam w dół o kilka stopni, próbując się nie marszczyć i nie robić głupich min przy dotknięciu lodowatego metalu. Kiedy poczułam, że jestem nogami w środku, odbiłam się i okręciłam. Chociaż lądowanie nie było może prześliczne, niczego sobie nie zламаłam i nie było krwi. Czasami chodziło tylko o to. Kilka chwil później pojawiły się stopy Kale'a i usłyszałam dźwięk metalu przesuwanego po asfalcie, kiedy zamykał wjazd.

– Ruszamy – rzucił, zeskakując z drabinki. – Będą nam deptać po piętach.

Przez jakiś czas szliśmy wzdłuż ściany. Smród był okropny, a ja nie chciałam nawet myśleć o tym, po czym deptę. Chociaż raz byłam zadowolona, że na dworze jest mróz. Jeżeli byłoby lato, odór byłby nie do zniesienia.

– No, to...

– No, to co? – Kale się nie odwracał, ale widziałam, że raz po raz patrzy na mnie kątem oka. Szliśmy tak już kilka minut i ta cisza mnie dobijała.

– Nie chcesz czegoś powiedzieć?

Przystanął i odwrócił się.

– Czegoś?

– O tym pocałunku.

– Aha. – Wzruszył ramionami i znów zaczął iść.

– Aha? – zapiszczałam. – Nienawidzisz mnie, a potem wysysasz mi z gardła migdałki, i wszystko, co masz do powiedzenia, to „aha”?

– Było przyjemnie.

– Przyjemnie? Wiesz, że było bardziej niż przyjemnie. Ale czy coś ci to przypomniało? – Kiedy zdałam sobie sprawę z tego, co powiedziałam, poczułam, jak bardzo płoną mi policzki. W przypadku kogokolwiek innego – a zwłaszcza Alexa – to byłaby katastrofa. Dziesięć tysięcy dowcipów i szyderstw podanych mu na talerzu. – Wspomnienia – dodałam pospiesznie. – Czy to przywołało jakieś wspomnienia?

– Pamiętam to odczucie – westchnął. – Coś, co człowieka w całości ogarnia. I wciąż mi było mało. Ktoś...

– Ktoś? – spytałam, pełna nadziei. Odwrócił się i przez kilka sekund byłam pewna, że się nachyli i znowu mnie pocałuje. Nie zrobił tego jednak – zamiast pocałunku, skinął głową w ciemność przed nami.

– Niebezpiecznie jest stać w miejscu. Powinniśmy iść.

Powinniśmy iść.

Cholera, co ja sobie myślałam? Cóż, bardzo chciałam poznać jego myśli na temat naszego pocałunku i to, czy nas to jakoś zbliżyło do przełomu, ale teraz, kiedy agenci deptali nam po piętach, to było samobójstwo. Przewracało mi się w żołądku z niepokoju, ale próbowałam to jakoś przełknąć. Robiło się coraz gorzej. Dzień za dniem mijał i coraz trudniej było mi się skupić. Koncentracja wymagała wysiłku i to mnie przerażało. A jeżeli to białko z jakiegoś powodu buduje się w organizmie szybciej? I może wywali mi bezpieczniki, zanim skończę osiemnaście lat?

– Wszystko w porządku? – spytał Kale, kiedy nie zrobiłam kroku i stałam jak wryta.

– Tak – odparłam. Nie czas teraz świrować. Będzie jeszcze mnóstwo okazji. Taką miałam nadzieję. – Nie gniewaj się, ale niedługo będę miała osiemnaście lat. Lek chyba zaczyna działać.

Spojrzał na mnie tak, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego skinął głową i wyciągnął rękę.

– Chyba doszliśmy już prawie do końca.

Kiedy w końcu wyłoniliśmy się na powierzchnię ulicy, byłam mokra, zmarznięta na kość i podejrzewałam, że zmysł powonienia nigdy mi już nie wróci.

Kale chwycił mnie za rękę, żeby pomóc mi wyjść. Nie uważałam, stawiając stopę na asfalcie. Prawdę mówiąc, przyglądałam się Kale'owi. Delikatny zarys mięśni pod bluzą i wykrój ust. Ten pocałunek... Muszę powiedzieć we własnej obronie, że przez kilka miesięcy chorowałam na depryzację Kale'ową.

Pośliznęłam się na lodzie, a Kale, jak zawsze z właściwym refleksem, złapał mnie, zanim się zupełnie wywróciłam. Nasze oczy się spotkały i przez sekundę zapomniałam, jak się oddycha.

– Nie możemy wrócić do samochodu – powiedział. W jego głosie poczułam lekkie rozczarowanie.

Zwykle, ot, takie sobie zdanie bez żadnych romantycznych podtekstów, prawda? Oczywiście. To słowa z natury ogólnych. A jednak spojrzenie jego oczu nie było zdawkowe. Te piękne, niebieskie oczy rozpałał teraz żar, który nie pozwalał mi się skupić, chociaż i tak sprawiło mi to trudność. Zastanawiałam się, co moglibyśmy zrobić, gdyby dało się wrócić do samochodu. Miesiące spędzone osobno wyparowały. Znowu byliśmy my, a z drugiej strony świat, z którym trzeba było walczyć. Nie było już mojego Kale'a i ich Kale'a. Byliśmy tylko my.

– Dez, ja... – Nie potrafił jednak dokończyć. Chciał coś powiedzieć, ale znowu poczuł się zdezorientowany.

Wtedy pierwszy raz od tego wieczoru, kiedy znaleźliśmy go na imprezie, nazwał mnie po imieniu. Dźwięk tego słowa w jego ustach sprawił, że poczułam delikatne trzepotanie motyli skrzydeł w żołądku i ciepły dreszcz na plecach. Odchrząknęłam i zrobiłam krok wstecz, próbując

nie dać po sobie poznać, że jestem rozczarowana, kiedy nagle przestał. Czas. Na to trzeba czasu. Już miałam mu powiedzieć, że Ginger będzie wkurzona, że nie zwróciliśmy samochodu, kiedy z jego kieszeni dobiegł niski dźwięk wibracji.

– Co to jest?

Sięgnął po komórkę.

– Przełączyłem na tryb milczący. Żeby się zabezpieczyć. – Chwilę wpatrywał się w wyświetlacz, a później gestem kazał mi iść za sobą – okrążyliśmy ściany najbliższego budynku. – Mów.

Tym razem nie dało się włączyć trybu głośnomówiącego, ale pochyliłam się na tyle blisko, żeby usłyszeć, co się dzieje po drugiej stronie. Dzwonił Aubrey.

– Nie mam wiele do powiedzenia, ale słuchaj. Ona mówi prawdę – to znaczy Dez. Wszystko to, co powiedzieli ci Cross i Roz to kłamstwo. Będą na lotnisku Burns w Connecticut jutro, żeby dopaść Szóstkę nazwiskiem Ben Simmons. Musisz być tam przed nimi.

Kale przez chwilę milczał. Wpatrywał się w chodnik pod stopami, a ja widziałam napięcie jego ramion. Wziął głęboki oddech i spytał:

– Dlaczego mi to wszystko mówisz?

Chwila przerwy, a później westchnienie.

– Jesteśmy kumplami, chłopie. Wprawdzie kiedyś było inaczej, ale teraz jesteśmy. To nie jest kłamstwo. Pewnie tego nie pamiętasz, ale rozmawialiśmy, zanim ci to zrobili. Zaufałem ci i coś ci powierzyłem. Teraz ty musisz mi zaufać.

– Zaatakowała mnie Denazen – powiedział Kale, a w jego głosie słychać było niebezpieczną nutę. Wolną dłoń ścisnął ciasno w pięść. – Jesteś z nimi. Dlaczego miałbym ci ufać?

– Nie jestem z nimi, chłopie. Tak naprawdę nie jestem. Będę z nimi jutro na lotnisku i zrobię, co mogę, żeby ich spowolnić, ale nic nie obiecuję. Na początku najważniejsze. Masz w prawym ramieniu chipa. Dzięki temu cię śledzą. Tak cię znaleźli w hotelu i doszli aż do domu Penny Mills. Musisz go wyjąć albo nie będzie dla ciebie ucieczki. – Chwila przerwy. – Posłuchaj, ja cię dobrze znam. Nie jesteś pewien, czy możesz mi zaufać, rozumiem, ale dam ci dowód. Na pierwszym piętrze lotniska są toalety. Na drzwiach będzie znak „Nieczynne”. Sprawdź, co jest pod ostatnim zlewem. Znajdziesz tam coś dla siebie.

Telefon zamilkł.

– Aubrey? – Kiedy Kale nie usłyszał odpowiedzi, warknął i byłam pewna, że walnie telefonem o krawężnik, ale tego nie zrobił. Wcisnął go do tylnej kieszeni dżinsów i jednym szybkim ruchem zdjął kurtkę. Odsunął rękaw T-shirta i odwrócił się do mnie. – Widzisz coś?

– Tak – odpowiedziałam, cofając się tak, żeby zobaczyć jego twarz. Wyglądał na wściekłego, ale jeszcze bardziej na zaniepokojonego. Aubrey miał rację. Znajdą nas wszędzie. Poprawiłam mu kołnierz i zmarszczyłam brwi. – Widzę coś ciemnego.

Mogłabym przysiąc, że wyrzucił oczami. Sięgnął po kurtkę, założył ją i powiedział:

– Tego się trzeba pozbyć.

– Oczywiście, ale na pewno nie tutaj. Przede wszystkim nocą nic nie widać. A po drugie, co mam zrobić, wydłubać to paznokciami?

Kale wyjrzał zza budynku i rozejrzał się po okolicy.

– W porządku. Wiedzą, że poszliśmy do kanałów. Więc jeżeli będziemy w ruchu, pozbędziemy się ich towarzystwa na tyle, że będzie można to wyjąć.

– Wspaniała myśl, ale jak chcesz to zrobić? – Pomachałam mu przed nosem palcami. – Nie mam aż tak ostrych paznokci.

Skinął głową w kierunku ulicy i uśmiechnął się półgębkiem. Na rogu była mała drogeria.

– Potrzebujemy sprzętu.

Przebiegliśmy na drugą stronę, a później na tyły sklepu. Drzwi zewnętrzne nie stanowiły problemu. Były stare, z pordzewiałą klamką, która bez trudu złamała się w dłoniach Kale'a. Kiedy dotarliśmy do drugich drzwi, zamachnął się łokciem i wybił małe okienko. W powietrzu rozległ się dźwięk rozbijanego szkła. Wstrzymałam oddech, czekając na wycie syreny alarmowej, ale nie rozległ się żaden dźwięk. Wsunął rękę do środka i otworzył zamki.

– Ja znajdę nóż – powiedział, zamykając za mną drzwi. – Ty idź po opatrunki.

Rzuciliśmy się w przeciwne kierunki. Na szczęście dział medyczny był blisko wejścia, więc nie musiałam wymacywać niczego po ciemku. Wcisnęłam do kieszeni jałowe opatrunki z gazą, plaster, płyn antyseptyczny, a parę półek dalej dostrzegłam leki. Chwilę to trwało, ale w końcu znalazłam Ibuprofen. Kale z reguły nie brał leków, bo nie lubił. Niezależnie od tego, czy to były tabletki, czy płyny – to nie miało znaczenia. Mama powiedziała kiedyś, że to dlatego, że, kiedy był dzieckiem, tak często faszerowali go chemią. Nie miałam do niego o to pretensji, ale tak czy inaczej wzięłam buteleczkę. Na wszelki wypadek. Nigdy jeszcze nie musiałam niczego nikomu wydłubywać nożem ze skóry, ale wyobrażałam sobie, że będzie bolało jak cholera.

Wszystko już miałam w rękach i odwróciłam się w kierunku drzwi, ale nagle coś mi przyszło do głowy. Krew Kale'a. Jego zdolności były teraz inne, ale nie wiedziałam, co jeszcze lek mógł zmienić lub czego nie zmienić. Przesuwałam wzrokiem po półkach i znalazłam pudełko z gumowymi rękawiczkami. Krew Kale'a sprawiała, że Szóstki traciły rozum i były posłuszne swoim panom. Denazen posługiwała się nią, żeby nad nami panować.

Kale wyłonił się zza kontuaru z czymś, co wyglądało bardziej jak narzędzie wielofunkcyjne, niż nóż. Miał też żółtą zapalniczkę rodem prosto z filmu ze Sponge Bobem w roli głównej.

– Czas nam się kończy. Musimy ruszać.

– Dokąd? Chwilę potrwa, zanim wyjmę ci chipa. Gdzie byśmy się nie zatrzymali, od razu nas znajdą.

– Mam pomysł. – Chwycił mnie za rękę i nagle straciłam oddech. Poczułam znane mrowienie, kiedy jego palce zacisnęły się na mojej dłoni.

Przebiegliśmy siedem przecznic do stacji kolejowej na skraju miasta i mieliśmy szczęście – złapaliśmy pociąg, tuż zanim ruszył z peronu. Kale miał świetny plan. Rozłożymy się w pociągu, wyciągniemy urządzenie namierzające i wciąż będziemy w ruchu.

– Masz – powiedział Kale, podając mi nóż i zapalniczkę, po czym rozsiadł się na ławce z tyłu wagonu. Zdjął kurtkę, później T-shirt i położył obok. – Wysterylizuj nóż zapalniczką, zanim zrobisz pierwsze nacięcie.

Było po trzeciej nad ranem i na szczęście w wagonie było pusto. Jeśli miałabym wyjaśniać innym pasażerom, dlaczego Kale był półnagi, a ja wykonywałam nieskomplikowaną procedurę chirurgiczną w pędzącym pociągu za pomocą wielostrzowego scyzoryka i żółtej dziecięcej zapalniczki, cóż – to mogło być trudne, a już nie wspomnę o tym, że trochę niepokojące.

Niechętnie wzięłam od niego oba przedmioty. Wiedziałam, że to ja będę musiała to zrobić. Sam przecież nie dałby rady wyciąć chipa z ramienia. A to wcale nie znaczyło, że byłam z tego powodu zadowolona.

Nie mdlałam na widok krwi tak, jak niektórzy – na przykład Brandt, ale nie byłam też jej wielką fanką. A grzebać komuś pod skórą, żeby coś wyciągnąć? To przecież nic przyjemnego.

Kciukiem odpaliłam zapalniczkę i trzymałam nad nią ostrze scyzoryka, a Kale cierpliwie siedział, nagi do pasa. Z całej siły próbowałam nie patrzeć. Naprawdę. Ale nie mogłam się powstrzymać.

On też to zauważył.

– Musisz na mnie patrzeć, już nie wspominając o tym, że będziesz musiała mnie dotknąć, jeżeli to ma się udać.

– Wiem. – Puściłam krzemień zapalniczki i odłożyłam nóż na bok, żeby wystygł. – Szkoda, że nie ma tu Alexa. Miałby niezłą frajdę.

Kale wziął głębszy oddech i przysunął bliżej ramię.

– Dasz radę?

Sięgnęłam do tylnej kieszeni spodni i wyjęłam znalezione w sklepie gumowe rękawiczki. Wsunęłam w nie palce – najpierw lewej, a później prawej dłoni.

– A mam wybór?

Kale wziął nóż leżący na ławce. Podając mi go, powiedział:

– Nie o to pytałam.

– Zaraz się dowiemy. – Wzięłam głęboki oddech, odebrałam od niego nóż i lewą dłonią przesunęłam po jego skórze. Starając się jak najmniej naciskać, badałam jego ramię, powtarzając w duchu, że palce natychmiast muszą mi przestać drżeć. Światło nie było fantastyczne i zanim to zobaczyłam, poczułam coś pod palcami – niewyraźny cień blizny. – Chyba znalazłam. – Naciskałam kciukiem i badałam opuszkami palców, aż znalazłam coś twardego pod powierzchnią skóry.

– Dobrze. Wydostań to. Denazen wkrótce się zorientuje, gdzie jesteśmy i co robimy.

– Dobra – powiedziałam i ustawiłam ostrze noża na skórze, tam, gdzie wyczuwałam środek chipa. – Gotowy?

Lewą rękę zacisnęłam na oparciu siedzenia.

– Bieź się do roboty, Kiernan.

Więc znów jesteśmy przy Kiernan, tak?

Powiedziałam sobie, że nacinanie skóry ostrym nożem to konieczność, nie dlatego, że znowu nazwał mnie Kiernan, ale pewnie to było jedno i drugie. Zacisnął zęby, a ja ścisnęłam dłoń w gumowych rękawiczkach, pogłębiając nacięcie.

– Wiesz – odezwał się i do niego, i do samej siebie. Musiałam się dobrze zaprzeć, również psychicznie. W moim życiu było dużo wariactwa, ale teraz siedziałam w opuszczonym wagonie pociągu, który pędził przez obce miasto, próbując wyłuskać urządzenie namierzające spod skóry mojego chłopaka, który być może wciąż chce mnie zabić. Każdemu mogłoby się od tego zakręcić w głowie. Zasługiwałam na duży kubek kawy i truskawkę w czekoladzie. – Chyba sobie przypominam, że mówiłam ci, jak mam na imię. Dez. Nie Kiernan. Aubrey potwierdził to, co ci powiedziałam. Słyszałam na własne uszy, nie wspomniawszy już o tym, co powiedziała Penny.

Nacięłam jeszcze głębiej i Kale się wzdrygnął.

– Penny mogła kłamać.

– To nie do wiary. Jeszcze godzinę temu nazywałeś mnie Dez! – Czubek noża uderzył o chip. Próbowałam wyłuskać nim to diabelstwo, przybliżyć do powierzchni, ale nóż się ześliznął i Kale syknął z bólu.

– Spokojnie – rzucił, ściskając mocniej krawędź siedzenia. – Aubrey też mógł kłamać, ale mu wierzę. Nie wiem dlaczego, ale tak czuję...

– Chyba nie pamiętasz, co ci powierzył, prawda? – Przypomniała mi się noc w lesie za domem Ashley. Aubrey powiedział mi, że coś Kale'owi przyrzekł. A teraz to. Szalałam z ciekawości.

– Nie pamiętam – odparł Kale. Znowu chwycił oparcie siedzenia. Kłykcie mu zbieleły, kiedy poruszałam nożem w nacięciu skóry.

– A dlaczego?

– Tak się zastanawiam. Aubrey... Trudno go do końca zdefiniować.

Kale przechylił głowę na bok, zamyślił się i westchnął.

– Nie, ja mu wierzę. Jestem bardzo ciekaw tego dowodu, który ma dostarczyć, ale wierzę w to, co powiedział.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć, ale na szczęście Kale nie dał mi szansy.

– Nie należę do nich – rzekł po chwili. – Czuję to od momentu, kiedy obudziłem się w szpitalu.

– Jeżeli miałeś takie odczucia, to dlaczego zostałeś? I dlaczego tak strasznie wierzyłeś przeciwko temu, co miałam ci do powiedzenia?

– Byłaś kiedyś ślepa? – Zamknął oczy i wziął głęboki oddech, kiedy ja grzebałam mu pod skórą czubkiem noża. – Próbowałaś kiedyś wejść do pokoju, zamknąć oczy i znaleźć drogę wyjścia?

– Chyba nie.

– To spróbuj. Wtedy zobaczysz, jak wyglądało moje życie od momentu, kiedy się obudziłem na tym szpitalnym łóżku. Byłem ślepy. Wyobraź sobie, że jesteś ślepa przez całe życie. Potem pewnego dnia los pozwala ci przejrzeć na oczy. Ktoś ci mówi, że kolor jaki ma niebo to purpura. – Otworzył oczy. – Masz przecucie, że to nie purpura, czujesz, że może być na to inne, lepsze słowo, ale jakbyś nie próbowała, nie możesz go sobie przypomnieć. Dręczy cię to każdego dnia i każdej nocy, ale nie pamiętasz. Jaki masz wybór?

– Chyba... – powiedziałam, przełykając ślinę – ...chyba też bym powiedziała, że to purpura. – Ja byłam błękitem, a Kiernan była jego purpurą.

– No właśnie.

Przełknęłam ślinę i znowu poruszyłam czubkiem noża. Tym razem złapałam chip

i przysunęłam go trochę bliżej do powierzchni skóry.

– A mógłbyś... Powiesz mi, co się stało? To znaczy, jak się zbudziłeś?

– Wiele nie ma do opowiadania. Przynajmniej niewiele pamiętam. Zbudziłem się i zobaczyłem, że jest tam Marshall. Powiedział mi, że wyszedłem cało z wypadku i że zostałem ranny, próbując ocalić życie mojej dziewczyny – to znaczy jego córki. Roz.

Chip przesunął się o kolejny centymetr.

– A wiedziałeś kim był Cross?

Kale wzruszył ramionami, żeby pokryć kolejne skrzywienie twarzy. Typowy chłopiec.

– To wszystko było jak za mgłą. Pamiętałem jego twarz i to, że w jakiś sposób był ważny w moim życiu. Poza tym niczego więcej.

Znów się wzdrygnął.

– A ona?

– Powiedziała mi, jak ma na imię. Brzmiało znajomo, ale nie potrafiłem go zlokalizować. Kiedy weszła i ją zobaczyłem, to było... dziwne. Nie rozpoznawałem jej. Właściwie nie. Po drobniactwach poznawałem, że nie jest mi obca.

– Na przykład? – Ostatnie poruszenie noża i w końcu zobaczyłam chip. Chwytałam krawędź kciukiem i palcem wskazującym. Wzięłam głęboki oddech i pociągnęłam. Trudno było w rękawiczkach, bo ślizgały mi się palce, ale po paru próbach w końcu go wyjęłam.

Kale wciąż nie odpowiedział na moje pytanie, więc spojrzałam na niego, zdając sobie sprawę, że się na mnie gapi.

– Zdziwiający – rzekł, po czym wyciągnął rękę i dotknął kosmyk moich blond włosów. – To. Zobaczyłem te obłąkańczo dziwne włosy – blond z czarnymi końcówkami, i nie wiem jak, ale wiedziałem, że wszystko będzie dobrze.

Teraz znacznie lepiej kontrolowałam swoją umiejętność niż kilka miesięcy temu. Tuż przed powrotem Kale'a do Denazen wszystko się zmieniło i przestałam nad tym panować. Bezwiednie zamieniałam części swojego ciała. Wciąż tak było, szczególnie kiedy czułam stres lub przyływ emocji. Teraz widocznie nadszedł jeden z takich momentów, bo jeszcze chwilę temu włosy były brązowe.

– Często zmieniam kolor włosów i zazwyczaj je farbuję. Takie były, kiedy poznaliśmy się w czerwcu.

– Podobają mi się – powiedział, puszczając kosmyk między palce. – To dziwne i niemądre, ale twoje włosy mnie uspokajają.

Rzuciłam chip na podłogę i rozgniotłam go obcasem. Później polałam ranę płynem odkażającym i zamknęłam butelkę. Mocno ściskając bandażem brzegi nacięcia, oderwałam kawałek plastra z rolki i je zakleiliśmy. Kiedy skończyłam, zrobiłam krok wstecz i usiadłam obok Kale'a, który wciąż na mnie patrzył. To było tak, jak gdyby nigdy wcześniej mnie nie widział, a jednocześnie w jego oczach widziałam iskry czegoś surowego. Czegoś dobrze znanego.

– To chyba była moja wina.

– Co takiego?

– Wydali rozkaz wycofania cię z gry. Kiedy zacząłem zadawać pytania, zmienili zdanie i nie chcieli cię już sprowadzić żywcem. Chyba dlatego strzelali ostrą amunicją w domu Penny Mills.

– Oczywiście – powiedziałam i zrobiło mi się niedobrze. Penny nie żyła, bo Kale mnie ocalił. Kula, która ją zabiła, miała wypisane moje imię, nie jej. – Nie chcieli, żeby ona zginęła, tylko ja. Nie byłabym wtedy zagrożeniem dla twoich wspomnień.

– Dokładnie się wszystkiemu przyglądali i zgadli, jaki będzie twój następny ruch, na podstawie nazwisk na liście. Dwóch pozostałych wysłano pod jeden adres, a Aubreya i mnie do

Thoma Morrisa. Mieliśmy cię zabić przy pierwszej sposobności.

– Nie widziałam Aubreya.

– W ostatniej chwili powiedział, że znalazł nowy ślad. – Kale wziął w palce jeszcze jeden kosmyk moich włosów i pokręcił głową, zdziwiony.

– A ty postanowiłeś mnie porwać. – Nie potrafiłam się powstrzymać od sarkazmu, co było naprawdę głupie. Porwanie jest lepsze, niż śmierć.

– Widziałem, jak wychodzisz z domu i wsiadasz do samochodu...

– Widziałeś mnie? Siedziałam tam, czekając na ciebie godzinami.

– Wiem. Ja ci się tylko przyglądałem.

Zmusiłam się do uśmiechu.

– Aż dreszcz przechodzi po plecach.

– Ostatnie słowa Marshalla, które wypowiedział, zanim wyszedłem, wciąż słyszę jakby nagrane na taśmie. Raz za razem. – Zabij ją. Wykończ ją szybko. – Tysiąc razy próbowałem.

– Odsunął się i uniósł dłoń. Na jego koniuszkach palców zbierała się krząca jak chmara małych punkików czarna masa. – Nie musiałbym nawet podchodzić bliżej. Mógłbym to zrobić z miejsca, w którym stałem. Nie musiałbym ani z tobą rozmawiać, ani patrzeć ci w oczy. Po prostu byś zniknęła, ot, jak strzelić z palców.

– Ale zobaczyłeś zdjęcie w telefonie i chciałeś dotrzeć do prawdy. – Ściągnęłam rękawiczki i chwyciłam toczący się po podłodze wagonu pusty tekturowy kubek po kawie. Włożyłam do środka rękawiczki i pozostałe części chipa i zamknęłam wieczko. Chciałam przede wszystkim wyrzucić to za okno, ale byliśmy w jadącym pociągu, więc nie było jak.

– Aubrey powiedział, że znalazł ten telefon w lesie. Zobaczyłem zdjęcie i byłem zdezorientowany, ale chodziło o coś więcej. Wciąż myślałem o tym pocałunku w domu Ashley Conner.

Rzuciłam kubek na podłogę i kopnęłam go na drugą stronę wagonu. Toczył się aż nie uderzył w ścianę, a później schował się pod ostatnie siedzenie przy drzwiach.

– Wiesz, ja całkiem nieźle całuję.

– Wydawało mi się, że kocham ją... Roz. To właśnie mi powiedzieli. Kiedy jednak oddałem ci pocałunek tam, na ulicy... Z nią się tak nigdy nie czułem.

Wstałam i podałam mu podkoszulek.

– To zakrawa na komedię. Nie mam ochoty wysłuchiwać opowieści o tym, jak się całowałaś z moją siostrą.

Zaczęłam się wycofywać, ale chwycił mnie za ramię i posadził z powrotem.

– Nie ty jedna to czujesz – powiedział cicho. – Jeżeli wszystko, co mi mówisz, jest prawdą, straciłem więcej niż ty. – Puścił mnie i założył podkoszulek przez głowę. Poruszał ramieniem i skinął głową. – To robi wrażenie.

– Co takiego?

– Fakt, że dokonałaś właśnie zabiegu chirurgicznego na moim ramieniu. Większość ludzi by sobie z tym nie poradziła. Miałem wrażenie, że jesteś bardzo opanowana i zadziwiająco spokojna.

– Jestem inna niż większość ludzi.

– Zaczynam to rozumieć. – Założył kurtkę. – Roz by zemdlala.

Chociaż nie pławiłam się w porównaniach do Kiernan, to czułam satysfakcję z tego, że nie potrafiłaby zrobić takiego pięknego cięcia. Nie znosiła widoku krwi. Kiedyś byliśmy na imprezie Nixów, po tym, jak Kale i ja wróciliśmy z wyprawy, żeby ostrzec pozostałych. Dwie mały rodzaju męskiego, z których aż parował testosteron, zaczęły się nawzajem wyrzucać przez szklane drzwi. Moja siostrzyczka przez godzinę rzygała.

Pociąg zwolnił, a później się zatrzymał. Miałam nadzieję, że jesteśmy niedaleko lotniska.
– Jeśli jeszcze raz porównasz mnie do Kiernan, bo Roz to nie jest jej prawdziwe imię –
tak przy okazji – to przetnę ci nożem to drugie ramię. Dla rozrywki.
Uśmiechnął się delikatnie i splótł palce z moimi.
– Teraz rozumiem, dlaczego cię lubię.

Samolot Bena Simmonsa miał wylądować o dziesiątej rano. Nie zostało zbyt dużo czasu na planowanie.

– Nie podoba mi się to – powiedziała mama, której głos słyszałam w słuchawce. Usadowiliśmy się na jakimś polu za lotniskiem. Słońce już prawie wzeszło. Nie będzie wsparcia, zanim Ben wyląduje. Moi byli za daleko.

– Jestem otwarta na inne opcje – odparłam, czekając na kogokolwiek, kto da nam lepszą propozycję. Telefon miałam nastawiony na tryb głośnomówiący. Po drugiej stronie byli mama, Dax, Ginger i Vince, a Kale siedział naprzeciw mnie. Jedyne plan, który przyszedł nam do głowy, polegał na tym, że Kale będzie próbował odwrócić uwagę Kiernan, a ja się w nią zamienię i wyprowadzę Bena poza zasięg ciekawskich oczu, zanim Denazen zdoła go wyciągnąć z lotniska. Było jednak zbyt dużo zmiennych, a ja robiłam się nerwowa. Nie wspominając już o tym, że mam się wbić w skórę mojej siostrzyczki – robiło mi się słabo na samą myśl, a fizyczny koszt związany z zamienieniem się w całą osobę nie był mały. Normalnie zamienienie innych przedmiotów w inne to bułka z masłem, ale cały człowiek... – traciłam mnóstwo energii, byłam słaba i podatna na ciosy.

– Na pewno możesz mu zaufać? – spytał Dax. – A jeżeli to jakiś podstęp, żeby Cross dorwał cię w swoje łapy?

Kale zaśmiał się głośno.

– Jeśli chciałbym ją podać Marshallowi na talerzu, teraz byśmy nie rozmawiali. Poza tym wiem o tobie wszystko, Daxielu Fleet. Słyszysz przecież mój głos. I co o nim sądzisz?

Umiejętności Daxa przejawiały się w dźwiękach. Jeżeli Kale chciałby nas oszukać, Dax by o tym wiedział.

– On mówi prawdę.

Mama głośno westchnęła.

– Nie zdążycie na lądowanie samolotu, ale jeżeli byście teraz wyjechali, byłibyście tu już niedługo. Jeśli to wszystko zagra, będziemy potrzebowali samochodu.

– Samochodu? Co zrobiliście z moim autem? – warknęła gdzieś z tyłu Ginger.

– Uspokój się, wszystko jest dobrze. Tak się składa, że teraz... akurat nie mam do niego dostępu.

– Musimy pędzić – wtrącił się Kale. Rzucił na mnie spojrzenie z ukosa i dodał: – Niestety, samochód prawdopodobnie został przejęty przez lokalne władze.

– Samochód Ginger jest w tej chwili mało istotny – odparła mama. – Możemy wyruszyć natychmiast, ale muszę być pewna, że nic ci się nie stanie. Na pewno potrafisz to zrobić?

Wszyscy mnie ostatnio o to pytają: „Czy na pewno potrafisz to zrobić?” A jaka jest prawda? Nie byłam pewna, ale nigdy wcześniej nie pozwalałam lękowi ani wątpliwościom stawać mi na drodze. I nie ma powodu, żeby teraz zaczęła.

Lot Bena był nieco opóźniony, a ja wciąż nie wiedziałam, czy to dobrze, czy źle. Kale chodził od ściany do ściany, a dowód, który obiecał mu Aubrey – płyta CD przyklejona pod zlewem – już miał w ręce. Rozwścieczony machał nią w powietrzu.

– Jak to coś ma mi pokazać prawdę?

Chwycałam go za ramię. Kręciło mi się w głowie od tego machania.

– Na płycie muszą być jakieś informacje. Coś, co rzuci światło na wszystko.

Kale skierował wzrok na dysk trzymany w dłoniach. W oczach miał tylko podejrzliwość.

– Informacje? – Parę razy obrócił płytę w rękach, a później ciężko westchnął. – W takim razie ty chyba wiesz o tym wszystkim więcej, niż ja. Będę ci musiał uwierzyć na słowo.

Rozbiliśmy się obozem w nieczynnej męskiej toalecie na terenie terminalu, na którym miał wylądować Ben. Póki co na horyzoncie było czysto, ale stąd nie mieliśmy zbyt dobrego widoku.

– Daję ci słowo. Jak tylko wrócimy do domu, dowiemy się, co tu jest. – Znów niecierpliwie wyrzałam za róg. Bezczyenne tkwienie w jednym miejscu doprowadzało mnie do szału. – To śmieszne, a ja mam dosyć czekania. Jest łatwiejszy sposób.

Zamknęłam oczy, wzięłam głęboki oddech i skoncentrowałam się na stewardesie, która przygotowywała się do wejścia na pokład jednego z samolotów. Znane łaskotanie z tyłu szyi i zmiana ubrania – z wygodnych dżinsów na ograniczające ruchy nylonowe rajstopy i sztywną minispódniczkę – powiedziały mi, że przemiana była skuteczna. Kiedy się odezwałam, głos miałam zupełnie inny. Nie całkowicie obcy, ale jakby z zagranicznym akcentem.

Oparłam się o ścianę, kiedy ogarnęła mnie fala zmęczenia. Trwała tylko chwilę i już mogłam stać pewnie na nogach.

– Dzięki temu mogę wyjść i trochę się rozejrzeć. Mogą gdzieś tu być, a stąd na pewno ich nie zobaczymy.

Odwróciłam się i ruszyłam ku drzwiom, ale Kale w ostatniej chwili chwycił mnie za rękę.

– A co ja mam robić?

Kale potrafił z łatwością i niedostrzeżony przez nikogo, poruszać się po dowolnej przestrzeni – po prostu tego nie pamiętał.

– No, jeśli już pytasz, to prawdopodobnie będzie bezpieczniej, jeżeli posiedzisz i poczekaasz tu na mnie.

Uniósł wolną dłoń do mojej twarzy i przesunął palcem wskazującym wzdłuż policzka.

– Mam wrażenie, że często wpadasz w kłopoty.

– A skąd wiesz, że to nie kłopoty znajdują mnie?

Przesuwając palcem niżej, w kierunku mojego podbródka, pochylił mi głowę ku sobie i zmarszczył brwi.

– Nie. Sądzę, że po raz pierwszy to ja mam rację.

Uwolniłam się, wysliznęłam i ruszyłam w kierunku terminalu lotniska. Ludzi było teraz więcej, dzięki czemu Denazen łatwiej się ukryje. Pasażerowie zjeżdżali ruchomymi schodami, a ja, idąc za przykładem innej stewardesy, dziękującej pasażerom za wspólny lot i życzącej im bezpiecznej podróży do domu, ustawiłam się na końcu holu.

Grupki osób pojawiały się i znikaly. Ludzie szli jeden za drugim ruchomym chodnikiem i obejmowali swoich najbliższych. Poczekalam, aż tłum się przeredzi i po kilku minutach dostrzegłam znaną burzę ciemnych włosów i znoszony skórzany trenz.

Aubrey stał z tyłu, a kilka metrów przed nim, z boku – Kiernan. Na skraju tłumy pasażerów zauważyłam jeszcze trzech agentów. To nie było łatwe, ale wyluskałam ich wzrokiem, bo mieli na sobie charakterystyczne granatowe garnitury. Gdyby nie ten strój służbowy, łatwo wmieszaliby się w tłum.

Zaczęłam panikować, kiedy znikł ostatni pasażer. Widziałam niewyraźne zdjęcie Bena tuż obok jego nazwiska na liście Ginger, ale nikt z pasażerów wysiadających z samolotu nawet w przybliżeniu go nie przypominał. Nie tylko ja robiłam się nerwowa. Kiernan stanęła na palcach i obrzuciła Aubreya niespokojnym spojrzeniem. Wzruszył w odpowiedzi ramionami i ruszył przed siebie. Miał wybór między mną a inną pracownicą linii lotniczej. Na szczęście wybrał mnie.

– Przepraszam – powiedział, podchodząc do mnie. Kiernan deptała mu po piętach. –

Czekamy na znajomego. Czy wszyscy już wyszli z samolotu?

– Być może pana znajomy poleciał innym lotem? A może już przeszedł przez bramkę albo ktoś inny go odebrał?

– Prędzej zdechnę – mruknęła Kiernan.

Udawałam, że tego nie słyszę i zwróciłam się do Aubreya. Miałam teraz szansę go stąd wyrzucić.

– Może pan sprawdzi przy samych bramkach. Będą wiedzieli więcej, niż ja.

Aubrey skinął głową i odwrócił się, ale Kiernan uparcie stała przede mną, patrząc na ludzi przewalających się przez terminal.

– Jest pani pewna, że wszyscy już wyszli?

– Tak, jestem pewna – odparłam, walcząc z pokusą pchnięcia jej w przeciwnym kierunku. A to dużo mówi o mojej samokontroli – być tak blisko i oprzeć się chęci rzucenia jej na podłogę.

Zawahała się, później odwróciła na pięcie i poszła za Aubreyem. Jednak trochę się spóźniłam. Przez terminal przedarł się złowieszczy okrzyk, który do podłogi przykuł wszystkich, łącznie z Kiernan i Aubreyem.

Cała nasza trójka spojrzała teraz w kierunku ruchomego chodnika. Zobaczyliśmy dwóch potężnie zbudowanych pracowników ochrony lotniska i wysokiego faceta w jasnoczerwonej bluzie z kapturem.

Faceta, który był dziwacznie podobny do tego na zdjęciu Ginger.

– Puszczajcie – wrzeszczał, wyrывая się z uchwytu wyższego z ochroniarzy. – Ja nic nie zrobiłem!

– Co się stało? – spytałam, kiedy dotarli do końca hali. Kiernan i Aubrey czekali z boku na swoją szansę.

– Zaczął świrować już w połowie drogi z Paryża – powiedział jeden z ochroniarzy. – Krzyczał coś o krwi, mózgu...

– Pasażerowie się przestraszyli. Wpadli w panikę – dodał drugi z krzywym uśmiechem. – Potrząsnął Benem solidnie. – Policja już tu jedzie i zaraz sobie z nim pogadają.

Odwrócili się i ruszyli przez halę przylotów, a ja za nimi. Nie miałam zamiaru spuszczać Bena Simmonsa z oczu. Spojrzałam pospiesznie za ramię i zobaczyłam idących za nami Aubreya i Kiernan. Pewnie mieli ten sam pomysł, co ja.

Zatrzymałam się, odwróciłam i posłałam jej najśłodszy ze swoich uśmiechów, a raczej uśmiech stewardesy.

– Zajmiemy się państwami znajomym i damy znać, jak się rozwija sytuacja. W poczekalni jest kawa i ciasteczka. Proszę się częstować.

Kiernan przez chwilę wyglądała tak, jakby się chciała spierać, ale Aubrey położył jej rękę na ramieniu i ją odciągnął. Wątpiłam, czy się tak łatwo poddadzą, albo że w hollu są jakieś darmowe ciasteczka, ale musiałam zyskać nad nimi przewagę. Miałam nadzieję, że zyskam również na czasie i że razem z Kale'em będziemy w stanie bezpiecznie wyciągnąć Bena z budynku lotniska.

Ochroniarze zaprowadzili Bena do bocznej części hali, do pomieszczenia znajdującego się na końcu lotniska. Stałam chwilę w progu, kiedy przykuwali go do stalowego pręta przy małym stoliku i zamykali drzwi.

– Widzę, chłopcy, że sobie świetnie radzicie – powiedziałam z uśmiechem. – Zadzwońcie do biura, jeśli będziecie potrzebowali pomocy.

Okręciłam się na pięcie i ruszyłam w przeciwnym kierunku niż ten, z którego przyszliśmy. Myśl. Dziewczyno, musisz pomyśleć i znaleźć rozwiązanie. Byłam pewna, że jednego z nich bym pokonała, ale musiałabym też się pozbyć drugiego.

Weszłam w pierwsze otwarte drzwi i znalazłam się w małej poczekalni. Była tam kanapa i dzbanek z kawą oraz stos starych, kolorowych magazynów, a ciasteczek jednak nie było. Znajdowała się tam również łazienka. Weszłam do środka i spojrzałam w lustro. Przede wszystkim trzeba się pozbyć tych ciuchów. Materiał oklejający skórę marszczył się i zmieniał – z nylonowych rajstop i minispódniczki w porządne policyjne buty i swędzący czarny mundur.

Łatwiej byłoby zmienić się w całkiem nową osobę, ale było jeszcze za wcześnie. Ostatnio trochę przesadziłam, ciekawa swoich granic co do zamieniania się w innych ludzi i okazało się, że jeśli robię to za szybko i za często, zapadam w coś w rodzaju śpiączki i przez dwa dni się nie budzę. Zaciskałam kciuki z nadzieją, że mam jeszcze w sobie tyle mocy, żeby zmienić kilka kluczowych rysów twarzy i elementów ubrania.

Nie mając nikogo szczególniego na myśli, wyobraziłam sobie twarz trochę pełniejszą, dłuższą, okoloną krótkimi, kasztanowymi włosami. Dodałam też niebieskie oczy. Przyglądałam się sobie w lustrze i widziałam, że skóra zaczyna się rozciągać i kształtować, przybierając formę, którą miałam w wyobraźni. Wypuściłam powietrze z płuc, bo nie zdawałam sobie sprawy, że przez chwilę nie oddycham. Brwi miałam nierówne, ale chyba tego nikt nie zauważy.

Taką miałam nadzieję.

Teraz zamiast stewardesy, która przed chwilą patrzyła na mnie z lustra, widziałam niewysoką, ciemnowłosą kobietę o puciołowatych policzkach i szpiczastym podbródku. Oczy miała niebieskie – ciemniejsze niż Kale – a w nich isierkę przewrotności. Jej policyjny mundur był wykrochmalony i czysty. Westchnęłam. Trzeba zacząć przedstawienie.

– No, to idziemy po dzieciaka Supremacji – powiedziałam do mojego nowego odbicia w lustrze – pani władzy.

Za drzwiami i z powrotem do hali przylotów. Szłam powoli, ale pewnie, w stronę pomieszczenia, w którym przetrzymywano Bena. Tuż zanim wszłam, zobaczyłam Kiernan, powoli przechadzającą się po drugiej stronie hali. Wiedzieli, gdzie jest i zaczęli krążyć wokół tego miejsca jak sępy. Musiałam działać szybko. Nie wiem, czy to możliwe, ale Kiernan przerastała mnie w impulsywności. Tam, gdzie ja przeważnie się zatrzymywałam i myślałam, ona po prostu pakowała się jak taran.

– Sierżant Debra Morgan – powiedziałam bez zastanowienia. Cholera. Tak to jest, jak się ogląda stare seriale! Tacie nigdy się nie chciało założyć kablówki, a kiedy Kale odszedł, nurzałam się w starych nagraniach. Wszystko od spektakularnych katastrof do seriali policyjnych. Przeszłam do Netflix, a teraz byłam na etapie pierwszego sezonu „Nocy żywych trupów”.

Wstrzymałam oddech i przygryzłam język, mając nadzieję, że żaden z ochroniarzy nie jest fanem „Dextera”. Spoglądając od niechcienia na plakietkę z nazwiskiem jednego z nich, spytałam:

– Który z was to Spitz?

Skinął głową i wyprostował się.

– To ja.

– Kapitan chce z tobą zamienić słówko. Czeka w biurze ochrony.

Raz jeszcze kiwnął głową – mnie, a później swojemu partnerowi, po czym ruszył do hali odlotów w kierunku głównego terminala. Odetchnęłam z ulgą. Nie miałam pojęcia, gdzie jest biuro ochrony, ale miałam nadzieję, że nie za blisko. Potrzebowałam paru minut, żeby wejść i wyjść.

Skinęłam głową w kierunku drzwi, założywszy kciuki za szlufki paska tak, jak to robią policjanci w serialu „Blueberry Bean”. Widziałam to już z milion razy. Skuliłam ramiona, odchrząknęłam i spytałam:

– Jest w środku?

Ochroniarz gestem kazał mi wejść do pomieszczenia.

– Śmiało. Ześwirował. Raz jest normalny, a po chwili wariuje. Na moje oko to PCP. Ten młody jest na haju, lata wyżej niż latawiec.

Cudownie. Zaczynało się szaleństwo Supremacji. To mi naprawdę ułatwi sprawę.

Wzięłam głęboki oddech i dałam nura przez drzwi. Ben siedział w tym samym miejscu, czoło miał oparte o stół. Kiedy usłyszał otwierające się drzwi, okręcił się, ale nie podniósł głowy.

– Fantastycznie – jęknął. – Nie należy mi się chociaż jeden telefon?

Zamknęłam drzwi, przeszłam przez pokój i klękłam obok niego.

– Nie mamy za dużo czasu, więc szkolenie będzie krótkie. Musisz słuchać, dobrze?

– Tak, pewnie. – Uniósł głowę. Kierował uwagę raz na mnie, raz na drzwi, jak gdyby oczekiwał, że za chwilę wpadnie tu ekipa telewizyjna z kamerami. Niedawno i ja się tak czułam.

Wydawał się przytomny i zorientowany w rzeczywistości, ale nie wiedziałam, jak długo to potrwa, więc wzięłam głęboki oddech i przeszłam prosto do rzeczy.

– Wiem, kim jesteś i czym jesteś. – Chwyciłam ręką łańcuszek kajdanek. Zaczął wierzgać, więc drugą ręką zatkałam mu usta. – Posłuchaj, dobrze? Wiem wszystko, bo ty i ja – jesteśmy tacy sami.

Chłodny, metalowy łańcuch w mojej dłoni robił się lżejszy, cieńszy. Kiedyś moja zdolność była ograniczona ciężarem i rozmiarem. Ostatnio okazało się, że te prawa już nie mają zastosowania. Metalowy łańcuszek, który zamienił się w papier, roztałam w dłoni, a później zerwałam, mocno pociągnawszy.

Ben jęknął.

– Co, do cholery...

Ściągnęłam go z krzesła i przykryłam mu usta.

– Cicho! Tu mów cicho. Na lotnisku czai się grupka ludzi, którzy cię szukają i chcą cię wycwelować, bo potrafisz wyczyniać te sztuczki z ludzkimi mózgami. Musimy stąd spłyść, zanim nas znajdą. Wierz mi, nie chciałbyś ich poznać.

Zamrugał oczami. Patrzył raz na nadgarstki, raz na drzwi i skinął głową. Odsunęłam rękę.

– To nie jesteś gliną?

Postanowiłam nie odpowiadać na to pytanie i pokazałam na narożnik pokoju za drzwiami.

– Właż tam i się nie pokazuj. Otwieram drzwi.

Przez chwilę się wahał, ale przeszedł na drugą stronę pomieszczenia i wsunął się do narożnika, jak gdyby miał nadzieję, że to wszystko, to jakiś zły sen.

Otworzyłam drzwi i wychyliłam się za framugę do hollu, gestem kładąc drugiemu ochroniarzowi wejść do środka. Kiedy wszedł, panicznym spojrzeniem omiół pusty stolik. Ruszył w kierunku drzwi, żeby zawołać pomoc. Skoczyłam za nim, by go powstrzymać, ale coś w niego walnęło i upadł na plecy. Sekundę później zatrzasnęły się drzwi...

...i pokazała się Kiernan.

– No, no! – szepnął Ben i oparty plecami o ścianę prześlizgiwał się w głąb pomieszczenia. Oczy miał wielkie jak spodki i wyglądał trochę blado. Miałam nadzieję, że się zaraz nie zrzyga.

– Nie ruszaj się – rzuciła Kiernan w moim kierunku. – Mój znajomy i ja wychodzimy. Jeśli nie chcesz oberwać, zostaw nas w spokoju.

Prychnęłam i znalazłam się między nimi. Coś mnie połaskotało i nagle znów poczułam się komfortowo, z powrotem w mojej własnej skórze.

– Prędzej zdechnę.

Zrobiła wielkie oczy i przez ułamek sekundy zdziwienie przykuło ją do podłogi.

A później się na mnie rzuciła.

Wydeła usta i skoczyła. Palce miała wyciągnięte, żeby mnie chwycić za gardło. Najpierw na jej twarzy malowała się czysta furia, a później już nic.

– Cholera – rzuciłam, okręcając się o trzysta sześćdziesiąt stopni i puszczając ramiona po bokach. Kiernan nie była doświadczona w walce wręcz – przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo – ale jej zdolność do poruszania się po pomieszczeniach, jakby była niewidzialna, dawała jej sporą przewagę.

Coś mnie walnęło w szczękę. Głowa poleciała mi do tyłu, w oczach się zamgliło, a kolory w pokoju zrobiły się wodniste i niejasne. Wyrzuciłam ramiona przed siebie, próbując się oprzeć o ścianę, żeby zminimalizować siłę uderzenia, ale byłam zbyt wolna. Znowu mi dołożyła, tym razem od tyłu i poleciałam na podłogę.

Gdzieś z lewej usłyszałam jej śmiech.

– I co, siostrzyczko? Czujesz się wytrącona z równowagi?

Było mi wstyd, że dokopuje mi niewidzialna dziewczyna, bo to musiało wywierać nienajlepsze wrażenie na tym nowym. Ben przyglądał się z narożnika, oczy miał ogromne ze zdziwienia i widać było, że nie ma zamiaru wychodzić z ukrycia. Na pewno nie był księciem na białym koniu, który przyjeżdża ratować damę swego serca. Z drugiej strony i ja nie byłam byle damulką.

Wzięłam głęboki oddech, przytrzymałam go i skupiłam maksymalnie uwagę. Nie słyszałam żadnego dźwięku. Kiedy Kiernan wykorzystywała swoją zdolność, tworzyła wokół siebie bańkę, dzięki czemu jej ciało i to, czego dotykała, jak również wszystkie dźwięki, które wydawała, były nie do wyłapania.

I chociaż jej to pomagało, to ja zauważyłam, że końcówki moich włosów poruszają się w prawą stronę, kiedy szykowała się do kolejnego ataku.

Rzuciłam się w bok tak ostro, jak tylko mogłam i małe pomieszczenie wypełnił bolesny okrzyk. Kiernan pojawiła się za mną, trzymając się prawą dłońią za lewe ramię. Nie traciłam czasu. Potężnym kopnięciem przywaliłam jej w brzuch, a kiedy zwinęła się wóół, uderzyłam jeszcze raz, łokciem, z całej siły między łopatki.

Był taki okres, i to niedawno, kiedy przerażały mnie pewne rzeczy, które się wydarzały w moim życiu. Tyle jednak się zmieniło, zarówno w rzeczywistości, jak i we mnie, że nawet się nad tym nie zastanawiałam. Kucnęłam przy Kiernan i zamknęłam jej ręką usta. Przytrzymałam też jej nos.

Chwilę to trwało, ale zaczęła się miotać, strasznie chcąc mnie strącić. Brakowało jej powietrza.

– Cholera, dziewczyno, ty ją zabijasz! – krzyknął Ben, w końcu wyczołgując się

z ukrycia.

Kiedy przestała walczyć, puściłam ją, mając nadzieję, że to nie jest udawane.

– Bardzo bym się z tego ucieszyła, ale chciałam ją tylko oszołomić. – Wstałam. – Jeśli jeszcze się nie domyśliłeś, ona jest z tymi, o których ci mówiłam.

– Ja... – odezwał się Ben i nagle z hukiem otworzyły się drzwi. Myśląc, że to ktoś, kto przyszedł z Kiernan, okręcił się, nie zadając pytań.

Ten, kto miał otrzymać cios – albo, jak się okazało, go uniknąć – był mniej zachwycony tym powitaniem. Do pomieszczenia wszedł Kale, ślicznie unikając ciosu Bena. Pchnął go mocno na ścianę.

– Tego się nie ucz.

– Spokojnie – powiedziałam, przekraczając znieruchomiałe ciało Kiernan i wchodząc między dwóch chłopaków. – Zaskoczyłeś go, to wszystko, Kale. To jest Ben Simmons.

Przeglądał się Benowi przez chwilę, jak gdyby chciał zrozumieć, o co chodzi, a później zwrócił się do mnie.

– Musimy iść. Załatwiłem dwóch agentów, ale jeden zdążył zadzwonić po pomoc.

Wiedzą, że tu jesteśmy. Przyjdą przygotowani.

Popatrzyłam za jego wzrokiem na leżącą bez ruchu na podłodze Kiernan. Głowę miała wykręconą pod dziwnym kątem, a prawe ramię zakleszczone pod ciałem. Założyłabym się, że obudzi się z bólem karku.

– Nic jej nie będzie – powiedziałam, czując jak przetacza się przeze mnie fala zazdrości.

Oderwał od niej wzrok i spojrzał mi w oczy tak, że trzepoczących w brzuchu motyli poczułam chyba z milion.

– Ona mnie nic nie obchodzi.

– Dobrze – przytaknęłam. Nic go nie obchodziła. Analizowałam i interpretowałam wszystko, co robił i nadszedł czas, aby to skończyć. Ostrożnie podeszłam do drzwi, otworzyłam na centymetr i wyjrzałam zza framugi. Wyglądało na to, że w hali przylotów nikogo nie było. Jeżeli mamy się stąd wyrwać, to teraz. Skinęłam na Bena. – Chodź!

Był trochę blady. Pokręcił głową i wodził wzrokiem ode mnie do Kiernan. Dłoń oparł na brzuchu i sądząc po wyrazie jego twarzy, istniało duże prawdopodobieństwo, że rzeczywiście zaraz zwymiotuje.

– To wy idźcie naprzód. A ja chyba tu poczekam na gliniarzy.

Kale ruszył w jego kierunku.

– Jeżeli nie przesuniesz się w kierunku tych drzwi, Supremacja będzie twoim najmniejszym problemem.

Chwyciłam Bena za rękę i mocno pociągnęłam. Rzuciłam Kale'owi krzywe spojrzenie.

– On chce przez to powiedzieć, że gliny tu na czas nie dotrą. Jeżeli z nami teraz nie pójdiesz, nie będziesz się musiał martwić o przyszłość, bo już nie będziesz miał przyszłości.

Wierz mi, próbujemy ci pomóc. – Próbowałam twardej gadki z Ashley i skończyła martwa. Drugi raz tego błędu nie popełnię. – Proszę cię, Ben. Uwierz nam.

Zrobił oczy wielkie jak spodki, a potem pobladł jeszcze bardziej. Oddychał pospiesznie i płytko.

– Ci cholerni ludzie. O tym mówisz?

Nie miałam pojęcia, co ma na myśli, ale z entuzjazmem przytaknęłam. Gotowa mu byłam nawet powiedzieć, że święty Mikołaj istnieje i wynajmuje mieszkanie z króliczkiem wielkanocnym w słonecznej Kalifornii, jeżeli to miałoby go zmusić do ruszenia się z miejsca.

– Tak, ci cholerni ludzie. Cholerni ludzie, którzy chcą cię zabić.

Technicznie wcale nie kłamałam.

Twarz Bena przypominała maskę czystej paniki. Ruszył jednak za mną do drzwi, a później do hali przylotów. Zanim sama wyszłam, odwróciłam się do Kale'a, uśmiechnęłam się jak przedszkolak i poczułam nagłą radość, kiedy jego usta zadrgały w rozbawieniu.

Byliśmy już kilka metrów od końca korytarza, kiedy usłyszeliśmy rozniewany głos.

– Co za... Zatrzymać się!

Obejrzałam się pospiesznie przez ramię. Wrócił ochroniarz, którego wcześniej wysłałam do biura. Stał w progu pomieszczenia, a radio miał wyjęte. Pewnie chciał wezwać wsparcie.

– Świetnie – rzuciłam, popychając Bena do przodu. Po prostu świetnie.

Cała nasza trójka przedzierała się przez tłum, starając się w nim zniknąć, żeby nas nikt nie namierzył, a ja zadzwoniłam do mamy.

– Powiedz mi, że już dojechaliście – szepnęłam do słuchawki, kiedy odebrała. W tle usłyszałam jakiś klakson, stłumione przekleństwo Daxa i odgłos gwałtownego hamowania.

– Będziemy za niecałe dziesięć minut – odparła. – Dlaczego? Co się stało?

– Mieliśmy małe kłopoty. – Idący obok Ben dotrzymywał mi kroku, ale nie wyglądał dobrze. Miał pot na czole, popatrywał nerwowo na wszystkie strony. Objął się ramionami, jak gdyby się bał kogokolwiek dotknąć i zaczął coś niezrozumiale mrużyć pod nosem. Większości nie rozumiałam, ale usłyszałam takie słowa, jak „ostrze”, „śmierć”, „harpun” i „przestrzeń”. – Tkwimy w jakiś makabrycznym korku.

Mama jęknęła:

– Dacie radę wyjść przed lotnisko? Podjedziemy od frontu.

Popatrzyłam na Kale'a, żeby się upewnić.

– Od frontu?

Pokręcił głową.

– Tam wszystko jest zablokowane przez ochronę.

Spojrzałam pospiesznie przez ramię i okazało się, że zewsząd wylaniało się coraz więcej ochroniarzy, przeszukujących halę.

– Zadzwoń później – warknęłam do słuchawki i wyłączyłam telefon, przy okazji niemal zrzucając go na ziemię. – Jeżeli uda nam się zejść na bok, spróbuję nas pozamieniać i spokojnie wyjdziemy głównym wejściem.

– Nie – powiedział Kale. – Troje ludzi? To by cię za dużo kosztowało.

Oczywiście, że tak. Dez, skup się!

To było głupie, zważywszy na naszą sytuację, ale stanęłam jak wryta i wpatrywałam się w niego, jakby recytował słowa piosenki *Powerman 5000* starożytną Greką.

– Co takiego?

– W ciągu ostatniej godziny już dwa razy zamieniłaś się w kogoś innego. W stewardesse i w policjantkę. Nie dasz rady zamienić całej naszej trójki i wyjść stąd o własnych siłach. Będę cię musiał wynieść na rękach, a to zwróci na nas zbyt dużo uwagi.

Jeśli mój mózg pracowałby na maksymalnych obrotach, wiedziałabym o tym doskonale, mój pozbawiony pamięci Kale na pewno nie. Nigdy mu o tym nie mówiłam.

– A skąd ty...

– Moja głowa – przerwał nam Ben i przykucnął. Znajdowaliśmy się w samym środku tłumy i parę osób już się zaczęło gapić. – Zaraz mi głowa odpłynie!

– Cholera jasna. – Ochroniarz mówił, że musieli go w czasie lotu związać, bo robił się agresywny i miał zwidy.

– Czy z nim wszystko... w porządku? – spytała wysoka kobieta, chowając za siebie dziecko. Chłopczyk jednak nie dawał się zepchnąć ze sceny. Odchyłał luźne spodnie matki, żeby lepiej zobaczyć Bena.

– Tak, nic mu nie jest. On po prostu nie...

– Są w mojej głowie, w środku! – krzyknął i zwinął się w kłębek na podłodze.

Ludzie już nas nie mijali. Zatrzymywali się. Kobieta odskoczyła przestraszona i wciągnęła syna w tłum, a inni przechodnie szli w jej ślady.

Z każdym słowem Ben mówił coraz głośniejszym głosem, przekrzykując odgłosy hali przylotów.

– Przeżerają mi szare komórki, próbują wygryźć mi oczy!

– O czym on mówi? – spytał Kale, usiłując go podnieść z podłogi. Ben leciał mu z rąk, składając się jak rozgotowany makaron.

– To epizod choroby. Jego objawy są znacznie silniejsze – szepnęłam, pomagając Kale'owi go podnieść. Gorszego momentu nie mogłam wybrać.

Udało nam się ustawić go do pionu, ale nie reagował, więc trochę spanikowałam. Wzięłam głęboki oddech i przywaliłam mu w plecy. Przy okazji skręciłam sobie środkowy palec. Zrobił krok wstecz i przerażony, wpadł na Kale'a.

– Co jest?

– Naprawdę? – Spojrzałam na swoją dłoń, mrugając oczami. – To naprawdę zadziałało? Kale chwycił mnie za ramiona i okręcił w kierunku drzwi.

– Zauważyli nas.

Byliśmy otoczeni. Mieliśmy co najmniej pięciu z tyłu i trzech z przodu. Z jednej strony Bena stał Kale, z drugiej ja – ruszyliśmy biegiem.

Ochrona atakowała, a agenci kręcili się na obrzeżach tłumu, czekając na odpowiedni moment. Niech kto inny wyciąga kartofle z ogniska. Oni wolą poczekać, postać z boku, a później wejść i zabrać to, na co mają chrapkę. Czasu do zastanowienia dużo nie było, a jeszcze mniej, żeby ustąpić im z drogi. Rozdzieliliśmy się. Kale pociągnął Bena w prawo, za duży filar, żeby zejść z drogi tym, którzy atakowali nas od frontu. Trzeci biegł prosto na mnie.

Tłum się rozdzielił, robiąc nam miejsce. Z ust widzów wyrwało się bezgłośnie westchnienie. Kale położył ochroniarza jednym uderzeniem w głowę. Ten zwał się, jak worek kartofli. Drugi zamachnął się nieelegancko, a Kale uniknął ciosu tanecznym krokiem.

Kale'owi nic nie będzie. Miał Bena i byłam pewna, że dopilnuje, żeby mu się nic nie stało. Ja musiałam się skupić na ochroniarzu lecącym w moim kierunku. Oczekałam, aż znajdzie się blisko mnie. Nie zwalniałam ani na chwilę, a później pochyliłam się nisko, tak, jak mama pokazywała mi podczas jednego z naszych treningów. Zgięłam rękę w łokciu i celując tuż pod jego pas, przywaliłam mu z całych sił. Wyleciał jak z procy ponad moją głowę i rąbnął o ziemię. Próbowałam tego z Daxem i udawało mi się przede wszystkim uszkodzić ramię i narobić sobie wstydu. Było jednak za późno. Jeden z ochroniarzy podbiegł z tyłu i objął mnie, przyciskając moje ramiona do boków. Znowu byłam w grze i nie zawahałam się ani sekundy. Podczas jednego z treningów Dax pokazał mi, jak wytrącić przeciwnika z równowagi. Uniosłam kolana, zmuszając go do tego, żeby mnie utrzymał. Tego się nie spodziewał i zaczął – tak, jak planowałam – potykać się i poleciał do przodu.

Przywaliliśmy w ziemię razem i wydostałam się z uścisku, ale on się nie poddawał. Chwycił mnie za włosy i pociągnął w tył, a ja poczułam, że w gardle rodzi mi się bolesny okrzyk. Nie przypominałam sobie, kiedy ostatni raz ktoś mnie ciągnął za włosy. Może w przedszkolu? I na pewno nie facet.

Okręciłam się i kopnęłam. Trafiłam podeszwą buta w jego ramię. Było głośno, bo wszyscy ludzie wrzeszczeli i gadali jednocześnie, ale mimo to usłyszałam nieprzyjemny odgłos łamanej kości. Ochroniarz puścił moje włosy i wydał z siebie okrzyk, z którego śpiewak operowy mógłby być dumny.

– No tak. Naprawdę mi przykro – powiedziałam, podnosząc się na nogi. On przecież był w pracy, a mnie było głupio. Nie rozumiał, co tu się działo.

Z drugiej strony agenci Denazen rozumieli doskonale.

Dotarłam na skraj zgromadzenia, kiedy ruszyli. Czterech, każdy z jednego rogu, prosto w tłum.

– Niech się państwo uspokoją – krzyknął ten po mojej prawej stronie i tłum ucichł. – Jesteśmy z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Panujemy nad sytuacją.

Z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego? Czy ci ludzie są naprawdę aż tacy głupi?

Tłum cofnął się jeszcze głębiej, rozmowy przycichły i dostałam odpowiedź. Tak. Ci ludzie byli głupi.

Agenci zbliżyli się na parę metrów, a ten, który przemówił do tłumu, zwrócił się do mnie, tak, żebym tylko ja słyszała.

– Gdzie jest Ben Simmons?

– Ben Simmons – odparłam, postukując w podbródek. – Simmons. Hm. Coś dzwoni, ale nie wiem, w którym kościele. Jak on wygląda? Przystojniak?

– Nie graj wariata, mała – warknął. – Simmons jest niebezpieczny. Pomagając mu, sama narażasz się na niebezpieczeństwo.

Wzruszyłam ramionami.

– Lubię podejmować ryzyko.

– Naprawdę? – Podszedł o krok bliżej. Uśmiechał się od ucha do ucha, przez co przypominał mi dziwnego klauna, którego widziałam jako dziecko. Dobrze, że Kale tego nie ogląda. Nie znosi klaunów.

– A ból też lubisz? Masz ostatnią szansę. Powiedz mi, gdzie jest Ben Simmons.

Już miałam mu powiedzieć, żeby sprawdził plamy na słońcu, kiedy jakaś kobieta w tłumie ludzi wydała z siebie przerażający okrzyk. Oczy i uwaga wszystkich zwróciły się teraz na to, co się działo z przodu hali. Najpierw nic nie widziałam i zastanawiałam się, o co chodzi, ale nagle tłum rozstał się na boki, jakby paliła się podłoga. Kiedy jednak wreszcie zorientowałam się w sytuacji, sama poczułam lęk i uniesienie.

Po drugiej stronie hali zobaczyłam Kale'a, który przykucnął nisko przy drzwiach. Od niego, w naszym kierunku, szybko zbliżało się czarne, przewalające się jak gradowa chmura, coś – tuż nad powierzchnią kafelkowej podłogi. Dotarło do krawędzi tłumu i rozdzieliło się na cztery wyraźne ścieżki. Następnie przeleciało koło mnie i usadowiło się pod każdym z agentów.

Cała hala pełna złęczonych Nixów patrzyła, jak agenci eksplodują, zamieniając się w chmury czarnego pyłu. Tłum opanowała dzika panika. Wszyscy z wrzaskiem ruszyli w stronę drzwi – tam, gdzie my chcieliśmy iść. Jakaś kobieta za moimi plecami krzyknęła coś o kosmitach, a młody mężczyzna zaczął wydawać ostrzegawcze okrzyki, mówiąc, że są tu terroryści.

Poważnie?

Nie wiedziałam, jak wyjaśnimy to, co się stało, ale w tym momencie mnie to nie obchodziło. Jedno nieszczęście naraz wystarczy. Ruszyłam na zewnątrz budynku razem z tłumem, a później w kierunku czekającego przed frontem samochodu Daxa.

Ginger chodziła wokół stołu, przestępowała z nogi na nogę, a później postawiła przed Benem szklankę wody.

– Lepiej się już czujesz?

Chwycił szklankę i objął ją rękami, ale nie uniósł jej do ust. Siedział tak, patrząc na brzeg naczynia i otworzył usta, jak gdyby się spodziewał, że woda zacznie się gotować i bąbelkować.

– Panie Simmons? – spytała jeszcze raz Ginger, siadając na wprost niego.

Słyszając swoje nazwisko, wzdrygnął się i wyprostował. Popatrzył znad szklanki i uśmiechnął się przeproszająco.

– Nie gniewajcie się. Ostatnio trudno mi się skupić.

– To lek – powiedziałam, stukając się w głowę. – Ja mam to samo.

Ginger nie odpowiedziała, ale mama nagle odwróciła głowę w moim kierunku, jak opętana.

– Co takiego?

– Dopiero niedawno się zaczęło – przyznałam i skupiłam wzrok na Benie. Nie podobał mi się wyraz jej twarzy. Coś między lękiem a gniewem. Teraz jednak nie chodziło o mnie. Chodziło o Bena.

– Czy dzieje się coś jeszcze?

Siedzieliśmy przy stole kuchennym co najmniej od dwóch godzin. Kiedy dotarliśmy do domu, Ben był spokojny i przypominał człowieka. Chciał odpocząć, mówił, że czuje się wyczerpany, ale Ginger musiała wyjaśnić parę rzeczy, póki był przy zdrowych zmysłach. Nie wiedzieliśmy, jak długo to potrwa, ale jeżeli była jakakolwiek szansa, że pomożemy Kale'owi, musieliśmy się póki co o wszystko wypytać.

Ben pewnie doszedł do wniosku, że picie wody jest bezpieczne, bo uniósł szklankę i niepewnie wziął łyk. Miałam wrażenie, że nie lubił być w centrum uwagi, bo wciąż zwieszał głowę i nikomu nie patrzył w oczy.

– Kiedy byłem dzieckiem, zorientowałem się, że potrafię zaglądać ludziom do głów. Nie żeby słyszeć myśli, czy coś, ale potrafiłem oglądać to, co im się przydarzyło. Takie tam różne zdarzenia.

– Wspomnienia? – spytałam, pełna nadziei. Znów popił trochę wody i skinął głową. – Stłukłem i zniszczyłem taki model, który ojciec miał u siebie w gabinecie. Jakaś replika jego ulubionego samochodu. Moja mama się o tym dowiedziała i oczywiście chciała mu powiedzieć, gdy tylko wróci do domu. Byłem przerażony. Mój ojciec miał twardą rękę. Chciałem tylko, żeby zapomniała o całym wydarzeniu.

Ginger oparła się na krześle.

– I zapomniała?

Ben uniósł wzrok znad szklanki. Nie patrzył wprost na nią, ale na stół w miejscu, gdzie siedziała.

– Było tak, jak gdyby to się w ogóle nie wydarzyło. Kiedy tata wrócił do domu i zobaczył na biurku samochód w kawałkach, wywaliło mu bezpieczniki. To było tak, jakby u nas w domu roztopił się rdzeń reaktora w Czarnobylu. Mama nie miała pojęcia, co się stało z samochodem. Strasznie się pokłócili. Poczuliśmy się winni i nie wiem jak, ale dałem ojcu jej wspomnienia. – Ben strzelił z palców. – I w jednej chwili już wszystko wiedział.

Kale siedział na końcu stołu z dala od innych i w skupieniu przyglądał się Benowi. Nie

powiedział ani słowa od czasu, kiedy przyjechaliśmy. Do niego też nikt się nie odzywał. Prawdę mówiąc wszyscy byli chyba trochę nerwowi ze świadomością jego obecności w domu w obecnym stanie. Mama od czasu do czasu na niego popatrywała, spojrzenie miała ostrożne, lecz pełne nadziei, natomiast Dax był mniej subtelny. Na szczęście Alexa nie było w zasięgu wzroku. Nie potrzebowaliśmy teraz jego głupich uwag i szturchańców.

– Kilka miesięcy temu okazało się, że nie tylko potrafię przejmować czyjeś wspomnienia i je przenosić, ale że mam dostęp do wszystkiego – do emocji i odruchów. U mojego młodszego brata w szkole był taki szkolny terrorysta. W większych sprawach musiałem mieć kontakt fizyczny, ale w drobiazgach wystarczyło, że byłem niedaleko. – Zaśmiał się. – Kazałem się temu chłopakowi zsikać w spodnie.

Mówił o małym chłopcu, więc to nie powinno być śmieszne, ale zaczęłam się śmiać. Poza tym terroryzował innych. Nienawidziłam takich typów.

– Więc mówisz, że to jest coś w rodzaju kontroli umysłu?

– Można by i tak na to spojrzeć, ale wciąż wszystko kręci się wokół wspomnień.

W przypadku tamtego chłopaka, kazałem mu sobie przypomnieć moment, kiedy strasznie mu się chciało do ubikacji.

Zaczęłam wypytywać o rodziców Bena, ale w końcu odezwał się Kale.

– Te wspomnienia, które kradniesz, czy one znikają? Możesz je zwrócić?

– „Kradniesz” to niedobre słowo. Ja tak naprawdę ich nie biorę. Pomyśl o mojej zdolności jako o umiejętności kopiowania. Robię kopię i wyrzucam z pamięci oryginał. Mogę ten oryginał odblokować albo kompletnie wymazać.

Kale wstał.

– To spróbuj.

Ben uniósł głowę i popatrzył Kale’owi w oczy. Biedny chłopak, wystarczyło, że spojrzał raz, a już wyskoczył z krzesła i wyraźnie zbladł.

– Chcesz, żebym ci wykasował głowę?

– Jemu nie o to chodzi – wtrąciłam się. – Ktoś inny zlasował mu mózg. Mamy nadzieję, że potrafisz coś zrobić, żeby mu pomóc. Może odblokować to, co oni zablokowali.

Trochę się odprężył i z powrotem usiadł.

– Na pewno jestem w stanie się domyślić, co zrobili, ale nie jestem w stu procentach pewny, że mogę naprawić czyjąś papraninę.

– A mógłbyś spróbować? – spytała mama. Gestem głowy poprosiła Kale’a, żeby podszedł, i pokazała puste krzesło obok Bena. – Proszę cię.

Ben nie wyglądał zbyt pewnie, ale skinął głową.

Kale się zawahał, jak gdyby zbliżenie się do naszej grupy mogło być zastawioną pułapką, ale w końcu ustąpił. Wiedziałam, że chcę, aby Ben jak najszybciej wykorzystał swoją umiejętność.

– Co mam robić?

Ben okręcił się na krześle tak, żeby być twarzą w twarz z Kale’em. Wyglądał trochę niepewnie, a kiedy się odezwał, usłyszałam lekkie drżenie w jego głosie.

– Tylko się odpręż. Spróbuj oczyścić umysł.

Wszyscy wstrzymaliśmy oddech, kiedy Ben przycisnął prawą dłoń do czoła Kale’a i zamknął oczy. Chwila uciekała za chwilą, a każda była jak wieczność. Nawet Kale był niespokojny, postukiwał palcami prawej dłoni o stół. Raz. Dwa. Trzy. Raz. Dwa. Trzy.

– No, proszę – powiedział Ben, wdychając. – Kto ci to zrobił?

– A co zrobili? – W mgnieniu oka wstałam z krzesła, przeszłam wokół stołu i stanęłam przy Kale’u. – Co widzisz?

Wciąż miał oczy zamknięte, a usta zacisnął w podkówkę.

– Trochę trudno to odczytać. Ale chyba... Czekał, powiedz coś, Dez.

– Co takiego?

– Mów. Cokolwiek. Mam tu taką małą teorię. Po prostu się odzywaj.

– No, dobra – powiedziałam. – To dobra czy zła teoria?

Ześlizgnął rękę z czoła Kale'a i otworzył oczy. Kale zrobił to samo.

– No i?

– Masz tam, człowieku, przypaloną grochówkę.

– To nie brzmi zachęcająco – warknął Kale. Palce jego dłoni się zatrzymały i owinęły wokół krawędzi stołu, aż mu zbieleły kłykcie. – Poza tym nic z tego nie wiem.

– Kiedy zaglądam do czyjejś głowy, wszystkie wspomnienia mają jakby taką lekką poświatę. Jakby były z tyłu oświetlone.

– Aureole? – spytałam.

– Tak – wykrzyknął. – Dokładnie. Więc, jak mówiłem, normalne wspomnienia mają taką białą aureolę. A te w głowie Kale'a są ciemne, prawie czarne. Są i inne – te z białą poświatą, ale bardzo niejasne. Jakby te ciemne je wypychały.

Kale oderwał wzrok od Bena i spojrzał na mnie.

– Dlaczego kazałeś jej mówić?

– Zauważyłem, że jak ona mówi, te białe trochę jaśnieją. Jak gdyby coś się wyrывało, walczyło, żeby się uwolnić.

Kale wydawał się przekonany tą odpowiedzią i skinął głową.

– Potrafisz tak zrobić, żeby te ciemne odeszły?

– Nie, bracie. Jak mówiłem, ktoś się tu ładnie przyłożył. Ale sądzę, że mogą same z czasem zblaknąć. – Skinął w moim kierunku. – Jeżeli dźwięk jej głosu każe tym prawdziwym wspomnieniom walczyć o dominację, to niech dziewczyna mówi. Pomyśl, że to jakaś gwiazda zaranna. Wygląda na to, że w końcu wszystkie wspomnienia się uwolnią.

Aubrey miał rację. Codzienne spotkania z Szóstką taty miały na celu zapanowanie nad Kale'em. Kiedy jednak Kale się z tą dziewczyną nie spotykał, powoli uwalniał się z okowów.

Kale przeszedł przez salę do komputera Daxa, zatrzymał się i patrzył na maszynę, jak gdyby nigdy w życiu czegoś takiego nie widział. – Ja... Co tu...? Gdzie...? – Płyta CD uderzyła o blat biurka, a Kale uniósł ręce ku głowie i zanurzył palce w ciemnych włosach. – Co ze mną jest nie tak? Dlaczego nie pamiętam, jak się z tego korzysta?

Nie wiedziałam, co jest na tym dysku i trochę mnie to przerażało.

Chciałam tylko zwinąć się w kłębek, zapomnieć o wszystkim i spać aż do wiosny, ale Kale był niespokojny. Aubrey mówił mu, że na tym dysku jest prawda. Kiedy zostawiliśmy resztę, zaczął pytać o to, jak go odtworzyć. Chociaż chciałam to odłożyć na później, nie mogłam.

Delikatnie odsunęłam jego dłonie i sięgnęłam po dysk.

– Bo ty nigdy nie korzystałeś z komputera, Kale. Twoje słownictwo jest... inne. Spędziłeś jakiś czas z Kiernan i z pozostałymi, więc nauczyłeś się trochę slangu, ale nie potrafili ci chyba wpoić żadnej praktycznej wiedzy. Pamiętasz niejasno rzeczy, ludzi i zdarzenia, ale tu jest inaczej. Nie pamiętasz, bo nigdy tego nie robiłeś.

Włożyłam płytę do napędu i pchnęłam lekko palcem. Szufladka się zamknęła, a ekran komputera zaczął migotać, kiedy dysk ruszył.

Zorientowałam się, że popełniłam niewybaczalny błąd w chwili, kiedy pojawił się obraz. Na ekranie był Kale, przykuty do ściany w niewielkim pomieszczeniu. Miał na sobie czarne spodnie od dresu i mokry od potu szary T-shirt. Zmęczone oczy patrzyły przed siebie – z nienawiścią wpatrywał się w coś, co było poza kamerą. Po prawej stronie twarzy miał sińce,

wyglądał na wyczerpanego – ledwo co otwierał oczy, był pochylony, jakby go coś przywalało, ale wciąż jeszcze tliła się w nim iskra nieustępliwości – determinacja.

Po prawej stronie Kale’a stał mężczyzna, którego nigdy w życiu nie widziałam. Miał na sobie biały laboratoryjny kitel, był niewiarygodnie wysoki, miał włosy przyprószone siwizną i chłodne, martwe oczy. Przywołał gestem kogoś spoza kamery i pokazała się szczupła dziewczyna. Zatrzymała się przed Kale’em i objęła mu twarz dłońmi. Jeśli Kale nie byłyby przykuty łańcuchami, mogłoby to wyglądać, jak uścisk kochanków. Delikatne dotknięcie dwojga ludzi, którzy czują do siebie tylko miłość.

Kale spojrzał jej w oczy, poruszał ustami, ale mówił zbyt cicho, żeby mikrofon złapał dźwięk. Później uśmiechnął się i zamknął oczy, usta mu drgały, a całe ciało zeszywniało. Próbował się wyrwać, ale łańcuchy nie pozwalały mu zrobić kroku.

– Jak się nazywa dziewczyna, którą kochasz? – powiedział ktoś po drugiej stronie pomieszczenia, poza kamerą, głosem, w którym była wyczuwalna nuta rozkazu. Nie musiałam go widzieć. Ten głos, tak pełny łgarstwa i przewrotności, zakorzenił się w mojej pamięci, jak moje własne imię.

Tata zrobił krok do przodu. Stał plecami do kamery, kiedy Kale nagle otworzył oczy. Z przewrotnym uśmiechem i z westchnieniem odparł:

– Deznee.

– Walcząc sam sobie szkodzisz. Mindy mówi, że to jest dość bolesne.

– Więc nie mam się czego bać. Jeżeli jest coś, czego mnie przez te wszystkie lata nauczyłeś, to radzić sobie z bólem. Nie jesteś w stanie zrobić nic, żeby mi ją odebrać, Cross – powiedział Kale cichym głosem. – Nic.

Było widać, że tata jest wściekły, bo ramiona mu zeszywniały i zacisnął pięści.

– Jeszcze raz – warknął. – Zrób to jeszcze raz.

Nie widziałam, do kogo mówi, aż do chwili, kiedy znów ta dziewczyna wzięła twarz Kale’a w rękę, tym razem z większą siłą.

– Jak się nazywa dziewczyna, którą kochasz?

– Dez – rzucił Kale z wciąż zamkniętymi oczami. Palce dziewczyny się zacisnęły i zaplotły w jego włosy.

– Jak się nazywa dziewczyna, którą kochasz? – spytał tata, a z każdego słowa aż kapowało wściekłością. Nigdy nie chciałam i nigdy nie miałam ochoty nikogo skrzywdzić tak bardzo, jak jego w tamtej chwili.

– Dez! – wrzasnął Kale. Całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Zaczął drżeć.

Mindy na chwilę go puściła, oczy miała szeroko otwarte ze zdziwienia, ale po paru sekundach znów trzymała jego twarz w dłoniach.

– Nie powinien już jej znać! – krzyknęła. – To niemożliwe...

Tata kopnął stojący po prawej stronie mały wózek na kółkach. Zachwiał się i runął na podłogę z brzękiem metalowych instrumentów – przeważnie ostrych – które wysypały się ze środka.

– Jeszcze raz! – krzyknął. – Kochasz...

Dźwięk głosu Kale’a, który ryknął moje imię na całe gardło, wypchnął całe powietrze z pomieszczenia. Powód, dla którego się tu znaleźliśmy, możliwość, że ktoś wejdzie – to wszystko znikło, kiedy walczyłam z obrazem na ekranie. Głos mu się załamał, gardło miał wyschnięte i obolałe, ale w kółko wrzeszczał. Raz po raz. Dez, Dez, Dez... Siła tego okrzyku sprawiła, że dziewczyna się wycofała, a mężczyzna w białym kitlu skrzywił się niechętnie.

Oczy Kale’a stojącego tuż obok, były wlepione w ekran. Zrobiłam ruch, żeby wyciągnąć dysk z napędu, ale chwycił mnie mocno za rękę i zacisnął palce na nadgarstku.

Na ekranie widzieliśmy tatę i tego mężczyznę konferujących w kącie z dziewczyną – to musiała być Mindy. Kale osunął się na ścianę. Upadłby na kolana, jeżeli łańcuchy sięgałyby tak daleko. Zamiast tego zwisał, a metalowe obręcze wdzierały się w jego pobrużdżoną skórę. Robiło mu się niedobrze.

– Jeszcze trochę, a wystąpi ryzyko zniszczenia umysłu – powiedziała dziewczyna i odwróciła się w kierunku kamery. Długie włosy koloru lnu i niewinne, brązowe oczy. Z pozoru normalna dziewczyna. A wewnątrz? Bezduszna suka Denazen. – Mógłby przypadkiem zginąć.

– 98 nie dostanie Dominacji, aż nie będę pewien, że to się da naprawić. Nie mogę ryzykować, żeby pamiętał Dezne. Jeśli przetrwa dawkę leku, będzie jeszcze groźniejszy, niż teraz.

– Na pewno chcesz ryzykować jego życiem? – spytał mężczyzna w kitlu. – 143 wczoraj wieczorem zmarł. Nie dał rady lekowi, a był dość silny.

Tata nie zwrócił uwagi na jego słowa i skinął na dziewczynę.

– Niech to wreszcie zadziała.

Ekran zamigotał, a kiedy obraz wrócił, wszyscy stali gdzie indziej. Tata na wprost Kale'a, miał rękę na jego podbródku i przechylał go do światła. Oczy Kale'a były zamglone.

– Jak się nazywa dziewczyna, którą kochasz?

Kale nie od razu odpowiedział i poczułam, że zamiera mi na sekundę serce. Oczy skierował ku górze, głowa bezwładnie opadła mu na lewo, a palce prawej dłoni zadrżały.

– Blo... blond włosy. Czarne końcówki. – Próbował stać prosto, ale nogi nie chciały go słuchać. Opadł, zadźwięczały łańcuchy, a dźwięk odbił się od ścian pomieszczenia. – Brązowe oczy... piękne... ez...

– Na razie wystarczy – rzucił tata, odrywając rękę. Kale rzucił się na prawo, a tata odszedł krok w tył i odwrócił się do Mindy. – Myślę, że jakoś damy radę. Resztę zrób zgodnie z instrukcją, a jak skończysz, znajdź mnie i wszystko opowiedz.

Obraz znikł z ekranu.

– Kale? – Nie spuszczał wzroku z komputera, mimo że ekran był już całkiem czarny. Przeraził mnie wyraz jego twarzy. – Kale, powiedz mi, o czym myślisz.

Odwrócił się do mnie powoli, a to, co zobaczyłam w jego oczach, rozdarło mi serce na pół.

– Pamiętam ten dzień.

Nadzieja była zjawiskiem bardzo kruchym i niebezpiecznym. Mogła człowieka unosić wysoko, ponad chmury, a później porzucić. Upadek z prędkością miliona kilometrów na godzinę prosto na beton. A jednak. Nie mogłam się powstrzymać.

– Pamiętasz?

Odsunął się od komputera.

– Było coś, co chcieli mi odebrać. Coś ważnego. Coś bardzo istotnego. – Odwrócił się do mnie i zmarszczył brwi. – Wiem, że umarłbym dla tej osoby. Po to, żeby ją ocalić. Żeby była bezpieczna i szczęśliwa. A teraz wiem, że to byłaś ty.

Sięgnęłam, żeby chwycić go za rękę, czując w żyłach przyływ ulgi, ale się odsunął.

– Wiem – mówił dalej, uderzając się zaciśniętą pięścią najpierw w skroń, a potem w klatkę piersiową tuż nad sercem – ale nie pamiętam. Teraz cię znam – i wcale nie jesteś mi obojętna, ale nie znam cię z tamtych czasów. Ta część ciebie to duch, Dez. Cień, który wymyka mi się z rąk. A to doprowadza mnie do szaleństwa.

Po obejrzeniu tego, co było na dysku, Kale był podminowany i wpadał z jednego nastroju w drugi. Rozumiałam jego frustrację, ale miałam cichą nadzieję, że może widok jego dawnego pokoju coś pomoże.

– To jest twój pokój. – Otworzyłam drzwi na oścież i odsunęłam się na bok. Dziwnie mi pulsowało w piersi, kiedy zdałam sobie sprawę, że nigdy nie byliśmy tu razem w tym samym czasie. Kiedy przenieśliśmy się po doszczętnym spaleniu hotelu, Kale był tu na tyle krótko, że z tego pokoju nie korzystał. Wszystko wtedy działo się tak szybko.

Wszedł za mną do środka i zamknął drzwi. Popatrzył na łóżko. Prześcieradło było wciąż jedną wielką kotłowaniną po ostatnim razie, kiedy tu spałam. Zaledwie kilka dni temu – tej samej nocy, kiedy zobaczyłam go na imprezie Nixów w mieście – ale miałam wrażenie, że minęły całe lata.

– Kiedy tu ostatni raz spałem?

Podeszłam do łóżka i pociągnęłam za skraj kołdry, a później wyprostowałam poduszki.

– Szczerze mówiąc nie wiem, czy w ogóle tu spałeś. Przeprowadziliśmy się, tuż zanim ty... Zanim ja się poważnie rozchorowałam. Większość czasu byłeś przy mnie, drzwi obok.

– A kto tu mieszkał?

Poczułam, że płoną mi policzki.

– Ja.

Opadł na łóżko, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Dziś wieczorem byłaś niesamowita. Tak zawsze jest? To znaczy, z nami? Może to zabrzmiało dziwnie, ale cholernie mi się podobało.

Usiadłam na łóżku tuż przy nim i raz skinęłam głową, próbując się nie roześmiać.

– Jesteśmy zespołem. Nasze życie to jeden ciąg szaleństw, ale na swój sposób to lubimy. Przez chwilę milczał.

– Ciężko mi, ale nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak z tym jest tobie. Czuję... coś do ciebie, ale tak naprawdę tego nie rozumiem. A ty pamiętasz mnie takiego, jaki byłem.

Mrugając pospiesznie oczami, zatrzymałam łzy i wzięłam głęboki oddech.

– Nie jest mi łatwo.

Rzuciłam spojrzenie w prawo i zobaczyłam, że mnie obserwuje. W normalnych okolicznościach tego rodzaju obserwacja ze strony Kale'a wzbudziłaby w moim ciele mrowienie i oczekiwanie na coś więcej. Teraz miałam tylko wspomnienia. Odwrócił się szybko i westchnął.

– Twoi znajomi chyba nie są zadowoleni, że tu jestem.

Mama i Dax zmusili Kale'a do zamknięcia oczu, kiedy zbliżaliśmy się do domu.

Zachowywali się tak, jakbyśmy się zbliżali do bazy Batmana, ale rozumiałam, że chcą zachować środki ostrożności. Trudno było ryzykować. Zbyt wiele niewinnych Szóstek zamieszkało w podziemnym schronie Daxa.

– Nie o to chodzi. Wszyscy są nerwowi, czują napięcie, bo ostatnie parę miesięcy mieszkałeś w Wilczym Szańcu. – Zmusiłam się do uśmiechu. – A to przecież i twoi znajomi.

Pochylił się bliżej. Tak blisko, że czułam ciepło jego oddechu na policzku i promieniowanie gorącej skóry.

– A ty?

Przełknęłam ślinę.

– Ja?

– Ufasz mi?

– Ufam ci.

– Marshall wyprał mi mózg. – Sięgnął ręką i powiódł opuszką palca wskazującego wzdłuż linii mojej szczęki. Ten dotyk wywołał lawinę gorących wspomnień, czułam dreszcze na całym ciele. Nie chodziło jednak tylko o fizyczny kontakt. Dźwięk jego głosu. Głęboki i pełny, jak ciepła kawa karmelowa, a każde słowo jak uspokajający łyk, który wysyła do mózgu strumień endorfin. Mógłby recytować alfabet, a na mnie podziałałoby to tak samo. – Mogłem udawać, że doszedłem do siebie, tylko po to, żeby się tu dostać.

– Ufam ci – powtórzyłam.

Nachylił się, delikatnie dotknął ustami mojego prawego ucha i szepnął:

– W takim razie mogę cię jeszcze raz pocałować?

Jeszcze raz pocałować?

Przypomniałam sobie sen, który miałam niedługo po tym, jak Kale wrócił do Denazen. Ja i on na szczycie dźwigu. Zapytał mnie o to samo, a później zwrócił się do Able'a. Zacisnęłam powieki, żeby nie płakać. To nie byłam ja, nie byłam tą wciąż wzruszającą się dziewczynką, której łzy cisną się do oczu. To wspomnienie było jednak jak strzał prosto w serce, powietrze zrobiło się gęste jak budyń i nie mogłam oddychać.

– Proszę, nie pytaj mnie o to.

Odsunął się, szczerze zdziwiony moją reakcją.

– Przepraszam, ja...

Pochyliłam się i przycisnęłam usta do jego ust. To był krótki, słodko-gorzki pocałunek, a kiedy oderwałam się od Kale'a i wstałam, patrzył na mnie oczami pełnymi zdziwienia. Przypomniał mi się wtedy ten dzień u Curda, kiedy pierwszy raz mnie dotknął.

– To nie twoja wina. Kiedyś miałam taki sen. To... Wiesz co? To nieważne.

Byłam prawie przy drzwiach, kiedy zawołał:

– Poczekaj.

Stopy mi znieruchomiały, ale się nie odwracałam. Bałam się, że jeżeli jeszcze raz na niego spojrzę... będę go całować, płakać, wrzeszczeć... Nie miałam pojęcia, co zrobić.

– A może byś została? – spytał.

To zaproszenie wywołało tak wiele odmiennych, splecionych emocji. Chciałam zostać. Bardziej niż czegokolwiek na świecie, chciałam być u jego boku i nigdy więcej nie spuścić go z oczu.

– Jestem zmęczona. Zaraz zasnę.

Materac zaskrzypiał, a ja się poddałam i odwróciłam. Stał teraz, patrząc na przestrzeń między łóżkiem a mną.

– Więc śpij tu. Daję słowo, że nie będę niczego próbował. – Zrobił krok, ustępując mi miejsca i teraz stał tuż przede mną. Przez chwilę po prostu tak stał. Wzrok miał wbity w moje oczy, a usta zacisnął w cienką linię. Kiedy się odezwał, głos miał inny, bardziej podobny do głosu tego Kale'a, którego znałam. – Prawda jest taka, że niezależnie od tego, jak bardzo mnie przeraża przyznanie tego głośno, czuję się lepiej, kiedy jesteś blisko. Nie rozumiem tego i nie potrafię tego wyjaśnić, ale czuję się bardziej rozluźniony.

Czy mogłam się z tym spierać, kiedy czułam dokładnie to samo? To głupie, zważywszy na sytuację, ale tak było. Położył sobie dłoń na sercu i zmarszczył brwi.

– Jestem rozzłoszczony. Czuję to w środku. Złość zżera mnie jak trucizna. Ja... Ja... nie wiem, na co albo na kogo jestem wściekły, ale łatwiej mi o tym zapomnieć, kiedy jestem z tobą.

Może i Aubrey miał rację. Lasując Kale'owi mózg, kopnęli w gniazdo os.

– Kiedyś mi powiedziałeś, że jestem twoim kołem ratunkowym. Że uspokoiłam burzę,

którą miałaś w głowie.

– To chyba prawda. – W jego oczach było teraz tyle emocji. Lęk. Smutek. Gniew. I coś jeszcze. Coś dobrze mi znanego. Kale patrzył na mnie kiedyś w bardzo szczególny sposób. Jakbym była jedynym człowiekiem na Ziemi. – Zostaniesz? – spytał z uporem małego dziecka. – Chciałbym, żebyś ze mną rozmawiała. Ben ma rację. Kiedy słyszę twój głos, głowę mam... lżejszą.

– Dobrze. – Zrzuciłam adidas, Kale również i weszłam do łóżka, kokosząc się pod kołdrą. Czułam, jak gdzieś z tyłu materac się ugiął, kiedy wchodził Kale.

– Mogę cię objąć?

– Pewnie – powiedziałam ze ściśniętym gardłem. Chwilę później zgasło światło i słyszałam tylko odgłos naszych oddechów. Kale objął mnie w pasie ramieniem i przytulił się. W ciągu tych wszystkich miesięcy, kiedy go nie było, leżałam w tym łóżku i wyobrażałam sobie, że jest tu ze mną. Niekiedy w środku nocy budziłam się i przysięgałam, że czuję koło siebie jego ciało. A teraz, kiedy tak było, w głębi duszy bałam się, że za chwilę się obudzę i okaże się, że to tylko sen.

– Opowiedz mi coś. O mnie. Twoją ulubioną historię.

Przez chwilę się zastanawiałam, ale długo to nie trwało.

– Masz zadziwiającą, zachwycającą duszę. – Przetoczyłam się na drugi bok i leżałam teraz z nim twarzą w twarz. Było ciemno, ale elektroniczny budzik na toaletce jarzył się czerwonym światłem. To wystarczało, żeby widzieć zarys jego twarzy.

– Ten twój gniew. Myślę, że to z powodu tego wszystkiego, co ci się przydarzało. Przeszedłeś przez piekło. Denazen przejęła cię tuż po narodzinach. Traktowali cię jak zwierzę. Używali jako broń. I wiesz, co? Ty mimo wszystko okazałeś się najbardziej zadziwiającym człowiekiem, którego kiedykolwiek poznałam.

Wzięłam głęboki oddech, walcząc o to, żeby utrzymać równy ton głosu.

– Uważasz się za potwora, Kale, ale wcale nim nie jesteś. Nie pozwoliłeś na to, żeby to, co ci się stało, w jakiś sposób zmieniło cię wewnątrz. Spytałeś mnie kiedyś, co w tobie kocham. I powiem to jeszcze raz. Twoją duszę, Kale. Jest zupełnie inna, niż dusze wszystkich ludzi.

– Nic z tego nie pamiętam – powiedział cicho po kilku minutach. – Wspomnienia z Denazen są zamglone, ale nie przypominają tego, o czym mówisz.

– To zmyślane wspomnienia. Jeżelibyś sobie przypomniał, co ci zrobili, zabiłbyś ich wszystkich. Dlatego pewnie tak ci trudno poradzić sobie z uczuciami. Wciąż czujesz gniew, ale nie wiesz, gdzie go skierować.

– Może w takim razie lepiej, żebym nie pamiętał.

Nigdy by mi to nie przyszło do głowy. W całym tym bałaganie to, że Kale nie pamięta życia w Denazen, było czymś w rodzaju błogosławieństwa. Wiedziałam, że wciąż ma koszmary nocne. Chciałam, żeby się od tego uwolnił. Jeśli jednak Ben Simmons ma rację i wszystko zblaknie, tamte wspomnienia wrócą.

W głębi serca wiedziałam, że powinny.

– Byłam kiedyś na imprezie ze znajomymi. Lekko wstawieni, graliśmy w jakąś starą, pijacką grę, chyba w „Dwadzieścia siedem pytań”. Albo odpowiadasz na pytanie, albo pijesz. Koleżanka zadała mi takie pytanie – co bym zrobiła, gdybym mogła zmienić coś w życiu – cokolwiek? Zastanowiłam się nad tym, a kiedy następnego dnia spotkałyśmy się w szkole, powiedziałam jej, że niczego bym nie zmieniła.

– Dlaczego?

– To się wydaje głupie, prawda? To znaczy, wiesz, żyjemy w świecie, w którym powinna

być jakaś Szóstka, która potrafi cofać czas albo coś w tym guście. To nie było takie głupie pytanie, jak się tej mojej koleżance wydawało. Tamtego wieczoru zasnęłam zastanawiając się nad tym. Miałam potwornie trudne relacje z moim ojcem. Myślałam, że mama nie żyje. Alex i ja dopiero co się rozstaliśmy. Przecież było z milion rzeczy, które mogłam – wręcz powinnam była chcieć zmienić.

– Nie rozumiem, dlaczego tak intensywnie się nad tym zastanawiałaś. To przecież była tylko zabawa.

Uśmiechnęłam się.

– Widzisz, właśnie tak byś powiedział. Już dochodzisz do zdrowia. – Wzięłam głęboki oddech. – W tym jest jednak głęboka myśl i chodzi właśnie o to, że wcale nie byłoby lepiej, gdybyś nie pamiętał. Nie będę kłamać. Okres, który spędziłeś w Denazen był potworny.

– Zależy ci na mnie, zgadza się?

Objęłam Kale’a delikatnie i przepłótłam palec wskazujący przez szlufkę w jego spodniach. – Tak.

– Więc dlaczego chciałaś, żebym sobie to wszystko przypomniał?

– Bo to właśnie cię stworzyło. Z tego samego powodu dałam koleżance taką odpowiedź następnego dnia w szkole. Nie zmieniłabym nic, bo byłam absolutnie zadowolona z osoby, którą się stałam. Zmiana nawet najmniejszego szczegółu w życiu zrujnowałaby równowagę. Nie byłabym wtedy sobą.

– To bardzo mądra odpowiedź – rzekł cicho. – Zastanawiam się, czy tak samo byś odpowiedziała, gdybym cię teraz o to spytał. Niczego byś nie zmieniała?

– Zabawne. Przez te kilka dni po twoim odejściu myślałam tylko o tym. Co by się stało, gdybym się nie przyznała, że umieram? Jeślibym poszła prosto do taty, nie siedziałbyś tu, przyglądając mi się tak, jakbym była kimś obcym.

– Ty byś tu też nie siedziała – powiedział z głębokim zastanowieniem.

– Trafiony i zatopiony.

– Opowiedz mi, jak się poznaliśmy.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

– Wraciałam do domu z imprezy, a ty uciekałeś przed agentami Denazen. Upadłeś mi u stóp, a później zabrałeś mi adidas.

– Zabrałem ci adidas?

– We własnej obronie, bo byłeś boso i zostawiłeś za sobą w lesie ślady martwej ziemi. Łatwo cię było wysledzić.

– Ślad martwej ziemi? Nie rozumiem.

– Wtedy miałeś... inne umiejętności. Zanim podali ci Dominację, nie miałeś nad nimi kontroli. – Przesunęłam się, żeby się oprzeć na łokciu i pogładziłam go dłonią od ramienia do nadgarstka. – To działało tylko w kontakcie skóry ze skórą i nie można było tego wyłączyć. Dopóki się nie spotkaliśmy, nie dotknąłeś żadnej żywej osoby.

Kale wyciągnął rękę, żeby powieść palcem po konturze mojej szczęki.

– My mogliśmy się dotykać?

Czułam ulgę, że jest ciemno, bo nagle poczułam, że się rumienię, przypominając sobie te pierwsze chwile w piwnicy u Curda, a później wiele, wiele innych dni i nocy.

– Tak, mogliśmy. Ja byłam pierwsza.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Później poczułam, że znika całe ciepło jego dłoni i w powietrzu nagle zapanował chłód. Nagle usłyszałam warknięcie z głębi gardła Kale’a.

– Kiedy jesteśmy razem, zawsze czuję, że ktoś coś trzyma poza moim zasięgiem. – Usiadł i popatrzył wprost na mnie. – Jednak czuję przez skórę, że cię znam. Czuję się dobrze tylko

dlatego, że jesteś blisko. Głowa mówi mi coś innego, bo nie potrafię cię zobaczyć. Nie pamiętam niczego z naszego wspólnego życia.

– To nieprawda – odparłam, również siadając. – Powiedziałeś coś na lotnisku, choć prawdopodobnie nie zdawałeś sobie wtedy z tego sprawy. Kiedy ja zaproponowałam, że zamienię całą naszą trójkę, żebyśmy mogli wyjść przez drzwi frontowe.

– Ja wiedziałem, że nie możesz. Nie bez... – syknął sfrustrowany przez zęby. – Nie bez czegoś. Nie widzę tego. Nie potrafię sobie przypomnieć.

– Wiem, jak się czujesz. To irytuje i boli.

Uniósł moją dłoń i przyłożył sobie do twarzy. Jeszcze chwila, a westchnęłabym, tracąc oddech, kiedy poczułam jego ciepło przechodzące przez moje ciało.

– Nawet jeżeli Simmons się myli i te wspomnienia nigdy nie wrócą, to nieważne. Ja już się w tobie zakochuję, Dez. – Pociągnął mnie z powrotem na łóżko i objął ramionami. – Nie wiem, co zrobiłem, żeby zdobyć twoje serce, kiedy się poznaliśmy, ale przyrzekam, że zrobię to jeszcze raz.

Nie chciało mi się już go poprawiać, ale przecież mojego serca nigdy nie stracił.

– Gdzie on jest? – spytał Alex, kiedy usadowiłam się na kanapie z olbrzymim kubkiem kawy. Mama siedziała po drugiej stronie stołu tuż przy Daxie, a Vince wsadził nos w gazetę. Czytał wiadomości z giełdy, jednocześnie pochłaniając olbrzymi stos naleśników oblanych niezdrową ilością syropu klonowego. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś jadł tyle, co on. Zęby mnie bolały, kiedy byłam z nim w tym samym pomieszczeniu.

– W sali gimnastycznej. Musi sobie poradzić ze sporym naporem... gniewu. – Upiłam łyk kawy. Nie była tak słodka, jak lubiłam, ale zostawiłam cukiernicę na blacie kuchennym. Nie chciało mi się wracać, więc piłam taką, jaka była.

Kale i ja zostaliśmy w jego pokoju i spaliśmy objęci aż do ósmej rano. Chwilę rozmawialiśmy – głównie o tym, jak było, zanim wrócił do Denazen. Zadawał mi szczegółowe pytania na temat swoich pierwszych lat w Denazen, ale był rozczarowany, że nie mogłam mu podać żadnych szczegółów. Zaproponowałam, żeby porozmawiał z mamą, ale nie wyrażał entuzjazmu. Pewnie dlatego, że przywitała go dość chłodno na samym początku.

Obudziłam się i stwierdziłam, że w dziwny sposób mi się przygląda. Zapytałam, czy coś sobie przypomniał, rzekł po prostu: „Niezbyt dokładnie” i wymówił się, że musi iść do sali gimnastycznej.

– A gdzie Ben? – Tak naprawdę chciałam spytać: jak z Benem? Czy jest przy zdrowych zmysłach, czy już zupełnie ześwirował?

Mama oparła się łokciami na stole – robiła tak, tylko wtedy, kiedy nie było Ginger. Jak na starą, przygarbioną kobietę, dość poważnie traktowała maniery przy stole.

– Teraz jest z nim Ginger. Udało nam się też znaleźć Andreę Marko i Kaylę Dean.

– Kayla Dean wykazuje oznaki szaleństwa – powiedział Dax, żując bajgla. Widać było, że wszyscy korzystają z nieobecności Ginger. Ostatnim razem, kiedy ktoś mówił z pełnymi ustami, przywaliła laską o stół. – Nie jest z nią tak źle, jak z Benem, ale to, niestety, się pogłębia. Będziemy musieli szybko coś zrobić.

– A co z resztą? Przecież na liście było dwanaście nazwisk, prawda?

– Mamy Henleya Walkera – Brandta, a Sara Milburn nie żyje – potwierdził to nasz kontakt w Kansas. Nie mamy tylko pewnych informacji o dwóch osobach – Thomym Morrisie i Marku Wellsie.

– Wells nie żyje – powiedział Kale od drzwi. Wszyscy unieśli głowy, kiedy wszedł ostrożnie do kuchni. Odwrócił się do mnie i powiedział: – Tamtego wieczoru na przyjęciu. Facet na ulicy. To był Wells.

Ta para. Wtedy pierwszy raz widziałam poprawione zdolności Kale’a.

– No, to listę możemy odhaczyć – powiedział Dax. – Teraz trzeba się skupić na odnalezieniu Penny Mills.

Cholera. Po tej całej awanturze na lotnisku i powrocie do domu, żeby się przespać, nie miałam szansy im powiedzieć o Penny. A może próbowałam tego uniknąć? Jeżeli nie powiedziałabym tego głośno, może mogłabym udawać, że to się nigdy nie wydarzyło.

– Tak... No właśnie.

Wszystkie oczy zwróciły się na mnie. Nawet Vince podniósł wzrok znad gazety, przerywając zucie szczególnie przerośniętego naleśnika. Kropla syropu klonowego spadła mu na talerz.

– Kale i ja znaleźliśmy Penny Mills.

Wszyscy westchnęli jak na komendę, a po chwili zaczęli mówić naraz.

– Ona nie żyje – skończyłam i na szczęście zapanowała cisza. Przyznałam się do tego i poczułam się, jakbym połknęła tłuczone szkło. Udało mi się wypowiedzieć te słowa z pokerową twarzą, byłam spokojna i jakoś się nie załamalam, ale w duszy poczucie winy dławiło mnie i odbierało oddech.

– Nie żyła, kiedy tam dotarliście? – spytała mama.

– Nie. Zginęła krótko po naszym przyjeździe. Kiedy Denazen wykorzystywała jej krew, żeby produkować serum Dominacji, łączyła się ze wszystkimi, którzy je dostawali. Zanim Kale’owi zlasowali mózg, pokazała mu, gdzie ją znaleźć. Kale, niestety, zaprowadził ich prosto do niej. Denazen założyła mu urządzenie namierzające.

Dax aż wyskoczył z krzesła.

– Cholera!

– Nie denerwuj się. – Pomachałam mu prawie pustym kubkiem. – Naprawdę myślisz, że jestem taka głupia? Oczywiście wyjęliśmy to urządzenie. Kale już zniknął z ich radarów.

Dax usiadł i chyba trochę się wyluzował, ale mama wyglądała na bardzo zmartwioną.

– To nie ma sensu. Przecież jej potrzebowali. Dlaczego mieliby ją zabijać?

Wzięłam głęboki oddech.

– Nie zrobili tego celowo. Mierzyli we mnie. – Spojrzałam na Kale’a, który wciąż stał przy drzwiach i przypominałam sobie to, co kiedyś powiedział o zadawaniu pytań. – Chyba opanowała ich jakaś paranoja. Tata pewnie się zamartwiał, że jeżeli będę z Kale’em, zacznie sobie coś przypominać. Miał rację. Wtedy doszli do wniosku, że lepiej, żebym był martwa. Kale jednak mnie odepchnął i kula trafiła Penny stojącą tuż za mną. Nie żyje z mojego powodu.

Dax zmarszczył brwi.

– To nie twoja wina, Dez. To wina Denazen.

Miło, że to powiedział, ale faktom nie można zaprzeczyć.

Mama wypuściła powietrze z płuc i dwa razy stuknęła palcem w stół.

– A to znaczy, że teraz wszystko będzie dziesięć razy trudniejsze. – Odwróciła się do mnie, a ja musiałam popatrzeć w drugą stronę. Nie mogłam znieść lęku w jej oczach. Bała się, że nie dostanę na czas szczepionki, jeżeli w ogóle. – Penny Mills nie żyje, więc naszą jedyną szansą jest krew w posiadaniu Denazen. A znalezienie jej będzie...

– Kale wie, gdzie jest ta krew. – Ginger pokazała się tuż za nim, w drzwiach, z ponurą miną. Razem z nią wszedł Brandt, wyglądał na zaspanego i zaniedbanego. Sporo spał, odkąd do nas przyjechał i to mnie martwiło. Wiedziałam, że z technicznego punktu widzenia nie może umrzeć, ale także, że nie chce znowu przeskakiwać. Kiedy to robił, osoba, której ciało przejmował... po prostu znikala.

– Krew jest w laboratorium pod ośrodkiem o nazwie Centrum Przemysłowe Zendeau. To jest firma farmaceutyczna jakąś godzinę drogi stąd, której Denazen używa jako przykrywkę. Podobnie, jak tej firmy prawniczej.

– Zendeau to tam, skąd wzięło się ciało Henleya – powiedział Brandt, przepychając się obok niej i wchodząc do środka. Nie umknęło mojej uwadze to, że wchodząc dał lekkiego kuksańca Kale’owi i zmusił go do wejścia do kuchni. Brandt usiadł na kanapie obok mamy. – Tam właśnie działają pod przykrywką, próbując znaleźć antidotum. Wciąż mam kontakt z kimś z laboratorium. Dowiedziałem się tydzień po odejściu, że Cross i parę Szóstek przejęło Centrum. To tam właśnie jest Kiernan i Kale.

– Brandt kumpluje się z tymi gośćmi, więc myślę, że Kale może nas bez trudu tam wprowadzić, prawda? – rzucił Alex. Odchylił się na krześle i wlepił oczy w Kale’a, po czym się uśmiechnął. – Wybieraj, Rozpruwaczu, gdzie chcesz być, bo ta huśtawka działa mi na nerwy.

Oczy Kale'a pociemniały i nagle odwrócił się do mnie z uśmiechem.

– Czy on i ja jesteśmy przyjaciółmi?

– Wręcz przeciwnie.

– To dobrze. – Jednym płynnym ruchem Kale zrobił krok naprzód i tanecznym kopnięciem wyrwał nogi spod krzesła Alexa, który walnął z hukiem o podłogę. – Więcej tak do mnie nie gadaj.

Brandt uśmiechnął się krzywo.

– No tak, masz rację – odezwał się do mnie. – To zabawne. – Mój kuzyn i Alex byli kumplami, dopóki Alex mnie nie zdradził. Potem ich stosunki uległy oziębieniu. Nawet teraz, kiedy prawda i motywacja Alexa wyszły na jaw, Brandt wciąż nie mógł mu przebaczyć.

Ginger westchnęła i precyzyjnie się między nimi, po czym usiadła w swoim fotelu. Nie spuszczać oczu z chłopców, powiedziała:

– Widziałam, jak się przepychacie.

Próbowałam nie zachichotać. Kale usiadł obok mnie na kanapie.

– Rozmawialiśmy dzisiaj z Benem – powiedział, patrząc na Ginger. Wyraz jego twarzy mówił sam za siebie. – Ma sporadyczne momenty jasności umysłu, ale ogólnie rzecz biorąc jest niezborny i bez kontaktu.

– Z tego, co wiemy, zaczęło się w dniu, kiedy przyjechał do Francji. Poleciał tam zobaczyć się z przyjaciółką, ale kiedy zaczęło się robić kiepsko, zostawiła go. Jakoś mu się udało wejść na pokład samolotu do Stanów. Wszyscy wiemy, co było dalej. – Ginger westchnęła ciężko.

– Powiedział coś użytecznego? W ogóle pomógł?

Kale zmarszczył brwi.

– Nie.

Dopiłam resztę kawy i mocno przywaliłam kubkiem o blat stołu.

– Potrzebujemy tej krwi.

– Nawet jeżeli ją znajdziemy, wciąż będziemy mieli pewien problem – rzucił Brandt.

Objęłam głowę rękami.

– A czy to jakaś nowina?

Brandt zachichotał, ale kiedy uniosłam głowę, żeby na niego spojrzeć, minę miał poważną.

– Pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby nareszcie wyprodukować serum Dominacji. Mój kontakt wewnątrz zakładów mówi, że wykorzystali prawie całą krew, którą mieli.

Kale spojrzał na mnie, a później na Brandta.

– Jeżeli będziemy mieli szczęście, zostanie dość, żeby wyleczyć jedną osobę.

– Serum Dominacji zawiera w sobie tę krew, prawda? – Dax postukiwał palcem w krawędź stołu, a mama chwyciła go za rękę. Byli ze sobą tak świetnie zsynchronizowani. – A gdybyśmy dorwali trochę serum?

– Jest to jakaś możliwość. A być może i ostatnia deska ratunku, ale wiele krwi w serum nie ma. Jeżeli ten gość, Wentz, da radę, być może wystarczy dla kogoś, kto jeszcze nie jest w fazie odlotu, a tylko wykazuje oznaki. Nie wiem. – Brandt odwrócił wzrok. – Plus jeszcze ryzyko. Przeżywa tylko połowa tych, którzy dostają lek. Z tego, co słyszałam, to nie jest ładny widok...

– Lepiej to niż nic – powiedziała chłodno mama.

– A co z krwią Rozpruwacza? – wtrącił się Alex. – Dostał serum. Może byśmy coś poradzili, upuszczając mu trochę krwi?

Mama pokręciła głową.

– Nie wiemy, jaki wpływ na niego ma Dominacja. Zanim Kale dostał lek, jego krwi używano, żeby podporządkować sobie Szóstki. Gra niewarta świeczki.

Kale skinął głową, pogodzony ze stanem rzeczy.

– Przejęcie leku będzie trochę łatwiejsze niż przejęcie krwi, ale wydaje mi się, że uda nam się i jedno, i drugie. Dez może wziąć krew, a inni Dominację.

– Nic z tego – powiedziałam i przez sekundę drugi raz tego ranka oczy wszystkich skierowały się na mnie. Zaczęłam się czuć jak neon, na który wszyscy patrzą. Był taki okres w moim życiu, kiedy by mi się to bardzo podobało. A teraz? Wkurzało mnie.

Alex skoczył na równe nogi i rzucił:

– A to dlaczego, panienko?

Natomiast Kale przywalił ręką w oparcie kanapy i powiedział:

– Tak właśnie będzie.

– Witam państwa. – W drzwiach pokazała się Jade. Spojrzała na Kale'a, później na Alexa, a na końcu na mnie i uśmiechnęła się zgrzyliwie. – Wygląda na to, że wszystko wróciło do normy.

– Kto to jest? – spytał Kale, omiatając ją spojrzeniem od stóp do głów. Nie był pod wrażeniem, z czego ja byłam bardzo zadowolona.

Na ustach Jade wykwitł nieprzyjemny uśmiezek, kiedy przechodziła przez kuchnię. Wcisnęła krzesło między mnie a Kale'a.

– To zabolalo, że mnie nie pamiętasz. Mieliśmy dużo wspólnego. Szczególny układ.

Popatrzył na nią, potem na mnie, a później znów na nią.

– Bardzo trudno mi w to uwierzyć. Uważam, że rude w ogóle nie są atrakcyjne. Może gdybyś była bardziej podobna do Dez, jakoś bym to zrozumiał. – W przeciwieństwie do dawnego Kale'a, który powiedziałby to wprost i do rzeczy, w tej wersji usłyszałam jakby w tle drut kolczasty i jeszcze bardziej mi się to podobało.

Jade otworzyła usta, później je zamknęła, wstała i bez słowa podeszła do dzbanka z kawą.

Ginger przywaliła laską o stół. Ten dźwięk był jak wystrzał, rozbrzmiał w całej kuchni i wszelkie swary natychmiast się skończyły.

– Wprawdzie podejrzewam, że powrót do starych zwyczajów pomoże się Kale'owi zaaklimatyzować, ale nie to miałam na myśli. Czy moglibyśmy się skupić? Czy mam zacząć walić tą laską na lewo i na prawo?

Wstrzymałam oddech.

– Uważam, że Ben powinien dostać krew.

– Oczywiście, że tak – syknął Alex i zrobił gest dłonią w kierunku Kale'a. – Ale czy pamięć naszego Rain Mana przyda nam się na coś, kiedy Dominacja cię zabije?

– Ben nie może zrobić nic, żeby pomóc Kale'owi – obudź się i uważaj. To nie ma z tym nic wspólnego – rzuciłam ostro. – Z nim jest najgorzej. I to on powinien dostać krew, a jeżeli nie on, to Brandt.

– Nie biorę niczego, dopóki się nie przekonam, że jesteś zdrowa – powiedział Brandt. W jego tonie nie było żadnej argumentacji. Po prostu podjął decyzję. W porządku. Nie musi się zgadzać. Wleję mu do gardła, co trzeba, przez sen, jeżeli będę musiała. – Poza tym wcale jej nie potrzebuję. Już o tym rozmawialiśmy, pamiętasz? Z technicznego punktu widzenia nie mogę umrzeć.

– Nie, oczywiście, że nie – odparowałam. – Ale w kogo wskoczysz? Może byś wybrał kogoś z nas?

Brandt zrobił wielkie oczy i nie odpowiedział.

– Niepotrzebnie się upierasz – wtrącił Alex.

– Upieram się? A kto mi daje prawo, żeby wziąć antidotum? Nie jestem lepsza niż reszta.

Przez chwilę wyglądało na to, że Alex będzie się ze mną kłócił, ale zamknął usta i się odwrócił. Pewnie wiedział, że mam rację. Nie byłam ważniejsza, niż pozostali. Gwarantowana kuracja powinna trafić do tego, który ma najcięższe objawy. A teraz to był Ben Simmons.

– W tym momencie to nie jest kwestia sporna – powiedziała mama. – Musimy opanować zarówno krew, jak i lek, zanim podejmiemy decyzję. Nie mówiąc już o tym, że Franklin Wentz będzie musiał wyprodukować działającą szczepionkę.

– A jak on się czuje? Jeszcze go nie widziałam.

Brandt przeciągnął się.

– Zamknął się w laboratorium, które zorganizowała mu Ginger. Widziałem go dzisiaj rano. Próbuje wyprodukować alternatywny lek – coś, do czego krew Penny Mills nie jest potrzebna. Na razie jednak bez powodzenia.

Mama odwróciła się i popatrzyła raz na Kale'a, raz na Brandta.

– Jak tam wejdziemy?

Brandt się zawahał. Nie podobało mi się jego spojrzenie. Znałam je zbyt dobrze.

– Mam pewien genialny pomysł, ale Dez na pewno się nie spodoba.

– Zaczynaj od drugiej strony – mruknęłam.

– Długo mnie tam nie było i nie wiem, gdzie trzymają krew. Człowiek, z którym się kontaktuję, jest na zewnątrz wewnętrznego kręgu, ale...

Zmrużyłam oczy, chcąc, żeby się już zatrzymał i przestał mówić. Wiedziałam dokładnie, dokąd zmierza i miał rację – wcale mi się to nie podobało.

– Kale mógłby wrócić – mówił dalej ostrożnie, przyglądając mi się kątem oka. – Założę się, że wie, gdzie jest ta fiołka. Może po nią pójść, a później stamtąd wyjść.

Spodziewałam się, że wszyscy zaczną protestować, ale nikt nie powiedział ani słowa. Ja musiałam być głosem rozsądku.

– Naprawdę? No, dobrze.

– To zły wybór. Kale spędził ze mną za dużo czasu. Nie będą mu ufać. A co, jeżeli każą mi codziennie odbywać sesje z tą Szóstką, która potrafi robić wodę z mózgu? Jak się ustrzeże przed tym, żeby się nie zorientowała, co już sobie przypomniał? Nie mówiąc już o tym, że znowu może narobić krzywdy. – Klasnęłam w ręce dla większego efektu dramatycznego. – Właśnie, no i wyjęliśmy mu urządzenie namierzające. Jak chcecie to wyjaśnić?

– Dez ma niewątpliwie rację – przyznała mama. – Jeśli znowu zaczną się bawić jego wspomnieniami, stracimy ostatnią szansę na uratowanie tych dzieciaków. – Spojrzała na mnie. – A takiego ryzyka nie chcę podjąć.

– Zgoda – powiedziała Ginger, stukając laską o podłogę. Trudno było nie zauważyć, że wszyscy się lekko odprężyli, kiedy odłożyła ją przy fotelu. Pomieszczenie pełne ludzi z niezwykłymi możliwościami i umiejętnościami, a wszyscy boją się starej kobiety z laską.

– To ryzykowne – zgodził się Brandt. – W teorii jednak Kale nie będzie tam aż tak długo, żeby to miało znaczenie. Wpadnie, znajdzie krew i wypadnie.

Westchnęłam.

– Wszystko jest zawsze takie łatwe? Tyle rzeczy może pójść nie tak. A jak chcesz wyjaśnić brak urządzenia namierzającego?

Brandt zmarszczył brwi.

– Mówiłem, że nie będzie ci się to podobało. A co do tego urządzenia, to nie jestem pewien.

– Kale powinien wrócić, ale nie sam – powiedział ktoś z końca stołu.

Wszyscy odwrócili się teraz w kierunku Vince'a.

– Byłem tam kawał czasu i mam wobec was wszystkich ogromny dług. Przede wszystkim za to, że przyszliście mnie ostrzec, a po drugie za to, że przyjęliście mnie tutaj, kiedy nie miałem dokąd pójść. – Odłożył gazetę. – Tak, jak i wy wszyscy, chcę upadku tych ludzi. Odebrali mi całe życie. Wszystko, na co tak ciężko pracowałem, zamieniło się w pył.

Ginger przyglądała mu się ostrożnie przez chwilę, a później oparła się na fotelu. W jej oczach było coś denerwującego. Nie wiedziałam dokładnie, o co chodzi – ale albo nie ufała Vince'owi, albo wiedziała, co chce powiedzieć i nie zgadzała się z tym.

– Co proponujesz?

– Kale powinien wrócić. To chyba jest jasne. Powinien jednak wrócić ze wsparciem. – Vince skinął głową w kierunku mamy. – Sue ma rację. Jeżeli pójdzie sam, wszystko co zrobiliśmy, żeby go przywrócić do normalności, będzie można łatwo odkręcić. Potrzebny mu jest dowód dobrych intencji.

– Dobrych intencji? – spytał Kale podejrzliwie.

Kale nie rozumiał, do czego Vince zmierza. A ja tak. Był to pomysł genialny, ale jednocześnie przerażający, powstały pod wpływem chwili i w pewnym sensie nieostrożny.

– Ofiarę – powiedziałam, zanim to przemyślałam. – Mnie. Ja pójdę.

Wszyscy otworzyli usta w proteście, ale uniosłam dłoń. Oczywiście. Teraz się odzywają.

– Wiem, wiem, to szaleństwo, ale przynajmniej mnie wysłuchajcie, dobrze? Vince ma w pewnym sensie rację. Tata to śmieć, ale jest bystry. Zorientuje się, że Kale jest już przeflancowany. Pomyślcie tylko. Na pewno zauważyli nas razem na lotnisku. Przecież widzieli nas wszyscy pasażerowie. Jeżeli wróci do bazy, będą chcieli się upewnić, że nie przeszedł na drugą stronę. Jednak – powiedziałam, biorąc głęboki oddech – jeśli zjawi się, przynosząc na tacy jedyną rzecz, której chce tata – czyli mnie – i powie, że to wszystko było udawane, założę się, że nie będą tego kwestionować. Denazen chce uciszyć ruch Podziemia. Jeżeli uznają, że powiem im, gdzie się ukrywamy i stwierdzą, że Kale jest wciąż lojalny, narobią w gacie ze szczęścia.

Mama zmarszczyła brwi i widać było, że ten pomysł wcale jej się nie podoba.

– A co z tą Szóstką, która potrafi powstrzymywać wspomnienia Kale’a?

– Tak jak mówił Brandt, mam nadzieję, że aż tyle czasu nam nie będzie trzeba – powiedział Vince. Zwrócił się do Kale’a i skinął głową zachęcająco. – Graj na czas. Wyjaśniaj i przepraszaj. Powiedz im, że pozwoliłeś Dez usunąć urządzenie namierzające, żeby zdobyć jej zaufanie.

Martwa cisza.

– Nie podoba mi się to – mruknął Kale – ale ona ma rację. Będą mniej podejrzliwi, jeśli nie pojawię się z pustymi rękami. Jak powiedziała Dez, bez symbolu dobrych intencji nie będę w stanie zbliżyć się do krwi. – Odwrócił się do Vince’a i skinął głową. – Coś mi świta. Wydaje mi się, że cię poznaję. Czy my jesteśmy kumplami?

– Vince był ostatnią osobą, którą latem odwiedzaliśmy, żeby go ostrzec przed Denazen – odparłam, uśmiechając się. – Widzisz? Coś zaczyna wracać.

– Pewnie tak – powiedział Kale, ale było coś takiego w jego sposobie patrzenia na Vince’a, co mnie nie przekonywało.

Niestety, czas nie był najlepszy, żeby się tym martwić, bo Alex zaczynał świrować.

– A to dowodzi, że przekreśliłeś się, ale na drugą stronę księżycy – warknął na Kale’a i tupnął nogą. – Nie pozwoliłbyś jej na to, gdybyś był zdrowy na umyśle.

– Nie pozwoliłby mi? – Aż się zadławiłam. – Ty poważnie? A od kiedy to...?

– Nie pozwolę, żeby jej się cokolwiek stało. – Kale wstał i pochylił się nad stołem do kawy. Był jak chmura gradowa.

– Dlaczego? Bo ją kochasz? Nie potrafisz sobie nawet przypomnieć, jak bardzo mnie nie znosisz, a to, bracie, mówi samo za siebie.

– Może cię nie pamiętam, ale niech zgadnę... Kiedyś byłeś jej chłopakiem, tak? Tym, który nie potrafił odpuścić. – Spojrzał na mnie, a ja walczyłam, żeby nie zdrzeć. W jego oczach było coś śmiertelnie poważnego. Coś zaborczego. To było wspomnienie dawnego Kale’a pomieszane z czymś nowym. Z czymś ciemniejszym. – A ona chyba już dokonała wyboru.

– Palant z ciebie – rzucił Alex.

– Coś mi mówi, że mam podobne zdanie o tobie – skontrolował Kale, prostując się i zakładając ramiona na piersi.

– A mnie coś mówi, że zaraz mnie rozboli głowa – powiedziałam, wstając. Nikt nie był zadowolony i trudno było kogokolwiek winić, ale zostało nam niewiele opcji, a czas uciekał. – Czy wam się to podoba, czy nie, lepszego planu nie mamy.

– Musimy ruszać jak najszybciej – zgodził się Kale. – Ona już ma pierwsze objawy.

Jęknęłam i objęłam głowę dłońmi.

– Wiem, że nie poczułaś tego przecięcia skóry na imprezie – rzucił Alex.

Uniosłam głowę.

– Wszyscy wiedzieliśmy, że to nieuniknione. Moja zdolność już osiągnęła szczyt i się zmieniła. Teraz to tylko kwestia czasu.

– Jest aż tak źle? – spytał Brandt. Był trochę blady.

Staralam się to pytanie zbyć wzruszeniem ramion.

– Nie. Tu i ówdzie małe zmiany, nic poważnego. Czasami nie potrafię skupić uwagi i... od czasu do czasu nie czuję bólu.

Kale zmarszczył brwi.

– Stąd tylko droga w dół.

– Prosto do piekła? – Głos mamy zrobił się piskliwy i nerwowy. Cóż, jej wersja – a wyglądała na poirytowaną, jakby miała ochotę zabijać – była właśnie taka. Popatrzyła niechętnie na Vince'a, a później takim samym wzrokiem na Kale'a. – Ja wiem, co się dzieje za tymi ścianami. Może ty nie pamiętasz, ale ja tak. Pozwolić mojej córce iść prosto do piekła? Nie mogę się na to zgodzić.

– A sądzisz, że ja chcę tam iść?

– Tak. – Założyła ręce i rzuciła mi najlepsze ze swoich matczynych spojrzeń.

Udoskonalała je przez ostatnie parę miesięcy. I całkiem nieźle jej to wychodziło. – Uważam, że najprawdopodobniej to dla ciebie tylko wyzwanie.

Auu! Za dobrze mnie znała. Musiałam jej jednak uświadomić, że to było coś więcej.

Chodziło o przetrwanie. Niezależnie od tego, czy uwielbiałam adrenalinę, czy nie, nawet ja nie miałam ochoty przeskakiwać przez próg Denazen bez dobrego powodu, typu śmierć albo życie – a taki właśnie wystąpił. Śmierć albo życie. Moje i całej reszty.

– Ostatnia szansa na genialne pomysły. – Spojrzałam na mamę. – Jeśli wymyślisz coś lepszego, to uwierz mi, bardzo chętnie na to przystanę.

Nic nie powiedziała. Zobaczyłam to w jej oczach – porażkę, a w końcu akceptację.

Popatrzyłam na Kale'a i spytałam:

– Jak powinniśmy do tego podejść?

Nie odpowiedział. Tylko patrzył na mnie. Przyznaję, że w tamtej chwili zaczęłam mieć wątpliwości. W jego oczach było coś obcego. Iskra czegoś, czego nie rozpoznawałam. To było ciemne, ale – co gorsza – rozgniewane, a ja nie wiedziałam, czy jego gniew jest skierowany na tę sytuację, czy na mnie.

– Boisz się?

Wszyscy się już rozeszli, zostałam tylko ja i Kale. Zaczęłam chodzić w kółko, zbyt podminowana, żeby usiedzieć w miejscu. Tylko szalenciec by się nie bał, prawda?

– Nie zmuszę cię do tego – powiedział cicho. – Możemy spróbować inaczej dorwać tę fiolkę.

– Nie ma innego sposobu.

– Zgoda.

Nie mogłam się powstrzymać od gorzkiego śmiechu.

– Co do jednej rzeczy Alex miał rację. Mój Kale nigdy by się na to nie zgodził.

Nie odpowiedział od razu, a kiedy odwróciłam się do niego, na twarzy miał coś pomiędzy gniewem a urazą.

– Jeszcze nie pamiętam, jak między nami było, ale już teraz czuję w duszy i w sercu, że jestem twoim Kale'em.

Wyciągnęłam do niego rękę i powiodłam palcami po policzku. Czułam to samo, co

kiedyś. Te same iskierki elektryczności, które przeskakiwały po skórze i nurkowały w moim ciele, kiedy się dotykaliśmy. Przepelniało mnie odczucie upadania w przepaść, kręciło mi się w głowie za każdym razem, kiedy nasze oczy się spotkały, ale teraz było coś jeszcze innego. Niemal przerażający, surowy i brutalny przeblysłk, który przywodził na myśl samą ciemność.

– Naprawdę?

– Jestem inny niż byłem, a może nigdy nie będę już taki sam, ale jednego jestem pewny... Jedno wiem bez żadnej wątpliwości i serce mi to powtarza – jestem twój. Czuję to z każdym oddechem, Dez. Od tamtego dnia za domem Ashley Conner czułem, że to się we mnie gotuje, buzuje za każdym razem, kiedy na ciebie patrzę. A jeżeli ty i pozostali czujecie, że zachowuję się nieostrożnie, prowadząc cię do Marshalla, przemyśl to jeszcze raz. – Wziął mnie za rękę. – Może dawny ja nie zgodziłby się na to, bo by się bał. Ja się nie boję. Uważam, że tworzymy fantastyczny zespół. Razem nam się to uda. Jesteś najzdolniejszą osobą, jaką znam.

– Niezły z ciebie propagandzista – powiedziałam, chichocząc nerwowo.

Kale już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, a w kąciu czał mu się uśmiezek, ale ktoś w hollu straszliwie wrzasnął. Oboje natychmiast ruszyliśmy w kierunku tego dźwięku i po chwili byliśmy za rogiem ostatniego pokoju na końcu korytarza.

– Co jest? – rzuciłam, wpadając do pokoju.

Lu leżała na podłodze, czołgała się wzdłuż ściany, a nad nią górował Ben.

– Uważajcie! On ma atak.

Ben wiał się z chorym uśmiechem na ustach. Musiałam się zmuszać, żeby nie odwracać wzroku. Był blady jak ściana, oczy miał podkrążone, a z kącika ust kapłała mu strużka krwi i zbierała się na podbródku. Co kilka sekund przechodził go silny dreszcz, który wprawiał całe ciało w drżenie.

– Bąbelki i od razu lepiej, co? – Lu na chwilę została zapomniana, a on zrobił krok w naszym kierunku. Uderzał się zaciśniętymi pięściami w skronie i mówił: – Zupa tam się przelewa, gotuje i wiruje. Dziury, dziury jak w serze. – Zamarł, a później zaśmiał się histerycznie. – Szwajcarskim!

Kale wyszedł przede mną. Gdy zobaczyłam czerń zbierającą się u opuszków jego palców, odepchnęłam go na bok.

– Nie, tak nie wolno. On jest chory, pamiętasz? Możemy go ocalić. Musimy tylko jak najszybciej załatwić lekarstwo. – Skinęłam głową w kierunku drzwi. – Idź. Zadzwoń tam, gdzie musisz.

Kale zrobił wielkie oczy.

– Chcesz, żebym cię tu z nim zostawił?

Zwróciłam się do Bena, którego wyraz twarzy się zmienił i wysunęłam krzesło spod biurka Lu.

– Siadaj, Ben. Wszystko będzie dobrze.

Po chwili wahania skinął głową i opadł na krzesło.

– Te bąbelki w głowie, to mnie boli – załkał.

– Wiem. – Odwróciłam się do Kale'a. – Widzisz? Wszystko jest w porządku. Idź i powiedz Ginger, że Bena trzeba będzie poddać kwarantannie. Spotkamy się w świetlicy.

Nie wyglądał na zadowolonego, ale wyszedł.

Obeszłam krzesło i wyciągnęłam rękę do Lu. Włosy sterczały jej jak wiechcie, rękaw ohydnej, różowej bluzy był rozdarty, ale poza tym wyglądała dobrze.

– W porządku?

Pomogłam jej się podnieść.

– Po prostu rewelacja.

– Co się stało?

Pomachała dłonią przed twarzą Bena. Nawet nie drgnął. Odsunęła się o krok i usiadła na łóżku.

– Szedł korytarzem i zatrzymał się w drzwiach, wyglądał mniej więcej tak jak teraz.

A później wrzasnął coś o zupie i zaatakował mnie.

Aż za dobrze pamiętałam spotkanie z Finnem, kiedy Sanktuarium zaczęło płonąć. Facet, który nas zaatakował już nie był człowiekiem. To ten lek. Już to kiedyś widziałam.

Lu zrobiła wielkie oczy.

– To jest normalne?

– No wiesz, nie wiem, czy to jest normalne, ale tak to się właśnie kończy. – Kątem oka spjrzałam na Bena. Milczał i gapił się w ścianę. Drgawki już mu przeszły. – Z nami też tak będzie, jeżeli nie dorwiemy lekarstwa. A dorwiemy. Nie martw się.

Lu westchnęła i spojrzała na zegar nad drzwiami. Nagle zrobiła się jakby smutna. Złożyła ręce na kolanach i powiedziała:

– Dobra z ciebie dziewczyna, Dez. Lubię cię. Szkoda, że się lepiej nie poznałyśmy.

– Mamy jeszcze mnóstwo czasu. Jak już będzie po... – I w tej właśnie chwili przypomniałam sobie rozmowę, którą odbywałyśmy, kiedy spędzała tu pierwszy wieczór. W tym samym momencie Ben wydał z siebie śmierniowski ryk i rzucił się wprost na Lu. Było po wszystkim, zanim zdążyłam mrugnąć. Nie próbowała zejść mu z drogi. Ręce Bena były tak szybkie, że trudno było zobaczyć, gdzie są. Już po chwili zaciskał dłonie na szyi Lu. Usłyszałam straszliwy dźwięk – niemalże echo łamiącej się suchej gałęzi, a później cisza.

Trzy sekundy. Może cztery. Tyle to trwało. Nie miała nawet szansy, żeby zejść mu z drogi.

Lu miała oczy szeroko otwarte, patrzyła bez zdziwienia, kiwając się przez chwilę z nogi na nogę, a później upadła na bok na łóżko. To było bezcelowe – bo w zasadzie było po wszystkim – ale i tak wrzasnęłam co siłą.

– Nie!

Nie mogło to pomóc Lu, ale przypomniało Benowi, że jeszcze ktoś jest w pokoju.

Usta Bena wygięły się w ledwo dostrzegalnym uśmiešku, zanim zaatakował. Udało mi się zejść mu z drogi – ledwo co – ale w pośpiesznej ucieczce potknęłam się o róg dywanu. Upadłam całym ciężarem ciała i walnęłam skronią o małą toaletkę. Zobaczyłam gwiazdy, podłoga zaczęła pływać jak pijany statek, a pokój wirować.

Próbowałam się przetoczyć na bok, ale ciężar na mojej klatce piersiowej nie pozwalał na żaden ruch.

– Jesteś taka sama, jak inne – powiedział Ben, chichocząc. – Piękna, śmiertcionośna i cała zrobiona z bąbelków. – Nachylił się, odsunął kosmyk moich włosów tak, żeby mógł szeptać prosto do ucha. – Mam cię, bąbelkowa dziewczyno. Już nie będziesz mi wlewać zupy do głowy!

– Ben, proszę... – Pokój wciąż wirował, jednak pojaśniało mi w oczach, wzięłam głęboki oddech i próbowałam go zepchnąć. Niestety, bez rezultatu. Jak na takiego chudzielca był cholernie ciężki. – Jesteś chory. Przecież ty nie robisz ludziom krzywdy.

Z drugiej strony, Lu pewnie miałyby inne zdanie.

– To samoobrona – rzucił. Już nie był z siebie zadowolony, teraz wstąpiło w niego coś ciemnego i pozbawionego rozsądku. – Jak cię wymażę, już nie będziesz mi mogła robić krzywdy.

– Wymażesz?

Wtedy zrozumiałam – chciał mi usunąć wspomnienia.

I szczerze? Wywaliło mi bezpieczniki...

Kopałam i wiłam się, uderzając gdzie popadnie. Chciałam złapać go za włosy, za skórę, za cokolwiek, co pomogłoby mi go z siebie zepchnąć, ale trzymał mnie w taki sposób, że nie mogłam uzyskać żadnej przewagi. Zawsze wzdrygałam się na myśl o wysłaniu SOS, ale byłam na tyle rozsądna, by wiedzieć, kiedy potrzebuję pomocy. Zrobiłam więc jedyną rzecz, którą potrafią zrobić głupawe hollywoodzkie gwiazdki filmowe – zawołałam na pomoc dużego, silnego mężczyznę.

– Kale! – wrzeszczałam raz po raz, ale nie przychodził. Oczywiście, że nie. Przecież go odesłałam. Zapewniłam go, że nie ma się czym martwić.

Poczułam dłonie Bena, które jak imadło zacisnęły się wokół mojej głowy. Opuszki palców przedzierały się przez włosy, żeby dotrzeć do skóry czaszki. Sam nacisk tych dłoni wystarczył, żebym zaczęła wrzeszczeć. Wydałam z siebie wycie, które pewnie za chwilę rozsypałoby szyby w drobny mak, gdybym nie usłyszała innego głosu.

– Co, do cholery...? Dez! – To Alex.

Z trudem łapałam powietrze. Z każdą sekundą, kiedy ręce Bena dotykały mojej głowy, ciśnienie rosło, a ja już chciałam prosić, żeby śmierć nadeszła szybko. Sceny – wspomnienia – powstawały jak burza piaskowa w zakamarkach mojej głowy. Przypominałam sobie tatę wrzeszczącego, że przychodzę do domu po wyznaczonej godzinie, złe stopnie z angielskiego w ósmej klasie, dziesięć minut w niebiosach ze Steve'em Granderem na moim pierwszym przyjęciu w akademiku – wszystkie eksplodowały. Pękały jedno po drugim, zabierając resztki powietrza, które miałam w płucach – znikając na zawsze.

Coś nade mną się poruszyło i nagle mogłam oddychać. Mnóstwo, mnóstwo wspaniałego powietrza. Rzuciłam się na bok, kaszląc i zobaczyłam kątem oka, jak Alex podnosi Bena z podłogi i rzuca go na łóżko.

– Co tu się, do diabła, stało? – Alex pomagał mi się pozbierać.

Oczywiście uważał, kiedy mówiłam, że Ben bardziej potrzebuje leku niż ja.

– Ciężkie objawy Supremacji. Lu... – Kiedy nie odpowiadał, popatrzyłam za jego wzrokiem na łóżko. Ben siedział blady jak ściana i patrzył na Lu. Jego usta się poruszały, ale nie wydawał z siebie żadnego dźwięku.

Alex podszedł o krok bliżej.

– Czy ona...

– Ona wiedziała – szepnęłam, nie spuszczać oczu z Bena. Jeżeli bym nie popatrzyła – nie zamrużyła powiekami – to bym nie płakała. Nie byłam jeszcze gotowa do podpisania się pod zasadami szkoły Ginger – nie pytaj i nie mów nikomu – ale zdawało mi się, że Szóstki, które mają wgląd w przyszłość, muszą sobie radzić ze znacznie cięższymi przeżyciami, niż nam się wydaje. – Kiedy się poznałyśmy, od razu mi powiedziała, że umrze.

– I tak po prostu to przyjęła? – Alex z wściekłością odwrócił się plecami do łóżka.

I to było to. Ostatnia rzecz, którą pamiętam szczegółowo. Byłam w pokoju, rozmawiałam z Alexem i nagle uderzył w nas wir czegoś czarno-błękitnego. Pokój przechylił się na bok i poczułam ostry ból po prawej stronie głowy kilka centymetrów od oka.

Usłyszałam wrzask – coś, czego do końca życia nie zapomnę – a później nie było już nic...

– Nic jej nie jest – usłyszałam czyjeś słowa, jakby oddalone i niewyraźne. – Chyba nic jej nie jest. – To był głos Daxa.

– Odsuńcie się. Dajcie jej odetchnąć. – To Ginger. Na pewno Ginger. Trudno było pomylić z czymkolwiek ten szczekliwy głos z wyraźnym akompaniamentem laski postukującej o podłogę.

– Nic jej nie jest – mruknęłam, otwierając oczy. Kale, który był na podłodze tuż za mną, pomógł mi usiąść. – Trudno oddychać, jak mi zabieracie całe powietrze. Co się stało?

Nikt nie odpowiedział.

– Nie krępujcie się. – Zapytałam jeszcze raz: – Alex?

Poczułam, że serce mi się rozdziera, kiedy spojrzałam na łóżko, na którym leżała Lu, przykryta błękitnym kocem z wełny afgańskiej. Wystawał tylko mały palec z plastikową obrączką. Na podłodze tuż obok leżało inne ciało pod prześcieradłem.

Nie. Słyszałam to słowo powtarzające się raz po raz w mojej głowie. Nie, nie, nie, nie!

Odepchnęłam Kale'a i uklękłam, szłam na czworakach, a później upadłam. Znów zaczęło mi się kręcić w głowie.

– To nie może być...

Kale był tuż obok, próbując mnie odciągnąć, ale się nie dałam.

– Alex... On... – I to było wszystko. Więcej słów nie potrafiłam wydobyć ze ściśniętego gardła.

– To nie on – powiedział Kale cicho. – To Simmons.

To było straszne i wiedziałam w głębi serca, że powinnam siebie za to nienawidzić, ale radość, którą poczułam była wszechogarniająca. Alex i ja być może się kłóciliśmy, ale w jakiś sposób przecież jeszcze go kochałam.

– Zadzwoiłem i już wracałem. Nie było cię w salonie, więc przyszedłem tutaj. – Ujął moją twarz w dłonie i delikatnie otarł mi kciukiem łzę z policzka. – Kiedy wszedłem zobaczyłem, że leżał na Alexie. Rozdzieliłem ich. Uderzyłem go, ale nie za mocno. Wszystko było dobrze i nagle po prostu upadł.

– Zawał serca – powiedział Dax, marszcząc brwi. – Jego organizm nie był w stanie dłużej walczyć. Przynajmniej tak przypuszczam.

– Szaleństwo, a później śmierć – powiedziałam, drżąc. – Gdzie jest Alex?

Kiedy przyszedłem, Alex już przestał wrzeszczeć. Odciągnąłem Bena, ale było zbyt...

– Nie – przerwałam mu, zwracając się do mamy. – Gdzie on jest? Gdzie jest Alex?

– Robią, co mogą.

– Cześć – powiedział ktoś od progu.

Wzniosłam oczy ku niebu. Jade.

– Nie nauczyli cię pukać?

Prychnęła i zamknęła za sobą drzwi.

– I tak byś nie otworzyła.

– Oczywiście, że nie. A może to jakiś znak dla ciebie?

Usiadła na krześle przy moim biurku, sięgnęła po mój ulubiony lakier do paznokci –

Purpurową Pasję – i zaczęła malować paznokcie. Po chwili spytała:

– A gdzie jest Kale?

– A co, masz nadzieję, że stracił pamięć i dostaniesz drugą szansę?

– Proszę cię – powiedziała, machając buteleczką lakieru w moim kierunku. – To było od początku jasne, że ten chłopak nie ma żadnego gustu. Wybrał ciebie.

Westchnęłam ciężko.

– Przyszłaś, bo czegoś chcesz, czy tylko po to, żeby mnie wkurzyć?

Zarzuciła włosami, żeby uniknąć mojego spojrzenia.

– Chciałam tylko zobaczyć, jak się trzymasz.

W ciągu minionych paru miesięcy Jade i ja nie stałyśmy się przyjaciółkami. Wątpiłam, czy do tego kiedykolwiek dojdzie, ale nasze relacje się ociepliły. Były ciepłe przez większość czasu. Od początku, tuż po zniknięciu Kale'a, przynosiła mi kawę w środku nocy, czasami po prostu siedziała przy mnie w milczeniu aż do świtu. Nigdy nie rozmawiałyśmy i nigdy jej nie podziękowałam, ale to jej chyba odpowiadało.

– Jest lepiej. Coś zaczyna sobie przypominać.

– A ty? Jak się czujesz?

To dziwne. Nie czułam potrzeby lukrowania niczego, kiedy byłam z Jade. Może dlatego, że przekonałam siebie samą, że jej na tym nie zależy.

– Zaczynam mieć pierwsze objawy. Na razie nic wielkiego, ale już się pojawiają.

– Poznałam tego naukowca. Wentza. On jest... inny.

Uniosłam wzrok.

– Inny?

– Przedstawił się, a później natychmiast zapewnił mnie, że kocha zwierzęta.

– No tak. Rozumiem.

Skończyła malować prawą rękę i przeszła do lewej.

– Tak, ci geniusze są zawsze trochę walnięci.

To był sposób Jade na pocieszenie mnie, żebym się nie martwiła i że znajdziemy lek.

Chociaż nie byłam pewna, czy jej wierzyłam, doceniałam gest.

– Nie masz czegoś innego do roboty? Gonienia za chłopakami innych lasek? Straszenia małych dzieci?

Zakręciła buteleczkę z lakierem i uniosła dłoń, przyglądając się z podziwem swojemu dziełu. Podeszła bez słowa na próg i otworzyła drzwi.

– Widzę to w jego oczach. Zawsze wtedy, kiedy na ciebie patrzy.

– Co?

– Może nie ma wspomnień, ale jego serce pamięta.

I wyszła bez słowa.

Poprosiłam Kale'a, żeby na chwilę wpadł. Chciałam jakoś wszystko pozbierać, choć tak naprawdę miałam nadzieję, że się odwróci i już nie wyjdzie. Cichutki głosik w mojej głowie

podszepetywał, że takie zachowanie to definicja szaleństwa. Kiedyś przeniknęłam do Denazen, udając głównego przesłuchującego taty – Mercy... Na szczęście udało mi się i siebie, i Kale'a wydobyć stamtąd żywych. Tym razem miałam wątpliwości. Szłam tam jako ja. A poza tym, że stanowiłam jeden z ich projektów naukowych Supremacji, niepomrotnie wkurzyłam tatę wieloma rzeczami. Na pewno będzie chciał się w jakiś sposób zemścić.

Kiedy wychodziliśmy z Kale'em z domu, Alex wciąż jeszcze się nie obudził. Nie mając na podorędziu umiejętności Bena, nie byliśmy w stanie stwierdzić, jak daleko zaszły zmiany. Ginger zapewniła mnie, że ma dość sił witalnych i poza kilkoma potłuczeniami i sińcami nic mu nie jest. Przynajmniej fizycznie.

Jasne, nic mu nie jest. Poza tym, że Simmons mógł mu wysssać pół mózgu.

– Wyciągnę cię stamtąd. I to z fiolką. Przyrzekam – powiedział Kale.

– Wierzę ci. – Zastanawiałam się tylko, czy będę jeszcze w jednym kawałku.

– Wiem, że to trudne, zwłaszcza po tym, co się stało.

Byłam zakochana w Kale'u. To się nie mogło zmienić. A jednak kochałam również Alexa. To była inna miłość – zawsze tak było, nawet jeżeli nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale Alex był dla mnie ważny. Wciąż jednak pewnych rzeczy trzeba było dopilnować. Życie nie stoi w miejscu. I nie chodziło tu tylko o moją przyszłość. Liczyli na mnie również Brandt i pozostali. Nie zawiodę ich.

– W porządku. Uda nam się. – Odwróciłam się do niego. – Zrobimy to.

– Jesteś niezwykle odważna.

Jeżeli miałabym być tak odważna, dlaczego byłam tak bliska powiedzenia mu, żeby zawracał?

– Chcę, żebyś mi zaufała. Całkowicie. Rozumiesz, że muszę zrobić tak, żeby to wyglądało prawdziwie? To znaczy, potraktować Roz...

– Kiernan – powiedziałam przez zaciśnięte zęby. Wiedziałam dokładnie, o czym on mówi i ze wszystkich horrorów, które czekały na mnie w Denazen, ten będzie mi najtrudniej przełknąć. Kiernan i on razem.

– Roz – upierał się, kręcąc głową. – Nie może być żadnych wpadek. Dla mnie to jest Roz i zawsze nią była.

Chciałam się z nim spierać, ale miał rację.

– Dez, zanim tam pójdziemy, muszę ci coś powiedzieć.

Odwróciłam się do okna i na chwilę zacisnęłam mocno powieki. Czulałam ucisk na piersi. Wiedziałam mniej więcej, co mi chce powiedzieć, a jeśli byłoby to możliwe, wołałabym już wyskoczyć z samochodu i biec tak daleko i długo, jak mnie nogi poniosą. Zdawałam sobie sprawę, że kiedyś musi dojść do tej rozmowy, ale nie chciałam jej teraz. Nie tutaj. Nie po tym wszystkim, co się właśnie stało.

– Proszę. Nie...

– Musisz zrozumieć, jak naprawdę było. Zmusili mnie, żebym uwierzył, że ją kocham. Nie czułem tego – nigdy – ale byłem zagubiony. Pływałem jak unoszony na powierzchni wody. Potrzebowałem kogoś, kto będzie moją kotwicą.

– Więc spałeś z nią – skończyłam za niego zdanie. Sam nie powiedziałby tego głośno, a ja nigdy nie lubiłam owijać w bawełnę.

– Raz. Ale to nie tak, jak myślisz. Kiedy się wtedy zbudziłem byłem wściekły – ogarniała mnie furia i nie wiedziałem, dlaczego. Niczego nie pamiętałem. Była tylko złość. Chwyciłem się jej i zaczęła mnie rozdzierać na strzępy. Ona tam była i czułem się tak, jakbym tonął. Zaczęliśmy się klócić i...

– Fakt, że z wściekłością kochałeś się z moją siostrą, ma mnie uspokoić, tak?

– Nie...

– Więc po co mi to w ogóle mówisz? I to jeszcze teraz? To nie jest najmądrzejsza rzecz, jaką zrobiłeś w życiu. – Tak podejrzewałam, odkąd zobaczyłam, jak Kiernan całuje go na imprezie. A jej uwaga rzucona do mnie w obecności Kale’a – on lubi powrzeszczyć – teraz dopiero nabrała treści i chociaż czułam, jakby mi gdzieś w środku wybuchła bomba odłamkowa, czy mogłam winić Kale’a? Logika mówiła „nie”.

A serce mówiło „tak”.

– To jest ostatnia rzecz, którą chciałbym zrobić. Nie chcę cię skrzywdzić – powiedział powoli, a później z ledwie wyczuwalnym akcentem gniewu: – bo teraz to musi wyglądać tak, jak gdyby się nic nie zmieniło. Będzie wyglądało na to, że jesteśmy... blisko, a ja nie chcę, żebyś myślała...

– Że ci się to podoba?

Warknął.

– Ty tak zawsze? Ucinasz mnie, jak zaczynam mówić?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie chcę, żebyś myślała, że to cokolwiek znaczy. – Chwycił mnie za podbródek i zmusił, żebym na niego spojrzała. – Że to kiedykolwiek coś znaczyło. Wtedy nie znałem siebie samego i nie byłem w pełni świadomy, ale pamięć zaczyna wracać. Wiem, czego chcę, a czego nie.

– Więc usprawiedliwiasz się na wypadek, gdyby to się miało drugi raz zdarzyć?

Kale nagle zbladł.

– Oczywiście, że nie. Wiem... Wiem, że to nie ma sensu, zważywszy na to, co się stało, ale ja nigdy bym...

– Nigdy co?

Wydawało się, że Kale cierpi czysto fizyczny ból. Potarł twarz, a później zacisnął dłonie w pięści i walnął głową w oparcie fotela.

– Nigdy bym cię nie zdradził – powiedział w końcu. – Teraz, kiedy znowu jestem z tobą, nigdy bym cię nie zdradził z inną.

– Powinniśmy już iść – szepnęłam, czując łzy napływające do oczu. Nie rozumiał, co właśnie powiedział, ale ja zrozumiałam doskonale. – Zanim zmienię zdanie.

Skinął głową i włączył silnik. Jechaliśmy szybko, ale to pewnie lepiej. Im więcej czasu miałam, żeby pomyśleć o tym planie, tym wydawał mi się bardziej idiotyczny. Kale do kogoś zadzwonił – nie wiedziałam, do kogo – i powiedział jemu albo jej, że za chwilę przyjeżdżamy i będziemy przy drzwiach.

– Zaczekaj. Chcieli mnie zlikwidować. Jak wyjaśnisz fakt, że przywozisz mnie żywą?

Zawahał się, zanim odpowiedział:

– Dzwoniłem wcześniej i powiedziałem im, że na pewno pęknie pod presją i ujawnisz lokalizację Podziemia. Marshall wydawał się zadowolony...

Próbowałam się uspokoić i nie myśleć o tym, co będzie. *Pękne pod presją*. No tak. To zdanie naprawdę posłało falę szczęścia przetaczającą się przez mój organizm.

Tuż zanim wjechaliśmy na duży parking, odwrócił się do mnie i powiedział:

– Masz być nieprzytomna. Jest jakaś szansa, że potrafisz wywołać sińca? Tak, żeby wyglądało, że cię uderzyłem?

Pochyliłam się ku niemu i zamknęłam oczy.

– Ta rozmowa zaczyna się robić absurdalna. Tak dla twojej informacji. –

Skoncentrowałam się na wspomnieniu sińca na twarzy Alexa, kiedy walczył we wrzesciu z Kale’em. Siniec pokrywał prawą stronę twarzy. – Jak to wygląda? – spytałam, nie otwierając

oczu.

Poczułam ciepły oddech, jakby muśnięcie skrzydła ptaka, po lewej stronie twarzy i Kale westchnął.

– Niepokojąco idealnie. – Samochód skręcił w prawo, a później się zatrzymał. – Pamiętaj, zemdląłeś.

Po chwili usłyszałam otwierające się drzwi.

– Wciąż jest nieprzytomna.

– Przywaliłeś jej? – dobiegł mnie niepokojąco znany sobie głos, kiedy zamknęły się drzwi od strony Kale’a. Usłyszałam też jego kroki, wprawdzie przytłumione, ale wiedziałam, że szedł wokół samochodu. Sekundę później poczułam chłodne powietrze na skórze, kiedy otworzyły się drzwi z mojej strony.

Poczułam silne ramiona, zanim się zwałam z fotela, a później ktoś chwytem strażackim wziął mnie za szyję i nogę, i podniósł.

– Nie chciała przyjść sama.

– Nie rozumiem – powiedziała Kiernan. I jakbym widziała jej wyraz twarzy. Brwi w głębokie, duże V, usta w podkówkę, jakby nie mogła uwierzyć. – Widziałam cię na lotnisku. Pomogłeś im złapać tego chłopaka z Supremacji.

Szliśmy. Ja przewieszona przez barki Kale’a, czułam chłodny wiatr na skórze.

– Oczywiście, że im pomogłem. – Mówił do niej tonem lekkiej pogardy i wściekłości. Nie mogłam się powstrzymać – zalała mnie fala ciepła, kiedy słyszałam, jak się do niej odzywa. – A jak inaczej mieli mi uwierzyć?

– Mówiłam tatusiowi. Mówiłam mu, że się ode mnie nie odwrócisz. To, co jest między nami, jest zbyt silne. – Usłyszałam uśmiech w jej głosie. Widać z tego, że ton wypowiedzi Kale’a w ogóle jej nie ruszył.

Co takiego jest między nimi, że ma taką siłę? Jeżeliby mnie nie wniósł do środka z dala od jej głosu, istniała szansa, że bym się zdradziła, wyciągnęła rękę i udusiła ją.

Ramiona Kale’a zacisnęły się wokół mnie, kiedy nagle zrobiło się ciepło i zamknęło się za nami coś metalicznego. Weszliśmy do budynku. Teraz już nie było odwrotu.

– Nie ma czegoś takiego, co by mi kazało zapomnieć o dziewczynie, którą kocham, Roz. Na całym świecie.

Straciłam rachubę czasu. Wydawało mi się, że Kale zostawił mnie tu całe godziny temu – nie wiedziałam, gdzie, bo nie śmiałam do tej pory otworzyć oczu – i nikt tu jeszcze nie wszedł. W rzeczywistości minęło pewnie dziesięć albo piętnaście minut, ale miałam wrażenie, że znacznie więcej. Otworzyłam powoli jedno oko, a później drugie. Pomieszczenie było nie większe, niż mansarda. Nie miało drzwi ani okien. Nigdy nie miałam skłonności do klaustrofobii, ale jeśli miałabym tu spędzić więcej czasu, być może by się to zmieniło. Pośrodku sufitu zwisiała na drucie goła żarówka – tak, jak w serialu o braciach Soprano – a w rogu stało białe składane krzesło z podejrzenie wyglądającymi ciemnymi plamami na oparciu, które schodziły aż do prawej nogi. Dawno temu już wyschły, ale domyślałam się, co to jest i wyobrażałam sobie aż za dobrze, jak mogły się tam znaleźć.

Wstałam i centymetr po centymetrze przyjrzałam się sufitowi, a następnie ścianie i podłodze. Ani śladu kamery.

Później podeszłam do drzwi i próbowałam je otworzyć, ale oczywiście były zamknięte. Przeszłam na drugą stronę i usiadłam, oparta o ścianę na wprost drzwi. Ile czasu Kale będzie potrzebował, żeby wejść, zabrać fiolkę i mnie stąd wydostać? Może miałam jakieś omamy, a może zaczynały się już objawy Supremacji, ale zaciskałam kciuki, żeby mnie do tego czasu zostawili w spokoju.

Mijały minuty. Pomyślałam o Lu – kolejna bezsensowna tragedia w tej całej zawierusze – i o innych, do których nie dotarliśmy na czas. Ashley. Conny. Niewinne ofiary czegoś, czego pewnie nigdy nie rozumiały. Macki Denazen sięgały daleko, ale to, co powiedziała Penny Mills, zanim zginęła, nappełniało mnie przerażeniem. Ile jeszcze ludzi straci życie, zanim ich dopadniemy – jeśli w ogóle nam się to uda? Wydawało się, że z każdym mijającym dniem są silniejsi i mają więcej przewagi. Zaczynałam się zastanawiać, czy ubicie tej bestii w ogóle będzie możliwe.

Myśl, że to sprawa beznadziejna, była zbyt przygnębiająca, a ja musiałam zachować zimną krew. Wyrecytowałam teksty kilku piosenek zespołu *Powerman 5000*, a później dwa razy policzyłam do tysiąca. Byłam w połowie trzeciego razu, kiedy coś zazgrzytało przy klamce, zapowiadając gościa. Otworzyły się drzwi, a ja trochę się zdziwiłam, widząc Kiernan, a nie tatę, wchodzącą do środka.

– No, proszę, proszę! – powiedziała, zatraskując za sobą drzwi. – Popatrz tylko, kogo mój przystojniak tutaj zaciągnął.

– Proszę cię. Takiego gościa, jak Kale, mogłabyś zdobyć tylko, jeśli byś mu kompletnie zlasowała mózg. Spadasz z wysokiego konia, siostrzyczko.

– Mówiłaś mi, że świetnie całuje. I nie żartowałaś!

Przyciągnęła sobie z rogu pomieszczenia składane krzesło i usiadła na nim z uśmiechem wyższości, który miałam ochotę zetrzeć z jej twarzy. Musiałam przywołać wszystkie siły, żeby nad sobą panować, i nie ruszać się z mojego kąta po drugiej stronie.

– Czy jest w tym jakiś sens? Nie przyszedł tu tylko się przechwalać, prawda? – Westchnęłam lekko i przykryłam usta dłonią. – A może? Przecież tata nie powierzyłby ci niczego ważnego. To dlatego posłał Kale’a razem z Aubreyem, żeby sprzątnąć Thoma Morrisa. Pewnie się bał, że coś spieprzysz.

Pokręciła głową. Uśmiech nie schodził jej z ust, ale zobaczyłam lekkie napięcie ramion. Trafiłam w nerw.

– Nic mi nie zrobisz, suko. Jestem w bardzo dobrym nastroju. Mój facet wrócił do domu cały i zdrowy, i to on dowie się, w jakiej norze kryje się Podziemie. – Przyglądała się swoim paznokciom. Jasnopurpurowe z lawendowymi końcami. Typowa Kiernan. – Wiem, że nie powiesz mi tego ot tak, więc naprawdę cieszę się na to, co teraz będzie.

– Ojej – powiedziałam, udając strach. – To po to cię przysłali? Żeby mnie przestraszyć? Pochyliła się z poważną miną.

– Nie znoszę cię.

Uniosłam oczy ku niebu.

– A właściwie za co? – Zamknęłam się na czas. Już miałam jej powiedzieć o złe umiejscowionym gniewie i o naszym dzieciństwie, ale domyśliłaby się, że Kale coś chlapnął i wtedy cała konspiracja na nic. Skupiłam się na tym, co sama wiedziałam. Na tym, co jej się wysnęło. – Na pewno nie chodzi o jakieś dziwaczne poczucie lojalności wobec ojca!

– Chodzi o to, że ktoś taki, jak ty, nie ma prawa oddychać tym samym powietrzem, co inni ludzie. – Prawie splunęła w moim kierunku, a w jej głosie był czysty jad. – Miałaś wszystko i to odrzuciłaś.

– Wszystko? Sprawdź fakty, siostrzyczko. Ja przecież nic nie miałam.

– Miałaś dom i ojca, który cię kochał. Miałaś przyjaciół, jedzenie, ubranie. A cały czas próbowałaś go tylko od siebie odepchnąć. Wkurzyć. Oddałabym wszystko, żeby być na twoim miejscu. Ja nie miałam nic!

W jej głosie było tyle nienawiści, że aż się skrzywiłam, ale serce mi trochę zmiękło.

– Nie wiem, gdzie byłaś i co się z tobą działo, zanim się poznałyśmy, Kiernan, ale wierz mi, że moje życie nie było jak z bajki Disneya. Nie kochał mnie. Nigdy mnie nie kochał.

– Jesteś kłamczuchą. Niewdzięczną, ohydną kłamczuchą – powiedziała, robiąc groźny krok naprzód. – Dokąd uciekli ci z Podziemia, kiedy spalił się hotel?

Sprzeczka z nią o tatę była bezsensowna. Kiernan była przekonana, że miałam idealne życie i w jakiś sposób go zdradzam. Jeżeli ma kiedykolwiek zobaczyć, jaki naprawdę jest ojciec, musi na to poczekać i sama się przekonać.

– Naprawdę? Sądzisz, że ci powiem?

Uśmiech rósł na jej twarzy, a po chwili z tylnej kieszeni spodni wyciągnęła coś małego i czarnego. Na początku wyglądało to jak pilot do otwierania bramy garażowej, ale kiedy się zbliżyła, zdałam sobie sprawę, że to elektryczny paralizator. Podrzuciła go w górę i łapała, jednocześnie puszczając do mnie oko.

– Tak. Chyba mi powiesz.

Jakiś czas to już trwało i chociaż nie mogłam stwierdzić tego osobiście, byłam prawie pewna, że podbiła mi oko. Nie poddawałam się jednak bez walki. Górną wargę miała napuchniętą i walczyła teraz prawą ręką. Podczas ostatniej próby skupiłam się na jej prawym ramieniu. Coś strzeliło, zawyła okropnie, tuż zanim przywaliła mi paralizatorem w biodro.

Wycofała się do swojego narożnika, a ja do swojego.

– Ja mogę tak cały dzień. A ty?

Wzruszyłam ramionami i uśmiechnęłam się, ale nie odpowiedziałam. Prawdę mówiąc nie wiedziałam, jak długo jeszcze jestem w stanie to pociągnąć. Za to byłam pewna, że w pomieszczeniu nie ma kamer. Był taki moment, w którym prawie mi się udało ją pokonać i wyrwać jej paralizator z ręki. Jeżeli byłaby tu jakaś kamera, na pewno ktoś by przybiegł, żeby jej pomóc.

Gdzieś tam był Kale, ryzykujący życiem, żeby dostać fiołkę. Wprawdzie nie sądziłam, że wejdziemy i wyjdziemy w dziesięć minut, ale zaczynałam już się martwić. Kiedy Kiernan znowu na mnie ruszyła, już miałam plan. Nie wiedziałam, czy będzie dobry, czy zły, ale warto było

spróbować.

– Zapytam jeszcze raz. Gdzie jest siedziba Podziemia?

Zamiast odpowiedzi, zaczęłam czyścić sobie brud spod paznokci, pogwizdując jednocześnie melodyjkę z reklamy Tree Busters – firmy, która zajmuje się wycinaną krzewów i chwastów. Kiedy podniosłam wzrok, Kiernan była pół metra ode mnie.

– Nie? To może pójde po Kale’a. – Uniosła brew i uśmiechnęła się złośliwie. Z każdym krokiem jej uśmiech rósł. – Na pewno bardzo będzie chciał pomóc, wiesz, bo to przez ciebie mało co nie umarł.

Machała paralizatorem, jakby to były sztuczne ognie zdjęte z choinki, ale była zbyt pewna siebie i nieostrożna. Skoczyłam w jednej chwili na równe nogi, chwyciłam ją za nadgarstek i tak okręciłam, że koniec urządzenia był skierowany na nią, nie na mnie. Próbowała się wyrwać, ale nie było czasu. Drugą ręką złapałam jej dłoń i nacisnęłam na jej palec tkwiący na guziku.

Kiernan, zdziwiona, zawyla krótko i przywaliła o podłogę. Zawsze była zbyt pewna siebie i to ją gubiło. Całe szczęście, niektóre rzeczy się nigdy nie zmieniają. Odzyskałam równowagę i przekręciłam pokrętło o jeden ząbek wyżej, a później znów jej przywaliłam paralizatorem. Zadygotała, oczy uciekły jej do góry, a później się zamknęły, oddech się wyrównał, a ja wiedziałam, że jeszcze jej nie zabiłam. Niestety.

Pokonanie jej to była łatwiejsza część mojego planu. Następny krok albo wszystko załatwi, albo zniszczy. Ukłękłam, chwyciłam ją za rękę i wzięłam głęboki oddech. Najpierw nic się nie działo i zaczęłam panikować. Sfrustrowana, skoncentrowałam się jeszcze bardziej, wyobrażając sobie swoją własną twarz taką, jaką widziałam dzisiaj rano w lustrze. To nie była jakaś ogromna niespodzianka. Kiedy pojechaliśmy na lotnisko, żeby zgarnąć Bena, w krótkich odstępach czasu zamieniłam się w kogoś innego dwa razy. Wypoczywałam od tego czasu, ale widocznie za mało.

Z wielką determinacją zacisnęłam powieki i spróbowałam jeszcze raz. Poczułam chłodny pot na plecach, a po sekundzie dobrze znane pstryknięcie. Kiedy otworzyłam oczy, westchnęłam z ulgą. Udało mi się nas zamienić. Teraz moje ciało leżało nieprzytomne na podłodze, a ja szłam do drzwi w ciele Kiernan. Czulałam się częściowo usprawiedliwiona. I to nie dlatego, że miałam ochotę spędzić więcej czasu w jej skórze, ale to ona przecież nas podmieniła, żeby ukraść mi Kale’a. Przynajmniej w ten sposób mogłam się zemścić. Może przejdę się przez korytarz, dłubiąc w nosie, żeby ją skompromitować. Właściwie, dlaczego nie? Rozbiorę się do naga i będę biegać po pokojach i śpiewać jakąś idiotyczną dziecięcą piosenkę! Może wewnątrz będę Dez, ale technicznie będę świecić nieswoim tyłkiem.

Zachwiałam się, gdy wstawałam na równe nogi, ale odzyskałam równowagę i ruszyłam do drzwi. Chociaż myśl, żeby zrujnować siostrze reputację, była kusząca, miałam coś ważniejszego do roboty. Sięgnęłam do klamki, wstrzymałam oddech i pomyślałam, że muszę znaleźć Kale’a, ale drzwi otworzyły się do środka i wepchnęły mnie o krok wstecz. Kale wystawił głowę zza framugi, popatrzył raz na Kiernan jako mnie, leżącą bez ruchu na podłodze, a później na mnie i zmarszczył brwi.

– Nie da się od niej nic wyciągnąć, jeżeli nie będzie mówić.

Przeszłam przez drzwi, on za mną, a później zamknął je na klucz.

– Należało jej się – powiedziałam po prostu i chwyciłam go za rękę.

Spojrzał na nasze dłonie, uśmiechnął się, a później przycisnął mnie mocno do ściany.

– Tęskniłem – mruknął mi do ucha, a jego ciepły oddech rozedrgał moje ciało dreszczem, po czym dobrał mi się do ust. Zaczęło się to jak coś dzikiego i okrutnego. Taki pocałunek między dwiema męczonymi w piekle duszami, które się nienawidzą, ale czują silne wzajemne przyciąganie. Później to się zmieniło. Mniej władzy, a więcej przemożnej chęci. Czulałam się,

jakbym była powietrzem, a Kale – człowiekiem, który się dusi i za wszelką cenę chce złapać oddech.

Kiedy się odsunął, oparł się czołem o moje czoło i okręcił sobie wokół palca kosmyk moich włosów.

– Wszystko w porządku?

Trudno było mi nie wysłuchać nuty niepokoju w jego głosie, niepokoju o nią – niezależnie, czy była prawdziwa, czy nie, ale odpowiedziałam bez nerwów. To było udawane. Miał do odegrania pewną rolę, a po to, żeby nam się udało, rola musiała być zagrana bezbłędnie.

– Oczywiście. Tak, jak ta mała...

– Nie jesteś zbyt zmęczona? – zapytał cichszym głosem. – Po zamianie?

Dopiero po sekundzie zorientowałam się, o co pyta i poczułam, że serce mi wali jak młotem.

– Jak ty...?

Odsunął się ode mnie, teraz widziałam całą twarz, a nie tylko oszałamiający błękit jego oczu.

– Znam moją dziewczynę.

Znam moją dziewczynę.

Te trzy proste słowa sprawiły, że niemal zapomniałam, gdzie jesteśmy i chciałam się w niego cała wtopić, ale odepchnęłam się od ściany i skinęłam głową, wskazując korytarz.

– Sterownia – powiedział. – Musimy zadbać o to, żeby nasz gość jakiś czas słodko spał.

Skinęłam głową, nie wiedząc dokładnie, o czym mówi i pozwoliłam się pociągnąć korytarzem. Wyszliśmy na schody prowadzące do innego korytarza. Kale zapukał dwa razy do jakichś drzwi, a później weszliśmy do środka.

Znad otwartego kolorowego magazynu spojrziała na nas niewysoka brunetka.

– Kale – powiedziała z zalotnym uśmiechem. – Witaj w domu.

– Devin. Kiernan teraz nie chce współpracować, a Roz musi trochę odpocząć – odparł.

Dziewczyna siedziała przed sporą tablicą rozdzielczą pełną przycisków. Było tam pewnie z milion guzików różnych kształtów, rozmiarów i kolorów. Niektóre migotały, a niektóre były wygaszone – wyglądało to dość złowieszczo.

Z lekką pogardą wzniosła oczy do góry, omiotła mnie wzrokiem od stóp do głów i powiedziała:

– Oczywiście, że tak.

Ha! Okazuje się, że ludzie tu mieszkający nie mają zbyt wysokiego mniemania o mojej siostrze.

– Kiernan jest w izolatce D – powiedział Kale. – Niech sobie pośpi.

Devin skinęła głową i strzeliła z palców. Chwilę później mrugnęła okiem do Kale'a.

– Zrobione. Powinna się teraz ślicznie przespać. – Zwróciła się do mnie znacznie chłodniejszym tonem: – Pewnie masz teraz parę wolnych godzin, ale nie przeciągaj struny. Cross chce tę informację uzyskać jak najszybciej.

– Uwierz mi, że ja też. – Uśmiechnęłam się złośliwie i dodałam: – Z wielką przyjemnością będę ją od niej wyciągać.

Zostawiliśmy Devin z jej obowiązkami – choć nie wiem, na czym polegały – i ruszyliśmy kolejnymi schodami.

– Znalazłeś to już? – szepnęłam, kiedy przechodziliśmy przez drzwi u szczytu schodów. Nie miałam pojęcia, gdzie jesteśmy ani dokąd zmierzamy, ale miałam nadzieję, że kierujemy się do wyjścia od kuchni.

Pokręcił głową.

– Wiem, gdzie ją przenieśli. Trochę trudniej będzie ją wydostać, ale to nie jest niemożliwe.

– Co tu robicie?

Zamarłam i jak zamurowana stałam w miejscu tuż przed tatą, który pojawił się nagle przed nami w nienagannie wyprasowanym garniturze i z nowym, młodzieńczo siwym kolorem włosów.

– Ona nie grała uczciwie, tatusiu. – Uśmiechnęłam się do niego niepewnie i mrugnęłam okiem. – Powiedziałam jej, że idziemy się trochę rozerwać z moim chłopakiem. Niech się teraz podusi we własnym sosie, a później wrócę i przywalę jej z całej siły.

Skinął po wojskowemu głową, a potem szybko przemknął obok nas.

– Mam za pół godziny spotkanie z szefami działów europejskich. W telekonferencji będę uczestniczył z domu. Tutaj zbyt wiele rzeczy mnie rozprasza, ale wracam za trzy godziny. Zrób tak, żebyś miała te informacje, jak wrócę. Chcę bezzwłocznie iść naprzód.

Nie czekając na odpowiedź, jak to zwykle ojciec, odwrócił się i poszedł w swoją stronę na sztywnych nogach. Głowę niósł wysoko, a ramiona miał skulone. Kale odczekał, aż zniknie za drzwiami na samym dole i pchnął mnie naprzód.

– Idealnie. Fiolkę przeniesiono do jego gabinetu. Nikt tam nie może wchodzić oprócz niego i kilkorga wybrańców.

– Tak, ale na pewno jest zamknięty. Mogę przerobić klamkę, żebyśmy weszli do środka.

– Nie trzeba. – Sięgnął do kieszeni i w sekundę później zobaczyłam mały srebrny kluczyk.

Pocałowałam go pospiesznie w policzek.

– Przystojniak i jaki pomysłowy.

Na korytarzu nie było nikogo, a my weszliśmy do gabinetu taty. Kiedy byliśmy w środku, Kale spojrzął jeszcze raz przez ramię, wepchnął klucz do zamka i pchnął mnie delikatnie do gabinetu.

– Tu jest gdzieś ukryty sejf – powiedział, przechodząc przez całe pomieszczenie trzema długimi krokami. Nie tracąc ani sekundy, zaczął wieść dłońmi po ścianie. – Nie jestem pewien, gdzie, ale wiem, że tu jest. Aubrey powiedział, że wczoraj przenieśli tu fiolkę.

Omiotłam wzrokiem pomieszczenie.

– Chyba nie będzie trudno go znaleźć?

Zabraliśmy się do poszukiwań. Kale zaczął z jednego końca pokoju, a ja – z drugiego. Szliśmy od rogu do rogu, a później zamieniliśmy się stronami, żeby niczego nie pominąć. Jednak sejf naprawdę trudno było znaleźć.

– Wiem, że gdzieś tu jest – rzucił Kale. Był w rogu przy półce z książkami i przesunął dłońmi pod spodem kolejnych półek. Okazało się, że niczego nie znalazł. Wstał i kopnął w ścianę... – Szlag to trafi!

Chyba nigdy jeszcze nie słyszałam, jak Kale przeklina. Podeszłam do niego i chwyciłam go za rękę. Ścisnęłam lekko i powiedziałam:

– W porządku. Znajdziemy ten sejf.

Poczułam delikatne stukanie z tyłu dłoni. To jego palce. Jeden. Dwa. Trzy.

– Od tego zależy ludzkie życie. Twoje życie. Jak możesz być tak spokojna?

– Spokojna? Uwierz mi, wcale nie jestem spokojna. W głowie mam chaos.

Postukiwanie się skończyło, wyciągnął rękę i objął nią mój policzek.

– Chaos? Nie, ty nie wiesz, co to jest chaos.

Wszechświat podstawił nam nogę. Połączył nas po tym, jak byliśmy tak długo rozdzieleni. Wtedy chciałam go tylko całować, nic więcej. Na szczęście była to jedna

z nielicznych chwil, kiedy nie poddawałam się takim myślom. Odsunęłam się od niego i powiedziałam:

– Chodź. Nie mamy czasu.

Cierpiałam, odsuwając się od niego, ale to nie był czas i miejsce na poświęcanie się Kale'owi.

Odwrociłam się na pięcie, żeby przejść na drugą stronę pokoju. W rogu stała szafka na dokumenty, której jeszcze nie sprawdzaliśmy. Kale nagle zeszywniał i przykrył mi usta dłonią. Czekałam, wstrzymując oddech i po chwili też to usłyszałam. Jakies głosy w korytarzu. Chwycił mnie za ramię i ruszył ku drzwiom, ale nie było gdzie się schować. W gabinecie nie było szafy, a biurko było za małe, żeby się pod nim ukryć.

Wpadłam na pewien pomysł. Popchnęłam Kale'a w kierunku skórzanej sofy taty, zdarłam z siebie podkoszulek i siadłam na niego okrakiem, nachylając się nad nim w momencie, kiedy z hukiem otwierały się drzwi.

– Co tu się, do cholery, dzieje? – warknął tato.

Naśladowując, jak najlepiej umiałam, niewinne spojrzenie Kiernan, uniosłam głowę znad Kale'a i zmarszczyłam brwi.

– Przepraszam, tatusiu – powiedziałam, sięgając pospiesznie po podkoszulek i przyciskając go do piersi. – My się tylko...

– Widzę, co robiliście – warknął. – Ale jak tu wleźliście?

Déjà vu. Kiedy wśliznęłam się do jego gabinetu w Parkview, zadał mi to samo pytanie, ale wtedy łatwiej było na nie odpowiedzieć. Na pewno nie kupi kłamstwa, że drzwi były otwarte.

– Gino nas wpuścił. – Kale usiadł i bez emocji przepchnął mnie na bok. Skinął głową w moim kierunku. – Ona chciała pójść gdzieś, gdzie nie ma ludzi.

Twarz taty była maską gniewu.

– Oczywiście, że chciała. To dla niej zabawa. – Podeszedł bliżej i zaczął dźgać palcem powietrze centymetr od mojej twarzy. – Jeśli się nie pozbierasz do kupy, odeślę cię tam, gdzie cię znalazłem. Wszystko tylko chrzanisz od momentu, kiedy tu przyszłaś! Deznee jest jak wrzód na tyłku, ale jest tysiąc razy bystrzejsza niż ty. A teraz wynocha!

Nie musiałam udawać zaskoczenia, które czytał z mojej twarzy. Tata zawsze był w stosunku do mnie chłodny i nie okazywał uczuć. Kiedy się dowiedziałam, kim naprawdę jest, pokazał się z najgorszej strony. Człowiek bez serca. Do tej chwili święcie wierzyłam, że ma coś na kształt ludzkich emocji, nawet jeśli są głęboko ukryte. Jeżeli jednak tak ją traktował, to dlaczego Kiernan tu wciąż tkwiła? Dlaczego nie zносиła mnie, bo dorastałam przy nim, a ona nie? Ten człowiek to prawdziwy kawał skurczybyka.

Ociągałiśmy się, a tata przywalił dłonią we framugę i powiedział:

– Nie każcie mi tego dwa razy powtarzać.

Założyłam podkoszulek i ześliznęłam się z kanapy. Kale szedł tuż za mną. Byliśmy już za drzwiami w korytarzu, kiedy wzięłam głębszy oddech.

– Cholera. Mało brakowało.

– Ale fiolki nie znaleźliśmy – warknął.

– Na pewno będzie jeszcze jakaś sposobność. – Usłyszałam w swoim głosie, że też w to wierzę. Prawda jednak była taka, że z każdą uciekającą minutą nasze okno możliwości robiło się coraz mniejsze.

Kiedy doszliśmy do schodów, Kale przystanął.

– Nie. My na pewno nie. Ty stąd wypadasz. Ona nie będzie nieprzytomna w nieskończoność, a tylko dlatego, że wygląda tak, jak ty, wcale nie znaczy, że nie będzie

potrafiła udowodnić, co zrobiłaś. Kilka celnych pytań Marshalla i będziesz miała w rękach granat bez zawleczeni.

– Ale my możemy...

– To zbyt niebezpieczne. Sprowadzenie cię tutaj służyło jednej rzeczy. Żebym mógł wrócić do tego budynku jako zaufany współpracownik Denazen. Tego dokonaliśmy. Nie ma powodu, żebyś tu zostawała.

– A ta gadka w samochodzie? Jakim to jesteście fantastycznym zespołem? – Gotowałam się z wściekłości. Nie mógł mnie zmusić, żebym go zostawiła samego. Nie zgodzę się na to.

– Zmieniłem zdanie – rzucił krótko.

– Zmieniłeś zdanie. Cholera! To nie jest fair! – Kiedy chciałam, żeby mój Kale wrócił taki, jakim był kiedyś, myślałam, że jego nowa wersja będzie miała więcej zaufania w moje umiejętności i możliwości. A teraz się wycofuje?

Nachylił się i popatrzył na mnie tymi swoimi wielkimi oczami.

– Możesz mnie za to winić? Kiedy się na to godziłem, nie miałem pojęcia, do czego ci ludzie są zdolni. Teraz zaczynam sobie przypominać. Nie chcę cię tutaj.

Założyłam ręce na piersi.

– A jak wyjaśnisz moje zniknięcie?

Stanął tak samo, z założonymi rękami na piersi i zrobił upartą minę, tak jak ja.

– Masz twarz Kiernan. Zostawiłaś mnie w korytarzu i wyszłaś stąd. Nic skomplikowanego.

I mów tu, człowieku, o odwróceniu ról.

– Wszystko jest skomplikowane – mruknęłam pod nosem. Miał jednak rację. Kiernan nie będzie nieprzytomna do końca świata. Nie byłam zainteresowana przedłużonym pobylem w Denazen, ale był jeszcze jeden mały problem. – A co z Kiernan?

– A co ma być?

Musiałam się zmusić do zamknięcia ust.

– No wiesz, ona wciąż jest mną. Wierz mi, już tam kiedyś byłam. Mam dreszcze na plecach, kiedy o tym myślę, a poza tym jest ona ostatnią osobą na Ziemi, którą chciałabym obdarzyć moją skórą.

Kale się zamyślił.

– To mi nie przyszło do głowy.

Kolejny dowód, że nie był sobą. Mój Kale był bystry. Zawsze myślał. Zawsze był czujny.

– Jeżeli zamienię się z nią z powrotem i wyjdę, przyrzekasz zwinąć tę fioletkę i stąd zwiewać, tak?

– Tak.

Westchnęłam ciężko. Myśl o tym, że go tu zostawię, a zwłaszcza z panią o lepkich palcach, trochę mnie przerażała, ale nie mieliśmy w tym momencie zbyt wielu opcji do wyboru.

– Dobrze – zgodziłam się w końcu. – Chodźmy tam z powrotem. Devin mówiła, że Kiernan powinna jeszcze jakiś czas być nieprzytomna. A to mi da chwilę, żeby się z nią znowu zamienić i wymknąć, zanim ktoś zauważy.

– Tam! – krzyknął ktoś od podnóża schodów.

Zobaczyłam siebie. A właściwie Kiernan jako siebie.

Moja siostrzyczka obudziła się za wcześnie.

Okręciłam się na pięcie i chciałam uciekać w drugą stronę, ale od drzwi półpiętra nadbiegało czterech agentów. Nie byłabym w stanie się przez nich przebić. Na pewno nie bez pomocy Kale'a, a na to nie mogłam liczyć. Chyba, że odkryłby karty. A wtedy oboje bylibyśmy tu jak myszy w pułapce, a wszelka nadzieja na wykradzenie antidotum znikłaby na zawsze.

W krótkich, żołnierskich słowach – miałam przechłapano.

Kiernan wbiegała po schodach, nie spuszczać ze mnie oczu. Była wściekła.

– To jest Kiernan, Kale – rzuciła.

Kale – trzeba przyznać – spojrzał na nią tak zdezorientowany, że nawet mnie by nabrał. Patrzył raz na mnie, raz na nią, a potem odsunął się o krok.

– Co tu się dzieje?

– Zamieniła się ze mną ciałami i przywalila mi tak, że straciłam przytomność.

Trzymając ręce na biodrach, wydełam usteczka jak Kiernan, kiedy się wkurza.

– Nieprawda. Ona kłamie!

– Jeżeli kłamię, to jak się wydostałam z tamtego pokoju? – warknęła Kiernan.

To było bardzo dobre pytanie. Nagle przypomniałam sobie, że Kale otwierał mi drzwi, gdy wychodziłam. Kiernan zamykała je, kiedy weszła do środka, więc oczywiście miała klucz, żeby otworzyć. Czując, że nie ma z tego żadnej drogi wyjścia, wzruszyłam ramionami i kiwnęłam głową na Kale'a.

– Trafiony i zatopiony – powiedziałam i zamknęłam oczy. Poczulałam dreszcz na plecach, a kiedy je otworzyłam, zobaczyłam swoją własną postać, nie Kiernan.

– Zamień mnie z powrotem – rzuciła. – Twoja buźka mnie mdli.

– Zmusz mnie.

Jej wściekłość zmieniła się płynnie w fałszywe samozadowolenie.

– Wcale nie muszę – powiedziała, chwytając Kale'a za rękę i przyciągając go do siebie. – On cię zmusi.

Odwrócił się do mnie i chociaż wiedziałam, że to było udawane, groźba w jego głosie wywoływała u mnie dreszcz strachu.

– Napraw to. I to już.

Dotknęłam jej ręki i miałam ochotę na chwilę dołożyć jej coś ekstra, ale otaczało nas tylu agentów, że postanowiłam tego nie robić. Zamiast tego zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie ją taką, jaka była pierwszego dnia, kiedy się poznałyśmy. Ciuchy i wszystko.

Kiedy się odsunęłam, Kale wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Dotykała dłońmi twarzy, a w oczach miała panikę.

– Co? Co ona zrobiła?

– Masz inne włosy. Purpurowe – stwierdził Kale.

Kiernan była przerażona. Bała się, że ten kolor potrząśnie pamięcią Kale'a. Szybko jednak odzyskała siły i z fałszywym uśmiechem powiedziała:

– Bardzo ładnie, Kiernan, ale to nie podziła, że dałaś mi swoje dawne włosy. Kale mnie pamięta.

– Naprawdę? Ale ze mnie niegrzeczna dziewczynka. Nie zdawał sobie sprawy z różnicy, kiedy kilka minut temu mnie całował – rzuciłam, chociaż wiedziałam, że powinnam zamknąć buzię na kłódkę. Nie mogłam się jednak powstrzymać.

Kale chwycił mnie za ramię i przyciągnął bliżej schodów. Otarł usta z wyrazem niechęci

i spojrzął na Kiernan.

– Ona mówi prawdę. Całowaliśmy się.

– Całowałaś się z nią? – Wyglądało na to, że rzeczywiście ją to zabolalo i że walczy, żeby nie zacząć wrzeszczeć.

Kale nie miał okazji odpowiedzieć, bo u szczytu schodów pojawił się ojciec.

– Uda ci się coś zrobić bez schrzanienia całej sprawy?

Kiernan zamarła, a palce Kale’a, który trzymał mnie pod ramię, zadręgały.

Schodząc po schodach, tata nie spuszczał wzroku z Kiernan. Przez te wszystkie lata, które z nim spędziłam i po tych wszystkich głupotach, które robiłam, żeby choć na chwilę zwrócił na mnie uwagę, ani razu nie popatrzył na mnie tak jadowicie. Nie było w tym spojrzeniu miłości. Nie było współczucia. Był tylko gniew i tak wielka nienawiść, że aż zadrżałam.

– Czy ty w ogóle cokolwiek potrafisz?

Zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

– Przepraszam, ale muszę powiedzieć, że...

– W twojej obronie? Nie potrzebujemy już twoich wymówek. – Odwrócił się i powiedział do Kale’a:

– Zamknij Kiernan i każ ją zakuć. Bardzo cię proszę.

Kale skinął głową, a później odprowadził mnie po schodach. Kiernan zrobiła krok, żeby za nami pójść, ale kątem oka zobaczyłam, że tata ją zatrzymuje w miejscu. Bez słowa pokazał drzwi u góry schodów, a później odwrócił się na pięcie i przemknął dalej.

Miałam nadzieję, że Kale zaprowadzi mnie do celi czy gdzie tam mnie prowadził – sam, ale tata posłał z nami dwóch agentów. Nie było innego wyjścia, trzeba było grać tę farsę.

Droga nie była długa, a kiedy jeden z agentów otworzył drzwi, Kale wepchnął mnie do środka i musiałam sobie przypominać w myślach, że to wszystko to tylko gra pozorów.

Pchnął mnie na ścianę i wykręcając mi prawą rękę do góry, założył te same kajdanki, które sam miesiąc temu miał na nadgarstkach. Kiedy robił ruch, żeby zatrasnąć mi je na lewej ręce, nasze oczy się spotkały. Kajdanki wydały metaliczny odgłos, a on spojrzął przez ramię na dwóch agentów stojących przy drzwiach, a później znowu na mnie.

Wiedziałam, co myśli. To było zbyt niebezpieczne. Byliśmy zbyt blisko tej fiołki, żeby teraz wszystko zaprzepaścić. Pokręciłam niezauważalnie głową i opuściłam ją tak, że na twarz spadła mi zasłona włosów.

– Nie – szepnęłam. – Proszę.

Jego dłonie, wciąż zaplecione na moim lewym nadgarstku, zadręgały, ale po chwili się wycofał. Odwrócił się i bez słowa zniknął w drzwiach. Agenci deptali mu po piętach.

Usłyszałam trzaśnięcie drzwi i dźwięki zamka, kiedy zabierali mi wolność.

Wstrzymałam oddech i czekałam aż wyjdą.

Kiedy tylko zamkną się drzwi, zamierzałam zamienić się w jednego z tych agencików i spieprzać, co sił w nogach, ale oczywiście tata o tym pomyślał. Wszedł, kiedy agenci wyszli.

– Jak ci się podoba twoje nowe mieszkanie, Deznee?

– A może się zamienimy i sam zobaczysz?

Zaśmiał się i zamknął drzwi, a potem zakodował zamek czterocyfrowym kodem na panelu wiszącym na ścianie.

– Lubię tę twoją odwagę. Muszę powiedzieć... Zawsze podziwiałem cię za to, że stoisz z dumnie podniesionym czołem w obliczu katastrofy. – Odwrócił się do mnie. – A może jesteś tak głupia, że nie potrafisz się bać?

– Auu! To tatuś, którego znam i jego nienawiść do świata – rzuciłam. Wychyliłam się tak daleko, jak pozwalały mi łańcuchy i posłałam mu perskie oko. – No, to powiedz. Tak między

nami. Nie jesteś za bardzo dumny z reszty potomstwa, prawda? – Pierwszy raz byliśmy sami od czasu, kiedy Kiernan pochwaliła się tym, że mamy wspólnego ojca.

Tata westchnął ciężko i przysunął krzesło spod biurka stojącego po drugiej stronie pomieszczenia.

– Kiernan trochę mnie rozczarowuje.

– A kto jest jej mamą?

Tata wzruszył ramionami, nie dając nic po sobie poznać. Miał pokerową twarz.

– Nikt ważny. Niezbyt chętna mieszkanka Denazen, wybrana, bo miała zdolność ukrywania obiektów dzięki kamuflażowi. Miałem nadzieję, że zdolności Kiernan, wzmocnione lekiem Supremacji, przewyższą zdolności jej matki.

– Potrafi się robić niewidzialna i niesłyszalna. Podobno to jakiś krok naprzód.

– Na pewno – zgodził się. – Niestety odziedziczyła też po matce głupotę.

– No, proszę – zachichotałam. – To pewnie była miłość jak z West Side Story.

Tata wstał i zaczął chodzić od ściany do ściany.

– Rozumiem, że pojmujesz powagę swojej sytuacji. Stworzono cię po to, żeby wspierać firmę Denazen, a nie stawać jej na drodze. Rozumiesz na pewno, że nie mogę pozwolić, żeby to dalej trwało.

– Czy to twój sposób na oznajmienie mi, że mój czas się kończy?

Uśmiechnął się, a mnie zaskoczyło to, jak bardzo uśmiech nie pasował do jego oczu.

– W pewnym sensie tak.

– To czy mogę zapytać o jedną rzecz?

– Na tym etapie już na pewno nie będziesz potrafił nikomu zaszkodzić.

– Czy jest nas więcej?

Przestał chodzić i spojrzał na mnie zainteresowany.

– Więcej kogo?

– Dzieci. Czy są tu jeszcze jakieś eksperymentalne dziwadła, które są moim rodzeństwem, a nic o tym nie wiem?

Tata westchnął. Podszedł do biurka w rogu pokoju i zaczął otwierać szuflady. Nie widziałam, co robi, bo celowo stanął tak, żebym nic nie widziała. Kiedy się odwrócił, uśmiechał się jeszcze radośniej.

– Odpowiem na twoje pytanie, Deznée. Powiem ci coś, czego nigdy jeszcze nikomu nie mówiłem.

– Już się cieszę – mruknęłam, kiedy zatrzymał się parę centymetrów ode mnie. Miał coś w kieszeni. Coś, co wyjął z biurka.

– Kochałem twoją matkę.

Śmiech. Histeryczny i niepowstrzymany.

– Jaja sobie robisz.

Brak zmiany w wyrazie twarzy.

– Cholera, naprawdę?

Wydawało się, że nie czuje się obrażony tym, że mu nie wierzę.

– Wiem. Wiem. Jednak to prawda. Była piękna i dzika, i coś w niej mnie pociągało.

Byłem już wtedy w zarządzie firmy i postrzegałem Szóstki jako środek do celu. Ona jednak była inna. Dla niej zrobiłem wyjątek.

– Jeżeli zamknięcie jej w psychiatryku było twoim sposobem na okazanie miłości, to aż się boję myśleć, jak traktujesz ludzi, których nienawidzisz.

Uśmiech wciąż nie zniknął mu z twarzy. Nagle wyciągnął rękę i przywalił mi mocno w twarz.

– Ty powinnaś wiedzieć najlepiej. Nienawidzę cię. A jednak cię trzymałem, chociaż znałem prawdę.

Poczułam, że brakuje mi tlenu i mimo że z ciepłego miejsca na policzku, w które mnie walnął, po całej twarzy rozchodziły mi się mrówki, miałam wrażenie, że w pomieszczeniu zrobiło się chłodniej.

– Prawdę? Jaką prawdę?

– Oczywiście, że kłamałem. Kazałem zrobić test i zmieniłem wyniki na swoją korzyść, ale w miarę, jak rosłaś, to się stawało coraz bardziej oczywiste. Tak bardzo ją kochałem, Deznee. Wytrzymałem z tobą.

– Co? – rzuciłam. Kręciło mi się w głowie od jego słów. – Co jest takie oczywiste?

Przybliżył twarz. Był tak blisko, że oddychaliśmy tym samym powietrzem. Chwilę później coś ostrego ukuło mnie w skórę przedramienia. Kiedy się odsunął, pomachał małą, plastikową strzykawką tuż przed moimi oczami.

– Odpowiedź brzmi: tak, Deznee. Masz tu rodzeństwo, ale to nie Kiernan, bo to moja córka. A ty moją córką nie jesteś.

– Dez? – usłyszałam znajomy głos. Coś mną potrzęsło i dopiero po chwili z pewnym wysiłkiem otworzyłam oczy.

Na początku wszystko było rozmyte, ale kiedy kontury się wyostrzyły, zobaczyłam stojącego nad sobą Brandta. Jego usta poruszały się entuzjastycznie, ale dźwięk był przerywany. Jak gdyby rozmawiał z tracącą zasięg komórką.

– ...w garść. Potrzebuję cię... Kale... Dez?

Wstałam na równe nogi i potarłam oczy dłońmi. Nie byłam już w celi. Staliśmy pośrodku pola porośniętego stokrotkami, obok szumiał potok. Jakoś udało mi się wyjść.

Nie. Nie wyszłam. Tylko zasnąłam.

– Brandt?

Chwycił mnie za rękę.

– Dez, popatrz na mnie. Wszystko w porządku?

– Fiolka – tyle udało mi się powiedzieć. Język miałam twardy jakby ktoś zamienił go w kamień. Wnętrze ust też dziwnie smakowało. Jak gdybym zamiast cukierków ssala monety. Próbowałam to wypluć, ale poczułam się jeszcze gorzej. – Jeszcze jej nie znaleźliśmy.

Przewrócił oczami.

– Wiem. Mówiłem ci, że mam tu kontakt.

– W biurze taty. Jest w biurze taty. Już ją mieliśmy. Skąd wiedziałeś, że śpię?

– Kale powiedział, że wstrzyknęli ci jakieś świństwo. Nie myśl teraz o tym. Posłuchaj mnie uważnie, Dez. Wujek Marshall chce zrobić z ciebie przykład. Musimy cię stąd wyciągnąć.

– Zamknął oczy i przez chwilę – przysięgłabym – rozmył się jak hologram. Było tak, jakbym oglądała film science fiction. – To wina Kale'a. Nie powinien był nigdy podsuwać tego pomysłu.

– Prawdę mówiąc to Vince na to wpadł...

– Dez...

Pokręciłam głową i pochyliłam się w jego kierunku. To był sen. Byliśmy gdzieś w mojej głowie. A jednak Brandt pachniał, jak Brandt. Wciągnęłam w nozdrza ten zapach i oparłam się głową o jego ramię.

– Nie, to był jedyny sposób. Udało mu się przechwycić tę fiolkę?

– Kale ma problemy. Cross i jego uzbrojeni agenci stoją teraz na końcu korytarza. Nie chce niczym ryzykować.

– A gdzie ja w tym wszystkim jestem?

– Powiedziałem Ginger. Ona wie, co się dzieje. Już tu jada.

Szorstka wełna jego swetra ocierała się o moją skórę.

– W porządku.

– Nie wiem, czy dojadą na czas, Dez. I nie wiem, czy w ogóle uda im się wejść do środka. Musimy cię teraz stąd wyciągnąć.

Próbowałam pokręcić głową, ale poczułam ostry ból.

– Nie. Kale już jest blisko. Nie poddawajcie się. Proszę. Dajcie mu jeszcze jedną szansę.

– Wyciągnięcie cię stąd jest teraz ważniejsze.

– Jeszcze jeden dzień. Dajcie nam jeszcze jeden dzień. – Chociaż ta myśl wywoływała u mnie mdłości, nie byłam gotowa się poddać. Bez tej fiołki nie miało znaczenia, czy wyjdę stąd żywa, czy nie. Już byłam spisana na straty. Podobnie, jak i inne dzieciaki.

– Nie rozumiesz. – Brandt mnie odepchnął. Jego oczy wypalały w moich dziury. – Nie

mamy jeszcze jednego dnia. Cross za kilka godzin organizuje publiczną egzekucję. Mówiłem, że chce, żebyś była dla wszystkich przykładem. Wiem, że to, co ci dali, jest mocne, ale jesteś silniejsza. Musisz się obudzić i uciekać. I to już.

Obudzić się?

– A jak właściwie mam to zrobić?

– Spróbuj. Potrafisz. Musisz, bo to jeszcze nie jest najgorsze – powiedział Brandt.

Nie jest najgorsze? A co może być gorszego niż moja egzekucja? I to jeszcze publiczna?

– Brandt, powiedz mi, co się dzieje.

Zrobił niepewną minę.

– Cross chce, żeby egzekutorem był Kale.

Kiedy się zbudziłam z tego snu, wszystko było dziwnie cienkie i surowe. Byłam w celi sama. Leżałam nieruchomo, a Brandt był tylko cieniem, który przemknął mi przez głowę. Środek nasenny przestawał działać, a wraz z nim błogie odrętwienie mięśni. Czułam, jak gdyby mi wyrwali ramiona ze stawów, a nadgarstki miałam tak posiniaczone, że chyba sińce już nigdy mi nie zejną, bo cały mój ciężar zwiślał na kajdankach.

Przypomniałam sobie tę chwilę, zanim odpłynęłam. Marshall Cross nie był moim ojcem. A Kiernan nie była moją siostrą. Te rewelacje powinny były mnie uszczęśliwić. Świadomość, że nie dzielę ani trochę materiału genetycznego z tymi świrusami, powinna sprawić, że będę do końca życia tańczyć z radości, jak Snoopy.

Marshall Cross lubił manipulować ludźmi. Zawsze była szansa, że łże, żeby mi namieszać w głowie. Kiernan i ja miałyśmy podobne twarze, obie byłyśmy do niego podobne. Z drugiej strony jednak, jeśli przyglądać by się dostatecznie długo i intensywnie większości ludzi, znajdzie się między nimi podobieństwa. Podjęłam decyzję, że jak na razie mu wierzę. Powiedział prawdę i to była dobra wiadomość.

A dobre wiadomości były mi potrzebne.

To już miałam załatwione. Następnym problemem było znalezienie drogi wyjścia z tego bajzlu. Jeśli to, co mówił Brandt, było prawdziwe, to mój zegar już tyka. Ginger wysłała tu jakichś ludzi, ale nawet jeżeli uda im się wejść do środka, mimo obecności Daxa i jego konta bankowego, nie mamy sił ani środków, żeby przypuścić zmasowany atak na takie miejsce, jak Zendea. Nie widziałam całości kompleksu, ale z tego, co mówili o nim Kale i Brandt, pewnie jest ogromny i ma mnóstwo środków zabezpieczających przed atakiem. Budynek ciągnął się bardzo daleko – przyjrzałam mu się, kiedy wjeżdżaliśmy przez bramę.

Marszcząc czoło, pociągnęłam za łańcuchy, żeby zobaczyć, jak mocno tkwią w ścianie. Ani drgnęły. Nie to, że nie mogłabym ich dosięgnąć, ale mogłabym sprawdzić, czy Brandt miał rację mówiąc, że potrafię otwierać zamki.

Westchnęłam i przyjęłam prawdę za dobrą monetę. Uwolnienie się z tych łańcuchów będzie niemożliwe. Przynajmniej bez klucza. A to znaczyło po prostu tyle, że musiałabym mieć osobę, która otworzy zamek w kajdankach.

Powiodłam wzrokiem po pokoju. Za pierwszym razem niczego nie zauważyłam. W rogu stało biurko, krzesło, które tata spod niego wyciągnął, a dwa metry ode mnie – mały stolik, na którym leżało parę kartek papieru i zapalniczka.

Papiery.

Świetnie! Coraz gorzej było z umiejętnościami skupiania się. Po co się martwić o otwieranie zamka, jeżeli mogę wyjść z tego bałaganu dzięki prostej zamianie?

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie papier. Przedmiot był mały, poczułam tylko lekkie łaskotanie oraz ulgę, że tak łatwo poszło. Zamieniłam się wcześniej w Kiernan, a ją we mnie i nie dałoby rady wykonać kolejnej pełnej zamiany ciała. Przynajmniej przez dzień czy dwa.

Kiedy otworzyłam oczy, poczułam znane łaskotanie, które przemknęło mi po plecach. Zerwałam z rąk kajdanki równie łatwo, co kajdanki Bena na lotnisku. To dlatego tata kazał mnie uśpić. Moje zdolności na tyle wzrosły, że mógł panować nade mną jedynie, kiedy spałam. Ale jak długo według nich będę pozbawiona świadomości? I ile czasu już minęło? Były spore szanse na to, że lada chwila ktoś tu się zjawi i wyciągnie mnie na publiczną egzekucję. Brandt miał rację. Trzeba zniknąć.

Przeszłam na drugą stronę pokoju z zamiarem zamienienia czegoś w coś innego i spylania stąd jak najszybciej, ale kątem oka złapałam po drodze do drzwi jakiś przedmiot. To był obraz oparty w rogu pokoju o ścianę i częściowo zasłonięty przez biurko. Wiedziałam, co muszę zrobić, ale coś mi nie pozwalało wyjść. Będę mogła wyjść dopiero, kiedy zobaczę cały obraz.

Pospiesznym krokiem podeszłam do ściany, wyciągnęłam go jednym ruchem zza biurka i położyłam na blacie. Na podniszczonej metalowej tabliczce u dołu widniały litery W. V. K. Człowiek, który pozował, miał około czterdziestki. Siedział wyprostowany na krześle o wysokim oparciu, ubrany w elegancki garnitur i czarny kapelusz. Trudno mi było określić datę, bo z historii miałam same pały, ale obraz był na pewno stary. Początek XX wieku, a może i starszy. Mężczyzna wyglądał znajomo, ale nie mogłam go zidentyfikować. Miał długą, czarną brodę, kręcące się lekko na końcach gęste włosy i surowy wyraz twarzy. Wyglądał jak myśliwy, który zatapia wzrok w dżungli, szukając ofiary. Te oczy przypominały mi trochę oczy Kale'a.

Sięgnęłam po telefon i oczywiście bez rezultatów. No jasne, zabrali mi. Nie było możliwości zrobienia zdjęcia, więc postarałam się zapamiętać tyle, ile mogłam, a później ruszyłam ku drzwiom. Byłam już dwa kroki przed wyjściem, kiedy ktoś wtargnął do środka.

Pospiesznie zanurkowałam w kierunku biurka, żeby wykorzystać coś, czego mogłabym użyć jako broni. Chwyciłam jedyną rzecz, którą znalazłam – spinacz do papieru. Rozstawiłam szeroko stopy, gotowa użyć mojego śmiertcionośnego narzędzia z zestawu samoobrony księgowego. Nie spuszczałam wzroku z drzwi.

– Deż?

Spinacz wypadł mi z rąk, spadł na biurko ze stukiem, a później potoczył się na podłogę.

– Aubrey?

Coś go odepchnęło na bok i do środka wpadł wir czerni i błękitu, rzucając się prosto na mnie. Kale chwycił mnie w ramiona i ścisnął tak mocno, że trudno mi było oddychać. –

Wszystko dobrze?

– Świetnie – dyszałam. – Nie mogę... oddychać... ale poza tym świetnie.

Kale przez chwilę był zdezorientowany, ale puścił mnie i zrobił krok w tył.

– O, przepraszam. – Popatrzył na jedną ścianę, później na drugą i z powrotem na tę pierwszą. – Jeśli jesteś wolna, to co tu jeszcze robisz? Musimy stąd zwiewać.

Miał rację. Jeżeli nie wróci mi koncentracja, będę potrzebowała opiekunki, jak dziecko. Nie wiadomo, co by się stało, gdyby po raz pierwszy przemknęło przede mną coś błyszczącego.

– Musimy się spieszyć – powiedział Aubrey, postukując we framugę drzwi, żeby zwrócić moją uwagę. – Zrobiłem trochę zamieszania, żeby ich czymś zająć, ale nie mamy zbyt wiele czasu. Musimy się dostać do laboratorium.

Kale skinął głową i poszliśmy za Aubreyem, który poprowadził nas za róg i w dół korytarzem. Sufitem biegly kolorowe paski, a ja robiłam się coraz bardziej nerwowa. Były mniejszą wersją pasków, które czasami widuje się w supermarketach.

– Czy to nie kamery? Czy oni nie widzą dokładnie, co robimy?

Aubrey się uśmiechnął. Był to przewrotny półuśmiezek zwyczajny, który odmładzał go o parę lat.

– Nie wszyscy tu zgadzają się z tym, co robi Cross i Rada. Kamery mamy pod kontrolą. Tym się nie martw.

Laboratorium było trzy piętra niżej pod salą, w której siedziałam, a kiedy tam dotarliśmy byłam zdziwiona, że jest puste. Przeszliśmy przez podwójne drzwi i Aubrey ruszył w kierunku szklanej szafki stojącej pod ścianą, a Kale – do małego biurka przy drzwiach z napisem WYJŚCIE po drugiej stronie.

– Czego szukamy? Czy ta fiołka jest w laboratorium?

Aubrey jednym ruchem otworzył drzwi i zaczął wywalać z szafki różne rzeczy. Butelki rozbijały się o podłogę, a ja marszczyłam brwi na dźwięk tłuczonego szkła.

– Mam! – powiedział tryumfalnie po chwili.

– Co masz? – Podbiegłam, żeby się lepiej przyjrzeć. – Po co tu właściwie przyszliśmy?

– Po to. – Odwrócił się i pokazał mi tackę ze szklanymi fiolkami wypełnionymi gęstą, szarą cieczą. Dominacja. To na pewno była Dominacja. – Po to przyszliśmy.

– Znalazłem – zawołał Kale z drugiej strony laboratorium. Podbiegł do nas, w lewej ręce trzymał coś niewielkiego i złocistego. – Gdzie ona jest?

– Tutaj! – zawołał ktoś inny, wpadając przez drzwi.

– Jestem tu. Wszyscy są zajęci awarią elektryczności i pożarem.

To była dziewczyna ze sterowni. Devin.

Uśmiechnęła się do mnie i mrugnęła okiem. – Jestem kumpelą twojego kuzyna.
– Jesteś kontaktem Brandta? – Nie wiedziałam dlaczego, ale fakt, że to właśnie ona, bardzo mnie zdziwił.

Devin objęła mnie ramionami i uściśnęła pospiesznie, po czym sięgnęła po tackę Aubreya. Następnie wzięła złoty, błyszczący przedmiot od Kale'a – kluczyk do drzwi – i bez słowa zniknęła w drzwiach wyjściowych.

– Dominacja – powiedział Kale, biorąc mnie za rękę. – Musieliśmy zdobyć jeszcze jedną partię na wypadek, gdybyśmy nie znaleźli krwi. Devin zanieś to jednemu z ludzi Ginger.

Poczułam ukłucie paniki.

– Nie znalazłeś jeszcze fiołki?

– Znalazł sejf – wtrącił się Aubrey, zamykając drzwi do szafki. – Krwi tam jednak nie było.

– Może krwi już nie ma. Może została zużyta. – Kale zmarszczył brwi i gestem głowy pokazał na drzwi, w których przed chwilą zniknęła Devin. – To była zupełnie nowa partia. Być może zużyli całą krew, żeby ją wykonać.

– Już dużo nie zostało i Cross kazał ludziom w laboratorium pracować na okrągło, żeby wyprodukować tyle leku, ile się dało – powiedział Aubrey. – Jeśli krwi nie ma, ta partia może być naszą jedyną szansą na antidotum.

Nie mogłam z siebie wydobyć ani słowa. Jeżeli krwi rzeczywiście nie ma, naszą jedyną szansą jest Dominacja. A biorąc pod uwagę, że odsetek przeżycia wynosi pięćdziesiąt procent, nie bardzo mi się to podobało.

Kale pociągnął mnie w kierunku drzwi.

– Musimy przeżyć, żeby się tym martwić, a to oznacza wydostanie się z tego budynku w jednym kawałku.

– To ona! – krzyknął jakiś człowiek stojący przy wejściu do laboratorium. Do środka wpadło trzech agentów, odcinając nam drogę.

Popatrzyłam niechętnie na Aubreya.

– Zaprosiłeś kogoś jeszcze do naszej skromnej grupy ucieczkowej?

Jeden z agentów wyciągnął coś, co wyglądało na skrzyżowanie telefonu komórkowego i radia.

– Są w laboratorium. Powtarzam – w laboratorium.

– Dlaczego jeszcze tu stoimy? – szepnęłam, pokazując gestem w kierunku drzwi wyjściowych. – Nie powinniśmy, no, nie wiem, próbować się jakoś stąd wydostać?

Kale zamarł.

– Devin wzięła klucz. Bez niego te drzwi nie otwierają się ani z zewnątrz, ani od wewnątrz.

Skupiłam uwagę na czterech agentach przy drzwiach. Ten z przodu, z radiem, potrząsnął nim, a później warknął i rzucił na ziemię. To awaria elektryczności, o której mówił Aubrey. Pewnie dlatego radia nie działają.

Trzech agentów rzuciło się naprzód w szyku jak do ataku, a czwarty pobiegł w drugą stronę. Musiałam go zatrzymać, zanim powie komukolwiek, gdzie jesteśmy i co robimy. Poleciałam za nim, nie zważając na okrzyki Kale'a. Karta się odwróciła przeciwko nam, ale jeżeli każdy agent i lojalny mieszkaniec Denazen zwali nam się na głowę, to wtedy już na pewno po nas.

Był szybki, biegnąc trzy piętra w górę, a później na korytarz trzeciego piętra. Trudno mi się było za nim utrzymać, ale udało się. Ledwo co.

Tak. Już postanowiłam. Kiedy będzie po wszystkim, znowu zacznę biegać.

Skreśliam za ostatni róg półpiętra, kiedy on zniknął za jakimiś drzwiami. Ten budynek miał dziwny rozkład. Kończyły się schody, ale maleńka strzałka kierowała mnie do windy.

Przebierałam nogami tak szybko, jak mogłam, żeby uciec przed dymem wypełniającym korytarz. No, cudnie. Teraz coś się pali. Robiło się coraz ciekawiej. Nagle otworzyły się drzwi do windy, rozległ się gong, a agent wśliznął się do środka i z furią naciskał przycisk na ścianie. Drzwi zaczynały się zamykać. Nie zdążę.

Ostatnim pchnięciem przyspieszyłam, rzuciłam się nogami naprzód i upadłam na plecy, uderzając najpierw prawym biodrem, a później całą resztą. Przejechałam po nienagannie wypolerowanej podłodze Denazen wprost do windy, kiedy drzwi się zamykały.

Oczywiście byłam teraz sama w stalowej skrzyni z trzy razy większym ode mnie uzbrojonym mężczyzną.

Zaśmiał się, kiedy stawałam na równe nogi.

– Niedokładnie o to mi chodziło, ale trudno, niech będzie.

– Może mógłbyś zmienić zdanie i nie robić tego, co masz zamiar zrobić?

Założył ręce na piersi i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Możesz spróbować. Uwielbiam kobiety, które mnie błagają, żebym im coś zrobił.

Błagają? Co za kretyn.

– Wybacz mi, ale ja nie błagam.

Rzucił się na mnie bez dalszych komentarzy, kiedy winda, szarpiąc, ruszyła do góry.

Udało mi się zrobić unik, ale czułam, że to długo nie potrwa. Nie było tu zbyt wiele miejsca.

Znów się zamachnęła, a ja znów uchyliłam się przed ciosem. Pewnie toczyłoby się to w kółko, aż do momentu, gdy któreś z nas by się zmęczyło, ale winda zatrzymała się nagle i oboje runęliśmy na podłogę.

– Aaa – jęknęłam, czując lekki zawrót głowy. – Niedobrze. – To było to. W końcu zrozumiałam, dlaczego Kale tak bardzo nie znosił wind. Już nigdy w życiu do żadnej nie wsiądę.

Rozległ się przerażający dźwięk – coś na podobieństwo metalicznego szarpnięcia i dziwnego trzasku. Później winda znów z szumem ruszyła, tylko tym razem w złym kierunku. Ruszyła w dół.

I jakieś pięć razy szybciej niż zwykle.

Uwielbiałam diabelskie młyny i roller-coastery. Żyłam – żeby czuć adrenalinę, kiedy człowiek wjeżdża do góry wykrecony na bok, a później zjeżdża głową w dół, wykrecony w drugą stronę. Któregoś roku odważyłam się na przejażdżkę olbrzymim roller-coasterem Great Adventure, na którym spadało się prosto w dół. Pojechałam z Brandtem, który otrząsał się z obrzydzeniem po przejażdżce i odczuł ulgę, kiedy w końcu dotknął ziemi stopami. Ja natomiast byłam w siódmym niebie. Teraz, kiedy winda bez opamiętania leciała w dół, próbowałam sobie przypomnieć, co mnie wtedy tak bawiło.

Udało mi się wstać w momencie, gdy winda raptownie się zatrzymała. Oczywiście to ponownie zważyło mnie na podłogę. Znowu próbowałam się podnieść, ale błąd i zdeterminowany agent, był szybszy. Odepchnął mnie i sięgnął do sufitu, żeby wyważyć drzwi awaryjne. Kłapa otworzyła się z hukiem, a on, nie tracąc czasu, podciągnął się na rękach. Próbowałam chwycić go za nogi, ale mnie kopnął. Miał szczęście – albo ja tak sobie powiedziałam – i trafił mnie piętą w skroń.

Zobaczyłam w oczach gwiazdy i znowu upadłam, gdy winda ruszyła. W dół. Stop. W dół. Stop. Nie wiedziałam, ile pięter ma ten budynek ani jak wysoko jesteśmy, ale wcale nie miałam ochoty się dowiadywać.

Ustawiłam się pod otworem, wyprostowałam i skoczyłam z całych sił, żeby chwycić za krawędź. Udało mi się wprawdzie dopiero za trzecim razem, ale podciągnęłam się i wydostałam na zewnątrz windy. Zobaczyłam tam agenta, który niebezpiecznie balansował na krawędzi, próbując dosięgnąć metalowego pręta, wystającego ze ściany sporo nad jego głową. Jednak był za niski.

Spojrzałam w dół, mając nadzieję, że zatrzymaliśmy się gdzieś w pobliżu drzwi na piętro, ale nie dostrzegłam nic przez dobrych kilka metrów. Mogłabym spróbować skoczyć na wystającą poniżej półkę, ale nie wiadomo, czy miałabym na tyle siły, żeby otworzyć drzwi na zewnątrz i prześliznąć się do środka, zanim winda znów zacznie spadać. Nie miałam ochoty na śmierć

przez przejechanie windą. Poza tym była jeszcze możliwość, że nie trafię i runę w dół.

Agent warczał, wciąż bezskutecznie próbując doskoczyć do pręta. Już chciałam mu powiedzieć, że powinniśmy działać razem, ale żołądek podjechał mi do gardła, kiedy winda znów zaczęła opadać.

Facet wrzasnął, stracił równowagę i pochylił się na bok, a później wypadł poza krawędź. Uchwycił dłońmi brzeg górnej części windy, ale kiedy się do niego doczołgałam, jego palce zaczęły się ześlizgiwać.

– Chwytaj. – Podałam mu rękę. – Wyciągnę cię!

Nie spierał się i przesunął się w moim kierunku, żeby mnie chwycić. Rozległ się jednak straszny pisk i winda zjechała półtora metra w dół. Nagły ruch sprawił, że stracił uchwyt. Popatrzyłam w dół, w ciemność, która go pochłonęła. Nie krzyczał, więc cała sytuacja była tym bardziej niesamowita. Mimo że był agentem i próbował mnie zabić, zmówiłam za niego cichą modlitwę. Nikt nie zasługuje na taką śmierć.

Wstałam, wzięłam głęboki oddech i ostrożnie przeszłam – centymetr po centymetrze – po górnej powierzchni windy aż do ściany. Nie miałam zamiaru ginąć tak samo, jak ten agent.

Winda osunęła się jakiś metr i zobaczyłam pręt, a obok drzwi na piętro. Była spora szansa, że go dosięgnę. Jeśli mi się udało, mogłabym rzutem ciała dosięgnąć niewielkiej półki i przy odrobinie szczęścia siłą otworzyć drzwi.

Stając na palcach, modliłam się, żeby Kale i Aubrey mieli więcej szczęścia, niż ja. Dotknęłam powierzchni pręta opuszkami palców, ale byłam za daleko, żeby chwycić go dłońmi. Winda zadygotała i byłam pewna, że za chwilę znowu runie w dół, ale stanęła. Głęboki oddech. Uda mi się. Próbowałam pochylić się w przód i wyciągnąć całe ciało, ale nic z tego. Byłam o włos za niska. Mogłam tylko skoczyć i mieć nadzieję, że złapię pręt za pierwszym razem. Każdy nagły ruch pchnie windę w czeluść szybu.

– Dobra, Dez – powiedziałam. Usłyszałam jakieś echo i poczułam nosem jakby nutę dymu. – To jest taki wybryk kaskaderski. A ludzie mówią, że ci się nie uda.

Pomyślałam o Kale’u i o tym, jak moje życie się zmieniło, odkąd go poznałam. Nie wierzyłam w ślepy los. Wszyscy sami go wykuwamy, chociaż Ginger powiedziałaby, że jest inaczej. A ja chciałabym spędzić długie, szalone życie z Kale’em przy boku. Nie mogę skończyć na dnie szybu windy w budynku Denazen.

Ugięłam lekko kolana, pochyliłam się do przodu, ręce wyrzuciłam w górę i skoczyłam.

Przez bardzo długą chwilę pod stopami miałam tylko powietrze. Czułam podchodzącą do gardła panikę, ale skończyła się, kiedy oplotłam palcami chłodny metal. Prawa ręka zacisnęła się na pręcie jak imadło.

Krótką chwilą radości, a później strach, bo lewa się ześliznęła. Winda pode mną jęknęła, gdy czubkiem buta odepchnęłam się do góry. Musiałam znowu chwycić pręt – ale tym razem dwiema rękami.

Rozległo się wycie i metaliczne echo, a ja poczułam oddech nieświeżego powietrza, kiedy winda uciekła mi spod nóg i zniknęła w czeluści. Następnie dobiegł mnie ogłuszający dźwięk i grzechot, gdy uderzyła o dno szybu. Sądząc po odległości, wysiadłam w najlepszym momencie.

– Cholera – wyrwało mi się, po czym rozhuśtałam ciało i przeskoczyłam na małą półkę. Znowu stałam na pewnym gruncie, przyciskając się do drzwi windy i błagając bezgłośnie o uratowanie życia.

Otwarcie drzwi nie było tak trudne, jak się spodziewałam. Prześliznęłam się na drugą stronę i opadłam na podłogę, żeby złapać oddech. Wokół mnie rozbrzmiewały syreny alarmowe. Pozwoliłam sobie na chwilę odpoczynku. Policzyłam od jednego do dziesięciu – na tyle mnie było stać. Kale wciąż gdzieś tu był. Podobnie Aubrey. Pomógł nam i już go więcej nie zostawię –

tak, jak nie zostawię pozostałych. Czy mu się to podoba, czy nie, jest teraz jednym z nas.

Ciekawiło mnie, jak to wpłynie na jego relację z Able'em.

Kiedy doliczyłam do dziesięciu, już byłam na nogach i biegłam. Cały budynek pograżył się w chaosie. Ludzie z pośpiechem szli korytarzem, niektórzy z gaśnicami, inni z pudłami i stertami papierów. Byli zbyt zajęci, żeby zwracać na mnie uwagę. Pokój za pokojem – wszędzie było tak samo. Wszyscy próbowali gasić małe pożary.

Przystanęłam, przechodząc obok celi, w której wcześniej mnie zamknęto. Ktoś był w środku. Przebłysk flanelowej koszuli i wiecha niesfornych, ciemnych włosów.

– Vince?

Spojrzał na mnie zza zwęglonych szczątków biurka.

– Dez! – zawołał ze zdziwieniem. Podszedł do mnie, objął mnie ramionami i przycisnął do siebie. – Jesteś cała!

I ja go uściśnęłam, ale było mi trochę głupio, więc się od niego odsunęłam. Vince był fajnym chłopakiem i tak dalej, ale nigdy się nie witaliśmy uściskami.

– Co ty tu robisz? Co się dzieje? Reszta z nas też tu jest?

– Chwila, chwila. Zwolnij trochę. – Wziął głęboki oddech. – Dostaliśmy cynk, że fiolka jest tutaj. Ja przeszukuję pomieszczenia, a Sue, Dax i inni są na wycieczce z przewodnikiem – z twoim kumplem Aubreyem.

– Kale! Gdzie jest Kale? Widziałeś go?

– Szuka cię. W Denazen chyba się zorientowali, że gra na drugą bramkę.

– Powinniśmy znaleźć resztę. Przegrupować się. Tutaj się rozpętało piekło, ale to wcale nie znaczy, że kogoś nie złapią i nie zamkną. Poza tym ogień się rozprzestrzenia. Możemy za chwilę spłonąć jak w fajerwerku.

Vince zachichotał.

– Nie ma żadnego pożaru, Dez. To robota jednej z dziewczyn. Chyba ma na imię Carley. Carley. Coś mi to imię mówiło. Po chwili zorientowałam się, że już je wcześniej słyszałam.

– To ta świruska, która mnie nabrała we wrześniu. Myślałam wtedy, że porwali mamę.

Vince skinął głową.

– Okazuje się, że już ma dosyć Denazen. – Odwrócił się z powrotem do biurka. – Idź poszukać Kale'a. Chcę jeszcze sprawdzić parę miejsc, a później do was dołączę. Muszę się upewnić, czy niczego nie pominęliśmy.

Ani przez chwilę nie uwierzyłam, że właśnie tu schowali fiolkę, ale nie chciałam go poprawiać. W końcu brał udział w jakiejś akcji, a wiedziałam z doświadczenia, że człowiek czuje się dobrze, robiąc coś produktywnego i pomagając. Ostatni raz skinęłam mu głową, po czym byłam już za drzwiami i biegłam korytarzem.

Cały budynek był jednym wielkim, chaotycznym wirym, a ja musiałam odnaleźć w tym Kale'a. Wypadłam przez drzwi na końcu hollu i już miałam skrócić w lewo, ale zamarłam, kiedy zobaczyłam biegnącego w moim kierunku z pełną prędkością agenta. Okręciłam się w prawo i po drugiej stronie korytarza znalazłam Kale'a. Kucał nisko przy ziemi z dłonią przyciśniętą do linoleum, gdzie zbierał się czarny wir i płynął od ściany do ściany.

Kiedy podniósł głowę i zobaczył, że biegnę, było już za późno.

– Dez, nie! – krzyknął, zrywając się na równe nogi. Twarz miał wykrzywioną paniką. A to u Kale’a rzadkość. Pokazał palcem na sufit. Do góry!

Atramentowa, czarna masa toczyła się w kierunku agenta – w moim kierunku – a ja zamarłam i spojrzałam w górę. Nad głową zobaczyłam cienką rurkę biegnącą przez całą długość pomieszczenia. Odbiłam się z całych sił od ziemi, skoczyłam, chwyciłam ją i podciągnęłam nogi w momencie, kiedy wirująca masa przetoczyła się pode mną. Policzyłam do dziesięciu – tak na wszelki wypadek – a później zeskoczyłam na ziemię i odwróciłam się, żeby spojrzeć na ciemność, która biegła swoją ścieżką. Agent albo nie rozumiał, albo tak się zapędził, że tego nie widział, ale nie zrobił nic, żeby uskoczyć. Wciąż biegł z całych sił.

Nagle dopadła go ciemność Kale’a. Agent ani na sekundę nie zwolnił i jeszcze przed momentem był tylko parę metrów ode mnie, biegnąc jak nosorożec, a po chwili zmienił się w milion maleńkich cząstek pyłu osiadającego mi na twarzy. Zmarszczyłam się i machałam ręką w powietrzu przed oczami, żeby pył przypadkiem nie dostał mi się do ust.

– Wszystko w porządku? – spytał Kale, podchodząc do mnie z tyłu. – Mało brakowało, żeby...

– Nic mi nie jest. Naprawdę. Przybyła kawaleria. Właśnie rozmawiałam z Vince’em, który powiedział, że mama i Dax są w budynku i szukają uwięzionych.

– Są tutaj? – Kale zrobił wielkie oczy. – Jak tu weszli?

– Vince mówił, że niektórzy mieszkańcy Denazen, których Cross niby to owinął wokół palca, już nie są skłonni do współpracy. Wygląda na to, że Brandt i Devin organizowali przewrót pałacowy.

Kale się uśmiechnął.

– Koń trojański. Tak, jak wtedy z Kiernan w hotelu.

Szczęka mi opadła, przez chwilę tylko stałam i się na niego gapiłam. Tylko przez sekundę. W następnej sekundzie już go obejmowałam i ściskałam tak mocno, jak potrafiłam.

On też mnie objął, a później się odsunął.

– Kręci mi się od tego w głowie. Widzę tylko jakieś fragmenty, a czasami one w ogóle nie mają sensu. Powiedziałem coś przed chwilą i nic z tego nie rozumiem. Nie widzę jasno tego wspomnienia. Mam teraz jednak dość dobre pojęcie, co jest prawdziwe, a co wymyślone i udawane.

– A to znaczy, że wszystko ustępuje, Kale. I wszystko będzie dobrze.

Pocałował mnie szybko w czoło i chwycił za rękę.

– Musimy się spieszyć. To nasza ostatnia szansa na znalezienie tej fiolki.

– Mamy całą skrzynkę Dominacji. Co tam fiolka. – Zaryzykuję. – Teraz jej na pewno nie znajdziemy. To potężny budynek, a przecież nie mamy pojęcia, gdzie ją trzymają. – Chyba przeciągamy strunę. Byłam wolna, znalazłam Kale’a i mieliśmy surowicę. Brandt nieraz powtarzał, że nie wiem, kiedy zejść ze sceny. Minęło sporo czasu, a ja dorosłam, więc teraz będzie inaczej.

– Jest jeszcze jedno miejsce, które trzeba sprawdzić – upierał się Kale. Pociągnął mnie za sobą, a ja się nie opierałam. – Chodź.

Ruszyliśmy sprintem na drugą stronę budynku – piętro minus 7 – i wspinaliśmy się klatką po klatce po schodach. Im byliśmy wyżej, tym więcej się działo. Dym gęstniał, a ja mówiłam sobie, że nie jest prawdziwy – tak, jak mówił Vince – mimo że miał normalny zapach. Czułam go

na skórze. Temperatura w budynku musiała wzrosnąć o dobrych kilka stopni.

Kale wciągnął mnie do nieoznaczonego pokoju na końcu korytarza i zamknął za sobą drzwi. Weszliśmy na szerokie półpiętro, z którego było widać pomieszczenie pełne sprzętu naukowego. Mikroskopy, rzędy menzurek, probówek i wielkie szklane naczynie pełne wody. Była to jedyna rzecz, która wyglądała dziwnie i nie na miejscu. Przypominała mi coś, co widuje się w oceanariach. Pojemnik, w którym pływa rekin albo syrena.

Cholera. Jeżeli jedna z Szóstek jest syreną, to zwracam karnet członkowski.

Kale poprowadził mnie za rękę w dół, na niższe półpiętro i pokazał rząd metalowych szafek.

– Marshall sprowadził ekipę naukowców. Tutaj właśnie prowadzili badania nad krwią, posługując się wzorem wykradzionym Wentzowi. Być może trzymają tu fiolkę.

– Możliwe – powiedział ktoś, kto znajdował się niedaleko drzwi. – Ale czy to nie byłoby za łatwe?

Spojrzeliliśmy w górę i zobaczyliśmy stojącą w otwartych drzwiach Kiernan.

– Ale się porobiło. – Popatrzyła najpierw na Kale'a, później na mnie, a potem zobaczyła nasze splecione dłonie. W jej oczach dostrzegłam rozpaloną furję, ale i iskierkę żalu. – Może byś mi to wyjaśnił, kochasiu?

– Mówiłem ci już – powiedział powoli Kale. Jego palce mocniej zacisnęły się wokół moich. – Nic mnie nie zmusi do tego, żebym zapomniał o dziewczynie, którą kocham.

Zamrugła oczami tak, jakby się przesłyszała.

– Więc to wszystko na nic? Wszystko, co mieliśmy wspólnego? Czy ty mnie w ogóle nie kochasz?

Chociaż nigdy nie byłam równie zdesperowana, co Kiernan, rozumiałam to, co czuje. W każdym razie – choć trochę rozumiałam. Tata całe życie nie zwracał na mnie uwagi, a ja robiłam wszystko, żeby przez chwilę na mnie spojrzeć. Chciałam tego samego, co ona. Pragnęłam rodziny. Różnica jednak polegała na tym, że ja znalazłam przyjaciół, ludzi, którzy naprawdę się o mnie troszczyli. Kiedy znaleźli się w moim życiu, brak zainteresowania ze strony taty nie był już taki ważny. Kiernan tego nie miała. Widziałam, jak tata – Cross – ją traktował. Ona też to widziała. Może jeszcze nie była w stanie się do tego przyznać, ale założę się, że w końcu zaczęła sobie zdawać sprawę, że miłości, za którą tęskniła, nie znajdzie u Marshalla Crossa. Wszystkie nadzieje skupiła więc na Kale'u.

Kale wykrzywił usta, był wściekły. Kiernan ruszyła schodami w dół.

– To wszystko kłamstwo. Zmusiłaś mnie do tego. Kocham Dez i zawsze ją kochałem. To, co się między nami wydarzyło, nie było prawdziwe, a na pewno nie była to miłość.

– Może nie od początku, ale przecież coś się wydarzyło – upierała się. W jej głosie słyszałam lekkie załamanie. Oznaki desperacji i świadomość zdrady. Niezależnie od tego, co zrobiła, trochę jej współczułam. Nie rozgrzeszałam jej działań, bo przecież zawsze miała wybór, ale naprawdę cierpiała.

Kale pokręcił głową.

– Nie. Nic nie było.

Kiernan weszła na nasze półpiętro.

– Przepraszam, że cię okłamywałam, Kale. To był jedyny sposób, żebyś dostrzegł prawdę. Tatuś chce dla nas najlepiej – dla ciebie. – Pokazała na mnie gestem dłoni i uśmiechnęła się okrutnie. – Ona cię nie kocha. Tylko cię wykorzystuje, żeby nas skłócić.

Kale powiedział mi kiedyś, że uwielbia u mnie to, że nigdy nic sobie nie robiłam z jego braku umiejętności towarzyskich. Akceptowałam go takim, jakim był, mimo że nie rozumiał dowcipów albo brał pewne rzeczy zbyt dosłownie. Nie rozumiał, ponieważ od narodzin był

więźniem Denazen, a każde szczegóły jego życia zależały od łaski lub niełaski ludzi okrutnych, którzy mieli pokrecone plany. Ja jednak te rzeczy akceptowałam. Uwielbiałam je. Kale był Kale'em i nie było nikogo innego na całym świecie takiego jak on. Nie był żadnym średniakiem. Nie. Kale był jak przepyszne ciastko oprószone czekoladą o smaku kawy z cudownym kawowym wnętrzem. Był jedyny w swoim rodzaju – nie zamieniłabym go na nikogo na świecie.

– Najlepsza dla mnie jest Dez, nie ty. Ty masz... – Pochylił głowę, przez chwilę nad czymś zamyślony. – Ty masz nierówny sufit – stwierdził, dumny ze swojej analogii. Kiedy zareagował w sposób tak charakterystyczny dla Kale'a, ta część mojej duszy, która skurczyła się, kiedy odszedł, nagle ożyła, pojaśniała i zrobiła się potężniejsza.

To ja miałam nierówno pod sufitem, ale cholera, kochałam tego gościa.

– Dobrze. Nie krępuj się – powiedziała, patrząc na mnie z krzywym, złośliwym uśmiechem. – Śmieję się. Uwierzyć, że wygrałaś, bo zwróciłaś go przeciwko mnie. Ale jak długo wasze głupie szczęście potrwa bez tego?

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła coś niewielkiego. Między kciukiem a palcem wskazującym była do połowy wypełniona gęstym, czerwonym płynem probówka. Krew Penny. To ta fiolka.

To ona ją miała.

Kale przyczał się, gotów do skoku, ale go powstrzymałam.

Kiernan tego nie przeoczyła. Zaśmiała się i pomachała probówką, a później posłała mu pocałunek.

– Wiem, co sobie myślisz, Dez. – Krew przykryła teraz wnętrze szklanej probówki, której ścianki zrobiły się szkarłatne. – Myślisz, że to nic takiego, prawda? Że jeszcze jest szansa, bo macie wykradzioną partię Dominacji. A pięćdziesiąt procent szans to lepsze niż zero.

Szczęka mi opadła. Skąd wiedziała, że zabraliśmy lek? Może złapali Devin?

Skinęła głową, jak gdyby czytając mi w myślach. Próbowwała zachować spokój, kiedy podrzuciła fiolkę w górę i złapała ją w rękę.

– Tata miał przeczucie, że będziecie szukać Dominacji, więc zostawił wam specjalną serię w laboratorium. Na pewno już ją macie.

– Specjalną? – zapytał Kale. Szedł powoli do przodu, a Kiernan się wycofywała. Stała teraz na drugim stopniu, a ja byłam przerażona myślą, że jakikolwiek nagły ruch spowoduje, że upuści fiolkę.

– Tak, jest bardzo szczególna. W waszej partii są niektóre składniki identyczne z naszymi, ale brakuje paru kluczowych fragmentów.

– Jest śmiertelna – powiedział Kale, zaciskając palce na poręczu.

– Bardzo – potwierdziła. – Ale nie od razu się umiera. Chłopaki z laboratorium powiedzieli, że człowiek wytrzymuje do pięciu dni po wzięciu tej substancji i cały czas, minuta po minucie, pragnie natychmiastowej śmierci.

Przełknęłam ślinę, bo poczułam, że coś mnie dusi w gardle i podeszłam wyżej. Stałam przy Kale'u, który zatrzymał się u podnóża schodów.

– A dlaczego mi to w ogóle mówisz?

Kiernan cofnęła się jeszcze o stopień. Z uśmiechem, którego nie zapomnę, pomachała fiolką w powietrzu nad poręczą i powiedziała:

– Bo chciałam mieć satysfakcję, z twojego wyrazu twarzy, kiedy zrobię to...

Czas się zatrzymał. Z moich ust wyrwał się okrzyk i echem odbijał się od ścian, rosnąc w korytarzu. Rzuciłam się naprzód, żeby złapać fiolkę, która – upuszczona po zewnętrznej stronie poręczy – leciała w kierunku podłogi, ale była za daleko. Dotknęłam jej opuszkami palców, ale zamiast przyciągnąć do siebie, jeszcze bardziej ją odepchnęłam. Patrzyłam z przerażeniem, jak spada, i to nie do olbrzymiego pojemnika z wodą, ale na betonową podłogę

pod schodami i rozbija się, rozchlapując na około niewielką ilość płynu .

Nie byłam w stanie się poruszyć. Nie mogłam nawet oddychać. Moja przyszłość leżała tam, na tej podłodze.

Słyszałam śmiech Kiernan, a kiedy wstałam na równe nogi i się odwróciłam, Kale przyciskał ją plecami do ściany. Przy opuszkach jego palców wirowało coś czarnego.

Chwyciłam go za ramię i odciągnęłam.

– Przestań. To sprawa między nami. Między nią a mną.

Jeśli Kale miał inne zdanie, nie dał nic po sobie poznać. Skinął tylko głową i zszedł z powrotem na nasze półpiętro, a ja zajęłam jego miejsce, stając przed dziewczyną, która tak strasznie chciała podrzeć moje życie na strzępy. W jej oczach nie było lęku. Tylko czysta niechęć.

Znałam to uczucie. Resztki miłości i współczucia, które miałam dla mojej siostry oficjalnie wyparowały.

– Miałaś wszystko – szepnęła.

– Więc postanowiłaś mi to odebrać? – skontrowałam. – Mam dla ciebie wiadomość, Kiernan. Nie było ci dane dorastać przy swoim ojcu – miałaś szczęście – ale tak swoją drogą mnie też, to nie było dane. Marshall Cross nie jest moim ojcem.

Wyglądała jak pięcioletnia dziewczynka, która właśnie się dowiedziała, że święty Mikołaj to ściema.

– Łżesz!

– Dlaczego miałabym kłamać? Sam mi to powiedział. Nie jesteśmy z tej samej krwi i kości – on jest twoim ojcem. I uwierz mi, oddaję ci go bez walki.

Zacęła coś mówić, ale pchnęłam ją i przycisnęłam płasko do ściany.

– Na pewno wiedziałaś, kim jest i co robi. I wciąż mu pomagałaś. Pomogłaś mu spalić hotel. To ty zabiłaś Rosie. To ty nam odebrałaś Kale’a. Odebrałaś go mnie. I po co, żeby zyskać aprobatę człowieka, który ma cię za nic?

– Mój ojciec mnie kocha! – wrzasnęła. W tych słowach nie było nawet cienia przekonania. Nie wierzyła w to tak samo, jak ja.

– Nie, Kiernan. Nie kocha cię. Marshall Cross nie kocha nikogo. Nie jest zdolny do miłości. Tak bardzo ci zależy na tym, żeby wkraść się w jego łaski, że nie widzisz, co się wokół ciebie naprawdę dzieje.

Wzięłam głęboki oddech.

– Myślałam, że jesteśmy z jednej krwi – powiedziałam, chwytając ją za rękę. – Potrafiłabym ci wybaczyć prawie wszystko. Byłaś dezorientowana. On cię zmanipulował. To zrozumiałam. To, że spałaś z Kale’em, pomagałaś Able’owi – nawet to gotowa byłam ci wybaczyć. W końcu zrobiłaś to tylko mnie. Ale to, co zrobiłaś Rosie i Kale’owi? Upuszczając tę fiolkę zabiłaś nie tylko mnie, Kiernan. Zabiłaś innych ludzi. Niewinnych. Ludzi, na których mi zależy. – Zbliżyłam się do niej jeszcze bardziej. – To jest cienka linia, której nie powinnaś przekraczać.

Kiernan zaśmiała się nerwowo.

– To co? Zabijesz mnie?

Tej linii sama nigdy nie przekroczyłam i miałam nadzieję, że nigdy nie będę musiała. I chociaż bardzo mnie kusiło, nie miałam zamiaru jej zabijać. Odsunęłam się, puściłam jej rękę i powiedziałam:

– Nie muszę. Trzymając z Crossem i Denazen, popełniasz samobójstwo.

– Może, ale ty pierwsza pójdziesz do piekła. – Nie patrzyła na mnie. Głowę miała uniesioną, a wzrok skierowany gdzieś indziej.

Pamiętam, że następnych kilka sekund było jednym wielkim zawirowaniem. Kiernan zamrugła oczami i zrobiła krok w lewo. W tym samym momencie rozległy się dwa dźwięki, jak gdyby ktoś otwierał butelkę. Na początku nie zorientowałam się, co to jest i nie było czasu, żeby zareagować. To znaczy – normalny człowiek nie miałby czasu zareagować.

Kale w mgnieniu oka skoczył naprzód i pchnął Kiernan przede mnie, jednocześnie pociągając mnie mocno w dół przez dwa pierwsze stopnie. Kiernan wrzasnęła i skoczyła naprzód, ale Kale ściągnął mnie z jej ścieżki i upadła na półpiętro. Mrugnęłam oczami. Tylko raz. Jeszcze przed chwilą Kale był przy mnie, a teraz biegł w kierunku agentów, którzy wpadli do laboratorium.

Przyglądałam im się przez minutę, walczącym na półpiętrze nad nami, wymieniającym ciosy, uderzającym i tańczącym jak w ustawianej hollywoodzkiej scenie walki. Jeden z agentów się zamachnął, Kale się uchylił i posłał go za balustradę. Wrzaski agenta słabły i skończyły się tąpnięciem, kiedy jego ciało uderzyło o ziemię po lewej stronie od miejsca, w którym spadła fiolka.

Kale uwielbiał walkę, ale widziałam, że ma już dosyć. Czarna masa zaczynała krążyć wokół koniuszków jego palców, a agent, który jeszcze został – ten, który wcześniej wystrzelił z broni – zrobił krok wstecz.

Byłam tak zapatrzona w Kale'a, że zupełnie zapomniałam o Kiernan. Niestety, ona nie zapomniała o mnie. Wstawiała na równe nogi i blokowała mi schody oraz dostęp do Kale'a. Przód jej jasnoszarego T-shirta był zachlapany makabryczną czerwienią. Pomyślałam, że pewnie wylała na siebie część zawartości fiolki.

Zobaczyła, że się przyglądam i zaśmiała się. Nie. Bardziej zarżała. Pociągnęła za podkoszulkę i usłyszałam wilgotny odgłos, powodujący mdłości. Wskazując ruchem głowy moje ramię, powiedziała:

– Wiem. Wiem. Rana jest gorsza niż twoja. Prawdopodobnie śmiertelna.

Moja? Powiodłam oczami za jej wzrokiem. Nagle kolana się pode mną ugięły, wypuściłam powietrze z płuc i poczułam chłód. Na swojej podkoszulce też miałam ślad makabrycznej krwi rozlewającej się od ohydnej dziury w ramieniu. Nawet tego nie zauważyłam.

– Nie przejmuj się. Jeżeli ja wybieram się na tamten świat, to na pewno wezmę cię ze sobą.

Z niemal nieludzkim wrzaskiem Kiernan ruszyła na mnie jak taran. Wszystko zdarzyło się w mgnieniu oka. W ciągu jednego uderzenia serca. Usłyszałam, jak Kale coś woła, kiedy ziemia usunęła mi się spod nóg i cały świat wywinął fikołka. Czułam ręce Kiernan zaciskające się na moim gardle, a chwilę później całe moje ciało zaatakowały tysiące igieł – jakbym oberwała otwartą dłońią w skórę całego ciała i poczułam naokoło siebie lodowatą wodę.

Rozdzieliła nas siła upadku, a ja walczyłam z chęcią wzięcia głębokiego oddechu. Powierzchnia. Powietrze. Potrzebuję powietrza. Poczułam, że moja stopa uderza w coś twardego. To Kiernan. Chciała mnie chwycić za kostkę, ale zrobiłam unik i odbiłam się w kierunku powierzchni. Już głową dotykałam lustra wody i szarpnięciem chciałam chwycić krawędź pojemnika, żeby się wydostać na zewnątrz, ale złapała mnie za nogę i znów wciągnęła pod wodę. Udało mi się złapać płytki oddech, zanim poszłam na dno, ale to nie wystarczyło.

Czułam, że płuca mi płoną i miałam wrażenie, że za chwilę eksploduje serce. Kiernan, która była niezwykle skupiona na tym, żeby pociągnąć mnie ze sobą do piekła, nie poddawała się. Za każdym razem, kiedy ją odpychałam, atakowała mnie z nową siłą.

W panice zaczęłam się rzucać na wszystkie strony. Uderzyłam ją kolanem w głowę, po czym odpłynęła na tyle daleko, że mogłabym po raz ostatni spróbować ucieczki. Jednak nie mogłam. Kiernan już mnie nie trzymała, była na dnie zbiornika, ale ja nie byłam w stanie się

ruszyć. Utkwiłam w czymś stopą. Szarpałam się i zginałam, przerażona, próbując znaleźć źródło, ale mój czas się kończył. Wszystko ciemniało, kontury przedmiotów robiły się niejasne i czułam, że całe ciało mi drętwieje.

Nie wiedziałam, jak długo to trwało. W jednej chwili poddawałam się temu, co nieuniknione, a jakiś czas później usłyszałam czyjś głos, który cicho wołał mnie po imieniu. Raz za razem. Błagał mnie, żebym została.

– Dez. – Słyszałam jego delikatne tchnienie. Coś ciepłego dotknęło moich ust i poczułam falę powietrza. Sekundę potem jakiś ohydny płyn podszedł mi do gardła i zachłysnęłam się, znów tracąc powietrze. Silne dłonie przetoczyły mnie na bok i teraz mogłam oddychać swobodnie.

– Nie oddychałaś, Dez. Myślałem, że już...

Próbowałam usiąść, ale bez skutku.

– Kiernan...

– Nie ruszaj się. – Zdjął bluzę przez głowę, jednocześnie podciągając sobie podkoszulek, spod którego wyłoniły się pięknie wyrzeźbione mięśnie. W normalnych okolicznościach nie miałabym z takim widokiem żadnego problemu, ale teraz czułam wyraźnie, że coś jest nie tak.

Ściągnął bluzę i zwinął ją w kulę, a później przycisnął mocno do mojego ramienia.

Próbowałam się wyswobodzić – nacisk nie bolał, ale czułam się dziwnie. Był jednak zbyt silny.

– Niech to szlag – zaklął, a ja spróbowałam się nie zaśmiać. Takie słowo z jego ust było niespotykane.

Znów próbowałam unieść głowę, ale miałam wrażenie, że ktoś mi ją przytrzymuje przy podłodze. Udało mi się popatrzeć na bok i od razu tego pożałowałam.

– Cholera. – Te słowa same cisnęły mi się na usta. Poczułam, że serce szybciej mi bije. Całkiem zapomniałam, że mnie postrzelili.

– Ciii! – szepnął mi do ucha i poczułam jego ramiona wślizgujące się pod moje nogi i za głowę.

Cały świat przechylił się na bok, a później podjechał do góry.

– Niczego nie czuję. Czy ja...? – Zmrużyłam oczy i spojrzałam na zbiornik w laboratorium. Na jego dnie zobaczyłam ciemny, nieruchomy kształt. – Czy ona...?

– Nie jest tak źle – zapewnił, biegnąc po schodach szybciej niż ja bym się odważyła. Były metalowe, a wszystko wokół było mokre, bo wyjął mnie z wody. – Nie jest tak źle.

Chciałam mu powiedzieć, że kiedy ludzie parokrotnie powtarzają te same słowa, a w szczególności, kiedy robi to on, to oznaka fatalnej sytuacji, ale nie powiedziałam. Albo nie mogłam. Usta, tak jak i głowa, były za ciężkie i nie byłam w stanie nimi poruszyć.

Kale miał zacięty wyraz twarzy. Dziwnie znajomy. I kiedy wszystko pociemniało, domyśliłam się wreszcie, dlaczego obraz w celi tak mi kogoś przypominał.

Miałam nadzieję, że pożyję na tyle długo, żeby komuś to opowiedzieć.

- Czy ja nie żyję?
Brandt jako Henley wywrócił oczami.
- Poważnie? Czy ja byłbym pierwszą osobą, którą byś zobaczyła przed bramą niebios?
– Chyba przed bramami piekieł – mruknęłam, siadając prosto. Siedziałam w wygodnym fotelu przytulona do wielkiej, miękkiej poduszki. – Udało nam się? Wszyscy cali i zdrowi?
– Mniej więcej.
Mniej więcej? Nie podobała mi się ta odpowiedź.
– Wszystko mi przeszło koło nosa, tak? Wielka ucieczka?
Wzruszył ramionami.
– Niewiele ci przeszło koło nosa. Możesz się w zasadzie uważać za szczęściarę. Ginger dostała furii, kiedy usłyszała o występie Kale’a na lotnisku.
– Kale’a... – I wtedy sobie przypomniałam. Sięgnął po swoje umiejętności na oczach tłumu ludzi. – O, cholera.
– Tak. Ginger cały dzień bawi się w centrum kryzysowe. – Brandt mrugnął do mnie i kilka razy uniósł brwi. – W domu jest teraz trochę ciasno. Ten facet z kruczoczarnymi włosami wrócił z nami i ta niezła laska, Carley.
Miałam rację, będziemy musieli pomyśleć o rozbudowie.
– A Kale?
– Wszystko w porządku – potwierdził Brandt, a ja odetchnęłam z ulgą.
– Więc, nie owijając w bawełnę, dostałam postrzał, tak?
Zmarszczył brwi.
– Tak, oberwałam.
– I o mało co nie utonęłam.
– Kale opowiada to tak, jakbyś rzeczywiście utonęła. Powiedział, że przestałaś oddychać. Biedny chłopak, sam wyglądał na chorego, kiedy o tym mówił. A jeszcze gorzej wyglądał, kiedy opowiadał o tym Sue.
– Więc ten postrzał... Czy ze mną wszystko w porządku? Powiedziałaś: „mniej więcej”, kiedy zapytałam, czy wszyscy są cali i zdrowi. – Rozejrzałam się jeszcze raz po pokoju. Sufit ktoś wykleił plakatami Powerman 5000, a w powietrzu pachniało kawą. – Jestem w jakiejś dziwacznej śpiączce, prawda?
– Nie, nie jest tak źle. Śnisz. Chciałem tylko wpaść i się z tobą zobaczyć. Miałas szczęście. Kula strzaskała ci kość. Będiesz jakiś czas chodzić w gipsie, bo, co dziwne, niestety nie mamy pod ręką żadnego uzdrowiacza, ale wygrzebiez się z tego.
Odetchnęłam z ulgą.
– Kale mówił nam, co się stało z krwią i o tym, że Dominacja, którą przejęliśmy, jest do wyrzucenia.
– Nie udało mi się – powiedziałam żałośnie i głowa opadła mi na dłonie. – Spieprzyłam własne życie i życie innych dzieciaków Supremacji.
– Niekoniecznie. Wentz nad tym pracuje, ma pewien pomysł. Jeżeli wszystko zagra, to ich uratowałam, Dez.
Chciałam go zapytać, co ma na myśli, ale już go nie było. I mnie też nie.
Jeżeli był jakiś dźwięk, którego nie znosiłam bardziej niż gwizdania – to podśpiewywania pod nosem. Wszyscy o tym wiedzą. Kiedyś przywaliłam Alexowi w szczękę za to, że

podśpiewywał, a tyle razy prosiłam go, żeby przestał. To nie był on – nie ta tonacja – ale ktoś był ze mną w pokoju.

Podśpiewywał pod nosem.

– Daj spokój, kolego, nic więcej nie potrafisz?

Autor tych dziwnych dźwięków zaśmiał się głośno, rozbawiony, a później poczułam coś ciepłego obejmującego mnie ramionami. Kiedy otworzyłam oczy, aż sapnęłam ze zdziwienia.

– To ty?

Vince oparł się wygodnie na krześle i westchnął. Brązowe oczy wзираły spod szopy włosów czarnych jak noc.

– To chyba już mam odpowiedź na pytanie.

– I chyba ja mam odpowiedź na swoje – odparłam, unosząc się do pozycji siedzącej, ramię miałam na temblaku a palce zdrętwiały – to chyba zasługa leków przeciwbólowych, że nie mogłam poruszać nogami. Wiedziałam jednak, na co patrzę. Patrzyłam na faceta z obrazu.

Vince poprawił narzutę na łóżku i zwinnie wcisnął róg pod materac.

– A jakie to pytanie?

– Czy nie oszalałam.

– Rozumiem, że widziałaś obraz – powiedział, uśmiechając się smutno.

– W. V. K.?

– Winston Vincent Kale albo – jak możesz przeczytać w moim aktualnym prawie jazdy – Vincent Winstead. – Wyciągnął rękę. – Bardzo mi miło panią poznać.

Potrząsnęłam jego dłonią, zdając sobie sprawę, że to wszystko było niewiarygodnie surrealistyczne i pokręciłam głową.

– Winston Kale. Potomek Mirandy Kale?

– Winston Kale. Ten jeden, jedyny. Ginger pokręciła fakty. Ona i Kale są moimi krewnymi, nie Mirandy. Miranda nie miała żadnych potomków. Ona i mój syn zmarli w wyniku epidemii czarnej śmierci wkrótce po tym, jak ich wywiozłem.

– Zapomnijmy o pewnych rzeczach – głównie o tym, czy jesteś tym, za kogo się podajesz, to znaczy jesteś wiekowy i skupmy się na tym, co naprawdę ważne. Mówisz, że jesteś mężem Mirandy Kale? Ty jesteś tym palantem, który założył Denazen?

Westchnął i wstał.

– Jest wiele rzeczy, których jeszcze nie rozumiesz. Dotyczących mnie i Mirandy. Dotyczących Denazen. Nie wszystko jest tak, jak myślisz. – Zmarszczył brwi. – Przynajmniej kiedyś tak było.

– Nie mam pojęcia, czy to od leków mam taką jazdę, czy naprawdę tu stoisz.

– Źle zareagowałem, kiedy Miranda wyznała mi, że jest Szóstką – chociaż nie nazywaliśmy ich wtedy Szóstkami. W tamtych czasach takie historie były uważane za sprawkę władców ciemności. Czyste zło. Traktowałem ją strasznie i nie ma dnia, żebym tego nie żałował.

Wciąż nie mogłam tego pojąć.

– Ale ty musisz mieć kilkaset lat. Nikt tak długo nie żyje.

– Jestem Szóstką, Dez. Po stracie dziecka i żony, które zmarły przez moją ignorancję, dużo czasu poświęciłem badaniom naukowym i jestem przekonany, że to ja jestem pierwszą Szóstką. Przebadalem setki różnych linii genetycznych i z tego, co wiem, pierwszy urodziłem się z odchyleniem genetycznym. Urodziłem się w stanie Wirginia w roku 1810. Moja matka zmarła przy porodzie, jak wiele kobiet w tamtych czasach. Zmarła z powodu dziwnej infekcji dotykającej ciężarne kobiety. Między czerwcem a grudniem tamtego roku, dwanaście kobiet zachorowało na skutek tej infekcji i wszystkie zmarły przy porodzie. W okolicznych miasteczkach wybuchła panika. Zimową nocą ludzie podeszli pod ściany miasteczka i spalili je

doszczętnie razem z mieszkańcami.

Objęłam głowę dłońmi i ścisnęłam mocno oczy.

– Powiedz mi, że to wszystko nieprawda.

Vince chwycił mnie za rękę i je odciągnął.

– To się naprawdę dzieje i musisz mnie wysłuchać, bo, niestety, nie mam za dużo czasu.

Wszystkie dzisiejsze Szóstki są potomkami dzieci urodzonych w Tunstal między czerwcem a grudniem 1810 roku. Było nas dwanaścioro. Dziesięcioro przetrwało pożar miasta. Kiedy zmarła Miranda i mój syn, zostało nas dziewięcioro, którzy przetrwali i mogli mieć dzieci obciążone pewnym odchyleniem od normy. Dziewięcioro z nas to matki i ojcowie rasy Szóstek.

Pewna myśl zatkała mi na chwilę gardło i poczułam, że coś mi podjeżdża z żołądka.

– Wszyscy spokrewnieni. Czy jest jakaś szansa, że Kale i ja...

– Nie jesteście spokrewnieni. Kale jest z mojej linii. Ty jesteś z innej. Ale to tylko dygresja. Stworzyłem Denazen jako bezpieczny port dla ludzi, takich jak ja. Miejsce, w którym zawsze będą mogli być sobą.

Nie potrafiłam się nie roześmiać.

– No, to ci się udało, człowieku. W razie gdybyś nie zauważył, Denazen jest teraz na przeciwnym biegunie.

– I znów muszę ci powiedzieć, że jeśli uważasz, że wiesz, co się dzieje, to nawet nie dotknęłaś powierzchni. Cross? Inni dyrektorzy oddziałów? To tylko drony, szeregowi pracownicy. – Odszedł kilka kroków od łóżka. – Odwróciłem się od Denazen zamiast walczyć, jakiś czas temu i właśnie dlatego zamienił się w to, czym jest dzisiaj. Dzięki tobie i Kale'owi dostrzegłem swój błąd. Ryzykując własnym życiem, żeby ostrzec innych, odnowiliście moją wiarę.

– To byłeś ty! – powiedziałam podekscytowana, przypominając sobie dzień, w którym odwiedziliśmy mieszkanie Bena Simmons'a. – Współlokator Bena mówił, że pytano o niego trzy razy. Kale i ja, Aubrey i Able, no i ty.

– Bałem się, że go nie znajdziecie na czas. Był osią mojego planu...

– Mówisz niejasno. Jakiego planu?

Uśmiechnął się. Ten uśmiech był nikły i pełen niewypowiedzianego smutku.

– Muszę już iść. Mam coś do zrobienia, potrzebuję więcej informacji. Nie spodziewam się, że nie powiesz innym, kim jestem, ale proszę cię, daj mi chociaż jeden dzień. – Wycofał się do drzwi, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Proszę, uwierz mi, że jestem po twojej stronie i naprawdę chcę naprawić zło, które wyrządziłem. Będziemy świadkami upadku Denazen, uwierz mi.

– I to wszystko? Tylko tyle mi mówisz? Nie powiesz mi, co mam robić ani kto tu naprawdę rządzi, już nie wspominając o tym, co oni tu, do cholery, robią? – Przyłożyłam otwartą dłoń w łóżko. – A konkretniej, dlaczego akurat mnie musiałeś o tym powiedzieć? Przecież masz w zasięgu ręki pełno innych, znacznie potężniejszych Szóstek. Dlaczego akurat ja musiałam się o tym dowiedzieć?

– Ginger widzi przeznaczenie Kale'a. Los dał mu rolę Rozpruwacza i on będzie grał pierwsze skrzypce, przyczyniając się do upadku tych, którzy chcą nas wszystkich zniewolić. Jednak są i inni. Tacy, jak ty. Ty też masz ważną rolę do odegrania.

Ważną rolę? Czy to ładnie tak zrzucać dwadzieścia ton na ramiona słabej dziewczyny?

– Co dokładnie wszyscy robią?

– Co robią, Deeznee? Szykują się do wojny. Pomyśl o bezgranicznej mocy, która bierze się z nieograniczonych zasobów. Chodzi o kontrolę nad rządami, o panowanie nad gospodarką – nad ludźmi i nad całym światem. Ci, którzy naprawdę pociągają za sznurki w Denazen, nie

poprzestają na skromnych zwycięstwach. – Otworzył drzwi i zamyślił się. – Dbaj o Kale’a. On jest w końcu z mojej krwi i z moich kości. – Vince puścił do mnie oko. – Jest osławionym Rozpruwaczem.

I zanim zdążyłam się odezwać, już go nie było.

Siedziałam chwilę na łóżku, przetrawiając to, co powiedział Vince. Przypominałam sobie i analizowałam każde jego słowo, a w końcu postanowiłam uhonorować jego życzenie i powiadomić pozostałych dopiero jutro. Jeden dzień. Czy jeden dzień może zaszkodzić?

Pewnie przysnęłam, bo kiedy otworzyłam oczy, przy łóżku zobaczyłam Kale’a.

– No, cześć – powiedziałam uradowana, że go widzę.

Uśmiechnął się.

– Jak się czujesz?

Poruszałam palcami lewej ręki.

– Ręka ciągle trzyma się ciała, a to jakaś pociecha.

– Martwiłem się.

– To jest nas dwoje – westchnęłam ciężko. – Podobno, jak mówią, prawie zapadłam w sen zimowy z rybami.

Kale zamrugał oczami.

– Niemal utonęłam – wyjaśniłam.

– Aha. Od tej chwili nie będziemy już więcej o tym mówić.

Wplotłam palce w jego dłoń.

– Masz to jak w banku. A ty? Jak ty... się czujesz?

– Może być, Dez. Jeszcze wszystko nie wróciło, ale na pewno wróci. – Usiadł na krześle przy łóżku i westchnął. – Jednak chyba już nigdy nie będzie tak samo, jak kiedyś.

Poczułam chłodny dreszcz na plecach.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wspomnienia mi wracają, ale mam też i poczucie odseparowania od tego wszystkiego.

Tyle przeszedłem pierwszego dnia w lesie i kiedy byłem w Zendeana wszystko dokoła mnie się zmieniło.

– Aha – tylko tyle zdołałam powiedzieć. Nie miałam pojęcia, do czego zmierza, ale mimo to jego słowa przywały mi jak dziesięcotonowy blok betonu.

– Zrozumiem, jeżeli już mnie nie będziesz chciała.

Zaraz, co takiego?

– Kale, o czym ty mówisz?

– Ja już nie lubię sera.

Nie mogłam przestać się śmiać.

– No dobrze, w takim razie umowa rozwiązana. Ja mogę być tylko z kimś, kto nie lubi sera.

On się jednak nie uśmiechnął.

– Rozumiem, że to jest sarkazm. Jak słusznie zauważyłaś, mam inne słownictwo. Już nie jestem tym samym Kale’em.

Przyciągnęłam go bliżej siebie i wywróciłam oczami.

– Oczywiście, że nim jesteś. Im więcej czasu spędzasz z dala od nich – w prawdziwym świecie – tym lepiej się tutaj aklimatyzujesz. Tamten świat nie ma już z tobą nic wspólnego.

– Może – powiedział cicho. – A jednak jest pewna różnica i to mnie przeraża.

– Co takiego?

– Pamiętam, że czułem taką... ciemność. Jakbym miał bańkę w klatce piersiowej. To gniew, Dez. Za to wszystko, co mi zrobili. Co zrobili nam wszystkim. To na razie jest niejasne,

ale pamiętam, że trzymałem to w zamknięciu i pod kontrolą. Wymagało to świadomego wysiłku, ale dawałem radę.

– A teraz?

Pokręcił głową.

– A teraz, nie wiem. Czuję to zupełnie inaczej. Sam się czuję inaczej. Na przykład bywa tak, że wcale nie chcę tego zamykać. Czasami naprawdę czuję wściekłość.

– To chyba oczywiste, Kale. Po tym wszystkim, co przeszedłeś – co wszyscy przeszliśmy – to normalne. Ja też się trochę tak czuję.

Zauważyłam nadzieję w jego oczach.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Wszystko będzie w porządku, dam ci słowo. Wszystko się dobrze skończy. – Brandt powiedział mi, że wszyscy wydostali się z Zendeana bez szwanku, ale przypomniałam sobie o Alexie. – A jak się czuje Alex?

– Jest przytomny. Chciał przyjść cię zobaczyć, ale Ginger poprosiła go, żeby poczekał.

– Poczekał? Dlaczego?

Przez chwilę patrzył w bok. Kiedy się znów odwrócił, w jego oczach odczytałam żal.

– Nie pozostał obojętny na atak Bena.

– Nie pozostał obojętny – powtórzyłam, czując suchość w gardle. – Co to znaczy?

– Paru rzeczy nie pamięta. Nie ma się jednak czym martwić. Naprawdę dobrze się czuje.

– W porządku. – Nie byłam jednak pewna, czy mu wierzę.

– A teraz musimy się zająć czymś ważniejszym.

Przełknęłam ślinę. Miał rację. Piasek w mojej klepsydrze już się prawie cały przesypał.

– Ja... Brandt powiedział, że... nie ma antidotum, prawda?

Odwrócił wzrok, wahając się przez chwilę, zanim spojrzał mi w oczy.

– Ten dziwny kumpel Brandta nad tym pracuje. Naukowiec – Franklin Wentz, chociaż proszę, nie nazywaj go tak.

Zamrugałam oczami.

– Jak go mam nie nazywać?

Kale ściszył głos i zbliżył się do mnie.

– Franklin. To ma coś wspólnego z małymi dziećmi, ale do końca tego nie rozumiem.

Nie mogłam się powstrzymać, żeby się nie uśmiechnąć. To był cały Kale. Jego manieryzmy, jego ton, nawet sposób poruszania się.

– Więc co z tym kolegą, którego nie będziemy nazywać Franklin? Jak daleko zaszedł?

– Opracowuje syntetyczne antidotum. Mówi, że chyba nawet będzie potrafił opracować duplikat mojej krwi, jeżeli Podziemie tego zażąda.

– Ale to chyba było niemożliwe?

Kale wzruszył ramionami.

– Ten facet jest dość wyjątkowy.

– Poczekaj, ale czy on nie potrzebuje też odrobiny krwi Penny? Przecież nie mamy ani kropli. Kiernan wszystko zniszczyła.

– To nieprawda. Mamy twój T-shirt. Ten, który miałaś na sobie, kiedy zastrzelono Penny Mills.

...wtedy sobie przypomniałam. Byłam cała pokrwawiona.

– To genialne.

– Wiem.

Uśmiechnął się szeroko, ale uśmiech szybko zniknął mu z twarzy.

– Sporo się wydarzyło. Muszę wiedzieć, czy między nami wszystko jest w porządku?

– W porządku.

– Dez, ja zabijałem ludzi. Zabijałem ich na zlecenie Denazen. – Pochylił głowę w geście zawstydzienia. – A przysięgałem, że nigdy więcej tego nie zrobię.

– Nie możesz się za to obwiniać. To Denazen jest za to odpowiedzialna, nie ty.

– A to wszystko, co zrobiłem tobie? Czy to też Denazen, nie ja...? Kiernan...?

– Tak – odparłam pospiesznie.

Miał taką minę, jakby chciał się klócić, ale tylko westchnął, nachylił się i oparł czołem o moje czoło.

– Kocham cię, Dez. Proszę, powiedz mi, że o tym wiesz.

Tyle się wydarzyło. Denazen, Kiernan. Kale i ja zawsze będziemy musieli pokonywać jakieś przeszkody i przekraczać góry, ale ta ostatnia walka udowodniła mi, że cokolwiek się nie wydarzy, zniesiemy wszystko.

– Wiem, Kale. Daję ci słowo, że o tym wiem.

Znowu zaczęło być jakby normalnie, choć nie wiedziałem do końca, co to znaczy. Dwa dni później przeprowadziłam się do swojego pokoju i tamtego dnia rano, znalazłam przyklejoną do drzwi karteczkę. Alex prosił mnie, żebym się z nim spotkała w południe przy stole piknikowym przed domem. Wszyscy, z którymi rozmawiałam, odmawiali komentarzy na temat jego stanu zdrowia, mówiąc tylko, że z nim wszystko w porządku i że on sam mnie poprosi o rozmowę.

Wtedy po raz pierwszy od dnia w Zendeau byłam na dworze. Rześkie styczniowe powietrze kąsało mnie w skórę, ale czułam się cudownie. Przegapiłam Sylwestra i pierwszy noworoczny pocałunek Kale'a, ale bardzo chciałam spędzić kilka następnych tygodni, naprawiając to wszystko.

– Jak się czujesz? – spytał Alex, siadając przy mnie. Nawet nie słyszałam, jak podchodził. Poruszyłam palcami i uśmiechnęłam się.

– Dobrze. Przeczytałam twoją karteczkę. – Pokazałam gestem ławkę.

– Od razu chciałem przyjść się z tobą zobaczyć, ale mówili mi, że teraz powinnaś odpoczywać. Podobno cię postrzelili.

– Zupełnie nierealne, prawda? Ale chyba teraz można mnie nazywać prawdziwym zbiorem. Nie mówiłeś mi tak kiedyś? Zbiorem stajesz się dopiero, gdy dostaniesz kulkę?

Kręcił głową, niezdecydowany.

– Na pewno sobie przypominasz. Tamtego wieczoru w parku Memorial. Rozmawialiśmy o...

Spojrzał znad stołu, powoli kręcąc głową z lewa na prawo i z powrotem.

– Nie, nie pamiętam – westchnął i dwa razy stuknął palcem w drewniany blat, a później usiadł tak, żebym go widziała profilem. – Większość z moich wspomnień wyparowała.

– Ale wróć.

– Nie, nie wróć. Ta kobieta, Ginger, mówi, że jest prawie pewna, że już się zatarły. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale... chyba ma rację. Pamiętam, jak się nazywam, że jestem Szóstką i mam umiejętność telekinezy. Wiem, że wszyscy tu są dla mnie ważni. Moja rodzina... ale więcej nic. Cała reszta się zatarła.

– Ja... nie. To nie może być...

Wziął moje dłonie w swoje ręce i uśmiechnął się.

– Nie przejmuj się. Ja żyję. Z tego, co wiem była ze mną dziewczyna, która nie miała tyle szczęścia.

Doszło do tego, dlatego że on mi pomógł.

Alex i ja, chociaż sporo wspólnie przeszliśmy, byliśmy dla siebie po prostu niedobrzy. To nie było celowe, ale w pewien sposób raniliśmy się nawzajem. To było tak, jak gdyby wokół każdego z nas było pole siłowe, które zamieniało nasze zamiary w truciznę. Nic, co robiliśmy w stosunku do siebie, nie kończyło się dobrze.

– Lu. Lu zginęła. Ben mnie zaatakował. Ty wszedłeś i mnie ocaliłeś... Przykro mi, że tak to się dla ciebie skończyło.

– Nie ma za co być ci przykro. – Westchnął, pochylił głowę i powiedział: – Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że miałem wcześniej mnóstwo nierozwiązanych spraw – różnych rzeczy, przez które nie potrafiłem przebrnąć. – Znów postukał się w skroń. – Myślę, że wiele z nich miało coś wspólnego z tobą. Jednak to już naprawdę przeszłość i nie będzie z nimi

problemów.

Przełknęłam głośno ślinę, czując, że coś mnie ściska w gardle.

– To prawda.

– Chyba musimy na to spojrzeć jako na dobrą sposobność. Wiesz, taki dar od losu. Mam teraz szansę zacząć z czystą kartą. Ten Dax mówił, że był ze mnie niezły palant.

Zachichotałam.

– Tak, miałaś parę ostrych wejść.

– Wiele nie pamiętam, ale ciężko mi, kiedy na ciebie patrzę. Dax mówił, że byliśmy przyjaciółmi, ale to było coś więcej, prawda?

– Tak – przyznałam. – Dawno temu.

Skinął głową i widać było, że mu się coś naprostowało. Wstał, a ja zauważyłam, że na ziemi przy jego nogach leży plecak.

– No właśnie, chciałem się z tobą zobaczyć i pożegnać.

– Pożegnać?

– Jestem nowym człowiekiem i to dosłownie. Chcę pomóc z Denazen, ale myślę, że najpierw muszę sam się zorientować, kim jestem. No wiesz, odnaleźć siebie.

Alex miał niezaprzeczalnie wiele wad, a ja z wielką przyjemnością mu je wytykałam przy każdej okazji, ale wiedziałam, że kiedyś naprawdę mnie kochał. Ja też go kochałam. Jednak Kale skradł mi duszę i serce, i to się nigdy nie zmieni. Nawet jego utrata pamięci nie zmieniła tego, co razem stworzyliśmy. Dla Alexa mógł to być pewien sposób na odnalezienie wolności. Chociaż chciałam go zatrzymać i mieć blisko, żeby był bezpieczny, w głębi serca czułam, że to jest dla niego najlepsze. Nadszedł czas, żeby pewne rzeczy za sobą zostawić.

– To chyba dobry plan.

Odwrócił się i ruszył, a później zatrzymał się niedaleko ścieżki. Spojrzał na mnie przez ramię, puścił perskie oko i powiedział:

– Kto wie? Może znajdę jakąś świetną dziewczynę. Kogoś takiego, jak ty.

Siedziałam przy tym stole aż zniknął mi z oczu, a później wstałam, krzywiąc się, bo źle się okręciłam i nadwyrężyłam ramię. Nieważne. Ból był ulgą. Brandt i jego kolega pracowali nad antidotum i mówili, że będzie gotowe w niecały miesiąc. Tymczasem ja martwiłam się o te drobne oznaki, których było coraz więcej i potężniały.

Co tam! Mam do tego czasu mnóstwo zajęć. Nie miałam zamiaru siedzieć na tyłku i czekać, aż Vince wróci z odpowiedziami. Chciałam je sama uzyskać. Jeżeli Marshall Cross to tylko pszczoła robotnica, musimy się dowiedzieć, kto jest nad nim w łańcuchu dowodzenia. Musimy się dowiedzieć, od kogo pochodzą rozkazy.

Najpierw sprawdzę to, co Vince powiedział mi o Denazen i o sobie. Muszę wiedzieć, czy to prawda, a później zabiorę się za gromadzenie nazwisk. Mieliśmy teraz pod dachem kilka nowych Szóstek, a ja miałam zamiar wykorzystać możliwości każdej z nich.

Już miałam ruszyć do środka, kiedy kątem oka spojrzałam na skórzaną bransoletkę na nadgarstku. To była ta, którą zamieniłam na purpurową tej nocy, gdy Kale wrócił do Denazen. Nie pamiętam, żebym ją świadomie z powrotem zamieniała, ale postanowiłam się na razie tym nie przejmować, bo miałam inne rzeczy na głowie.

Musiałam poważnie porozmawiać z mamą.

Musiałam się dowiedzieć, kim rzeczywiście był mój ojciec.

Dodatkowe sceny z książki opowiedziane z punktu widzenia Kale'a...

Przyrzeczenie Aubreya

Nie wiem, co mi tą igłą wstrzyknął Cross, ale już przestawało działać. Widziałem jaśniej kontury pomieszczenia i już nie czułem mdłości. Od kiedy tu jestem? Cztery dni? Pięć? Może

dłużej. W Denazen traciło się poczucie czasu.

Próbowali mnie złamać. Nie dawali jedzenia. Nie dawali wody. Zadawali ból. Grozili. To wszystko jednak dla mnie nic nie znaczy. Byłem tu już, dokładnie w tym samym miejscu. Jedyne, co teraz się naprawdę liczyło – jedyne, czego chciałem, to żeby ona była bezpieczna. Wytrzymam wszystko, jeżeli jej nic się nie stanie.

Znów miałem odpłynąć w sen, kiedy od strony drzwi usłyszałem jakieś niewyraźne dźwięki. Chwilę później do pokoju wszedł ktoś wysoki, o ciemnych oczach, ubrany na czarno. Przyglądałem mu się przez chwilę i zastanawiałem się czy naprawdę tu jest, czy nie.

– Nie gniewaj się – powiedział Aubrey, podchodząc powoli. – To pierwsza okazja do spotkania.

Postanowiłem nie odpowiadać. Cross bardzo chciał mnie złamać. Nie było sztuczki ani tricku, po który by nie sięgnął. Musiałem jednak wiedzieć.

– Dez?

Zatrzymał się metr ode mnie i gwałtownie przyciągnął metalowe krzesło.

– Wszystko dobrze. Uzdrowiłem ją.

Skinąłem głową w ciszy. Już nic więcej nie miałem do powiedzenia. Przynajmniej na razie. Aubrey jednak jeszcze nie skończył.

– Nie wiem, ile mam czasu – powiedział, biorąc głęboki oddech. – Więc muszę się streszczać.

Wciąż nic nie mówiłem.

– Kiedy się spotkaliśmy we wrześnie, mój pogląd na świat był... inny. Wierzyłem w to, co robią w Denazen. Wierzyłem Crossowi. Mój brat też mu wierzył. – Przesunął się na krześle. – Able'a i mnie wychowywał człowiek honoru. Wychował nas tak, żebyśmy zawsze dotrzymywali słowa i nie szanowali tych, którzy na to nie zasługują. Cross nie chciał dotrzymać słowa i wyleczyć Dez. Kiedy z nim poszedłeś, powiedział mi, żeby jej nie leczyć, chyba że pójdzie z nami z własnej woli.

To przykuło moją uwagę. Podniosłem głowę, łańcuchy szczęknęły, a ja poczułem ból.

– Powiedziałeś...

– Tak czy inaczej, wyleczyłem ją. Chodzi o to, że tamtego dnia otworzyły mi się oczy i powiedziałem Able'owi, co się stało. – Aubrey wstał i zaczął chodzić po celi. Nie byłem pewny, co chce mi powiedzieć, ale niewątpliwie czuł się niezręcznie. – Able zawsze robił to, co ja. Nie poszedłby za Crossem, gdyby nie ja. Namówiłem go jednak, żeby wyjechać. Chcieliśmy się spakować i zniknąć stąd przed wschodem słońca.

– Jednak tu jesteś.

Aubrey skinął głową.

– Tamtej nocy poszedłem po Able'a, ale zmienił zdanie. Pomogła mu w tym jedna z Szóstek Crossa, Mindy.

– Nie rozumiem...

– Wykradli mu mózg. Wciąż jest jakby moim bratem... ale jest inny. Cross musiał zwęszyć, że chcemy nawiać. Able ma zdolności ofensywne, a Cross tak łatwo takich ludzi nie wypuszcza. Powinieneś o tym wiedzieć.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz?

– Bo przyrzekłem coś Dez i chcę tego przyrzeczenia dotrzymać. Nie potrafię powstrzymać tego, co nadchodzi, Kale i dlatego chcę, żebyś wiedział, że jest mi przykro. Za kilka godzin nawet nie będziesz pamiętał tej rozmowy...

Poczułem się niepewnie.

– Mówisz, że Cross chce to samo zrobić ze mną? Wykraść mi mózg?

Aubrey westchnął ciężko.

– Stworzyli działającą partię leku Supremacji. Nazywają ją Dominacją. Cross chce ci ją podać, ale musi najpierw się upewnić, że będzie w stanie to opanować. Chce wymazać z twojego mózgu wszystkie wspomnienia o Dez i Podziemiu.

– Nie! – Byłem słaby i chociaż wiedziałem, że to nic nie da, znów szarpnąłem łańcuchami. Poczułem w ramionach ostry ból i wiedziałem, że będzie tam kolejny siniak, ale nic mnie to nie obchodziło. – Nigdy im się to nie uda. Nic mi nie odbierze Dez.

Wkurzał mnie wyraz współczucia na jego twarzy. Myślał, że nie mam racji.

– Tak będzie, a ty nie możesz nic zrobić. – Ruszył do drzwi, ale zatrzymał się przed nimi i odwrócił. – Jak mówiłem, nawet nie będziesz pamiętać tej rozmowy, kiedy będzie po wszystkim, ale chcę, żebyś wiedział, że jestem tu i będę cię wspierał. Będę z tobą. Jeżeli jest jakiś sposób, żebyś znalazł drogę z powrotem do Dez, przyrzekam, że ci pomogę.

– Dlaczego? – Przestałem walczyć z łańcuchami, a moje kolana nie wytrzymały i poddały się. – Zachowaj trochę siły. Tyle, ile masz. Będzie ci potrzebna.

– Dlaczego miałbyś mi pomagać?

– Nikt nie zasługuje na to, co ci zrobili. Nikt nie zasługuje na to, żeby mu odebrać miłość. Cross wiedział, że nie zostawię Able'a, więc zrobił tak, żeby on sam został. Nigdy nie odzyskam brata. Teraz nie mam już nikogo. Naprawdę. Nawet jeżeli nie znajdziesz drogi powrotnej do Dez, wiedz, że będziesz miał mnie u boku. Będę przy tobie.

PODZIĘKOWANIA

Jak zwykle chciałabym ogromnie podziękować mojej rodzinie – rodzicom, którzy zawsze mnie wspierają i bratu za jego geniusz komputerowy. Dziękuję również mojemu wyrozumiałemu, cierpliwemu do granic świętości mężowi, który jest skłonny sam zdobywać sobie jedzenie, kiedy jestem zbyt zajęta pracą (to znaczy przez większość czasu). Dziękuję moim redaktorkom: Erice, zaufanej przyjaciółce i powiernicy oraz Liz, która wciąż we mnie wierzy. Jestem wam dogonnie wdzięczna. Dziękuję również Cathy Yardley za burzę mózgow na temat tytułów. To znacznie trudniejsze, niż się wydaje! Dziękuję Mary, J. J. oraz Marie za to, że poświęcały mi mnóstwo czasu, dzieliły się swoimi uwagami i myślami we wczesnych stadiach powstawania tej powieści.

Dziękuję za ciężką pracę mojemu zespołowi reklamowemu – Dani i Anjanie. Jesteście wspaniałe w tym, co robicie.